

**Tanya Huff**

**Brama mroku i krąg światła**

*(Gate of Darkness, Circle of Light)*

*Przełożyła Dorota Żywno*

*Dla Kate.  
Za przyszłość.*

## **Podziękowania**

Chciałabym podziękować Hani Wojtowicz, policji miasta Toronto, archiwum uniwersytetu w Toronto i dr. Douglasowi Richardsonowi z University College za pomoc i cierpliwość.

Pragnęłabym także podziękować Mercedes Lackey za to, że łaskawie pozwoliła mi skorzystać zarówno z *The Bait*, jak i z *Wind's Four Quarters*.

## Rozdział pierwszy

– Rebecca!

Rebecca zatrzymała się z dłonią na drzwiach kuchennych.

– Złożyłaś ładnie foremki?

– Tak, Leno.

– Zabrałaś swój uniform do prania?

Rebecca uśmiechnęła się, lecz trwała nieruchomo, gotowa do wyjścia. Strój pracownika kuchni leżał porządnie złożony na dnie jej jaskrawoczerwonej torby.

– Tak, Leno.

– Zabrałaś słodkie bułeczki na weekend?

– Tak, Leno. – Starannie zapakowane pieczywo spoczywało bezpiecznie na wierzchu zabrudzonego uniformu. Rebecca czekała na kolejny punkt litanii.

– Tylko nie zapomnij jeść, kiedy będziesz w domu.

Rebecca pokiwała głową z takim zapalem, że zatańczyły jej brązowe włosy.

– Będę pamiętała, Leno. – Oto jeszcze jeden punkt litanii.

– Do zobaczenia w poniedziałek, kotku.

– Do poniedziałku, Leno. – Uwolniona wreszcie Rebecca otworzyła drzwi, wyszła na zewnątrz i pobiegła po schodach na górę.

Lena odprowadziła ją wzrokiem, odwróciła się i weszła do swego gabinetu.

– I tak jest w każdy piątek, pani Pementel?

– W każdy piątek – potwierdziła Lena, z westchnieniem zasiadając na krześle. – Prawie już od roku.

– Jestem zaskoczony, że wolno jej tak chodzić bez nadzoru. – Jej gość pokręcił głową.

Lena parsknęła i pogrzebała w biurku, szukając papierosów.

– Och, nic jej nie grozi. Pan Bóg czuwa nad tymi, którzy do Niego należą. Przekłeta zapalniczka. – Potrząsnęła nią, uderzyła o biurko i została nagrodzona wątłym płomykiem.

– Wiem, o czym pan myśli – powiedziała, wciągając dym. – Jednak ona wykonuje swą pracę lepiej niż co niektóre znacznie bystrzejsze osoby. Nie zaoszczędzi pan pieniędzy podatników, pozbywając się jej.

Mężczyzna z księgowości zmarszczył czoło.

– Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, jak można nie zaprzestać palenia, wiedząc o jego szkodliwości. To panią zabije.

– Cóż, to mój wybór, prawda? No dobra. – Oparła łokcie o blat biurka i powoli wypuściła powietrze przez nos, wskazując jarzącym się końcem papierosa na jego zamkniętą aktówkę. – Zabierajmy się do roboty...

– Szmaragdy wycina się z serca lata.

Niechlujny młodzieniec, który zbliżał się z zamiarem wyżebrania kilku dolarów, zawahał się.

– A szafiry spadają z nieba tuż przed zapadnięciem zmroku. – Rebecca odsunęła czoło od wystawy lombardu i odwróciła się, by posłać mu uśmiech. – Znam nazwy wszystkich klejnotów – oświadczyła z dumą. – I w domu robię własne diamenty w lodówce.

Na widok jej uśmiechu młody człowiek spuścił głowę. Miał dość własnych spraw i nie potrzebował wariatki. Poszedł dalej, wciskając głęboko dłonie w podarte kieszenie dzinsowej kurtki.

Rebecca wzruszyła ramionami i wróciła do przyglądania się tacy z pierścionkami. Uwielbiała ładne przedmioty i każdego popołudnia w drodze do domu z biurowca, w którym pracowała, zatrzymywała się dłużej przed wystawami sklepowymi.

Za jej plecami dzwony katedry Świętego Jakuba wybiły kolejną godzinę.

– Czas już iść – powiedziała Rebecca do swego odbicia w szybie wystawowej i powitała uśmiechem jego kiwnięcie głową na zgodę. W drodze na północ Święty Jakub przekazał ją Świętemu Michałowi. Kiedy pierwszy raz usłyszała dzwony, przeraziły ją, podobnie jak katedry, lecz teraz była z nimi zaprzyjaźniona. To znaczy z dzwonami, nie z katedrami. Jej zdaniem takie ogromne, imponujące gmachy, poważne i posępne, nie mogły się z nikim przyjaźnić. Przeważnie wprawiały ją w smutny nastrój.

Rebecca śpieszyła wschodnią stroną Church Street, dokładając starań, by nie widzieć ani nie słyszeć tłumu przechodniów i ruchu ulicznego. Pani Ruth nauczyła ją wchodzić w siebie – tam gdzie panuje spokój – aby wszystkie drobne kawałki fruujące dookoła nie rozbiły jej też na drobne kawałki. Żałowała, że przez gumowe podeszwy sandałów nie czuje nic prócz chodnika.

Kiedy czekała na zmianę świateł na Dundas Street, jej wzrok przyciągnął czarny strzępek furkoczący na parapecie drugiego piętra gmachu Searsa.

– Nie! Ostrożnie, czekaj! – wrzasnęła, kalecząc słowa z podniecenia.

Większość ludzi na skrzyżowaniu nie zwróciła uwagi na dziewczynę. Kilku podniosło głowy i spojrzało tam gdzie ona, lecz zobaczywszy jedynie coś, co przypominało kawałek łopoczącej na wietrze kalki maszynowej, przestało wykazywać zainteresowanie. Jedna czy dwie osoby popukały się znacząco w głowę.

Kiedy światła się zmieniły, Rebecca skoczyła do przodu, nie zważając na klakson czerwonego samochodu o niskim podwoziu, który korzystał z żółtego światła.

– Nie!

Za późno. Czarny strzępek zeskoczył z parapetu, obrócił się raz w powietrzu, stał się bardzo małą wiewiórką i spadł na ziemię, ledwo zdążywszy zebrać łapki pod siebie. Znieruchomiał na sekundę i pomknął w stronę krawężnika. Obok z hukiem przejechała ciężarówka. Wiewiórka wywróciła koziółka i pobiegła z powrotem w stronę budynku, cudem uniknęła nadeptnięcia i znów pobiegła ku krawężnikowi. W każdym ruchu zwierzątka widać było ślełą panikę. Staroło się wspiąć na słuł elektryczny, lecz jego pazurki ślizgały się po gładkim betonie.

– Hej! – Rebecca uklękła i wyciągnęła rękę.

Wiewiórka, która kuliła się u stóp słuła, powąchała podsunięte palce.

– Wszystko w porządku. – Rebecca skrzywiła się, gdy mały gryzoń przebiegł po jej nagim ramieniu, przeszedł przez włosy i przycupnął z drzeniem na czubku głowy. – Niemądre maleństwo – powiedziała, głaszcząc wiewiórkę po grzbiecie jednym palcem. Drzenie ustało, lecz wciąż wyczuwała dłońią bicie serca zwierzątka. Nie przestając go uspokajać, dziewczyna wstała i powoli wróciła do skrzyżowania. Ponieważ wiewiórka była zbyt młoda, żeby mogła sama trafić do domu, Rebecca będzie musiała znaleźć jej schronienie, a najbliższym zacisznym miejscem był skwer Ryersona.

Było to jedno z ulubionych miejsc Rebeki. Otoczony zewsząd przez Kerr Hall placyk był cichy i zielony; prywatny mały park pośrodku miasta. Bardzo niewielu ludzi poza studentami Ryersona wiedziało o jego istnieniu, co według Rebeki było najsluszniejszym rozwiązaniem. Ona znała wszystkie zielone miejsca, w których coś roślo. Tego popołudnia skwer był opustoszały, bo zajęcia nie odbywały się latem.

Rebecca wyciągnęła rękę i posadziła wiewiórkę na najniższej gałęzi klonu. Zwierzątko zatrzymało się z uniesioną przednią łapką i jednym susem znikło z oczu.

– Nie ma za co – odpowiedziała, klepnęła klon po przyjacielsku i ruszyła w dalszą drogę do domu.

Olbrzymi kasztanowiec zdominował niewielką przestrzeń pomiędzy chodnikiem i blokiem Rebeki, wznosząc się ponad trzema kondygnacjami z czerwonej cegły. Często zastanawiała się, czy do mieszkań od frontu dociera słońce; przypuszczała, że wrażenie zamieszkiwania na drzewie wynagradza jego ewentualny brak. Stanąwszy na ścieżce, zadarła głowę i szukała wśród listowia jedyne go stałego lokatora drzewa.

Dostrzegła go wreszcie. Siedział wysoko na mocnej gałęzi, machał nogami i pochylał głowę nad jakąś trzymaną w rękach pracą, której, jak zwykle, nie potrafiła rozpoznać. Jedyną widoczną częścią jego twarzy były krzaczaste, rude brwi sterczące spod

jaskrawoczerwonej czapeczki.

– Dobry wieczór, Ortenie.

– Jaki tam wieczór, jeszcze popołudnie. I nie nazywam się Orten.

Rebecca westchnęła i skreśliła kolejne imię z pamięciowej listy. Rumpelstilzchen było pierwszym, jakie wypróbowała, lecz mały człowieczek wybuchnął tak gromkim śmiechem, że musiał przytrzymać się gałęzi.

– Och, witaj, Becco. – Przez frontowe drzwi wyszła Duża Blondyna Z Głębi Korytarza. Jej uda w poliestrowych spodniach ocierały się o siebie. Rebecca westchnęła. Nikt nie nazywał jej Becca, lecz nie umiała nakłonić Dużej Blondyny Z Głębi Korytarza, żeby przestała tak mówić.

– Nazywam się Rebecca.

– To prawda, kochanie, i mieszkasz tu na Carlton Street 55. – Kobieta mówiła podniesionym głosem, wyraźnie wymawiając każde słowo. Był to słowny odpowiednik pogłaskania po głowie. – Z kim rozmawiałaś?

– Z Normanem – oświadczyła Rebecca, wskazując na drzewo.

– Akurat – parsknął ludzik.

Duża Blondyna Z Głębi Korytarza zacisnęła wargi w kolorze fuksji.

– Jakie to miłe, nadałaś ptaszkom imiona. Nie mam pojęcia, jak ty je potrafisz odróżnić.

– Nie rozmawiam z ptakami – zaprotestowała Rebecca. – Ptaki nigdy nie słuchają.

Podobnie jak Duża Blondyna Z Głębi Korytarza.

– Wychodzę teraz, Becco, ale gdybyś później czegoś potrzebowała, nie wahaj się przyjść do mnie. – Przecisnęła się obok dziewczyny, promieniejąc z radości, że ma okazję pokazać, jaką jest dobrą sąsiadką. Ta Becca może ma nie po kolei w głowie, często powtarzała swej siostrze, ale ma o wiele lepsze maniery niż większość młodych ludzi. Czy ty wiesz, że ona nigdy nie odrywa ode mnie oczu, gdy mówię?

Już prawie od roku Rebecca starała się dociec, czy białe zęby pomiędzy grubo umalowanymi wargami kobiety są prawdziwe. Nadal nie mogła się o tym przekonać, bo stale ją rozpraszała głośność jej słów.

– Może ona myśli, że ja nie słyszę? – spytała raz człowieczka.

Odpowiedział typowo:

– Może ona nie myśli.

Rebecca wyłowiła klucze z kieszeni – zawsze je chowała do prawej przedniej kieszeni dżinsów, żeby wiedzieć, gdzie są – i włożyła do zamka. Nagle przyszło jej na myśl nowe imię, więc zostawiła wiszące klucze i wróciła do drzewa.

– Percy? – spytała.

– Chciałabyś – padła odpowiedź.

Wzruszyła ramionami z rezygnacją i weszła do środka.

W piątek wieczorem robiła pranie i jadła zupę jarzynową z wołowiną na kolację, tak jak powinna, według listy ułożonej przez Daru, jej opiekunkę społeczną. Sobotę spędziła w ogrodach Allena, pomagając swemu przyjacielowi, George'owi, przesadzać paprocie. Trwało to cały dzień, bo paprocie nie chciały być przesadzone. W sobotę wieczorem Rebecca poszła zrobić herbaty i stwierdziła, że zabrakło mleka. Mleko było jedną z rzeczy nazywanych przez Daru drobiazgami spożywczymi, które wolno było jej kupować samodzielnie. Wydobyła dolara i dwadzieścia pięć centów z pozbawionego uszka kubka z promem kosmicznym, wymknęła się z mieszkania i poszła do sklepiku na rogu Mutual Street. Nie zatrzymała się, żeby porozmawiać z człowieczkiem ani nawet, żeby rzucić okiem na drzewo. Daru ciągle jej powtarzała, że musi uważać na pieniądze, więc nie chciała mieć ich przy sobie dłużej, niż było to konieczne.

Wracając pośpiesznie, zastanawiała się, dlaczego wieczór stał się taki cichy i czemu kiepsko oświetlona ulica nagle wypełniła się nieznanymi cieniami.

– Mortimerze? – zawołała pod drzewem, wiedząc, że odpowie bez względu na to, czy odgadła jego imię.

Kropla deszczu skapnęła jej na policzek.

Ciepłego deszczu.

Dotknęła jej ręką i zobaczyła czerwień.

Następna kropla pomarszczyła papierową torbę, w której było mleko.

Krew.

Rebecca rozpoznała krew. Krwawiła raz w miesiącu. Daru powiedziała jej, że o każdej innej porze krew oznacza, iż dzieje się coś złego, i ma wtedy dzwonić do niej bez względu na godzinę – ale Daru nie zobaczy skrzata, a to on krwawił. Rebecca wiedziała o tym, ale nie miała pojęcia, co robić. Daru zabroniła jej wspinać się na drzewa w mieście.

Jednak jej przyjaciel broczył krwią, a krwotok oznacza coś niedobrego.

Zasady są po to, żeby je łamać, jak często powiadała pani Ruth.

Rebecca postawiła mleko na ziemi i podskoczyła do najniższej gałęzi kasztanowca. Kora oderwała się pod jej rękami, więc chwyciła gałąź mocniej – ludzie zawsze byli zaskoczeni jej siłą – i wciągnęła się na górę, zrzucając sandały wymachami nóg. Mężczyźni w pomarańczowych kamizelkach próbowali wiosną ściąć tę gałąź, lecz Rebecca tak długo z nimi rozmawiała, aż zapomnieli, po co przyszli, i nigdy już więcej nie wrócili. Nie pochwałała ścinania drzew hałaśliwymi maszynami.



Wspinała się coraz wyżej w kierunku ulubionej gałęzi człowieczka. Zmierzch i poruszające się liście utrudniały widoczność, tworząc nieoczekiwane cienie. Kiedy dotknęła dłonią mokrego i lepkiego miejsca, wiedziała, że jest blisko. Ujrzała parę zwisających butów, których zadarte noski przestały sprawiać wrażenie zuchwałych, gdy krew skapnęła najpierw z jednego, a później z drugiego.

Mały człowieczek tkwił między dwoma konarami i pniem drzewa. Oczy miał zamknięte, czapkę przekrzywioną, z piersi sterczał mu czarny nóż.

Rebecca ostrożnie podniosła rannego i przytuliła go do piersi. Szepnął coś w niezrozumiałym języku, lecz poza tym leżał zupełnie bez ruchu. Ważył tyle, co nic, więc bez trudu mogła go nieść na jednym ramieniu podczas schodzenia. Jego nogi uderzały bezwładnie o jej biodro, a głowa spoczywała między jej szyją i barkiem.

Kiedy dotarła do ostatniej gałęzi, usiadła, objęła rannego przyjaciela drugą ręką i zeskoczyła. Upadła na kolana. Jęknęła, ale wyprostowała się i chwiejnym krokiem poszła szukać schronienia w swym mieszkaniu.

Natychmiast gdy weszła do środka, udała się do wnęki sypialnej i położyła ludzika na małżeńskim łożu. Mała klatka piersiowa, w której tkwił nóż, nadal podnosiła się i opadała, to też Rebecca wiedziała, że człowieczek żyje, lecz nie miała pojęcia, co robić. Czy powinna zadzwonić do Daru? Nie. Daru nie Widzi, więc nie może pomóc.

– Pomyśli, że znów mi się pogorszyło – powiedziała Rebecca do nieprzytomnego człowieczka. – Tak jak wtedy, gdy pierwszy raz poinformowałam ją o tobie. – Chodziła w tę i z powrotem, obgryzając paznokcie lewej dłoni. Potrzebny był jej ktoś mądry, lecz taki, który nie odmówi Ujrzenia. Ktoś, kto będzie wiedział, co zrobić.

Roland.

Tak naprawdę nigdy nie powiedział, że Widzi. W ogóle rzadko odzywał się do niej, lecz przemawiał swą muzyką, która potwierdzała, iż Roland może pomóc. On jest bystry. Będzie wiedział, co zrobić.

Usiadła na brzegu łóżka, włożyła buty do biegania, odwróciła się i poklepała ludzika po kolanie.

– Nie martw się – rzekła. – Idę po pomoc.

Złapawszy sweter, wyszła na korytarz i zatrzymała się. Czy pozostawiony zupełnie sam człowieczek będzie tu bezpieczny?

– Tom?

Wielki szary kocur spacerujący z dostojeństwem i godnością po korytarzu stanął i odwrócił się do niej.

– Skrzat, który mieszka na drzewie, został ranny. Tom lizał nieskazitelną biel swojego krawacika, czekając, aż usłyszy coś, o czym by nie wiedział.

– Możesz zostać przy nim? Idę po pomoc.

Kot nie reagował i oglądał swą przednią łapkę. Rebecca dygotała z niecierpliwości, lecz wiedziała, że próba poganiania go nie ma sensu. Wreszcie Tom wstał i podszedł, by otrzeć się o jej nogi, szturchając łebkiem w zagłębienia pod kolanami.

– Dziękuję.– Otworzyła drzwi. Kot wszedł do środka, szybko zabierając ogon, gdy drzwi zamknęły się za nim.

Po drodze do schodów zaczęła biec.

Roland przyglądał się posepnie garści pieniędzy w otwartym futerale gitary. To nie był dobry wieczór. Prawdę mówiąc, żaloszny – jak na sobotę na skrzyżowaniu Yonge i Queen. Wiatr zdmuchnął jeden z nielicznych banknotów i Roland rzucił się go łapać. Jego wuj okazywał znaczną wyrozumiałość w kwestii czekania na zapłatę za pokój w suterenie, ale stanowczo odmówił karmienia go. Dwudziestośmioletni mężczyzna, jak powtarzał, powinien mieć prawdziwą pracę.

Z metra wyszła nastolatka w bardzo obcisłych jasnobłękitnych szortach. Pełen podziwu Roland obserwował, jak dziewczyna mija go i staje, żeby zaczekać na światło.

Od czasu do czasu miał prawdziwą pracę, lecz zawsze wracał do muzyki, a ta zawsze sprowadzała go na ulicę, gdzie mógł grać to, na co miał ochotę. Niekiedy zapelniał luki, gdy miejscowe zespoły w ostatniej chwili potrzebowały gitarzysty. Tego wieczora miał mieć zastępstwo, jednakże po południu zadzwonili do niego, że perkusista i grający na klawiszach złapali tego samego wirusa co facet, którego miał zastąpić, i występ został odwołany. Spojrzał na zegarek. Ósma czterdzieści pięć. Za piętnaście minut zamkną Simpsons i Eaton Centre, a wtedy interesy na ulicy mogą się ożywić.

Z głębi biegnącego pod Queen Street przejścia, które łączyło Simpsons z Centre i stacją metra, doszły Rolanda dźwięki czegoś, w czym rozpoznawał – jak mu się zdawało – piosenkę Beatlesów. Autorzy prawdopodobnie by jej nie poznali, lecz w ciągu sześciu dni, odkąd ten facet stał na dole, Roland zdążył się przyzwyczaić do jego osobliwych interpretacji. Śpiewający w metrze zarabiali więcej, ale musieli płacić sto dolców rocznie miejskiemu przedsiębiorstwu komunikacji za licencję i przenosić się ze stacji na stację zgodnie z rozkładem wydawanym przez główny urząd. Roland nawet nie chciał brać tego pod uwagę; jego zdaniem wydawanie zezwoleń na granie na ulicy było czymś nieprzyzwoitym.

Znów spojrział na zegarek. Ósma czterdzieści siedem. Czas leci. Przyjrzał się nielicznym ludziom na ulicy i z haseł na ich podkoszulkach – prawo do zbrojenia niedźwiedzi? [W oryginale *the right to arm bears*, prawo do zbrojenia niedźwiedzi. Jest to oczywisty żart z amerykańskiego prawa do noszenia broni, *the right to bear arms.*] – wywnioskował, że są to Amerykanie. Pewnie

z Buffalo albo Rochester. Czasami odnosiło się wrażenie, że połowa górnego stanu Nowy Jork przyjeżdża na weekend do Toronto. Westchnął i podrzucił w myślach monetę. Wypadło na Johna Denvera, więc rozpoczął *Rocky Mountain High*. To tyle w kwestii artystycznej uczciwości.

Przy drugiej zwrotce satysfakcjonujący brzęk nowych monet dolarowych, które sypały się do pokrowca, polepszył mu humor, toteż kiedy zauważył Rebecę, zdołał uśmiechnąć się do niej. Ta część jego umysłu, która nie była zajęta wędrówką do domu tam, gdzie nigdy jeszcze nie był, zastanawiała się, co dziewczyna drobi na ulicy tak późno. Zazwyczaj widywał ją wczesnym popołudniem, kiedy podczas przerw na lunch słuchała jego grania, lecz nigdy w czasie weekendów. Przypuszczał, że nie wolno jej było wychodzić o tej godzinie, ale nie zakładał tego z góry. Nauczył się już, iż w przypadku Rebeci niewiele można było zakładać z góry.

– Nie jestem niedorozwinięta – oświadczyła pierwszego popołudnia, odpowiadając na jego protekcyjny ton i manierę. – Jestem umyślowo niepełnosprawna. – Długie słowa wymawiała powoli, ale doskonale.

– Tak? – odrzekł. – A kto ci tak powiedział?

– Daru, moja opiekunka społeczna. Ale bardziej podoba mi się to, co mówi pani Ruth.

– A cóż takiego?

– Że jestem nieskomplikowana.

– A czy wiesz, co to znaczy?

– Tak. To oznacza, że w odróżnieniu od większości ludzi brakuje mi piątej klepki.

– Och. – Żadna inna odpowiedź nie przychodziła mu do głowy.

Uśmiechnęła się do niego szeroko.

– A to oznacza, że jestem solidniejsza niż większość ludzi.

Najzabawniejszy w tym wszystkim jest fakt, pomyślał Roland, że o ile Rebecca była niewątpliwie opóźniona umyślowo, o tyle pod wieloma względami rzeczywiście była solidniejsza od większości ludzi. Wiedziała, kim i czym jest. Co daje jej nade mną przewagę dwóch do jednego, dodał z parsknięciem w duchu. Czasami ni z gruszki, ni z pietruszki potrafiła mówić niesamowite rzeczy, które miały ogromny sens. Z pewnym zaskoczeniem stwierdził, że rozmowa z nią sprawia mu przyjemność, i z utęsknieniem oczekiwał, kiedy zobaczy jej uśmiech wśród ponurych i skwaszonych min w porze na lunch.

Zbliżając się do ostatniego refrenu, Roland zauważył, że Rebecca stale wznosi się na palce i opada, tak jak to czyniła, gdy miała mu coś ważnego do powiedzenia. Ostatnią ważną rzeczą był obrzydliwy pomarańczowy sweter, którym teraz była obwiązana

w pasie. (Kupiłam go sobie w Goodwill za jedyne dwa dolary.) Jego zdaniem przepłaciła, lecz tak była dumna ze swego zakupu, że nic nie mógł powiedzieć. Tego wieczora na tle dzinsów i fioletowego podkoszulka bez rękawów sweter wyglądał jeszcze gorzej niż zwykle.

Roland skończył piosenkę i podziękował uśmiechem ubranemu w krzykliwą hawajską koszulę czterdziestokilkuletniemu mężczyźnie, który wrzucił mu garść drobnych do futerału.

– Co u ciebie słyhać, dziecino? – zwrócił się do Rebeki.

Rebecca przestała podskakiwać i podeszła do niego.

– Musisz mi pomóc, Rolandzie. Zniosłam go do mojego łóżka, ale nie wiem, co mam teraz zrobić ani jak powstrzymać krwawienie.

– Co takiego?

Zaskoczona dziewczyna odsunęła się o krok. Wokół było zbyt wiele sztucznych rzeczy, zbyt wiele samochodów, zbyt wielu ludzi. Czowała, jak wszystkie te rzeczy na nią napierają. Czowała, jak świat zewnętrzny ją nadgryza, lecz wiedziała, że nie może udać się do spokojnego, wewnętrznego miejsca, jeśli chce uratować przyjaciela. Podeszła i złapała Rolanda za ramię.

– Pomóż. Proszę – błagała.

Roland uważał się za wnikliwego znawcę uczuć – to umiejętność konieczna do przeżycia na ulicy – i widział przerażenie Rebeki. Niezgrabnie poklepał ją po ręce.

– Jasne, nie martw się. Zaraz przyjdę. Pozwól mi się tylko spakować.

Rebecca szybko skinęła głową i ten ruch zdradził Rolandowi, że dziewczyna jest bliska paniki, zazwyczaj bowiem jej ruchy cechowała powolność i rozmysł. Gdzie, do diabła, podziewa się jej opiekunka społeczna? – zadawał sobie pytanie, zgarniając drobniaki do skórzanego woreczka. To ona powinna przybywać z odsieczą, nie ja. Włożył gitarę do pokrowca, upchał woreczek przy gryfie i zamknął wieko. Co się tam, do Ucha, stało? Jakiego krwawienia nie może powstrzymać? O Jezu, tylko tego mi brakowało; Głupia Weronika zadźgała pasztetnika, kino nocne.

Wyprostował się, narzucił sztruksową marynarkę – pomimo wciąż panującego nieznośnego upału łatwiej ją było nosić na sobie niż w rękę – podniósł gitarę i wyciągnął rękę.

– W porządku – powiedział tonem, który – jak miał nadzieję – dodawał otuchy. – Idziemy.

Rebecca chwyciła go za rękę i pociągnęła naprzód, na drugą stronę Yonge i na wschód wzdłuż Queen.

Mieli zielone światło i całe szczęście, Rebecca bowiem na nic nie zwracała uwagi;

Roland miał wrażenie, iż nie udałoby mu się jej zatrzymać. Przypuszczał, że gdyby próbował wyszarpnąć rękę, zmiażdżyłaby mu palce, nawet tego nie zauważając. Nie zdawał sobie sprawy, że jest taka silna.

Zaraz, zaraz! Zaniósła go do swego łóżka?

– Rebecca, czy ten mężczyzna cię napastował?

– Nie mnie. – Nadal go ciągnęła.

Odnosił wrażenie, że nie rozumiała pytania, a nie mając pojęcia, czy dziewczyna wie, co to jest gwałt, nie potrafił tego inaczej sformułować. Problem polegał na tym, że choć w najlepszym razie Rebecca miała umysł dwunastolatki, jej ciało było ciałem młodej kobiety – o przyjemnie zaokrąglonych kształtach, kobiety ładnej w niekrepujący sposób. Roland pamiętał, jak sam poczuł rozczarowanie, widząc wyraz twarzy towarzyszący tym kształtom, jednakże zdawał sobie sprawę, że nie zniechęciłoby to wielu mężczyzn, a u niektórych wywołałoby wręcz odwrotne reakcje. Na świecie jest cholernie dużo stukniętych ludzi, westchnął bezgłośnie, a przygnębiająco wielu z nich jest mężczyznami. Rzecz nie w tym, że Rebecca była niewinna, bo miała w sobie zbyt wiele nieświadomej zmysłowości, żeby to określenie mogło jej dotyczyć. Rebecca raczej posiadała niewinność – choć Roland wiedział, że gdyby przyciśnięto go do muru, nie umiałby zdefiniować różnicy. Zostawił w spokoju ten temat. Pocił się na samą myśl o tym problemie.

Jednej rzeczy Roland dowiedział się o Rebecce: nigdy nie kłamała. Czasami jej wersja prawdy była nieco wypaczona, lecz jeśli twierdziła, że ktoś wykrwawia się w jej łóżku, szczerze była o tym przekonana. Oczywiście, popatrzył na pukle włosów podskakujące na jej karku, jest również przekonana, że pod wiaduktem na Bloor mieszka troll. Nie potrafił stwierdzić, czy powinien się zdenerwować, czy poczekać, dopóki się nie dowie, czy jest powód.

Na Church Street Rebecca zaczęła się uspokajać. Przemierzała tę trasę każdego dnia i znajomość okolicy łagodziła jej niepokój.

Jest dziewiąta, powiedział jej Święty Michał, kiedy go mijali. Dziewiąta, dziewiąta, dziewiąta. Spiesz się, śpiesz się, śpiesz. Późno, późno, późno.

Puściła dłoń Rolanda i wybiegła trochę naprzód, nie mogąc już wytrzymać jego tempa.

Roland poruszał palcami, czując, jak wraca mu w nich krążenie. Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu na widok dziewczyny, która biegła przed siebie i wracała, żeby upewnić się, że idzie za nią, a potem znów wybiegała naprzód. Przypominało mu to stary film z Lassie. Miał nadzieję, że nie będzie musiał uporać się z niczym bardziej skomplikowanym niż wydobywanie Timmiego ze wzbierającej rzeki. Miał taką nadzieję, ale

wątpił w to.

Kiedy dotarli do bloku, Rebecca pomknęła ścieżką i szybko podniosła opartą o drzewo torbę z brązowego papieru. Zajrzała do środka, pokiwała głową z zadowoleniem i podsunęła opakowanie Rolandowi do sprawdzenia.

– Moje mleko. Zostawiłam je tutaj.

– Będzie ciepłe, dziecino.

Dotknąwszy ścianki kartonu, potrząsnęła głową.

– Nie. Wciąż jest chłodne. – Następnie odwróciła torbę i pokazała czerwono-brunatną plamę. – Spójrz.

Roland nachylił się. Wyglądała jak...

– O mój Boże, to krew! – Ktoś krwawił w jej łóżku, Jezu! A to on pędzi z pomocą. Powinien był zawiadomić gliny, kiedy tylko się zjawiła. Rebecca podała mu mleko – trzymał je ostrożnie, prawie nie mogąc oderwać oczu od plamy – otworzyła drzwi wejściowe i zaprowadziła go na górę.

– Zostawiłam przy nim Toma – wyjaśniła, zatrzymując się przed swym mieszkaniem.

Pchnęła drzwi, które uchyliły się bezgłośnie.

Roland spojrział na scenę totalnego chaosu i poczuł, jak mu szczeka opada. Jedna zasłonka wisiała pod obłąkańczym kątem i powiewała na wietrze wpadającym przez otwarte okno. Druga wyglądała, jakby ktoś ją celowo podarł i rozrzucił po pokoju. Ociekający wodą kuchenny taboret leżał do góry nogami, przyozdobiony girlandą ciętych kwiatów, obok niego leżał rozbity wazon. Wszędzie pełno było roślin i ziemi.

Pośrodku tego bałaganu siedział ogromny, przegowany kocur, z całym spokojem czyszcząc sobie biały koniuszek ogona. Brzydkie zadrapanie odcinało się czerwienią od jego różowego nosa, a jedno ucho było świeżo naderwane.

– Tom! – Rebecca przestąpiła zielone strzępy, które – jak przypuszczał Roland – były dywanikiem, zanim kicius i jego towarzysz zabaw dobrali się do niego. – Nic ci nie jest?

Tom owinał łapki ogonem i spojrział na nią złotymi, nieruchomymi oczami. Gdy dostrzegł Rolanda, zaczął prychać.

– Wszystko w porządku – uspokajała Rebecca. – Sprowadziłam go, żeby zobaczył. On będzie wiedział, co robić.

Tom obejrzał Rolanda od stóp do głów, po czym wykręcił łeb, żeby umyć sobie nasadę ogona. Był to gest oczywistego niedowierzania.

– Tak? I nawzajem, kolego – warknął Roland, kiedy mijali go, idąc do wnęki sypialnej. Nie cierpiał kotów, tych świętoszkowatych małych futrzaków. – Dobra,

Rebecco, gdzie jest ten...

Pytanie pozostało nie dokończone. Rebecca siedziała na brzegu łóżka, trzymając rękę ludzika, który miał nie więcej, jak stopę wzrostu. Chociaż ubrany był w zielone spodnie i koszulę o barwie niemal odbłaskowej żółci, scenę zdominowała czerwień. Jego włosy, brwi i broda sprawiały wrażenie prawie pomarańczowych na tle jaskrawoczerwonej czapeczki, której kolor szedł w zawody ze szkarłatem baniek tworzących się na jego wargach przy każdym oddechu. Jednakże wzrok przyciągała czerwona plama poniżej rękojęści czarnego noża w jego piersi.

Człowieczek otworzył oczy i skupił wzrok na Rebecce, przez jego twarz przemknął cień uśmiechu. Ściskając jej dłoń, spróbował coś powiedzieć.

Nachyliła się niżej.

– Alex... ander – wysapał.

– Alexander? Ależ domyśliłam się tego miesiące temu!

– Wiem. – Walczył o ostatni oddech. – Skłamałem.

Cień uśmiechu wrócił i skrzat skonał. Ciało rozwiało się powoli, aż zostały tylko czerwone plamy i czarny nóż.

## Rozdział drugi

Gdy czarny nóż nie tkwił w ciele skrzata, sprawiał wrażenie mniejszego, lecz nie mniej groźnego. Trójkątne ostrze, długości nie więcej niż trzech cali, kończyło się paskudnym szpicem, krawędzie były ostre jak brzytwa. Rękojeść owinięto czarną skórą, lśniąca teraz od krwi.

– Ja w to nie wierzę – mruknął Roland. – To się nie dzieje.

Rebecca oderwała wzrok od noża, przechylając głowę na bok.

– Ale przecież Widziałeś – rzekła.

– Jasne, wiem, że widziałem, ale to jeszcze nic nie znaczy. Widziałem mnóstwo rzeczy, w które nie wierzyłem.

– Na przykład co?

– No cóż, na przykład... na przykład... – Wzniósł ręce w powietrze i wycofał się z wnęki sypialnej. – Takie różne rzeczy. Precz mi z drogi, kocie!

Tom oddalił się od nóg Rolanda, wyraźnie dając do zrozumienia, że nawet ktoś taki jak Roland powinien wiedzieć, że koty mają pierwszeństwo. Wskoczył na łóżko i okrążył nóż, jego zjeżone futro sprawiało, że wyglądał na dwukrotnie większego niż w rzeczywistości. Fuknął i odtrącił dłoń Rebeki, kiedy zbliżyła się do noża.

– Nie miałam zamiaru go dotykać – zaprotestowała.

Owinąwszy łapki ogonem, kot usadowił się na brzegu plamy krwi i patrzył uważnie na sztylet.

Rebecca obserwowała zwierzaka przez chwilę, lecz kot ani się nie poruszył, ani nie mrugnął powieką, więc poszła do drugiego pokoju, żeby sprawdzić, co robi Roland.

Roland sprzątał. Z podartymi zasłonami, rozsypanymi roślinami i rozrzuconymi poduszkami umiał sobie poradzić. Zamordowane wytwory wyobraźni Rebeki sprawiały mu trochę więcej trudności. Gdyby sztylet i krew znikły wraz z ciałem, mógłby bez większego wysiłku wmówić sobie, że nic się nie wydarzyło. Jednakże nie znikły – więc nie mógł. Nie miał też pojęcia, co, jeśli w ogóle cokolwiek, powinien w tej sprawie uczynić.

Zgarnął ziemię do pustego pojemnika po margarynie, ponownie zasadził pelargonie – jedną z dwóch domowych roślin, które potrafił rozpoznać, i miał nadzieję, że Rebecca nie hodowała tej drugiej – i odstawił na szeroką półkę pod oknem. Otrzeptał kanapowe poduszki i położył je na właściwe miejsce. Sięgnął po gruby arkusz tektury, który leżał pognieciony w kącie.

Zmięty. Jak ten człowieczek wśród poduszek.



Musi kiedyś o tym pomyśleć. Później.

Arkusze miał dwie dziurki, z czego wynikało, że powinien znajdować się na ścianie naprzeciwko drzwi. Roland z trudem zawiesił go na haczykach – karton o rozmiarach dwie stopy na trzy był ciężki – i wygładził wierzchnią kartkę.

Piątek, głosił napis, poniżej była data. Następnie, kolacja: zupa jarzynowa z wołowiną i krakersy, oraz: zrób pranie – zimna woda, jeden kubek detergentu, susz w ciepłe z płatkami zmiękczającym. Słowa były wypisane drukowanymi literami i obudziły w Rolandzie niejasne wspomnienie planów zajęć ze szkoły podstawowej. Spojrzał na następną kartkę.

Sobota, głosił napis, a potem data. Nie zapomnij jeść. Noś buty.

– Rebecca – zapytał, czytając polecenia na niedzielę i poniedziałek – kładź się do łóżka przed dziesiątą, zabieraj czyste uniformy do pracy – co to jest?

– Moje plany. Daru i ja piszemy je w poniedziałki po zrobieniu zakupów. – Wyczołgała się spod maleńkiego stołu kuchennego, ściskając w dłoni plastikową solniczkę. – Robię, co mi każą. Pamiętają za mnie o różnych sprawach, żebym mogła myśleć o czym innym. Tylko, że zapomniałam zdjąć listę z piątku. Ty to możesz zrobić, jeśli chcesz.

Zrób pranie. Nie zapomnij jeść. Noś buty.

Roland nie wiedział, dlaczego te spisy tak mu przeszkadzają, ale tak było. Sprawiały wrażenie okropnie krępujących, co było śmieszne, bo jego matka zostawiała często jeszcze bardziej ściśle wskazania dla jego ojca.

– Co by się stało, gdybyś nie postępowała zgodnie z nimi?

– Powiedzieli, że wróciłabym do zbiorowego domu. – Rebecca pociągnęła się za dolną wargę. – A ja nie chcę wracać.

– Dlaczego? – spytał delikatnie. – Czy byli dla ciebie niedobrzy?

– Nie. – Rebecca westchnęła, zdaniem Rolanda bardziej ze zmęczenia niż z jakiegoś innego powodu i przez ułamek sekundy na jej twarzy malowało się uczucie, którego nie potrafił odszyfrować. – Po prostu nigdy nie zostawiali mnie samej. – Odstawiła solniczkę na stół. – Co teraz zrobimy, Rolandzie?

– No cóż... hm... – Wykonał nieokreślony ruch w stronę bałaganu. – Sądzę, że złożymy o tym doniesienie.

Rebecca wydawała się zaniepokojona.

– O czym?

– Że ktoś włamał się do twojego mieszkania...

– Ach, o tym. – Uśmiechnęła się pobłaźliwie i pokręciła głową. – To tylko ktoś próbował dostać się do Alexandra, bo wiedział, że on jeszcze nie umarł. Tom się tym

zajął.

– Rebecca, Tom jest kotem.

– Tak. – Odczekała chwilę i kiedy przekonała się, że Roland nie ma nic innego do zaproponowania, powtórzyła: – Co teraz zrobimy, Rolandzie?

Zaczerpnął głęboko powietrza i powoli je wypuścił. Nie miał zielonego pojęcia.

– Daru uwierzyłaby mi, gdybyś ty też jej o tym powiedział.

Przez chwilę zastanawiał się nad oznajmieniem Daru, że nic nie widział. Jeżeli ta kobieta pracowała z Rebecca od dłuższego czasu, będzie wiedziała, że dziewczyna opowiada fantastyczne historie, będąc przekonana o ich prawdziwości – chociaż, biorąc pod uwagę to, co się stało dziś wieczorem, być może świat przyjmował zbyt wąską definicję prawdy. Daru podziękuje mu za udzielenie wsparcia Rebecce w chwili paniki i na tym zakończy się jego udział w tych groźnych i osobliwych wydarzeniach.

Spojrzał Rebecce w oczy i zauważył, że oprócz wszystkich dziwnych i magicznych rzeczy, w jakie wierzyła, wierzyła również w niego.

– Zadzwoń do Daru – powiedział, poddając się nastrojowi chwili i z zaskoczeniem stwierdzając, że sprawiło mu to przyjemność. – Potwierdzą wszystko, co jej powiesz. – Nie przypominał sobie, żeby do tej pory ktoś w niego wierzył.

Rebecca pokiwała głową, wyciągnęła stary telefon spod sofy i podłączyła go do gniazdka.

– Nie lubię tego hałasu, kiedy dzwoni – wyjaśniła na widok podniesionych brwi Rolanda.

– Wyciągam wtyczkę i wtedy przestaje.

Na słuchawce dostrzegł pasek białej taśmy klejącej, na której napisano numer widoczny z drugiego końca pokoju. Przypuszczał, że to numer Daru, i rzeczywiście – wydawało się, że Rebecca go wybiera. Zahaczył stopą o krzesło, przyciągnął je do siebie, usiadł i dotknął zatrzasków na pokrowcu gitary. Zawsze lepiej mu się myślało, kiedy grał. Jego palce nieświadomie rozpoczęły *Red River Valley*, pierwszy utwór, jakiego nauczył się grać. „Z tej doliny, powiadają, przybywasz...” Przyglądał się Rebecce przy telefonie i zastanawiał się, dlaczego są to jedyne słowa, jakie zapamiętał.

Rebecca zmarszczyła czoło, zaczerpnęła głęboko powietrza i zaczęła mówić wysokim, spiętym głosem.

– Nazywam się Rebecca Partridge i jest sobota wieczór, i on się nazywał Alexander, i okłamał mnie, ale potem umarł. Wciąż mamy nóż, ale nie wiemy, co zrobić, więc proszę, powiedz nam. – Przerwała, zwilżyła wargi i dodała: – Dziękuję. – Odłożyła słuchawkę.

– Automatyczna sekretarka? – domyślił się Roland.

– Aha. – Dziewczyna odłączyła telefon i wepchnęła go pod kanapę.

– A co, jeśli Daru zadzwoni?

– Nie będzie jej przez cały weekend. Tak powiedziała sekretarka. Co teraz zrobimy, Rolandzie?

Bardzo dobre pytanie, pomyślał Roland, brzdąkając w skali minorowej. Ponieważ nie ma zwłok, raczej nie mogą zawiadomić policji o zgonie. Jeśli się nad tym zastanowić, to nawet gdyby były, zgłoszenie tej śmierci mogłoby nie być najlepszym pomysłem. Dziwił się, z jakim spokojem to przyjmuje – „to obejmowało wywrócenie jego światopoglądu do góry nogami – i doszedł do wniosku, że poważny atak hysterii czeka tylko na odpowiedni moment.

– Myślę, że poczekamy, aż Daru zadzwoni.

– Ja chcę zrobić coś już teraz – sprzeciwiła się Rebecca. – Alexander był moim przyjacielem i ktoś go zabił.

...i ktoś go zabił...

W umyśle Rolanda nareszcie zaświtało: mały człowieczek nie umarł po prostu, ale został zabity, zamordowany, wykończony, zlikwidowany ze szczególnym rozmysłem. Roland z wysiłkiem opanował swoje procesy myślowe.

– Myślę, że powinniśmy dowiedzieć się, kto to zrobił. – Ale jak?

Jakby idąc tym samym torem rozumowania, Rebecca wstała i oznajmiła:

– Pójdziemy do pani Ruth. Ona będzie wiedziała. Ona wie wszystko.

– Dlaczego więc od razu się do niej nie wybrałaś? – spytał Roland, odkładając gitarę.

– Bo ona nie poszłaby ze mną, a Alexander wtedy jeszcze nie był nieżywy.

– Cóż... – Roland wstał i wyprostował zdrętwiałe plecy. – Skoro pani Ruth wie wszystko, proszę bardzo, chodźmy do pani Ruth. Zabierzmy lepiej nóż. To nasza jedyna poszlaka. – Nawet zabawa w prywatnego detektywa była lepsza od siedzenia z tą plamą na łóżku, która mogła stanowić oskarżenie. Jeśli pani Ruth zna odpowiedź, całym sercem był za nią. Jak do tej pory, noc nastęczała wyłącznie pytania. Spojrzał na zegarek. Nie było jeszcze dziesiątej.

Rebecca przyniosła z maleńkiej łazienki ręcznik w kwiatki i zdołała owinać nim nóż, nie dotykając go.

– Zabierasz gitarę? – spytała, wrzucając zawiniątko do czerwonej torby.

– Gdzie ja idę, tam i ona. Czy twój kot może wyjść na zewnątrz?

– To nie jest mój kot – oświadczyła Rebecca, wyjmując z szafki i stawiając na stole miseczkę z czerwonymi orzeszkami pistacjowymi. – Jest swoim własnym panem.

Tom lekceważył ich oboje i patrzył na drzwi. Kiedy zostały uchylone, wymknął się na zewnątrz i oddalił we własnych sprawach.

– Żegnajcie, złe wieści – mruknął za nim Roland i odsunął się na bok, żeby Rebecca mogła zamknąć mieszkanie.

Pod wieloma względami spacer do Bloor Street i pani Ruth okazał się dla Rolanda rewelacją. Nawet nie przypuszczał, że w pobliżu hałaśliwego serca miasta są ciche dzielnice mieszkaniowe, przez które prowadziła go Rebecca. Co więcej, dziewczyna rozmawiała ze stworzeniami, których istnienia nigdy nie podejrzewał – i basta. Drzewa i krzewy po drodze były domem nie tylko wiewiórek, a czerwone i złote ślepia wyzierające zza kratki ścieków nie były ślepiami szczurów i karaluchów.

Wymknął się z rąk czemuś, co przypominało nieco człowieka i siedziało na zwisającej nad chodnikiem najniższej gałęzi dzikiej jabłonki.

– Skąd one się biorą? – zastanawiał się, obserwując fruujące wokół latarni ulicznej stworzenia, które nie były ćmami.

– Mały ludek? Zawsze tu był.

– Och, doprawdy? Dlaczego więc nigdy przedtem ich nie widziałem?

Rebecca umilkła na chwilę.

– A czy kiedykolwiek się przyglądałeś? – spytała.

– Przyglądałem? – Machnął ręką w stronę cieni. – Dlaczego miałbym się przyglądać rzeczom, w które nie wierzę?

– Dlatego właśnie ich nie widziałeś.

– Ale teraz je widzę.

Uśmiechnęła się.

– Teraz się przyglądasz.

– Wcale nie, ja... – Jak mógł nie widzieć po niezaprzeczalnym fakcie śmierci skrzata? Jak mógł nie wierzyć? – Ja... Do diabła, co tu się dzieje? – Wskazał na większy od przeciętnego przydomowy trawnik, który falował jak porośnięte murawą wodne łóżko.

Rebecca zatrzymała się i przyjrzała mu się, przechylając głowę na bok i mrużąc lekko oczy w słabym świetle.

– Nie wiem – odpowiedziała wreszcie – czy powinniśmy się dowiedzieć.

– Nie! – Chwycił ją za ramię i pociągnął szybko za sobą. – Nie sądzę, żebyśmy powinni. Myślę, że lepiej nie mieć z tym nic wspólnego. – Trzymał ją, póki od tego miejsca nie dzieliły ich dwie przecznice oraz zakręt. Dopiero wtedy ją wypuścił. Rebecca miała dziwną minę i Roland żywił nadzieję, że nie gniewa się na niego.

– Pensa za twe myśli? – rzekł łagodnie.

– Zgoda.

Czekał.

– Zaproponowałeś mi pensa – zauważyła.

– Tak się tylko... och, nieważne. – Wyciągnął garść drobniaków z kieszeni spodni, znalazł wśród nich pensa i położył na jej dłoni. Wydawało się to łatwiejsze od wyjaśniania.

– Myślałam tylko o tym, że nie widzieliśmy żadnego skrzata od czasu tego poruszającego się trawnika.

Roland znów złapał ją za ramię.

– Czy to źle?

– Nie wiem.

– W porządku. – Przyśpieszył kroku. – Jak daleko jeszcze do tej pani Ruth?

– Niedaleko. Jesteśmy prawie na Spadinie. Widzisz?

Wyciągnęła rękę i Roland rzeczywiście ujrzał ruchliwą przecznicę u wylotu cichej uliczki, którą szli. Kiedy stanęli wśród blasku i hałasu miasta, odniósł wrażenie, że znaleźli się w innym świecie.

Przynajmniej rozumiem tutejsze niebezpieczeństwa. Wyprowadził Rebecę na jezdnię, a potem nieomal musiał wyciągać ją spod kół pędzącej ciężarówki.

– Rebecca? O, do licha! – Dziewczyna miała wytrzeszczone oczy. Tak szybko szarpała głową w przód i w tył, że obawiał się, by nie zwichnęła sobie karku. Jakiś samochód zjechał z drogi, żeby ich wyminąć. Rebecca stanęła jak wryta, ściskając kurczowo ramię Rolanda.

– Jezu! – Miał uczucie, że jego ręka tkwi w imadle. – Rebecco, puść! – Nie mógł jej odczepić. Gdy przejechał autobus, dziewczyna zawyła – uderzyła w przenikliwy, wysoki lament, od którego włosy jeżyły mu się na głowie. – Rebecco! Nie pozwolę, żeby ci się coś stało, ale musimy przejść przez ulicę. – Zaczął ją ciągnąć; jeśli nie może się od niej uwolnić, to przynajmniej zrobi jakiś użytek z tego kurczowego uścisku.

Spadina musiała być szeroka na cztery pieprzone pasma, pomyślał, kiedy wreszcie dotarli do przeciwległego krawężnika. Ramię zaczynało mu drętwieć poniżej opaski uciskowej, jaką tworzyła jej dłoń.

Dziewczyna nie uspokoiła się, dopóki nie odprowadził jej nieco w głąb ciemnej bocznej uliczki. Oparła się bezwładnie o drzewo i puściła jego ramię. Jej oczy nie miały już tego obłąkańczego wyrazu.

– Co robisz, kiedy jesteś sama? – spytał, patrząc, jak białe ślady zostawione przez jej palce czerwienieją. Jeśli dostawała takiego szału przy przechodzeniu przez jezdnię, jak ta Daru mogła pozwolić jej chodzić swobodnie?

– Idę do światła...

Roland jak przez mgłę przypomniał sobie światła przecznicy na południe od miejsca, w którym przechodzili.

– ...i przechodzę na zielonym świetle. Nigdy nie próbuję przebiegać na żółtym. Potem wracam do tej ulicy chodnikiem. – Spojrzała na niego z powagą, wciąż nieco zdyszana. – Nie wolno przechodzić, kiedy nie ma zielonego światła.

Nagle zdał sobie sprawę, że panika dziewczyny częściowo była spowodowana pędzącymi samochodami, a częściowo tym, co jej zdaniem było łamaniem przepisów. To zaniepokoiło go w ten sam sposób co spisy w jej mieszkaniu. Rebecca wiodła bardzo skrępowany żywot, choć musiał przyznać, że prawdopodobnie bezpieczny, jeśli zawsze przechodziła przez ulicę na zielonym świetle. W każdym razie bezpieczniejszy od jego własnego.

– Czy jesteś już gotowa do dalszej drogi?

Rebecca pokiwała głową.

– Jesteśmy już naprawdę blisko – rzekła, prostując się. – Tylko jeszcze tam prosto, a potem skręcimy i dojdziemy do Bloor.

– Nie moglibyśmy zostać tam, gdzie jest jasno? – Spadną doszliby do Bloor równie łatwo.

Dwa jeepy i BMW z rykiem przejechały ulicą. Rebecca skrzywiła się, bardzo wyraźnie okazując niezadowolenie.

– W porządku – Roland poklepał ją po ramieniu – pójdziemy twoją drogą.

Jej uśmiech wart był ryzyka. Mężczyzna spojrział w głąb ulicy, gdzie olbrzymie kasztanowce zdawały się przesłaniać latarnie uliczne. Niemalże.

Podczas ich wędrówki odgłosy ulicy cichły, cisza natomiast narastała. Roland zaczynał rozumieć, dlaczego wyrażenie „jest zbyt cicho” stało się banałem w starych filmach grozy. Nawet dźwięk, jaki wydawał ocierający się o jego dzinsy futerał gitary, był dziwnie przytłumiony. Rozświetlone okna domów, które mijali, wydawały się bardziej oddalone niż w rzeczywistości. Nie dostrzegli nikogo z małego ludku, chociaż teraz Roland uważnie się przyglądał. Czuł wsiąkający w podkoszulek pot, który nie był spowodowany upałem.

Rebecca przywarła do jego boku z miną bardziej czujną niż wystraszoną.

– Nie martwię się, dziecino – powiedział mężczyzna tonem, który w jego zamierzeniu miał dodawać otuchy – to tylko...

I wtedy zaatakował ich trawnik, który mijali.

Tylko że to nie był już trawnik. Humanoidalny stwór odtrącił Rolanda ciężkim łapskiem i rzucił się na Rebecę.

Dziewczyna nie cofnęła się, ścisnęła mocno pod pachą czerwoną torbę, w której znajdował się sztylet.

Stwór dotknął dziewczyny, odskoczył gwałtownie i rozsypał się w bezkształtną

masę, niegroźną stertę ziemi w kształcie człowieka.

Roland otarł ziemię z oczu i wstał. Padając na chodnik, startł sobie skórę z łokcia, lecz poza tym i kilkoma siniakami nie odniósł żadnych obrażeń.

– Co to było, do diabła? – zapytał głosem, który przeszedł w nerwowy krzyk.

– Paskudna myśl – oświadczyła poważnie Rebecca. Obejrzała go, skinęła głową, przyklękła i zaczęła przerzucać garściami ziemię z chodnika na właściwe miejsce.

– Czy możesz to powtórzyć? – Wyczuł w swoim głosie nutę paniki i zdławił niepokój. W końcu nikt nie został ranny przez trawnik, który rzucił się do ataku. – Chyba nie chcę mieć z tym nic wspólnego – wymamrotał, choć domyślał się, że jest już stanowczo za późno – że było już za późno, gdy pozwolił, żeby Rebecca pociągnęła go za sobą.

– Paskudna myśl – powtórzyła Rebecca, nieprzerwanie zbierając obiema dłońmi ziemię.

– Jasne. – Sprawdził futerał na gitarę, wdzięczny teraz za to, że za dodatkowe pieniądze sprawił sobie solidny przedmiot. – Jakie miała zamiary?

Rebecca zmarszczyła brwi.

– Nie wiem, ale pani Ruth będzie wiedziała.

– W takim razie chodźmy do niej, zgoda? – W jego głosie wciąż pobrzmiwało napięcie. Nie mógł się nadziwić, że ktoś, kto nie potrafił przejść przez jezdnię, nie tracąc przy tym głowy, może bez najmniejszego wysiłku przejść do porządku dziennego nad czymś takim.

– Chwileczkę. – Rebecca zgarnęła resztkę ziemi na kupkę i ostrożnie umieściła ją na zniszczonym trawniku. Należało dbać o te niewielkie przestrzenie, jakie zostały dla zieleni w mieście. Marszcząc czoło, poprawiła grudkę darni. Tylko bardzo paskudna myśl mogła wyrwać trawę z korzeniami. – Może powinniśmy o tym powiedzieć człowiekowi, który tu mieszka. Żeby mógł znów posadzić rośliny.

– Lepiej nie.

– Nie? – Wstała, wycierając dłonie o dzinsy.

– Nie. Nie uwierzyłyby. Pomyślałyby, że my to zrobiliśmy.

– Ja bym nigdy nie zrobiła czegoś takiego.

Nawet w ciemności Roland dostrzegł jej urażoną minę.

– Wiem, dziecino. – Poklepał ją niezdarnie po ramieniu. – Może byśmy już poszli? Robi się późno, a nie chcemy zaskoczyć pani Ruth w łóżku.

– Nie zaskoczymy. – Rebecca westchnęła i znów zaczęła: – Naprawdę by mi nie uwierzył?

– Nie. – Roland potarł się po klatce piersiowej. Podejrzewał, że pojawiają się na niej

następne sińce, poza tymi, jakie zostawiła mu na ramieniu ręka Rebeki. Zmuszony był dojść do wniosku, że wiara w coś nie miała nic wspólnego z realnością tego czegoś.

Okazało się, że Rebecca miała wystarczający powód, aby być przekonaną, iż nie zaskoczą pani Ruth w łóżku. Pani Ruth nie miała łóżka. Mieszkała pod krzakami bzu przy świątyni Trójcy Świętej Kościoła Zjednoczeńców.

Co teraz? – zastanawiał się Roland, gdy Rebecca zachęciła go gestem do wejścia do liściastego tunelu. Wzruszył ramionami i na czworakach przeczłogał się obok dwóch wyładowanych po brzegi wózków sklepowych, ciągnąc po trawie gitarę. Cóż, może to nie są Delfy, ale za to w samym centrum.

Światło jednej z zewnętrznych latarni na kościele padało dokładnie na niewielki, trójkątny obszar pomiędzy bzami a budynkiem, czyniąc zeń najlepiej oświetlone miejsce, w jakim znalazł się Roland od chwili opuszczenia mieszkania Rebeki. Była to jedyna zaleta tej okolicy, bo poza tym cuchnęło tam moczem i niemytym ciałem. Roland oddychał płytko przez usta i podszedł tylko na minimalną niezbędną odległość do pani Ruth, która siedziała oparta o wapienny mur kościoła.

Wyroczenia w osobie bezdomnej kobiety. Czemu nie? Miał nadzieję, że zachował dyplomatyczny wyraz twarzy. Nic w tym osobliwszego od innych wydarzeń tej nocy. Prawdę powiedziawszy, jest to zdecydowanie mniej osobliwe od zostania ofiarą napadu trawnika.

Pani Ruth sprawiała wrażenie osoby około pięćdziesiątki, choć Roland wiedział, że mogła być młodsza. Życie na ulicy z reguły odzierało człowieka z młodości w rekordowym czasie. Strąki włosów, które wymykały się spod czerwonej chustki, były pólśiwe, półbrązowe, oczy pod różowymi powiekami miały wyblakły orzechowy kolor. Gruba warstwa tłuszczu nie dopuściła do powstania zmarszczek na twarzy. Nie miała prawie wcale brwi. Pomimo upału jej pękate, nieduże ciało kryło się pod niezliczonymi warstwami brudnych ubrań.

– No? No? – Jej akcent przywodził na myśl Europę Wschodnią. – Dlaczego tym razem przeszkadzasz starej kobiecie i sprowadzasz jej obcych do domu?

– To nie obcy, pani Ruth – oznajmiła szczerze Rebecca. – To Roland.

– Roland? – Kobieta zmarszczyła czoło i porzuciła akcent. – Aha, ten bard.

– Muzyk – poprawił Roland.

– Słuchaj, koleś. – Utkwiła w nim wyblakłe, stare oczy i odniósł bardzo dziwne wrażenie, że jest przezroczysty. – Chcesz mojej rady czy nie?

– No tak, chyba...

– Więc przestań zaprzeczać wszystkiemu, co mówię. – Wycelowała w niego brudny palec. – Jak mówię, że jesteś bardem, to jesteś bardem. Jak mówię, że jesteś mięczakiem,



to jesteś mięczakiem. – Po czym dodała: – A mam poważne podejrzenia, że jesteś mięczakiem.

– Och nie, pani Ruth, to nieprawda. On Widzi.

Pani Ruth westchnęła, a jej oddech czuć było miętową gumą.

– Znów nie słuchasz, Rebecca. Właśnie powiedziałam, że jest bardem, a wszyscy bardowie są obdarzeni Wzrokiem, więc on też musi go mieć. C.B.D.O, cokolwiek to znaczy. A teraz do rzeczy, po co tu przysłaś? Nie w tym rzecz, że nie odpowiada mi twoje towarzystwo, ale mam sprawę do załatwienia.

Pewno śpieszy się na szaloną wyprzedaż o północy na miejscowym śmietniku, podejrzewał Roland, gdy Rebecca otworzyła torbę i wysypała na trawę zrolowany ręcznik. Ostrożnie odwinęła oba końce, kręcąc głową ze smutkiem nad krwawymi plamami na tkaninie.

Pani Ruth wciągnęła powietrze przez zażółcone zęby.

– Gdzie to znalazłaś?

– W Alexandrze.

– Który jest?

– Był. To był ten człowieczek na drzewie przed moim blokiem. Ktoś go zabił.

– I myślisz, że ja wiem, kto to zrobił?

– A wie pani? – spytał Roland.

– Tak jakby. To długa historia. – Wyciągnęła rękę, odłamała uschniętą gałąź i poruszyła nią sztylet. – Ta broń jest własnością Adepta Dworu Mroku. – Wykrzywiła usta w grymasie bliskim uśmiechu. – Czy mam zacząć od początku?

– Proszę – powiedziała Rebecca, Roland kiwnął głową.

– Nasz świat jest obszarem neutralnym, rodzajem strefy buforowej pomiędzy Dworami Mroku i Światłości. U zarania dziejów istoty z obu Dworów wędrowały po naszym świecie swobodnie, walcząc, gdy się zetknęły. Kiedy pojawiło się tu życie, wzniesiono bariery, by dać mu szansę rozwoju bez ingerencji. – Pani Ruth parsknęła. – Zarówno Mrok, jak i Światłość, ze swej natury, uwielbiają ingerować. Tylko szary ludek, istoty nie sprzymierzone z żadnym z Dworów, otrzymał pozwolenie na swobodne przekraczanie barier. Na nieszczęście, zarówno Mrok, jak i Światłość nadal pragną dostać się do środka, aby wykorzystać nasz świat do wzmocnienia się. Mrok nadkrusza bariery i przeciska przez nie paskudne fragmenty...

– Paskudna myśl na nas napadła – przerwała jej Rebecca – kiedy szliśmy tutaj.

Pani Ruth postukała w sztylet.

– To je przyciąga. W jaki sposób was zaatakowała?

– Utworzyła ciało z ziemi.

– Z ziemi? – Znów parsknęła. – Głupota.

– Chwileczkę – zaprotestował Roland. – Czy chce pani powiedzieć, że rzeczywiście zostaliśmy zaatakowani przez paskudną myśl spowitą w ziemię?

Pani Ruth wzruszyła ramionami.

– Ty mi powiedz. To ty tam byłeś.

– No cóż, ona to znaczy, ja...

– Słuchaj, koleś, powiedzmy, że napadł na was fragment nieukształtowanej Ciemności, i nie mówmy o tym więcej. Dobra? A teraz – spojrzała na niego ostro – jeśli nie ma innych głupich pytań, będę mówić dalej. Mrok wślizguje się, kiedy i gdzie tylko może, lecz Światłość czeka na zaproszenie. Prawdę mówiąc – twarz starszej kobiety złagodniała – byłbyś zaskoczony, jak wielu ludzi prosi o to, by mały skrawek Światłości wkroczył do ich życia. Równowaga zostaje mniej więcej zachowana. Światłość zyskuje na siłach przez nawracanie, wolny wybór bowiem jest częścią jej natury. Mrok ani trochę nie dba o to, jakim sposobem zdobywa wyznawców, a najłatwiej jest mu posługiwać się strachem. Sztyletem takiego rodzaju – pani Ruth spojrzała ponuro na przedmiot – może władać jedynie Adept Dworu Mroku. Najwyraźniej jeden z nich przedostał się na naszą stronę.

– Czy oni są do tego zdolni? – spytał Roland.

– Słuchaj uważniej, koleś – poradziła mu pani Ruth. – przed chwilą właśnie powiedziałam, że tak. – Potarła się po podbródku, zostawiając brudną smugę na spoconej skórze, i zmarszczyła brwi. – Oczywiście wymaga to wielkiej mocy, a Mrok nie słynie z robienia czegoś bez powodu, więc przypuszczam, że szykuje się coś dużego.

– Coś dużego?

– Coś, co pozwoli mu odzyskać zużytą moc, a nawet więcej. Coś, czego śmierć waszego małego przyjaciela była zaledwie skromniutkim początkiem. Albo, mówiąc bez ogródek, niezła kupa gówna, z którą musisz sobie poradzić.

– Poradzić? – jęknął Roland.

– Poradzić... Zignorować... – Pani Ruth wzruszyła ramionami. – To twój wybór. Zawsze możesz pozwolić, żeby świat i każda żyjąca na nim dusza pogrążyła się w wiecznej Ciemności. Niech zapanuje gniew, strach i obojętność. Nie mieszaj się do tego.

Rebecca odwróciła się do niego z rozszerzonymi oczyma i Roland zobaczył małego człowieczka, który wykrwawia się na śmierć na jej łóżku. Zobaczył nagłówki gazet, które przestał czytać, bo wojna, cierpienie i głód nie budziły w nim dreszczu emocji. Westchnął.

– Dlaczego ja?

– A bo ja wiem, koleś. Na mojej liście nie byłbyś pierwszy.  
– Co mamy zrobić? – pytała Rebecca, nachylając się z zapalem.  
– Zaczniecie od poproszenia o pomoc. Cały ten bałagan do tego stopnia zakłócił równowagę pomiędzy Mrokiem i Światłością, że równy mocą Adept Światłości będzie mógł przekroczyć bariery, jeśli zostanie zaproszony.

Adept Światłości? – powtórzył w duchu Roland. Och, cudownie, kolejne dziwactwo.

– Po co nam pomoc?

Połamany żółty paznokciec popukał w ręcznik tuż obok klingi sztyletu.

– Czy wiesz, jak się z tym obchodzić?

– Nie – przyznał.

– Więc wezwij kogoś, kto wie.

– Wezwij kogoś? Jasne. Jak sądzę, jest w książce?

– Tak – odparła pani Ruth – jest w Książce. – W jej głosie można było bardzo wyraźnie usłyszeć duże litery. – Ale nigdy nie dostaniesz w ręce jej egzemplarza. Skorzystaj z usług szarego ludku. Niech oni zaniósą wiadomość.

– Alexander był jedynym z małego ludku, z którym spędziłam trochę czasu – zaprotestowała Rebecca. Przerwała. – Z wyjątkiem trolla, ale on nigdy nie podróżuje. A wie pani, jak długo trwa, zanim któryś z nich zaufa człowiekowi.

Pani Ruth westchnęła i poklepała Rebecę po kolanie.

– Nie, nie wiem. Nie słyszałam jeszcze o szarym, który zaufałby komukolwiek poza tobą. Ponieważ nie masz czasu na nawiązanie nowych przyjaźni, proponuję, żebyś przesłała wiadomość przez zmarłego.

Ku zaskoczeniu Rolanda Rebecca pokiwała głową w zamyśleniu i odrzekła:

– To mogłabym zrobić.

Mężczyzna stuknął ją w ramię.

– Przez zmarłego?

– Aha. – Uśmiechnęła się. – Znam pewnego ducha.

– Wspaniale. – Zaczął wycofywać się z krzaków. – Zdaje się, że na tym koniec. – Kłopot w tym, że nie było mu trudno uwierzyć, iż Rebecca naprawdę знаła ducha.

– Ja tam bym się nie martwiła o duchy, koleś – zachichotała pani Ruth, trafnie odczytując jego wyraz twarzy. – Jeśli nie zetkniesz się z niczym gorszym, zanim to się skończy, to masz większe szczęście, niż na to zasługujesz.

– Rzeczywiście, cholernie mnie pani pocieszyła – mruknął Roland, nie dbając o to, czy starsza pani go słyszy.

Rebecca zgarnęła sztylet ręcznikiem i wepchnęła z powrotem do torby.

– Lepiej go zatrzymajmy. Kiedy przyjdzie Światłość, możemy go jej oddać.

- Czy nie moglibyśmy... – zaczął Roland.
- Bardzo dobry pomysł – przerwała mu pani Ruth surowym tonem.
- Rebecca rozpromieniła się i zaczęła wychodzić za Rolandem.
- Czasami zdarza mi się taki.

Wydostawszy się z zarośli, mężczyzna wyprostował się i wziął głęboki oddech. Nawet spaliny, które wisiały nad Bloor Street niczym koc, były przyjemniejsze. Obawiał się, że charakterystyczna woń pani Ruth będzie mu towarzyszyć przez całą noc.

– Hej, bardzo! – Jej czerwona chustka mocno kontrastowała z ciemnozielonymi liśćmi. – Dwie sprawy!

Odwrócił się.

– Po pierwsze, nie bądźzuchwały. Ledwo skończyłeśczternaście lat. Wciążjeszcze sięuczysz.

Roland czekał i zastanawiał się, czy druga kwestia będzie równie mało sensowna.

– Po drugie, masz może dolca na kubek kawy?

## Rozdział trzeci

Kiedy szli tą samą drogą, którą przybyli, przez ciemne, wysadzone drzewami uliczki osiedlowe, które teraz sprawiały wrażenie bardziej groźnych niż cichych – Roland rozmyślał nad naturą zła i dobra. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej o tym nie myślał, ale nigdy nie przeżył podobnej nocy. Z jakiegoś powodu mityczna opowieść o Światłości i Mroku nabierała sensu w ustach pani Ruth. Ta bezdomna kobieta – zupełnie jak Rebecca, uświadomił sobie – była zbyt rzeczywista, by w nią wątpić. A to, że Mrok i Światłość niegdyś przemierzały świat? Cóż, była to opowieść nie mniej sensowna, niż każdy inny mit o stworzeniu świata. Pani Ruth nie powiedziała, w jakim tempie rozwijało się życie, na naszym świecie, co załatwiało sprawę Darwina; co więcej – torba Rebeci uderzyła go w udo i poczuł ostrze czarnego sztyletu – parę rzetelnych dowodów zdawało się przemawiać na jej korzyść.

Gdy Roland zauważył głębokie mroczne cienie na zniszczonym trawniku, chwycił Rebecę za ramię i próbował wyprowadzić na pustą jezdnię.

– Ależ, Rolandzie – wyrwała mu się – chodzenie po jezdni jest niebezpieczne!

– Tak samo jak zostanie ofiarą ataku trawnika – zauważył.

– Paskudna myśl odeszła. – Rebecca obracała się powoli, badając okolicę. – Tak mi się wydaje.

– Lepiej nie ryzykujemy, dobrze? – Nie sprawiała wrażenia przekonanej, więc dodał:

– Zbyt wiele od nas zależy.

– Och. – Pomyślała o tym przez chwilę. – Czy moglibyśmy wrócić na róg i przejść na drugą stronę?

– Jasne, czemu nie. – Jeśli o niego chodziło, to mogli wrócić na Bloor Street i pojechać metrem, ale nie miał zamiaru przechodzić obok tego trawnika. – Ty prowadź, ja pójdę za tobą.

I to jest mniej więcej sedno rzeczy, dodał w duchu. Nie musi przecież wierzyć w to wszystko. Poradzi sobie z tym tak jak niemal ze wszystkimi innymi kłopotami, które przez lata sprawiało mu życie – po prostu nie stawiając czoła problemowi i unosząc się bezwolnie na fali życia. Wątpił nawet, czy zdobędzie się choćby na atak histerii, do jakiego czułaby się uprawniona każda normalna osoba. Któregoś dnia, pomyślał, gdy Rebecca skrzyła na południe, powinienem wyrobić sobie kręgosłup.

Dziki, rozrośnięty krzew różany, wychodzący poza ogrodzenie, wczepił się w podkoszulek Rolanda i nie chciał puścić. Mężczyzna szarpnął, krzak trzymał.

– Zaczekaj chwilę, Rebecco, nie chciałbym rozedrzeć... – Odwrócił głowę i stanął

oko w oko z malusieńką osobą, bezpłciową, tak mu się wydawało, która uczepiła się jego podkoszulka miniaturowymi rękami, jednocześnie oplatając gałąź krzewu brązowozielonymi nóżkami. Gdy próbował się wyplątać, wyszczerzyła do niego złośliwie zęby. Krzew różany kołysał się w obie strony, lecz istotka nie rozluźniła ani jednego, ani drugiego chwytu.

Rebecca przyjrzała jej się z bliska.

– Masz natychmiast puścić! – rozkazała.

Stworzenie pokazało zaskakująco różowy język.

– Ten człowiek jest bardem – ostrzegła – i jeśli go nie wypuścisz, ułoży piosenkę o tym, co robisz z chrząszczami.

Istotka zrobiła obrażoną minę i puściła go. Roland zauważył, że jej szpony były niemal tak długie jak palce. Istotka wzniosła jeden palec w górę w obraźliwym geście, czmychnęła w dół po gałęzi i znikła im z oczu.

– A co ten stwór robi z chrząszczami? – spytał Roland, gdy zaczęli iść.

– Nie wiem. – Rebecca wzruszyła ramionami i spojrzała na niego bardzo poważnie. – Nie wolno pozwolić, żeby małemu ludkowi cokolwiek uchodziło na sucho, bo im częściej im się to udaje, tym więcej płatają figli. Wkrótce nie mielibyśmy chwili spokoju. Ani odrobiny.

Oczami wyobraźni Roland ujrzał nagle własne mieszkanie, w którym roiło się od tycich, tyciuteńkich mężczyzn i kobiet, z których każde miało tyci, tyciuteńki mózgi i tycie, tyciutenkie, przeciwstawne kciuki. A ja myślałem, że karaluchy to problem...

Wyszli na Harbord Street w odległości przecznicy od Spadiny i szli w stronę świateł.

– Rebecca, dokąd idziemy?

– Zobaczyć się z duchem.

– Nie, miałem na myśli to, do jakiego miejsca w mieście.

– Och. – Zrobiła głęboki wdech i dokładnie wymówiła każdą sylabę: – Na uniwersytet. – Miała tak w zwyczaju, gdy musiała wypowiedzieć słowo dłuższe od dwusylabowego.

Uniwersytet Toronto zajmował duży obszar w centrum miasta, jego stare, spowite bluszczem gmachy kontrastowały interesująco z młodymi, ubranymi w dżinsowe ubrania studentami. Skraj tego obszaru przecięli w drodze na spotkanie z panią Ruth. Teraz ich celem było jego serce.

– Nie wiedziałem, że na uniwersytecie jest duch.

– Naprawdę?

Latarnia na ulicy wyraźnie oświetliła pełne niedowierzania spojrzenie dziewczyny. Roland poczuł się tak, jakby powiedział, że nie wie, z której strony wstaje rano słońce.

– Ależ on jest słynny. Był w telewizji.

– Duch był w telewizji?

Zastanowiła się nad tym, czekając na zmianę świateł.

– Nie – przyznała. – Ale opowiadano jego historię. – Pomyślała jeszcze chwilę. – Nie opowiedzieli jej zbyt dobrze. Pomylili wiele spraw. Nie sądzę, żeby w ogóle rozmawiali z Iwanem.

– Iwan? – Tak ma na imię?

– Aha. – Światło zmieniło się i dziewczyna wzięła go za rękę. – Chodźmy.

To przejście przez Spadinę było całkowicie odmienne od pierwszego. Rebecca szła szybko, lecz zachowywała spokój. Roland był zdziwiony tą różnicą.

– Rebecco?

– Słucham? – Nie spuszczała oczu ze znaku z napisem: „Idź”, do którego się zbliżali.

– Co robisz, kiedy nie ma żadnych świateł?

– Podchodzę do rogu i rozglądam się obie strony, nie biegnę, bo mogłabym się przewrócić. Tylko że się nie przewracam, ale Daru twierdzi, że mogłoby się tak stać. Albo używam magicznego przejścia.

– Magicznego przejścia?

– No wiesz. – Kiedy stanęli na krawężniku, odwróciła się do niego z uśmiechem. – Z takimi dużymi żółtymi światłami i pasami na jezdni, gdzie wysuwasz palec i samochody się zatrzymują.

Roland uświadomił sobie, że miała na myśli przejścia dla pieszych, choć równie dobrze można było je nazwać magicznymi przejściami. Osobiście za każdym razem, kiedy wystawiał palec, obawiał się, że go straci; że jakiś palant w firebirdzie przejedzie obok jak wariat i mu go urwie.

– Wiesz, Rebecco, ten twój duch...

– To nie jest mój duch. To duch uniwersytecki.

– Mnie to obojętne... Czy on nie jest, hmm... – Roland szukał słowa. W głowie przesuwano mu się mnóstwo filmów o duchach z ziejącymi ranami i szarożółtymi czaszkami, które było widać przez rozkładające się ciało. Wreszcie znalazł słowo ze słownika Rebeki: – ...glutowaty?

Rebecca zrozumiała i potrząsnęła głową.

– Ależ, skąd. Czasami jest nieco mglisty, ale nie glutowaty. To naprawdę smutna historia.

– Jeśli mam go spotkać... – Roland nie był szczególnie tym zachwycony, bo nie lubił fikcyjnych umarłaków, którzy nie chcieli pozostawać przyzwoicie martwi, więc nie wiedział, jak zareaguje w prawdziwym życiu – ...to może lepiej opowiedz mi o nim.

– Przypomnę sobie lepiej na siedząco, bo wtedy nie będę musiała myśleć jednocześnie o chodzeniu.

Znajdowali się już na terenie miasteczka uniwersyteckiego i Roland uprzejmie wskazał jej miejsce na murawie otaczającej bibliotekę. Pomiędzy latarniami na ulicy i reflektorami na budynku cienie nie miały najmniejszych szans, a wyschnięty, brązowy trawnik wyglądał tak samo groźnie jak talerz pszennych płatków śniadaniowych. Większość studentów wyjechała do domów na lato, więc okolica świeciła pustkami.

Rebecca usiadła, stawiając obok siebie torbę z nożem. Zaczekała cierpliwie, aż Roland się usadowi, i zaczęła.

– Nazywa się Iwan Reznikow i jest kamieniarzem. To znaczy, że robi domy i inne rzeczy z kamienia. Właściwie to już nie robi, ale kiedyś robił. – Przerwała, Roland pokiwał głową i podjęła wątek: – Urodził się w Rosji, ale jest w Kanadzie od tak dawna, że teraz jest już Kanadyjczykiem. Jest duchem od ponad stu lat.

– Ale jak stał się duchem?

– Umarł.

Ona tego nie robi celowo, upomniał się Roland i zachowując spokój w głosie, zapytał:

– Jak umarł?

– Przyjaciel go zadźgał i zrzucił ze schodów, i zwłoki wpadły do szybu wentylacyjnego, i nikt nie wiedział, gdzie on jest, i nikt nie szukał, bo to był tylko jakiś biedny, głupi Rosjanin i nikomu nie zależało.

W tych ostatnich kilku słowach Roland usłyszał głos kamieniarza.

– Widzisz, jego przyjaciel zrobił gargulca, który był do niego podobny, a Iwan się wściekł i zaczął robić takiego, który wyglądał jak jego przyjaciel. Prawdę mówiąc on wcale nie jest do niego podobny, więc myślę, że miał powód, żeby się wściec. W każdym razie zobaczył swego przyjaciela, tylko że wtedy już nie byli prawdziwymi przyjaciółmi, ze swoją dziewczyną – nazywała się Susie i dużo o niej opowiadał – i zazgrzytał zębami, a ona spytała: „Co to za dźwięk?”, a przyjaciel odpowiedział, „To tylko wiatr”, zupełnie jak w tej historii o siostrze Annę.

W tym momencie Roland zupełnie stracił wątek, ale pokiwał głową.

– I wtedy zaatakował przyjaciela siekierą. Mówi, że był pijany, bo inaczej nigdy by tego nie zrobił i teraz jest mu bardzo przykro. Jego przyjaciel wbiegł do środka, a siekiera trafiła w drzwi – mogę ci je pokazać – a potem ścigali się po schodach na szczyt wieży i tamten dźgnął Iwana, zepchnął ze schodów i zabił. I teraz Iwan jest duchem.

– Co się stało z jego byłym przyjacielem? – spytał Roland, mimo wszystko



zafascynowany.

– Nic. Widzisz, ciało znaleziono po wielu latach, dopiero po wielkim pożarze. Wieża była niedokończona i przyjaciel Iwana... – Dziewczyna zmarszczyła czoło. – Szkoda, że nie pamiętam, jak się nazywał, bo wtedy już nie był przyjacielem Iwana. W każdym razie ten człowiek schował trupa głęboko w niedokończonej części, a potem myślę, że ją skończył, i nikt go nie znalazł, a potem był ten duży pożar i wtedy go znaleźli. Może ten człowiek i Susie pobrali się i żyli długo i szczęśliwie. – Poglaskała lekko trawę palcami i dodała: – Nie sądzę, żebyśmy powinni mówić o tym Iwanowi.

– Jasne, racja. Nie ma sensu ranić jego uczuć – zgodził się Roland. Odkładając pytanie: „Czy duchy mogą mieć uczucia, a jeśli tak, to czy można je zranić?”, przyjrzał się dziewczynie. Przez krótką chwilę inna Rebecca nakładała się na tę, którą znał. Rolandowi wydawało się, że jednocześnie bardziej i mniej przypominała znaną mu Rebecę. Przypominała tę, którą powinna być...

– Na co patrzysz?

Drgnął i uśmiechnął się nerwowo.

– Na nic. – Nie zostało bowiem nic poza wspomnieniem. Przywidziało mi się, pomyślał, choć biorąc pod uwagę wydarzenia dzisiejszej nocy, wcale nie byłby zaskoczony tym, że ma halucynacje, że widzi rzeczy, które nie istnieją, w odróżnieniu od rzeczy istniejących, w które jednak nie wierzył, nawet jeśli je Widział. Wczoraj życie było znacznie mniej skomplikowane.

– Czy mogę mówić dalej?

– Tak, proszę.

– Dobrze. W każdym razie, kiedy Iwana znaleziono, pochowano go na skwerze, tylko że wtedy to nie był jeszcze skwer, bo to dopiero później zrobiono z tego skwer, i tam właśnie teraz zastaniemy Iwana.

– Na jego grobie?

– Aha.

– Na terenie miasteczka uniwersyteckiego?

– Aha.

– Rebecca, nie sądzę, żeby to było zgodne z prawem. – Opowieść brzmiała wiarygodnie, dopóki Rebecca nie do szła do pochówku. Teraz Roland zaczął podejrzewać, że cała historia istniała wyłącznie w jej głowie. – Nie można pogrzebać człowieka na najbliższym skrawku wolnego gruntu.

– On już wtedy nie był człowiekiem. Zostały z niego same kości.

– Mimo to... Kto ci to wszystko opowiedział?

– Iwan.

Roland westchnął. Iwan był autorytetem, z którym trudno było się spierać. Wstał i podał rękę Rebecce.

– Chodźmy więc. – Według jego zegarka było za dwadzieścia jedenasta, a głębokie doświadczenie wyniesione z książek i filmów grozy mówiło mu, że lepiej nie spotykać tego faceta o północy – gdyby brać tę opowieść serio.

Rebecca przerzuciła torbę przez ramię i wstała. W miejscu, gdzie leżała torba, murawa wyglądała na spaloną. Rebecca spojrzała i pokręciła głową ze smutkiem.

– Trawa nie ma wielkiej możliwości obrony – westchnęła.

– To prawda. Jesteś pewna, że powinnaś to nieść? – Odsunął się, by zwiększyć odległość między sobą a torbą.

– Masz na myśli sztylet? – Poklepała go po ramieniu pocieszająco. – Nie ma obawy. Jestem silniejsza od trawy.

Roland pozwolił się prowadzić i obejrzał się za siebie dopiero wtedy, gdy dotarli do narożnika, gdzie musieli zaczekać na zielone światło. Wypalone miejsce było wyraźnie widoczną ciemną plamą na tle matowożółtej trawy. Roland zamrugał oczami i spojrzał raz jeszcze. Obok pogorzelniska wyrósł łan nowej, zielonej trawy, tworząc łagodny łuk o szerokości mniej więcej sześciu cali i długości czterech stóp. Roland zobaczył we wspomnieniach, jak podczas rozmowy z nim Rebecca gładzi w zamyśleniu trawę.

Jestem silniejsza od trawy.

Czy ona choć wie, że to zrobiła? – zastanawiał się, spoglądając na czubek jej głowy i przypominając sobie tę drugą twarz, która przez chwilę przysłaniała jej oblicze.

Kiedy zmieniło się światło, zeszli z krawężnika. Roland, który nadal nie odrywał oczu od Rebeki, potknął się o gitarę. Rebecca złapała go i podtrzymała, dopóki nie odzyskał równowagi, a następnie przepchnęła przez skrzyżowanie.

– Musisz być ostrożniejszy podczas przechodzenia przez jezdnię – skarciła go.

Roland odwrócił się i ostatni raz spojrzał na dwa ślady na trawniku.

– Tak, masz rację. – Tylko tyle umiał powiedzieć.

Skręcili na południe za akademikami i zeszli na jedną z licznych ścieżek, jakie przecinały miasteczko uniwersyteckie. Co jakieś dwadzieścia stóp stała staromodna latarnia pośrodku kręgu światła. Roland miał wrażenie, że śpieszą od jednej bezpiecznej wyspy do drugiej, a mrok pomiędzy nimi spowija ich i próbuje dotrzeć do sztyletu. Popatrzył na Rebecce, lecz dziewczyna nie wyglądała na zaniepokojoną, spróbował więc ją naśladować. Niezupełnie mu się powiodło.

– Iwan kręci się w okolicy uniwersytetu, czy tak?

– Aha. Kiedy widzą go ludzie, którzy nie widzą, uniwersytetowi grozi niebezpieczeństwo.

– Czy zdarza się, że straszy w miejscu, w którym zginął?

– Nie. Iwan umarł dopiero wtedy, gdy spadł na sam dół schodów, a to miejsce znajduje się teraz w szafce łazienkowej dyrektora. Gdyby tam straszył, nikt by go nigdy nie zobaczył.

– Skąd wiesz o tym wszystkim?

– Iwan mi powiedział. Przygląda się, jak robotnicy naprawiają różne rzeczy, jak robią reni... reni...

– Renowacje?

Dziewczyna rozpromieniła się, na chwilę stając się jeszcze jednym kręgiem światła.

– Właśnie. On lubi mieć oko na wszystko.

Kiedy dotarli do małej, nie zabudowanej przestrzeni, Rebecca wskazała na znajdującą się na końcu drogi przeciwpożarowej bramę z kutego żelaza. Umieszczono ją pomiędzy dwoma budynkami, z których jeden był z nowej żółtej cegły, a drugi stary i szary.

– Wejdziemy tamtędy.

– Czy to nie jest teren prywatny? – Z doświadczenia wiedział, że brama oznacza zakaz wchodzenia.

– Nie, tam-jest zieleniec – rzekła Rebecca – a zielenice są własnością wszystkich.

Roland żywił nadzieję, że władze miasteczka uniwersyteckiego podzielają ten pogląd. Nie czuł się na siłach wyjaśniać wydarzenia tego wieczora jeszcze komuś, a w szczególności jakiejś umundurowanej osobie, która usiłowałaby oskarżyć ich o wchodzenie na niedozwolony teren.

Z bliska okazało się, że jedna część bramy była lekko uchylona. Oboje się tamtędy przecisnęli.

Duch czy nie duch, doszedł do wniosku Roland, idąc przez skwer, tu jest niesamowita atmosfera. Ścisnął mocniej uchwyt pokrowca gitary, czerpiąc otuchę z kontaktu z mokrym od potu plastykiem.

Dziedziniec nie było rozległy, lecz drzewa rozpraszały światło padające od strony domów, tworząc plamy migotliwego cienia, które raz przysłaniały, raz odsłaniały widok w zależności od kaprysu wiatru. Stojąc plecami do nowego gmachu, Roland bez trudu mógł sobie wyobrazić, że znajduje się wśród krużganków średniowiecznego klasztoru. Po drugiej stronie środkowego trawnika – przez który nie przeszedłby za żadne skarby, bo nie umiał sobie wyobrazić miejsca, gdzie czułby się bardziej odsłonięty – widział tyły budynku, który z pewnością był kaplicą. Drzewa rzucały upiorne cienie na jej okna z witrażami. Słysząc było jedynie szelest liści i ciche stąpanie sportowych butów Rebeki,

która szła po ścieżce z kamiennych płyt prowadzącej do północno-wschodniego narożnika.

Wzory cienia, wzory mocy Strzegą tajemnicy nocy.

Cisza skryła puste...

– Rolandzie! Chodź już!

Oderwał się od słów piosenki, odłożył je na później i podbiegł do dziewczyny, która czekała na niego na brzegu trawnika. Jej głos brzmiał nienaturalnie głośno, odbijał się jakby od wiekowych kamieni. Ciarki przebiegły mu po plecach, gdy uświadomił sobie, że nawet liście przestały szeleścić.

– Co teraz? – spytał nerwowym szeptem.

– Teraz porozmawiamy z Iwanem. – Rebecca zeszła na trawę i oddaliła się trochę od budynków.

– Rebecco, Iwan nie może być pochowany w miejscu, w którym stoisz.

Dziewczyna spojrzała pod nogi, a potem na Rolanda.

– Dlaczego nie?

– Bo stoisz tuż obok kratki ściekowej. Gdyby tam kiedyś był, wykopaliby go podczas jej zakładania.

– Wszystko w porządku. – Zrobiła lekceważący gest w stronę kratki. – On tam nadal jest.

Roland westchnął i potem zamrugał. Nagle poczuł, że mu oczy wychodzą na wierzch, szczeka opada, a serce zaczyna walić niczym młot.

Coś wzniosło się znad ziemi w pobliżu miejsca, w którym stała Rebecca. Wyglądało jak smuzka dymu lub osobliwie skondensowany obłok mgły, lecz w miarę, jak wilo się i rozrastało, Roland dostrzegał głęboko osadzone oczy, pasemka czegoś, co przypominało długie, kędzierzawe włosy, oraz parę wielkich dłoni robotnika.

Nagle zrozumiał, co to znaczy bełkotać ze strachu. Ledwo zdołał z krzykiem zdławić pragnienie ucieczki do domu. Najgorsze były oczy; nie tylko istniały, ale uważnie się przyglądały.

Ostatecznie słup mgły przybrał kształt przypominający człowieka wzrostu około sześciu stóp. Miejscami był tak przejrzysty, że Roland widział Rebecę. Serce mu zwolniło i zaczęło bić w bardziej normalnym tempie, gdy uświadomił sobie, że nie ma żadnego poważnego powodu, żeby się bać.

Rebecca wzięła się pod boki i zrobiła groźną minę.

– Jak mam z tobą rozmawiać, skoro bez przerwy się rozpraszasz. Masz się skupić, Iwanie!

– Nie. Nie chcę. – Głos o obcym akcencie sprawiał wrażenie równie ulotnego jak

postać, a jednocześnie nadaśanego.

– Czemu nie? – Złożyła palce i miała nadzieję, że nie był w złym humorze.

Był.

– Bo nie. Idź sobie. Nie chcę z tobą rozmawiać. Nikomu na mnie nie zależy. Wszyscy mnie ignorują. – Wydał głębokie westchnienie. – Idź sobie – powtórzył. – Chcę spoczywać w spokoju. Zresztą, kogo to obchodzi.

Zaczynał zapadać się pod ziemię, lecz Rebecca skoczyła naprzód.

– Iwanie, nie rób tego!

Duch przestał znikać i uchylił się, by uniknąć jej rąk.

– Ja ciebie nie obchodzę. Nikogo nie obchodzę.

Ten facet przemawia bardziej jak duch jakiejś babuleńki niż rosyjskiego kamieniarza, pomyślał Roland, gdy mgła uniosła się trochę w powietrze i pomknęła w stronę zachodniej ściany.

– Chodź! – zawołała Rebecca i ruszyła w pościg.

Roland wahał się. Naprawdę nie miał ochoty oddalać się od osłony budynków i chodzić po otwartej przestrzeni.

– Chodźże! – ponownie zawołała Rebecca.

Wzruszył ramionami i poszedł za nią. Nie było tak źle, jak się obawiał, lecz nadal miał wrażenie, że przyglądają mu się czyjeś oczy. Ciekawe, z kim Iwan dzieli miejsce ostatniego spoczynku? Cienie na ścianie kaplicy drgnęły. Z drugiej strony, wolał nie wiedzieć. Przyśpieszył i dogonił Rebecę.

Razem pognali z powrotem kamienną ścieżką, a potem przez łuk przejścia w zachodniej ścianie. Przed nimi płynął obłok mgły, która niemal zniknęła pod jedną ze staromodnych lamp. Obłok zatrzymał się, pomknął w górę i ukrył się za bluszczem, który porastał okrągły występ na południowo-zachodnim narożniku gmachu. Wyglądający z pnączy gargulec nagle ożył.

– O cholera. – Roland stanął gwałtownie i wybałuszył oczy.

Pierwszy gargulec ponownie skamieniał, a drugi warknął na niego z góry.

– Chodźmy. – Rebecca pociągnęła go za ramię. – Ja wiem, dokąd idzie Iwan.

Podążyła w stronę frontu budynku, Roland szedł blisko niej, choć przeszkadzał mu fakt, że w ogóle nie patrzył pod nogi. Nie mógł oderwać oczu od maskaronów, które ożywały jeden po drugim wzdłuż ich drogi. Pozwolił, żeby Rebecca prowadziła go drogą wokół małego klombu i ledwo uniknął z nią zderzenia, gdy stanęła na trawniku.

Tuż przed nimi znajdowały się dwa gargulce, przyczajone w kącie blisko siebie. Ten

z lewej strony powoli ożywał.

– W porządku, Iwanie. – Cierpliwość Rebeki dobiegła granic. – Dość tych żartów. Ścigaliśmy cię, więc wiesz, że to ważna sprawa. A teraz posłuchaj.

– Słucham – westchnął gargulec.

Kawałki pokruszonej rzeźby wypełniające paszczę maskarona w połączeniu z rosyjskim akcentem sprawiły, że prawie nie można było zrozumieć jego mowy. Niemniej wydawało się, że Rebecca go pojmuje.

– Pani Ruth twierdzi, że przybył Adept Mroku, i chcemy, żebyś zaniósł nasze... – Zwróciła się do Rolanda, szukając odpowiedniego słowa.

– Zaproszenie? – podsunął Roland.

– Tak, właśnie. Chcemy, żebyś zaniósł nasze zaproszenie Światłości, aby Adept Światłości mógł przybyć i stanąć do z nim walki.

– Nie.

– Ale Alexander zginął!

– I co z tego. – Gargulec wzruszył kamiennymi ramionami. – Śmierć nie jest taka zła. Można się do niej przyzwyczaić. Dlaczego miałbym się oddalać od swego domu, jaki by on nie był?

– Ale... ty... och! – Rebecca tupnęła, a maskaron uśmiechnął się.

Roland zauważył, że niektóre z odłamków rzeźby były niegdyś kłami, które zapewne sporo wystawały.

– Posłuchaj – powiedział, wysuwając się naprzód i tym sposobem zaskakując siebie samego i Iwana, który do tej pory zdawał się go nie dostrzegać. – Ponoć masz pojawiać się, kiedy uniwersytetowi zagrozi niebezpieczeństwo, zgadza się?

– Zgadza – potwierdził podejrzliwie gargulec.

Jeśli Adept Mroku zyska przewagę, uniwersytet, podobnie jak wszystko inne, będzie poważnie zagrożony. Czy w związku z tym nie powinieneś czegoś zrobić?

Iwan zastanawiał się przez chwilę, a Rebecca pobłogosławiła Rolanda takim uśmiechem, że niespodziewanie, z niewyjaśnionego powodu, nabrał chęci, by uczynić dla niej coś więcej: wspinać się na górskie szczyty, walczyć ze smokami, własnymi rękami przepędzić Ciemność... Dobra, nieważne. Stłumił ostatnią myśl.

– Nie – oświadczył wreszcie maskaron – ja się tylko pojawiaam. Niczego nie robię. – Chudym, zdeformowanym ramieniem wskazał futerał gitary. – Masz tam coś do picia?

– Nie, tylko gitarę.

– Gitarę? – Gargulec westchnął. – Od tak dawna nie słyszałem muzyki... Zagraj mi coś.

Roland otworzył usta, żeby powiedzieć duchowi, co może sobie zrobić z tą prośbą,

ale się rozmyślił. Jeśli muzyka rzeczywiście czyni cuda... Położył pokrowiec na trawie i wyjął swoją starą yamahę. Kiedy ją kupował ponad dwanaście lat temu, była najlepszym instrumentem, na jaki było go stać, choć wciąż było jej daleko do pierwszorzędných gitar. Przez lata spędzone na ulicy, podczas małych i dużych festiwali folkowych, oraz w niezliczonych, pełnych dymu salach, nie zawiodła go ani razu, jej dźwięk był wciąż tak słodki i czysty, jak w dniu, gdy ją kupił. W rozmowach z nią nazywał ją Cierpliwością, choć jedno i drugie utrzymywał w tajemnicy.

Przerzucił pasek przez ramię i usiadł na najniższym stopniu niewielkich kamiennych schodków. W trakcie strojenia instrumentu wyczuwał pośladkami wgłębienie wytarte w kamieniu przez tysiące stóp.

Zarówno Rebecca, jak i gargulec-Iwan czekali z niecierpliwością.

Tam przez stopy wichur dmie, Niosąc pieśń i zapach domu.

Czy go czujesz? Czy go znasz?

Z jak daleka, z jak daleka, z jak daleka wichur dmie.

Melodia tej starej rosyjskiej pieśni ludowej była pierwotnie napisana na bandurę, więc Roland musiał transponować ją podczas grania, co nie pozostawiało mu wiele czasu na obserwację słuchaczy. Na szczęście melodia i słowa były proste i wkrótce Roland bez pamięci oddał się muzykowaniu.

Twój podróżny nadszedł kres, Na jej piersi głowę złożył.

Niechaj wichur dmie bez ciebie.

Niechaj dmie, ty spocznij już.

Ucichły ostatnie dźwięki, wyprowadzając Rolanda z muzycznego transu.

Mgła powoli wysączyła się z gargulca i utkała postać wysokiego mężczyzny o szerokiej twarzy. Człowiek ten odziany był na czarno i miał długie, kędzierzawe włosy nakryte spiczastą czapką. Przepasany był fartuchem kamieniarza. Po policzku spływała mu łza połyskująca w świetle pobliskiej latarni.

Mężczyzna rozłożył wielkie ręce poznaczone bliznami od kamieni i narzędzi.

– Uściskałbym cię, gdybym mógł. Przeniosłeś mnie do matki Rosji, gdzie nie byłem od ponad stu lat. Proś, a spełnię twoje życzenie.

– Chcemy tylko, żebyś zaniósł nasze zaproszenie Światłości. To wszystko.

Iwan skinął głową.

– Tak uczynię. Dzięki tobie w moim sercu wezbrały uczucia.

– Czy to pan grał?

Rebecca krzyknęła cicho, a Roland odwrócił się raptownie. Na skraju trawnika stał policjant ze straży miasteczka uniwersyteckiego. Roland uświadomił sobie nagle, jak

bardzo wystawieni są na widok publiczny, siedząc na frontowych stopniach najstarszego gmachu uniwersytetu. Nic ich nie oddzielało od ludzi przechodzących chodnikiem, ulicą czy spacerujących po trawie. A on śpiewał duchowi stare rosyjskie ballady.

– Czy coś się stało?

– Ależ, skądże. – Strażnik uśmiechnął się od ucha do ucha. – Robiłem właśnie obchód, kiedy pana usłyszałem. Pomyślałem sobie, że podejść i powiem, jakie to ładne. Miło czasem usłyszeć piosenkę, która nie jest zbieraniną przypadkowych dźwięków.

– Cóż, dzięki.

– O tej godzinie nie będziecie nikomu przeszkadzać, bo akademiki są na tyłach college'u – zresztą o tej porze roku nie mieszka tam zbyt wiele osób. Nie, możecie spokojnie... – Przerwał, zmrużył oczy i pokręcił głową. – To zabawne, mógłbym przysiąc, że kiedy tu się zbliżałem, było was troje. Taki wielki facet w śmiesznej czapce...

– To był Iwan – powiedziała poważnie Rebecca.

– Reznikow? Ten duch? – Strażnik zachichotał. – No tak, jasne. To może jednak lepiej idźcie sobie stąd, skoro widzicie duchy.

Roland schylił się i schował gitarę do futerału.

– I tak zamierzaliśmy już pójść.

– Nie zawiodę cię, śpiewaku. Twoja wiadomość dotrze do Światłości. – Iwan uchylił kapelusza przed Rebeccą i rozwiął się w powietrzu.

Strażnika nie dało się tak łatwo pozbyć. Odprowadzał ich przez rondo Kings College, udowadniając Rolandowi znajomość tytułów i pierwszych zwrotek wszystkich piosenek, jakie kiedykolwiek napisali Beatlesi.

– A mnie się najbardziej podoba ta z „yeah, yeah, yeah” – wtrąciła Rebecca, kiedy mijali gmach auli.

– Dlaczego? – spytał Roland.

– Bo mogę spamiętać prawie wszystkie słowa.

Strażnik postukał się w skroń ponad jej głową. W odpowiedzi Roland posłał mu pełne wściekłości spojrzenie, które jednak nie zostało zauważone, w policjancie bowiem obudził się zawodowy niepokój. Spowodował go widok grupy cieni wędrujących po trawniku z zapalonymi papierosami, których jasne końcówki żarzyły się w ciemności jak czerwone przecinki.

– Muszę już iść; te dzieciaki mogą mi tu urządzić niezły pożar. Trawa jest zbyt sucha, żeby palić tutaj papie rosy. Szczególnie, gdyby się okazało, że ćmią trawkę, jeśli wiecie, co mam na myśli. Miło się z wami rozmawiało. – Policjant oddalił się szybko.



– Rolandzie?

– Tak?

– Byłeś naprawdę miły dla Iwana.

– Dzięki, dziecino. – Trochę go zaskoczyło, że jej słowa tak wiele dla niego znaczą.

Szli do narożnika, dotrzymując sobie towarzystwa w ciszy.

Przy College Street, jasno oświetlonej arterii, która prowadziła do mieszkania Rebeki, Roland obejrzał się za siebie. Spojrzał na krótki, prosty odcinek Kings College Road, na drugą stronę ronda i ciemnego trawnika, gdzie w mroku nocy siedział na wysokościach ukraszony i rozsypujący się gargulec. Właśnie spędził chwilę na rozmowie z kamieniarzem, który nie żył od ponad stu lat. Otrzymał mistyczną poradę od bezdomnej kobiety. Widział śmierć wymagowanego człowieczka. To była nie lada noc. Poprosili o pomoc i na tym skończyło się ich zadanie. Miał nadzieję, że wszystkie cuda świata, które tak nagle stały się widzialne, nie znikną równie niespodziewanie.

Jego uwagę przyciągnął błysk reflektorów po drugiej stronie ronda. Pomimo dzielącej ich odległości usłyszał ryk silnika. Sportowy samochód, pomyślał Roland, ostrożnie rozejrzał się po ulicy, zanim wszedł na jezdnię z Rebeccą.

Ryk wzmógł się, gdy światła samochodu przemknęły jo rondzie i popędziły wprost na nich.

Roland rzucił się naprzód, lecz Rebecca znieruchomiała, przyszpilona ostrym blaskiem reflektorów.

Świat zwolnił, gdy Roland odwrócił się i zrozumiał, że nie zdąży do niej dobiec.

...i wtedy ktoś rzucił mu ją w ramiona. Oboje poturlali się po chodniku, jaskrawoczerwony zderzak ledwo musnął podeszwę jej buta.

Samochód z piskiem opon skręcił w College Street, zarzucił lekko i przyśpieszył. Jakieś krępe i lekko świecące stworzenie, które siedziało uczipione jego tylnego zderzaka, pomachało im wesoło ręką i zaczęło wdzierać się do bagażnika, wpychając sobie do buzi wielkie garści metalu.

Roland pomógł Rebecce wstać i pociągnął ją za sobą przez jezdnię. Dziewczyna nie sprawiała wrażenia spanikowanej, tylko lekko oszołomionej. Przypuszczał, że powodem był fakt, iż tym razem trzymała się przepisów, więc nie czuła się winna.

– Nic ci się nie stało? – spytał, oglądając ją uważnie.

– Nie – pokręciła głową. – A tobie?

– Sądzę, że nie. – Otworzył futerał gitary, żeby sprawdzić, jak przeżyła to Cierpliwość. – Nie, nic mi nie jest.

Rebecca wskazała lekko uchyloną pokrywę kanału pośrodku jezdni.

– Stamtąd wyszedł jeden z małego ludku i zepchnął mnie z drogi.

Roland spostrzegł, że jej wyciągnięty palec nie drżał. Jemu ręce trzęsły się jak liście na silnym wietrze.

Dziewczyna odwróciła się do niego.

– Czy zwróciłeś uwagę, że samochód nie miał kierowcy?

Roland przełknął ślinę.

– Nie, nie zauważyłem.

– Czy nie powinniśmy powiadomić policji? Daru mówi, że złym kierowcom należy odbierać prawa jazdy.

Roland już sobie wyobrażał, jak idzie z tym na posterunek.

– Nie, nie zawiadomimy policji. Jeśli samochód nie miał kierowcy, to jak mogliby mu zabrać prawo jazdy?

– Och. – Westchnęła. – Rolandzie, chodźmy do domu.

– Doskonały pomysł, dziecino.

Ruszyli na wschód w chwili, gdy zegary na wieży ratusza miejskiego zaczęły wybijać północ. Gdy ucichły, Rebecca delikatnie poklepała Rolanda po ramieniu.

– Masz zmarszczki na czole. O czym myślisz? – spytała.

Mężczyzna roześmiał się, lecz nie brzmiało to zbyt wesoło.

– O tym, że koniec nie nastąpi, dopóki grubaska nie zaśpiewa.

Rebecca zamilkła na chwilę.

– Rolandzie?

– Tak, dziecino?

– Czasami mówisz od rzeczy.

## Rozdział czwarty

Roland zatrzymał się za progiem mieszkania Rebeki i oniemiał ze zdumienia. Po powierzchownym sprzątaniu, jakie urządzili przed udaniem się do pani Ruth, w mieszkaniu panował zaledwie odrobinę mniejszy bałagan. Teraz królował tu nieskazitelny ład. Wszystek brud został zmieciony z podłogi, a samą posadzkę nie tylko wyszorowano, lecz także napastowano i wypolerowano na wysoki połysk. Rośliny stały zgrabnym, liściastym rządkiem na półce pod oknem. Podarte strzępy zasłon zostały... Roland oparł gitarę o ścianę, przeszedł przez pokój i przyjrzał im się z bliska. Wszystkie kawałki połączono drobnymi, prawie niewidzialnymi szwami.

– To niemożliwe – szepnął bardziej z przyzwyczajenia niż z innej przyczyny. Ta noc udowodniła mu bezsprzecznie, że słowo „niemożliwe” rzadko znajdowało zastosowanie. Odwrócił się, popatrzył, jak Rebecca zgarnia ze stołu miseczkę łupin po orzeszkach pistacjowych, i poszedł za nią do mikroskopijnej kuchni. Pomieszczenie lśniło.

– Co tu się stało? – spytał, znów się wycofując. Kuchnia była zbyt mała dla dwóch osób i rozmowy.

– Mieszkanie zostało wysprzątane – wyjaśniła Rebecca, wyrzucając łupiny do śmieci.

– Tak, to już zauważyłem. – Odetchnął głęboko. Nawet pachniało czystością. Nie środkami czyszczącymi czy detergentami, po prostu czystością. – Ale kto – czy co – to zrobił?

– Nie wiem. – Jej głos, dobiegający zza drzwi lodówki, był stłumiony. – Czy to ważne?

Roland rozejrzał się po nieskazitelnie czystym pokoju, westchnął i wzruszył ramionami.

– Chyba nie – przyznał. Biorąc pod uwagę wydarzenia dzisiejszej nocy, magiczna służba pokojowa sprawiała wrażenie rzeczy stosunkowo normalnej. Udzielił sobie w duchu pochwały za to, że tak łatwo pogodził się z kolejną osobliwością. Wtedy przypomniła mu się krwawa plama na łóżku.

Podwójne drzwi, które oddziaływały wnękę sypialną i łazienkę od reszty mieszkania, były prawie zamknięte. Roland zauważył, że lewa ich część była nieruchoma. Ostrożnie pociągnął za prawą część.

Jedyną rzeczą, jakiej mógł być pewny w świetle padającym z dużego pokoju, był fakt, iż łóżko Rebeki stało w tym samym miejscu co poprzednio. Ostrożnie szedł wąskim

przejsciem pomiędzy posłaniem a ścianą, szukając po omacku ledwo zapamiętanego łańcuszka staromodnego kinkietu. Obmacywanie ściany w niemal całkowitej ciemności zajęło mu jakiś czas, lecz wreszcie natrafił palcami na łańcuszek i pociągnął.

Bladozielony koc – był pewien, że ten sam bladezielony koc – wyglądał jak nowy. Nic nie wskazywało na to, że tego samego wieczoru skonał na nim człowieczek imieniem Alexander. Roland mógł się założyć, że pościel pod spodem była równie czysta.

Tom podniósł głowę i popatrzył wrogo na światło.

– Myślałem, że wyszedłeś – mruknął Roland.

Tom ziewnął, zwijając delikatnie różowy język i najwyraźniej mając w nosie zdanie Rolanda. Ułożył się ponownie w zagłębieniu pomiędzy poduszkami z miną kota, który zamierza zostać na noc. Jedyne drżenie białego koniuszka ogona świadczyło o tym, że zauważał istnienie Rolanda.

Walcząc z chęcią pociągnięcia za ten kosmaty sztandar, Roland szybko wpadł do łazienki – tak jak przypuszczał, nienagannie czystej – i wrócił do dużego pokoju.

– Jeśli chcesz, żeby wyłączyć światło – powiedział do kota, mijając go – to wstań i sam je sobie zgaś.

Rebecca wychylała się do połowy przez okno.

– Co robisz?

Dziewczyna wyprostowała się i odgarnęła spadające na twarz kosmyki włosów.

– Wystawiam miskę z mlekiem dla skrzatów.

– Co takiego?

Cierpliwie powtórzyła.

– W porządku. Dlaczego?

– Bo one to lubią.

Zrobił głęboki oddech. Dlaczego nie? Od tej pory będzie musiał przywyknąć do braku odpowiedzi w swym życiu.

– Jesteś pewna, że Adept Światłości przybędzie?

– Tak. Nawet jeśli Iwan nie powie, kto go przysłał, i nie poda mojego adresu – a nie przypuszczam, żeby go znał, więc nie może tego zrobić – mamy sztylet, a to powinno go przyciągnąć.

To brzmiało rozsądnie. W rzeczy samej, gdyby się nad tym zastanowić, to brzmiało bardzo rozsądnie, choć do dzisiejszej nocy Roland był przekonany, że Rebecca i rozsądek wzajemnie się wykluczają. Albo była bystrzejsza, niż wskazywały na to wcześniejsze obserwacje, albo on nie radził sobie tak dobrze, jak mu się zdawało.

Albo jednego i drugiego po trochu, kazała mu przyznać uczciwość.

Torba, wciąż zamknięta na zamek błyskawiczny, leżała na środku podłogi. Roland wepchnął ją pod stół czubkiem turystycznego buta. Nie ma sensu zostawiać jej na widoku, gdzie mogłaby przyciągnąć nie tylko Światłość. Rzucił podejrzliwie okiem na ziemię w doniczkach.

Rebecca ziewnęła i Roland nagle poczuł się zmęczony.

– Idę do łóżka – oznajmiła. – Światłość może mnie obudzić, kiedy się zjawi.

Oboje zdawali się zakładać z góry, że Roland zostanie na noc.

– Chcesz spać ze mną?

Roland zamknął usta, zaczerpnął głęboko tchu i surowo upomniał się za brudne myśli rodem z rynsztoka. Jej oblicze było niewinne i szczerze jak u dziecka, otwarte i ufne, odrobina piegów na nosie i policzkach potęgowała wrażenie zdrowia – lecz jej ciało... Miała ciężkie piersi, których sutki odznaczały się zarówno przez biustonosz, jak i podkoszulek, górna część biustu była również lekko usiana piegami. Poniżej zdumiewająco szczupłej talii biodra rozszerzały się, a następnie zwężały, przechodząc w muskularne uda. W dzisiejszej dobie anoreksji była nieco pulchna, ale ciało miała jędrne, a kształty niezaprzecalnie kobiece. Kiedy ta mała mówi o spaniu, ma na myśli sen, nic więcej, ty zboczeńcu. Nic więcej.

– Nie, dziękuję. Prześpię się na kanapie.

– W porządku. – Rebecca znów ziewnęła i poszła do łóżka. – Dobranoc, Rolandzie.

– Dobranoc, dziecino, miłych snów.

– Ja zawsze mam miłe sny.

Roland uśmiechnął się szeroko. W tym spokojnym zapewnieniu odnalazł znajomą Rebecę i potrafił już zapomnieć o bujnych kształtach tej drugiej. Sprawdził, czy drzwi są zamknięte, wyjął Cierpliwość z futerału i zgasił światło. Rozsiadł się na kanapie – ogromnym, starym meblu, wystarczająco długim dla osoby jego wzrostu – i zaczął cicho brzdąkać jakąś melodię. Od lat nie potrzebował światła do grania.

Usłyszał skrzypienie materaca, gdy Rebecca położyła się do łóżka, a potem jej poirytowany szept:

– Posuń się, Tom, zagarnąłeś całe miejsce dla siebie.

Całe szczęście, że nie skorzystałem z jej propozycji.

Tylko jeszcze mi potrzeba walki z kotem na zakończenie tego wieczora.

Jego dłonie poruszały się bez udziału świadomości, dopiero po kilku chwilach zdał sobie sprawę, że gra stary przebój Irish Rovers.

Och, nie, skarcił siebie i przestał grać tę melodię, to odrobinę za blisko.

– Ciemno tu dzisiaj.

Posterunkowy Patton wyjrzała przez otwarte okno samochodu patrolowego

i zmarszczyła brwi.

– Tu zawsze jest ciemno – rzekła zgryźliwie. – Za dużo tych cholernych drzew.

Rzeczywiście, łatwo było zapomnieć, że jada przez serce dużego miasta. Rosedale Valley Road biegła dnem jednego z licznych w Toronto jarów. Po obu stronach olbrzymie drzewa pograżały w cieniu chodnik, obejmowały rzadkie latarnie i ogólnie rzecz biorąc, jednoznacznie dawały człowiekowi do zrozumienia, że przynajmniej tutaj jest intruzem.

– Reflektory – mruknęła Patton. – Tego właśnie nam potrzeba, silnych reflektorów.

– Za dużo się martwisz.

– A ty za mało. – Odwróciła się do swego towarzysza. Była to znajoma litania, obowiązkowo wypowiedana raz w ciągu służby. Może rzeczywiście za dużo się martwiła, jednak dla policjanta lepsze to niż nie martwić się wcale. – Nie zapomnij zwolnić tuż przed mostem.

Posterunkowy Jack Brooks skrył uśmiech pod grubym wąsem.

– Myślisz, że wrócą?

Młoda kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Z tymi włączkami nigdy nic nie wiadomo. Wiem tylko, że jest stanowczo za sucho na palenie ognisk.

– Zgadza się całkowicie, Mary Margaret.

Na dźwięk swych imion przewróciła oczami. Ten sukinsyn upierał się przy używaniu ich obu i nie chciał zwracać się do niej Marge, jak wszyscy inni.

– A dlaczego się zgadzasz? – spytała. – Nie zgadzasz się z żadnym moim słowem. Cholera! – Przytrzymała się tablicy rozdzielczej, gdy Brooks skręcił raptownie, chcąc uniknąć zderzenia z lśniącym, białym kształtem, który wyłonił się spomiędzy drzew. Zjawa była jednak za blisko, a oni jechali zbyt szybko.

Samochód szarpnął, gdy obiekt został uderzony zderzakiem, i podskoczył dwa razy, gdy po nim przejechał.

Brooks z trudem zatrzymał pojazd, jego przekleństwa towarzyszyły piskowi opon na asfalcie. Oboje chwycili hełmy oraz pałki i szybko wyskoczyli na drogę. Przejechany obiekt był widoczny w odległości około piętnastu stóp. Noc czyniła zeń błąd, zgnieciony placek. Policjanci zatrzymali się na moment, przekonani, że nie ma mowy, aby jeszcze żył.

– Czyjś duży, biały pies? – zasugerował Brooks.

– Być może. – Kobieta zaczerpnęła głęboko tchu. Zawsze łatwiej radziła sobie z martwymi ludźmi niż zwierzętami. – Chodźmy.

Brooks doszedł do niego pierwszy, przykląkł i znieruchomiał. Z dała od samochodu

jego oczy szybko przyzwyczyły się do braku światła, więc wyraźnie widział, co przejechali. Stworzenie nie mogło mieć więcej niż trzy stopy wysokości w kłębie, jego smukłe nogi zakończone były malutkimi, rozszczepionymi kopytkami. Głowę miało delikatną niczym kwiat, z czoła wyrastał spiralny, kryształowy róg. Onyksowe, błyszczące z bólu oko łypnęło na Brooksa i wtedy policjant uświadomił sobie, że zwierzę jeszcze żyje, choć ten blask zaczął przygasać.

– Jack, co to... Maryjo, Matko Boża... – To niemożliwe. To nie może być prawda. Kobieta również przyklękła, prawą ręką uczyniła znak krzyża, a lewą wyciągnęła, by łagodnie pogłaskać długą, białą grzywę. Miękkie, ciepłe pasma przesuwaly się między jej drżącymi palcami, równie rzeczywiste i równie niematerialne jak podmuch letniego wiatru.

Jednorożec wydał westchnienie, ostatni, długi oddech, który przyniósł ze sobą zapach łąk w poświacie księżyca, zadrżał i skonał.

Jezdnia opustoszała.

Z twarzą zalaną łzami Brooks dotknął miejsca, gdzie leżał jednorożec.

– Przykro mi – szepnął. – Tak mi przykro.

– Jack!

Słyszcząc przestraszony głos swej towarzyszki, podniósł gwałtownie głowę. Kobieta stała wyprostowana, ściskając przed sobą pałkę. Kostki obu jej dłoni były białe. Uwagę policjanta przyciągnął szelest w zaroślach.

Nieprzenikniona czerń i smród, od którego się zakrztusił.

Podniósł się powoli z klęczek, walcząc z lękiem, który mógł go sparaliżować. Była to prastara trwoga przed ciemnością i nieznanymi istotami, które w niej zamieszkują. Uciekaj, usłyszał krzyk w głowie. Uciekaj! Jednakże szkolenie policyjne zwyciężyło. Oboje ostrożnie wycofali się do samochodu, w którym usiedli z bijącymi sercami i wilgotnymi od potu dłońmi, choć nic za nimi nie podążyło.

– To coś... – Słowa rozsypały się w niezliczone okruchy. Patton spróbowała odezwać się raz jeszcze: – To coś – odrobinę lepiej – wypchnęło go na jezdnię.

– Aha. – Mężczyzna nie miał dość zaufania do swego głosu, by powiedzieć więcej.

Siedzieli jeszcze przez chwilę, dopóki światła nadjeżdżającego samochodu nie sprowadziły ich na ziemię.

W ostrym blasku reflektorów mijającego ich pojazdu, który zwolnił znacznie widząc wóz patrolowy, posterunkowy Patton spojrzała z niepokojem na Brooksa. Miał zmęczoną i pobladłą twarz, lecz nic mu nie było. Podziękowała wszystkim świętym, że to nie ona prowadziła.

– Niczego nie widzieliśmy – powiedziała wreszcie.

– Nie – westchnął, dźwięk ten był słabym echem ostatniego tchnienia jednorożca. – Niczego nie widzieliśmy.

Włączył silnik i ruszyli w dalszą drogę. Pojedynczy biały włos oderwał się od zderzaka i zniknął w mroku.

Roland, który zawsze czujnie spał, ocknął się przy pierwszym pukaniu. Potrząsnął głową, by przegonić resztki snu – sen, w którym pani Ruth tańczyła nago w blasku księżycy, był wizją na pograniczu koszmaru – i spróbował spuścić nogi z kanapy.

Ciepły i kosmaty ciężar nie pozwolił mu na to.

W słabym świetle – bo w żadnym mieszkaniu w mieście nie jest zupełnie ciemno – Roland dostrzegł delikatny błysk złotych oczu. Wymierzył kopniaka.

– Auu! Do licha, kocie...

Drugie pukanie zostało zagłuszone odgłosami krótkiej bójki, jaka się wywiązała.

– Rolandzie, co się stało?

Zmrużył oczy od nagłego blasku. Przy włączniku stała Rebecca w puszystym, niebieskim szlafroku. Jej obfite kędziory były jeszcze bardziej potargane niż zazwyczaj. Roland wskazał Toma, który z wyszukaną obojętnością mył sobie jedną łopatkę.

– Ten kot mnie ugryzł!

– Dlaczego?

– No, cóż... – Roland miał dość przyzwoitości, by zrobić zawstydzoną minę. – Kopnąłem go.

– Dlaczego?

– Bo spał mi na nogach.

Trzecie pukanie zwróciło uwagę Rebeki.

– Ktoś stoi za drzwiami – oświadczyła z radosnym uśmiechem. – To musi być Światłość.

– Aha, może i tak. – Bose stopy Rolanda bezgłośnie stąpały po gładkich deskach podłogi. – Ale równie dobrze może to być Mrok.

Rebecca zrobiła zamyśloną minę.

– Nie sędzę, żeby Mrok pukał.

Czwarte pukanie zabrzmiało trochę niecierpliwie.

– Dobra, dobra, już idziemy. – Łańcuch zamka uderzył o ścianę. – Stań za mną, dziecińco.

– Dlaczego?

– Dla ochrony.

– Przed Światłością?

Roland westchnął i odciągnął zasuwę.



– Nie wiemy, czy to...

W otwartych drzwiach stał młody mężczyzna około dwudziestki. Jego oczy były mieszaniną szarości oraz błękitu i na ich widok Roland spuścił wzrok, szukając oparcia w brązowych cętkach dywanika na korytarzu. Kiedy świat przestał mu wirować przed oczami i wydawało się, że opanował bicie serca, zrobił głęboki oddech i zaczął podnosić wzrok ku górze, po drodze notując wszystko spojrzeniem: czarne, wysokie buty; obcisłe, wytarte dżinsy; czerwona chusta zawiązana tuż nad kolanem; trzy grubo nabijane ćwiekami paski otaczające smukłą talię i biodra; jedno przedramię obwieszane prawie od nadgarstka do łokcia masą srebrnych bransolet wszelkich rozmiarów; lśniącobiały podkoszulek z oddartymi rękawami i niewielkim, okrągłym znaczkiem – uśmiechniętą buzią narysowaną białymi kreskami na czarnym tle.

Roland zatrzymał się chwilę przy długiej, złocistej szyi i szybko podniósł oczy, żeby nie stchórzyć. Podbródek młodzieńca był zarysowany delikatnie i jego oblicze można było uznać za ładne. Z jednego ucha zwisało duże srebrne kółko, bujne włosy ciemniały stopniowo od bieli na końcówkach do złotego blondu przy skórze. Roland nie przypuszczał, aby były farbowane.

Młodzieniec uśmiechnął się i na widok słodkiej zmysłowości tego uśmiechu Roland zapomniał o wszystkim, co ujrzał.

– Jezu Chryste.

Uśmiech młodzieńca przeszedł w równie fascynujący grymas kpiny.

– No, niezupełnie. – Jego głos pieścił wyrazy niczym aksamit. – Czy mogę wejść?

– Tak, jasne. – Odwracając z trudem oczy, Roland odsunął się. Kręciło mu się w głowie. Czuł również coś innego, lecz nie zamierzał się do tego przyznawać. Stłamsił to uczucie z paniczną siłą. Nie ma mowy. Jestem za stary na drastyczną zmianę stylu życia. Nie obchodzi mnie, jak jest urodziwy. Kiedy się odwrócił, młodzieniec pochylał się nad dłońią Rebeki.

Powinno to wyglądać śmiesznie – heavymetalowa fantazja erotyczna klęcząca przed ubraną we włochaty, niebieski szlafrok rozczochraną, młodą kobietą o bezmyślnym spojrzeniu – a jednak tak nie było. Wyglądało właściwie. Nic, co przydarzyło się Rolandowi od chwili, gdy jego matka umarła cztery lata temu, nie wyglądało tak właściwie. Widział w tym pieśń, słyszał muzykę, wyczuwał moc.

– Światłość przybyła na twe wezwanie. Pani, nazywam się Evantarin.

Srebrne bransolety zadźwięczały, gdy uniósł jej dłoń do swych warg.

Rebecca przez chwilę miała zdziwioną minę, dopóki nie odgadła, co on robi. Wtedy uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Cześć, Evantarin. Ja nazywam się Rebecca.

– Być może – rzekł młodzieniec i do słyszanej muzyki Roland dodał iskierkę w tych oczach koloru burzy.

– Będę cię jednak tytułował Panią, a ty będziesz mówić do mnie Evan. Evantarin to imię dla tych, którzy mnie dobrze nie znają.

– Zgoda. – Skinęła głową, zadowolona z tego wyjaśnienia, choć dla Rolanda nie miało najmniejszego sensu. Kiedy próbował je zrozumieć, umknął mu wątek pieśni.

– Nie. – Zabrzmiało to prawie jak jęk. To była najdoskonalsza pieśń...

– Nie martw się. – Evan wyciągnął rękę i dotknął ramienia Rolanda. – Będzie jeszcze wiele pieśni. Odnajdziesz również i tę, obiecuję.

Roland otworzył oczy ze zdumienia.

– Cóż innego mogło spowodować takie cierpienie? – Evan odpowiedział na nie zadane pytanie. – Jesteś bardem albo nim zostaniesz. – Rozłożył ręce gestem, który jasno wyrażał zrozumienie. – Taki ból mogła wywołać jedynie utrata pieśni. – Wtem drgnął i szybko spuścił oczy barwy sztormu. – Zaskoczyłeś mnie, futrzaczku.

Tom powąchał podsunięte palce, a potem szturchnął łebkiem dłoń Evana i zaczął głucho mruzczyć.

– Pójdę zrobić herbaty – oznajmiła Rebecca, obejmując swą deklaracją również Toma. – Siadajcie wszyscy.

Ja w to nie wierzę, pomyślał Roland kilka chwil później. Jest dziesięć po trzeciej nad ranem, a ja siedzę i piję ziołową herbatę z Adeptem Światłości. Siedzący po drugiej stronie kanapy Adept syknął, gdy depczący po nim Tom wbił przez dzinsy pazurki w jego ciało. Ja nawet nie lubię ziołowej herbaty. Za każdym razem, gdy spoglądał na Evana, słyszał urywane fragmenty muzyki. Przychodziły i odchodziły wedle swej woli. Nie miał nad nimi władzy.

Chrząknął i Rebecca, która siedziała po turecku na podłodze, spojrzała na niego wyczekująco.

– Pierwsza rzecz, jaką musimy ustalić – dobry Boże, mówię jak wuj Tony u szczytu swej pompatyczności – to to, kim właściwie jesteś. – Mina Rebeki sprawiła, że na chwilę przerwał. Wziął głęboki oddech i ciągnął dalej. Trzeba było to powiedzieć, nawet jeśli Rebecca sądziła, że postradał zmysły. – Chcę powiedzieć, że założyliśmy, iż jesteś istotą Światła, lecz równie dobrze możesz być podstępem Mroku.

– Och, Rolandzie. – Rebecca zmarszczyła czoło. – Czy ty nie Widzisz?

Roland otworzył usta, żeby coś powiedzieć w swojej obronie, lecz wtedy wtrącił się Evan.

– On nie Widzi tak dobrze jak ty, Pani, a Mrok potrafi przybrać wielce powabną

postać. Nasz nieprzyjaciel jest potężny i użyje wszelkich możliwych sposobów, by osiągnąć cel. – Rebecca pokiwała głową z powagą, a Evan odwrócił się, by spojrzeć Rolandowi w oczy. – Lecz jeśli nie widzisz, z całą pewnością słyszysz.

I znów buchnęła pieśń, na chwilę kompletna.

– Jasne, w porządku – mruknął Roland opryskliwym tonem, który miał odwrócić uwagę pozostałych od łez, jakie stanęły mu w oczach – ale musiałem zapytać. Chciałem powiedzieć, że wyglądasz jak... – Zabrakło mu słów.

Evan sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Spojrzał na siebie, a potem na Rolanda.

– Czyżbym wyglądał niewłaściwie? Kiedy przekraczałem barierę, pozwoliłem, by moc ukształtowała mnie według swego własnego uznania. – Odrzucił włosy z twarzy i zmarszczył brwi. – Mnie się podoba, ale może...

– Nie, nie! – przerwał Roland, tłumiąc bezsensowny odruch, by wyciągnąć rękę i zetrzeć z jego oblicza ten smutek. – Wyglądasz wspaniale.

– Naprawdę tak sądzisz? – Evan spuścił głowę, lekko zażenowany. – Wiem, że to niemądre, ale zawsze byłem próżny. Jeśli moja powierzchowność...

– Nic jej nie można zarzucić. Prawdę mówiąc, sądzę... – Sądzę, że wpakowałem się po uszy. To znaczy, on jest... A ja... Psiakrew. – Po minie Evana Roland zgadywał, że Adept doskonale zdawał sobie sprawę, jakie myśli biegają mu po głowie. Poczul, że pali go twarz.

– Rolandzie, wszyscy dobrzy ludzie pragną się zbliżyć do Jasności. Kiedy Światło przyobleka powłokę cielesną – Evan wzruszył ramionami i ów wdzięczny ruch zaangażował całe ciało – ta żądza również staje się cielesna. – Uśmiechnął się kpiąco i uniósł jedwabistą brew. – Mnie to nie przeszkadza.

Jego ton wahał się pomiędzy akceptacją a zaproszeniem.

Roland zmusił się, aby usłyszeć w nim to pierwsze.

Rebecca postukała palcem w czubek wysokiego buta Evana.

– Mnie się podobasz. – Jego uśmiech złagodniał.

– A mnie ty się podobasz, Pani.

– Becca! – Bum. Bum. Bum.

Rebecca ścisnęła kubek w garści.

– To Duża Blondyna Z Głębi Korytarza.

– Becca, ja wiem, że u ciebie jest mężczyzna! – Bum. Bum. Bum.

– Nic nowego – mruknął Roland, absurdalnie poirytowany faktem, że Evan wzbudził taką reakcję, a on najwyraźniej się nie liczył.

– Nie odejdę, dopóki nie otworzysz drzwi!

– Czy to znaczy, że odejdzie, kiedy otworzę? – Rebecca sprawiała wrażenie

kompletnie zdezorientowanej. – Dlaczego chce, żebym otwierała drzwi, jeśli od razu sobie pójdzie?

– Nieważne, dziecino. – Roland próbował przybrać wściekły wyraz twarzy. – Ja otworzę.

– Nie. – Evan zdjął z kolan znieruchomiałego z zadowolenia Toma. – Pozwól, że ja to zrobię.

– Proszę bardzo. – Roland łaskawie machnął ręką, lecz i tak wstał. Chciał widzieć, co się stanie, gdy Evan otworzy drzwi. Czułby się dużo lepiej, gdyby wiedział, że Adept Światłości u wszystkich wywołuje burzę hormonów.

– Becca! Bo zadzwonię do twojej opiekunki spo... Och. Duża Blondyna Z Głębi Korytarza zamarła z uniesioną dłonią, na której w miejscu kostek były dołeczki. – Och – powtórzyła i spuściła rękę, by przyglądnąć na biodrach hawajską sukienkę w kolorze brzoskwini.

– Czy coś się stało, proszę pani? – spytał Evan.

– U Rebeki w mieszkaniu – kobieta zwilżyła wargi i zdawała się mieć trudności z oddychaniem – jest mężczyzna.

– Owszem. – Widząc zmianę na twarzy kobiety – półprzymknięte powieki i zaróżowione mocno policzki – Roland zgadywał, że Evan się uśmiechnął. – Czy to komuś przeszkadza?

– Och, nie.

Kobieta zachwiała się i Roland żywił nadzieję, że nie zemdleje z pożądania. Podejrzewał, że nie unieśliby jej nawet we troje.

– Nie przeszkadza... – Kiedy sąsiadka zakołysała się, zauważyła Rolanda za plecami Evana. – Dwaj mężczyźni. Dwaj mężczyźni! Och. Och. Och... – Przez chwilę poruszała bezgłośnie ustami, zanim zdołała cokolwiek powiedzieć. – Jak śmiesz wykorzystywać to biedne, bezbronne dziecko? – Chciała precyzyjnie się obok Evana, który stał niewzruszony niczym skała. – Becca! Becca, chodź tu natychmiast.

– Po co? – spytała spokojnie dziewczyna.

– Nie mogą ci zrobić krzywdy, póki ja tu jestem. Pójdiesz do mnie i zadzwonimy na policję!

Popatrzyła wściekle na Evana i Roland nagle zrozumiał, jakie uczucie kryło się za tym nowym wybuchem. Jeden mężczyzna: Rebecca najwyraźniej była niegrzeczna. Dwaj mężczyźni: zapewne narzucali się bezbronnej głuptasce. W końcu, jak Rebecca może mieć dwóch mężczyzn, skoro ona nie ma żadnego?

– Nie mamy czasu na wyjaśnienia. – Evan westchnął.

Tam, gdzie przed chwilą stał Evan, wznosiła się kolumna światła otaczająca postać olśniewającej urody.

– Wracaj do łóżka – powiedziała zjawą.

Duża Blondyna Z Głębi Korytarza przycisnęła jedną dłoń do ust, a drugą do piersi.

– Rano wszystko będzie lepiej. – Postać uniosła dłoń jestem błogosławieństwa i na nadaśnym obliczu wykwitł wyraz spokoju.

Kobieta skinęła głową, uśmiechnęła się półgębkiem wyszła.

Rolandowi przez chwilę wydawało się, że przez zmrużone mocno oczy dostrzegł sięgające sufitu wielkie białe skrzydła. Jego zmysły drgnęły niespodziewanie, gdy próbował to zrozumieć. Potem Evan cofnął się i zamknął drzwi. Roland obejrzał się na Rebecę, lecz dziewczyna sprawiała wrażenie zadowolonej z zakończenia kłopotów. Olbrzymie białe skrzydła. Ciepło, jakie wytwarzał Evan swą urodą i obecnością, zaczynało ogrzewać go w odmienny sposób, za co był niezmiernie wdzięczny, bo na myśl o pożądaniu atrakcyjnego, młodego mężczyzny czuł się okropnie nieswojo. Przypuszczał, że pożądanie anioła można uznać za przeżycie mistyczne.

Anioł... Adept Światłości... To miało pewien sens. Zastanawiał się nad spokojem, z jakim się z tym godził. Jego zmysł dziwienia się zapewne wyłączył się na jakiś czas w obawie przed przeciążeniem.

– Na czym to stanęliśmy? – Evan siadł na kanapie i podniósł kubek.

– Powiedziałam, że się podobasz, a ty powiedziałeś, że ja ci się podobam – oznajmiła Rebecca. – Chcesz jeszcze herbaty?

– Tak, proszę.

Dziewczyna wzięła pusty kubek i podeszła do stołu, na którym stał imbryk nakryty ręcznie wydzierganym ocieplaczem.

– Chcesz jeszcze herbaty, Rolandzie?

– Masz kawę?

– Nie, tylko herbatę.

Roland zerknął na resztę zielonkawożółtej cieczy, jaka została na dnie jego kubka.

– Nie, dziękuję. – Ostrożnie unikając zębów i pazurów kota, zepchnął zwierzę w stronę Evana i usiadł na kanapie. Tom spojrział na niego ze złością i zeskoczył z kanapy. – Sądzę, że nadszedł czas na wyjaśnienia.

– Tak. – Evan przyjął kubek, dziękując skinieniem głowy. – Masz rację, już czas.

– Możesz zacząć od tego, co zrobiłeś pani Wścibskiej.

– Ona nazywa się inaczej – zauważyła Rebecca, napełniając swój kubek i wracając na miejsce na podłodze.

– To tylko przezwisko – rzekł Roland. – Tak się mówi na ciekawskie sąsiadki. – Rebecca powtórzyła imię bezgłośnie, powierzając je pamięci dla późniejszego wykorzystania. Roland odwrócił się do Evana, który zaprezentował kolejne ze swoich niezwykłych wzruszeń ramionami.

– Po prostu ujawniłem więcej Światłości. Na szczęście miała w sobie wystarczająco dużo dobroci, by zareagować.

– Pewno wróci rano i narobi nam kłopotów. Powinieneś być kazać jej zapomnieć o tym, że nas widziała.

– Nie mogłem. Ani Mrok, ani Światłość nie może wpływać na nic, co nie jest już obecne. – Evan pociągnął długi łyk i dodał: – Kiedy powiedziałem, że rano wszystko będzie lepiej, dałem jej szansę, żeby sama sobie znalazła wytłumaczenie. Pewno pomyśli, że wszystko jej się przyśniło.

I pewnie resztę nocy spędzi, śniąc o tobie, dodał w duchu Roland. Mając przed oczami wielkie białe skrzydła, zapytał:

– Czy jesteśmy pośrodku bitwy pomiędzy niebem i piekłem?

– Niebo, piekło; zło, dobro; Jasność, Mrok. Nazwy znaczą bardzo niewiele.

– Czy to oznacza, że tak?

Evan pokiwał głową.

– W zasadzie tak.

– Och, wspaniale, naprawdę wspaniale. – Roland zakrył twarz dłońmi, ignorując cichy głos wewnętrzny, który nie przestawał piąć: Ach, co za pieśń! Ach, co za pieśń! Pani Ruth powiedziała mu prawie to samo, lecz w ustach Evana brzmiało to bardziej stanowczo. Oto skutki bycia miłym facetem. Wyświadczyć przyjaciółce przysługę i co z tego masz? Miejsca w pierwszym rzędzie na Apokalipsę. Nie słyszał Rebeki, która pytała go, czy dobrze się czuje. Słyszał tylko huk w głowie, wszystkie dziwne wydarzenia tej nocy dotarły wreszcie do niego i zaatakowały jednocześnie. Strach i bezradność, lecz przede wszystkim strach, kręciły się bez końca w kółko, goniąc w panice za własnym ogonem. W tym zamięcie odczuwał dziwną ulgę, że w końcu reaguje w taki sposób, jakiego wymagała sytuacja.

Cichy odgłos pazurków drapiących o winyl wyrwał go z bezruchu. Roland odwrócił się gwałtownie i warknął:

– Dotknij futerału jeszcze raz, kocie, a przerobię cię na rękawice do garnków.

Tom ostatni raz skrobnął plastik, zostawił w spokoju futerał i wyciągnął się na podłodze ze znudzoną miną.

– Rolandzie – dłoń Evana na nagim ramieniu była ciepła i dodawała otuchy – nie

musisz się dalej angażować. Jeśli postanowisz się wycofać, zrozumie to.

Roland wiedział, że on zrozumie, ale Rebecca nie. Zupełnie nie miał pojęcia, kiedy jej zdanie stało się dla niego ważne. Przyglądała mu się teraz, pewna jego odpowiedzi. Nie mógł zawieść pokładanego w nim zaufania. Po prostu nie mógł.

– Hej, to mój świat. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby go bronić. – Akceptacja, poświęcenie i spokój. Czuł się zadowolony. Wciąż cholernie przerażony, ale zadowolony.

– Co musimy zrobić, Evanie? – Rebecca zamieszała stygnącą herbatę palcem wskazującym i włożyła go do ust.

– Po waszym świecie chodzi Adept Mroku, potężniejszy od wszystkich, którzy tu od wieków przybywali. Jednakże to tylko odzwierny. W noc Letniego Przesilenia...

– W następny piątek – dodała Rebecca.

Skąd ona o tym wie? – zastanawiał się Roland. Ja nie wiedziałbym, kiedy jest Letnie Przesilenie, nawet gdyby ugryzło mnie w dupę.

– W następny piątek – powtórzył Evan, skłoniwszy się lekko Rebecce – bariery, które bronią tego świata przed ingerencją, osłabną. Tej nocy Ciemność otworzy bramę, pozwalając swym pobratymcom wejść swobodnie. Należy ją powstrzymać.

– Cóż, jeśli mamy tydzień... – zaczął Roland.

Przerwało mu podniesienie ręki i brzęk srebra.

– Tydzień nie wystarczy, żeby w mieście takiej wielkości znaleźć śmiertelnika, a co dopiero kogoś, kto ma do swej dyspozycji moce Ciemności. Już zaczął zakłócać równowagę, zabijając i przepędzając Światłość i Szarość.

– Zabił Alexandra! – Rebecca chwyciła torbę i rzuciła Evanowi na kolana. Evan z niesmakiem wyjął zrolowany ręcznik i ostrożnie odwinął sztylet.

– Tak. – Syknął przez zęby. – To on zabił twego przyjaciela, Pani, a także innych. To narzędzie zła niejednemu odebrało życie.

– Nie dotykaj go! – ostrzegła Rebecca.

Evan uśmiechnął się, a był to dziwny, zaciekły uśmiech.

– Nie mogę go dotknąć. – Przysunął dłoń blisko czarnego metalu, lecz nawet nacisk obu rąk Rebeci nie mógł sprawić, by zbliżyła się doń jeszcze bardziej. – Krew i śmierć broni tego ohydneho przedmiotu przed kimś mojego pokroju i trzeba krwi i śmierci, by usunąć tę barierę. – Odwrócił rękę i na chwilę ścisnął dłoń dziewczyny. – To zbyt wielka cena za zawładnięcie tym sztyletem.

Rebecca pokiwała głową i spytała z poważną miną:

– Co powinniśmy z nim zrobić?

– Zatrzymać go. Pilnować. Nie dotykać.

– To potrafię.

Jego uśmiech był pieszczotą.

– Wiem.

Spojrzenia, jakie wymienili, sprawiły, że Roland poczuł się bardzo nieswojo – nie chciał wiedzieć, co było tego powodem – odkaszlnął więc, a wtedy oboje odwrócili się do niego.

– No to jak mamy zabrać się do szukania tego faceta?

– Nie wiem. – Evan westchnął. – Nie jestem nawet pewien, gdzie spróbuje otworzyć bramę. Gdybym wiedział...

– Mógłbyś się z nim spotkać i odesłać go tam, skąd przybył! – wykrzyknęła uradowana Rebecca, podskakując odrobinę.

– Nie, Pani, to nie będzie takie proste. Adept Mroku dorównuje mi siłą, równowaga musi bowiem zostać zachowana.

– Dlaczego więc nie otworzysz własnej bramy? – spytał Roland. – Siły Mroku i Światłości byłyby wtedy nadal wyrównane.

– I stoczyłyby straszliwą wojnę na waszym świecie, który zostałby obrócony w perzynę bez względu na to, kto okazałby się zwycięzcą. – Evan potrząsnął głową i wielobarwne włosy rozsypały mu się na ramionach. – Nie, naszą jedyną szansą jest znalezienie go i pokonanie własnymi siłami. Obawiam się tylko, że on znajdzie nas pierwszy...

– Rebecco!

Tylko Tom mógł spojrzeć na drzwi z takim wigorem.

Stuk. Stuk. Stuk.

– Rebecco, nic ci nie jest? Otwórz! – Stuk. Stuk. Bum. – Wiem, że nie śpisz, słyszałam rozmowy.

– To Daru! – Rebecca zerwała się na nogi i podeszła do drzwi.

Roland spojrział na zegarek.

– Jest wpół do piątej rano – mruknął.

Rebecca otworzyła drzwi i do pokoju weszła jej opiekunka społeczna w sari, które kontrastowało egzotycznie z twarzą, na której niepokój i irytacja mieszały się w mniej więcej równych proporcjach. Roland poczuł, że mu szczęka opada chyba już po raz setny tego wieczora; nie mógł wyjść z podziwu, jak kobieta może sprawiać wrażenie jednocześnie tak zatroskanej i tak groźnej.

– Co tu się dzieje, Rebecco? – Daru chwyciła młodszą kobietę za ramiona i szybko się jej przyjrzała. – Właśnie wróciłam z przyjęcia w gronie rodziny i usłyszałam na



automatycznej sekretarce tę cholerną wiadomość. Zabiłaś kogoś...? Kto to jest?

Roland uświadomił sobie, że Daru nie spogląda na Evana z uwielbieniem i fascynacją, a taką reakcję uważał nieomal za hołd należny Adeptowi. Kobieta była jedynie zaciekawiona i, jak zauważył, zupełnie nie zwracała uwagi na niego samego.

Evan wstał i skłonił się. Biorąc pod uwagę jego powierzchowność, gest ów powinien wyglądać teatralnie i sztucznie, a jednak tak nie było.

– Jestem Evantarin, Adept Światłości.

Daru skłoniła wdzięcznie głowę.

– A ja jestem Daru Sastri z miejskiej opieki społecznej. – Jej oczy przez chwilę zdawały się mówić, że go poznaje, lecz wrażenie to szybko znikło. Daru westchnęła i znów zwróciła się do Rebeki: – Rebecca, przestań podskakiwać, zamknij drzwi i opowiedz mi, co tu się dzieje.

Dziewczyna z wyraźnym wysiłkiem postawiła obie stopy na ziemi, zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na łańcuch.

– Zamierzamy ocalić świat przed Mrokiem – oznajmiła z rozpromienioną twarzą.

Daru westchnęła.

– Kotku, mam za sobą długi dzień, więc może zrobisz mi herbaty i zaczniesz wszystko od początku?

– Zgoda. Na początku Alexander został pchnięty nożem.

Rebecca poszła do kuchni, a Daru zbliżyła się do kanapy.

Co było pierwsze, zastanawiał się Roland, kobieta czy sari? Nie widział jeszcze kobiety ubranej w ten strój, która nie poruszałyby się z królewską gracją.

Evan wskazał jej miejsce, które przed chwilą opuścił, i Daru zajęła je z wdziękiem.

– Przyjmujesz to wszystko z wielkim spokojem – powiedział do niej Roland.

Kruczoczarna brew uniosła się.

– Och. – Zaczerwienił się. – Nazywam się Roland. Roland Chapman. Jestem przyjacielem Rebeki.

– No cóż, Rolandzie. – Daru zdjęła sandały i wsunęła pod siebie jedną małą stopę. – Właśnie spędziłam dobę ze swą bardzo liczną rodziną. Chwilowo straciłam zdolność dziwienia się czemukolwiek.

– A to – rzekł poważnie Evan, sadowiąc się na podłodze – może nam ułatwić wyjaśnienie sytuacji.

## Rozdział piąty

W dużej sypialni cesarskiego apartamentu hotelu King George poruszył się śpiący człowiek. Przez chwilę rozkoszował się dotykiem pościeli, sprężystości twardego materaca, miękkością poduszek i grą cieni na zamkniętych powiekach. Pełne wargi ułożyły się w uśmiech całkowitego zadowolenia, a oczy się otworzyły.

Były barwy tak czystego i jaskrawego błękitu jak letnie niebo. Ich spojrzenie padło na cienie na suficie i ześlizgnęło się po ścianie. Wpadające do pokoju światło nabrało różowej barwy, przechodząc przez zasłonki.

Młody mężczyzna na łóżku przeciągnął się z bezwzględnym skupieniem szczególnie zadowolonego z siebie kota, spuścił bose stopy na puszysty dywan i podszedł nago do okna. Odsunął zasłaniającą mu widok zasłonę i spojrzał na serce miasta.

– Kolejny piękny dzień – szepnął, odgarniając bujne, czarne włosy. – Słoneczny i gorący. – Słowo „gorący” w jego ustach zabrzmiało prawie jak rozkaz.

Widoczne na horyzoncie miasta słońce prażyło bezlitośnie i choć dzień dopiero się zaczął, powietrze drgało z upału.

Mężczyzna przycisnął do szyby dłoń o długich palcach i krążący po niebie gołąb spadł z wysokości siedmiu pięter na chodnik. Ptakomalże nie trafił pary staruszków, którzy wybrali się na spacer, i roztrzaskał się u ich stóp, spryskując oboje fontanną krwi i piór.

Przenikliwy wrzask starej kobiety sprawił, że na twarzy młodzieńca wykwitł uśmiech zadowolenia.

Pod prysznicem napawał zmysły dotykiem wody, zmieniając siłę strumienia wody z igiełek na masaż i z powrotem. Szybko osuszył się ręcznikiem, rozcierając kremową skórę, aż nabrała cieplej, różowej barwy, a następnie przez chwilę pozował przed dużym lustrem, podziwiając swe naprężone mięśnie. Wiedział, że jego ciało jest dziełem sztuki, którego wszystkie części miały doskonale proporcje, tak jak to sobie zaplanował.

Jednakże takie ciało wymaga pokarmu.

Przytrzymując słuchawkę podbródkiem, ubierał się i zamawiał śniadanie.

– ...i kawa ma być zaparzona nie wcześniej niż na kilka sekund przed tym, jak dzbanek opuści kuchnię. – Wyciągnął jasnoniebieską bawełnianą koszulę z szafy i włożył ją, wsuwając spód do džinsów i zapinając rozporek na guziki. – Tak właśnie, dla pana Afotyka. – Odwiesił słuchawkę i uśmiechnął się szeroko, zadowolony z własnego sprytu. Afotyczny znaczy mroczny, a Mrok był jedynym imieniem, jakie nosił, Ciemność

bowiem trzymała swe fragmenty zbyt blisko siebie, by pozwalać im na indywidualne nazwy. Sięgając po parę kosztownych półbutów, obejrzał mokasyny, jakie nosił poprzedniego wieczora.

Okazało się, że krew nie poplamiła skózanego obuwia. Doprawdy było to nieco zaskakujące, bo polało się sporo krwi. W mieście takiej wielkości nie musiał długo szukać młodej kobiety, która pozwoliła mu się „pociąć” za śmieszłą sumę, a gdy już uzyskał jej pozwolenie i pieniądze zmieniły właściciela, żaden jej krzyk, jęk czy szept protestu nie mógł zmienić ważności kontraktu. Ponieważ działał za jej pozwoleniem, równowaga między Mrokiem i Jasnością nie została nadmiernie naruszona. Dzięki temu nie przyciągał uwagi, która mogłaby utrudnić mu wykonanie zadania. Nie skrępowany nakazami obrzędu zeszłej nocy pozwolił swej wyobraźni rozwinąć skrzydła i nie śpieszył się, bo czynił to wyłącznie dla swojej przyjemności.

Śniadanie, które dostarczono mu chwilę później, było wyśmienite. Delektował się smakiem jajek, kiełbasy i pieczarek smażonych z czosnkiem oraz imbirem, spłukał jedzenie łykiem soku tak świeżego, że kiedy opuszczał kuchnię, był jeszcze w pomarańczy.

– Mistrzu!

Wysoki na sześć cali i niekiedy człekokształtny cień wspiał się po nodze stołu z orzechowego drewna i zatrzymał przy dzbanku z kawą.

– Mistrzu! Adept Światłości przestąpił barierę!

– Tak, wiem. – Mężczyzna oblizał palce z resztek masła i okruchów francuskich rogalików. – Czyżbyś myślał, że nie zauważyłem takiego zakłócenia równowagi?

– Nie, mistrzu, ale... – Istota wstała i utworzyła ręce, żeby nimi pomachać.

– Ale? – Ton mężczyzny zabrzmiał groźnie.

– Ale moim zadaniem jest powiadamianie cię, mistrzu. Jestem twoimi oczami i uszami.

– Więc patrz, słuchaj, zrób coś użytecznego i dowiedz się, w jaki sposób ten Adept się przedostał. – Nalał sobie kawy, dodał sporą porcję śmietanki oraz cukru i wypił połowę, zanim ponownie się odezwał. Cień wahał się i kręcił nerwowo. Mężczyzna odstawił filiżankę z westchnieniem zadowolenia i spojrział srogo. – Dzisiejszej nocy dowiesz się, kto otworzył drogę temu Adeptowi, ile wiedzą i czy można ich użyć podczas obrzędu.

– Tak, mistrzu, ale...

– Znowu ale?

Cień wił się i lamentował, wydając świdrujący, przewlekły pisk, który przypominał drapanie paznokciami po tablicy.

– Nie, mistrzu. Żadnych ale.

Kiedy cień umknął, mężczyzna westchnął i przeciągnął się. Z takich mniejszych fragmentów Ciemności nie było prawie żadnego pożytku i zaczynał się zastanawiać, czy warto było go oddzielać. Spojrzał na gazetę i rzucił mu się w oczy jeden z nagłówków: „Wyrównane szanse Jaysów i Tigersów w zbliżających się mistrzostwach”.

– Mecz baseballowy. – Zamyślił się, przeglądając artykuł. – Właśnie tego mi potrzeba, słoneczne, niedzielne popołudnie na stadionie. Tłumy ludzi, nastrój współzawodnictwa. – Przez krótką chwilę żałował, że nie może odłożyć otwarcenia bramy na kilka dni; w następny weekend miała przyjechać drużyna Yankees. – Cóż, trudno – rzucił gazetę na podłogę – nie można mieć wszystkiego.

Wsunął klucz od pokoju do kieszeni, w której trzymał portfel, i ruszył w stronę drzwi. Otworzywszy je z rozmachem, omal nie wpadł na pokojówkę niosącą stertę ręczników.

Służba ho... – Dziewczyna opuściła rękę podniesioną do pukania i spojrzała na niego oczami rozszerzonymi z pragnienia. Była bardzo młoda i bardzo ładna. Brał ją brutalnie przez pierwsze dwa poranki swego pobytu w apartamencie, manipulując jej odczuciami, aż ból i przyjemność stały się nie do odróżnienia.

Tego poranka jedynie spojrzał na nią z odrazą i przeszedł obok.

Słyszał jej łzy i czuł na plecach żar jej wstydu. Jego kroki nabrały lekkości. To będzie wspaniały dzień.

– Co tam masz, Steve? – Posterunkowy Patton wysiadła z wozu patrolowego i zatrzasnęła drzwi. Usłyszała, że Jack zrobił to samo. Gdy nadeszło wezwanie, byli już po służbie i wracali na posterunek, ale ponieważ było im po drodze, zatrzymali się na parkingu przed supermarketem, żeby sprawdzić, czy mogą pomóc. Kobieta zauważyła, że posterunkowy Steve Stirling, weteran, który w trakcie długoletniej służby w policji zasłużył sobie na miano osoby kompletnie niewzruszonej, był bardzo blady. Jego towarzyszką, niedoświadczoną policjantką ledwo kilka tygodni po akademii, zwymiotowała i wydawało się, że zrobi to jeszcze raz.

– Jest w pojemniku na śmieci – oznajmił krótko Steve, patrząc ze złością na gromadzących się gapiów.

Zmarszczywszy brwi, policjantka podeszła do otworu w pojemniku i wstrzymała oddech. Sam smród mógł sprowokować wymioty. Na wierzchu gnijących, zwykłych śmieci ze sklepu spożywczego leżało coś, co przypominało zawartość stoiska mięsnego – kotlety, żeberka, mięso na pieczeń, wszystko pokryte ruchomym dywanem much. Wtedy spostrzegła, że jeden z kawałków mięsa miał twarz.

Zacisnęła zęby, zeskoczyła na chodnik i podziękowała Bogu oraz wszystkim

świętym, że nie jadła niczego od kilku godzin. Kiedy Jack mijał ją, chwyciła go za ramię.

– Nie patrz. – To nie była ich sprawa. On nie musiał zaglądać.

Zamiast tego spojrział na nią, odczytując z jej oczu grozę tego, co ujrzała, skinął głową i odsunął się.

– Cudowny początek dnia. – Steve podszedł do niej i razem patrzyli, jak nadjeżdżają trzy następne samochody, w tym jeden z policyjnym fotografem. – Mogłaś o tej porze siedzieć już na posterunku z kubkiem kawy. Nie żałujesz, że się zatrzymałaś?

– Tak. – Niczego nie musiała dodawać; jedno „tak” starczyło za wszystko.

– W porządku, zobaczmy, czy wszystko zrozumiałam. – Daru przetarła oczy i wzięła świeży kubek herbaty, dziękując skinieniem głowy. – W najbliższy piątek, w noc Letniego Przesilenia, Adept Mroku otworzy przejście pomiędzy tym światem a Ciemnością. Ty – wskazała głową Evana – zostałeś sprowadzony z krainy Światłości, żeby go zatrzymać. Wy dwoje – skinęła na Rolanda i Rebeccę – macie mu pomóc.

– Tak można by to streścić – zgodził się Roland.

– Świetnie. Przyłączam się.

– Co takiego?

Daru upiła łyk herbaty, westchnęła i powiedziała powoli i wyraźnie:

– Ja również zamierzam pomóc.

– Czy to znaczy, że nam wierzysz? – Roland popatrzył na nią ze zdumieniem. Opowiadanie zajęło im resztę nocy, ale teraz w słonecznym blasku niedzielnego poranka sam nie był pewny, czy wierzy.

– Wierzę swoim oczom – rzekła zgryźliwie Daru, zamaszystym gestem wskazując zarówno czarny sztylet, jak i Evana. – Nie czytałeś nigdy Sherlocka Holmesa?

– Że co proszę? – Brak snu w połączeniu z uczuciem jazdy kolejką górską w lunaparku za każdym razem, gdy Evan spojrział na niego – tylko powtarzaj sobie, że to doznanie religijne – sprawiły, że Roland czuł się bardzo rozbity.

– Po wyeliminowaniu rzeczy niemożliwych to, co zostanie, musi być rozwiązaniem, bez względu na to, jak wydaje się nieprawdopodobne. Jeśli Evan istnieje, a istnieje... – Evan uśmiechnął się do niej przez ramię i wrócił do podziwiania rozmaitych wzorów ze światła wpadającego przez zasłony – ...i jeśli wierzę w to, kim jest, a wierzę – chwila spoglądania Adeptowi w oczy wystarczyła, by obeszło się bez krzykliwszego pokazu wspaniałości – ...w takim razie reszta też musi być prawdą. Jeśli Ciemność ma podbić nasz świat – zacisnęła wargi w wąską kreskę – nie zamierzam stać bezczynnie i przyglądać się temu.

Nie, pomyślał Roland, mogę się założyć, że nigdy tak nie czyniłaś. Jako pracownik

miejskiej opieki społecznej Daru każdego dnia walczyła z Ciemnością na pierwszej linii frontu.

– Rebecca, kochanie. – Daru odwróciła się i spróbowała zajrzeć do kuchni. – Co ty tam robisz?

Rebecca wsunęła głowę do dużego pokoju.

– Szykuję śniadanie. – Kiedy zrobiło się jasno, ubrała się w stare turkusowe spodnie od dresu i żółty podkoszulek z oddartymi rękawami. – Będzie jajecznica z mlekiem, bo zostało mi trochę z wczorajszego wieczora, i kielbaski opiekane na ruszcie. Rozmroziłam całą paczkę, zamiast tylko trzech dla siebie. Zrobię też grzanki.

– Wszystko jednocześnie? – wyraziła powątpiewanie Daru.

– Większość pracy wykonuje piecyk – wyjaśniła poważnie Rebecca. – I opiekacz do grzanek.

– Masz dżem? – spytał Roland, podchodząc i wsadzając głowę do lodówki.

– Dżem stoi za keczupem. Jest z brzoskwiń. – Wychyliła się mocniej z kuchni i podała mu małą puszkę oraz otwieracz. – Możesz nakarmić Toma.

Roland podrzucił puszkę w dłoń, westchnął i spojrzał ponuro na kota.

Tom, który bardzo dobrze wiedział, co znaczy otwieracz i puszka tej wielkości, zeskoczył z kanapy i zaczął wyczyniać wygibasy wokół nóg Rolanda. Oczywiście były to dystyngowane wygibasy, wyrażające oczekiwanie i tylko bardzo niewielki głód.

– No, dobrze. – Roland podszedł do stołu i postawił na nim jedzenie dla kota. Tom zmodyfikował swój taniec, by dostosować się do kroków człowieka. – Żeby jednak nie było żadnych niejasności – zawołał w stronę kuchni – robię to dla ciebie, nie dla niego!

– Tomowi jest wszystko jedno, jeśli tylko otworzysz tę puszkę.

Wbijając ostrze otwieracza w puszkę, Roland spojrzał wściekle na Daru.

– Dlaczego pozwalasz jej marnować na to pieniądze?

Daru uniosła brew.

– Wolisz inną firmę? – spytała tonem bliskim sarkazmu.

– Nie mówmy już o tym. – Roland oderwał wieczko, skrzywił nos z powodu zapachu i postawił otwartą puszkę na podłodze. Tom obwąchał ją, ostrożnie wyraził aprobatę i zabrał się do jedzenia. Daru posłała Rolandowi uśmiech, który odebrał jako oznakę wyższości, i wyszła do łazienki. Czując się w mniejszości, Roland wyciągnął gitarę i ukoił ducha układaniem muzyki do gry światła i cieni listowia, które padały na stojącego przy oknie Evana.

– Tyle bólu – szepnął Adept, przyglądając się mrówce, która wędrowała po parapecie i dźwigała mniejszego owada. Wypełnił płuca powietrzem – czując smak betonu, stali

i asfaltu, smak smutku, nienawiści i cierpienia – i westchnął. Tak wiele było tego, czym mógł się posłużyć Mrok. Jednakże czuł ciepło słońca, a wiatr przynosił dźwięk śmiechu dzieci. Nie mógł ani też nie pragnął zaprzeczać istnieniu nadziei.

Roland zauważył, że Evan zwiesza ramiona, więc zagrał w tonacji minorowej; kiedy później ujrzał, jak Adept prostuje plecy, przyspieszył tempo i zmienił tonację. Wyczuł, że ktoś go słucha, i wprawnym ruchem wyćwiczonym przez lata na ulicy, gdzie bezpośrednie spojrzenie może spłoszyć hojnego klienta, zerknął kątem oka.

Daru stała przy kanapie, a jej spojrzenie biegło od Evana do niego i z powrotem.

Czując na sobie ciężar jej wzroku, przerwał granie i odwrócił się do niej.

– Widziałam twoją muzykę – powiedziała ze zdumieniem. – Zupełnie jak lustro z dźwięków... Widziałam w nim...

Roland poczuł, że twarz mu pała, i spuścił oczy, obracając w palcach kapodaster.

– Śniadanie. – Rebecca wystawiła z kuchni pełny talerz. Roland zerwał się, żeby go odebrać, pokrywając tym zażenowanie. Potrafił radzić sobie z pochwałami tylko wtedy, gdy przyjmowały postać gotówki. Pochwały Rebeki, z niezgłębionych dotychczas dla niego powodów, były jedynym wyjątkiem.

Patrzenie na posilającego się Evana nie pozwalało Daru i Rolandowi skupić się na własnym jedzeniu, Adept bowiem delektował się nie tylko smakiem, lecz także konsystencją i zapachem, czyniąc z jajecznicy z kiełbaskami doznanie zmysłowe.

– Czy tam, skąd pochodzisz, nie ma jedzenia? – spytała Rebecca, gdy Evan pogładził grzanekę, przyjrzał się margarynie, a potem oblizwał końce palców.

– Oczywiście, że jest. – Adept ugryzł kiełbaskę i oczy mu się rozszerzyły z rozkoszy, gdy wyczuł wszystkie jej aromaty. – Ale to coś nowego. Należy napawać się każdym aspektem nowości.

– Ja też tak uważam. – Rebecca pokiwała głową.

Daru ukryła uśmiech, przypominając sobie, jak pierwszy raz zabrała Rebeke na pizzę, a dziewczyna włożyła palce w roztopiony ser i dobre pięć minut eksperymentowała z rozciągliwością mozzarelli.

Kiedy się uśmiecha, twarz jej łagodnieje, pomyślał Roland, usadowiwszy się w miejscu, z którego widział dobrze zarówno Evana, jak i Daru. Mniej przypomina jastrzębia. Przez lata Roland twierdził, że określenie „uderzająca uroda” nic nie znaczy. Spoglądając jednakże na Daru, doszedł do wniosku, że doskonale wie, co znaczy przymiotnik „uderzająca” w odniesieniu do osoby. Nie była ładna ani piękna, ale cóż, uderzająca – ciemnozłota skóra, oczy tak czarne, że źrenice i tęczęwki zlewały się w jedno, wysokie czoło, dumny łuk nosa, ostry, zdecydowany podbródek, twarz otoczona

bujną kaskadą kruczoczarnych włosów. Nie całkiem chłodna, ale surowa. Zamierzał znów wrócić do grania na flecie, jeśli tylko wróci do domu, bo jej pieśń wznosiła się za wysoko dla jego gitary.

– Masz mi coś do powiedzenia? – warknęła Daru, nagle uświadamiając sobie, że Roland się w nią wpatruje.

I zgryźliwa, dodał Roland do swej listy, spuszczać oczy. Surowa i zgryźliwa. Przez bladą zasłonę włosów zobaczył, jak Adept się uśmiecha, i nie po raz pierwszy zastanowił się, w jakim stopniu Evan słyszy jego myśli.

– No cóż – wstał i zaczął składać puste talerze – wygląda na to, że znowu będziemy mieli gorący dzień.

– Tak – westchnął Evan, przestając się uśmiechać. Wstał zwinnie i wrócił na swoje miejsce przy oknie. – Kiedy panuje taki upał, kiedy z nieba leje się oślepiający blask i powietrze jest ciężkie, wtedy puszcza nerwy i nawet dobrych ludzi łatwo doprowadzić do ostateczności.

– Chcesz powiedzieć, że to jego dzieło? – spytał Roland, przekrzykując odgłos wypełniającego się wodą zlewu.

– Tak – odparł Evan, nie odwracając się.

– Przecież jest lato – zaprotestował Roland. – Wiem, że Kanadę nazywają Wielką Białą Północą, ale latem tu jest gorąco.

– Ale nie tak – wtrąciła zamyślona Daru. – Upał nie utrzymuje się tak długo w czerwcu. Może tydzień albo dwa w sierpniu...

– Co zamierzasz zrobić w tej sprawie? – spytała Rebecca, przechodząc do sedna sprawy.

– Właśnie już robię, Pani.

Daru drgnęła brew, ponieważ pierwszy raz usłyszała, jak Evan tytułuje Rebecę.

– Na południu i zachodzie są deszczowe chmury. Zachęcam je, by szły w tym kierunku. Za dwa dni miasto poczuje ulgę.

– Czemu nie wcześniej? – dopytywał się Roland, podając Rebecce do schowania stos czystych talerzy.

Evan rozłożył ręce, pobrzękując cicho bransoletami. – Deszczu nie można poganiać. Porusz go zbyt szybko, a rozproszy się. Porusz zbyt wolno, a znudzi się i spadnie gdzieś po drodze.

– Deszcz może się znudzić?

– To proste słowo, które obejmuje skomplikowany... – Chwycił się za pasmo jasnych włosów, szukając odpowiedniego słowa.



– Proces? – podpowiedziała Rebecca.

– Tak, skomplikowany proces. – Oboje uśmiechnęli się z zadowoleniem i ponownie Roland wyczuł inny poziom w tej wymianie słów.

– Jedna rzecz mnie zastanawia – mówiła Daru, krążąc po małym mieszkaniu.

Witamy w klubie, pomyślał Roland, kładąc sobie Cierpliwość na kolanach. Ostatni raz był czegoś pewny tuż, zanim Rebecca pojawiła się na rogu ulicy.

– Przybyłeś tu, ponieważ zaprosiła cię Rebecca, zgadza się?

– Roland miał udział w tym zaproszeniu – odrzekł Evan – ale w zasadzie masz rację.

– No więc, w jaki sposób on się dostał?

W ciszy, jaka zapanowała podczas czekania na odpowiedź Evana, słychać było jedynie mlaskanie języka Toma, który przylizywał sobie czarne pręgi na ogonie.

– Są dwie możliwości – rzekł wreszcie Evan. – Mężczyzna lub kobieta z tego świata uczynili coś złego i w trakcie tego czynu wezwali Ciemność...

– Czarne świece, pentagramy i ofiara z człowieka – szepnął Roland, a Cierpliwość jęknęła w zgrzytliwym akompaniamencie do jego słów.

– Tak – westchnął Evan. – Ciemność wzywano już w ten sposób. Jednakże tym razem sędzę, że wykonała samodzielny ruch, żeby skorzystać z osłabienia barier podczas nocy Letniego Przesilenia. Choć na swój sposób on również został zaproszony... Na tym świecie jest wiele mroku, który wiecznie woła Ciemność po drugiej stronie granicy. Po jakimś czasie zaporę słabnie na tyle, by mógł się prześlizgnąć niewielki skrawek Mroku. Zazwyczaj ów strzępek jest tak mały, że nie ma prawdziwej powłoki cielesnej i albo się rozprasza, zostawiając po sobie ogólne poczucie złego nastroju, albo znajduje sobie nosiciela i robi, co może, by stworzyć stałą siedzibę. Te skrawki Mroku nie mogą przeżyć długo tam, gdzie sprzeciwia im się choćby niewielka Światłość.

Adept napelnił dłoń słońcem, a następnie strzepnął je z koniuszków palców, tworząc delikatne, filigranowe linie.

– Oczywiście, Jasność w waszym świecie w ten sam sposób woła swych pobratymców. Czasami zostaje popełniony czyn o takiej sile Mroku lub Światłości, że mogą odpowiedzieć większe istoty: gobliny i bogginy, jednorożce i fauny. Żeby przepuścić Adepta, Ciemność czekała, aż zew stał się prawie nie do wytrzymania, gromadząc wszystko, co osłabia bariery, i skupiając siły na jednym celu. – Znów westchnął. – Na szczęście rzadko jej się to udaje, bo dyscyplina wewnętrzna nie jest najmocniejszą stroną Ciemności. Kiedy nadszedł właściwy moment, ruszyła do ataku, przepychając na drugą stronę wystarczająco duży i mocny fragment siebie, by zdołał otworzyć bramę dla pozostałych. Nie przypuszczam, aby podróż przez barierę była przyjemna.

– Mówisz tak, jakby było ci go żal – powiedziała Daru, marszcząc brwi.

– Żal mi każdej cierpiącej istoty – rzekł Evan bez śladu przeprosin w głosie. – Nawet jego, co mnie jednakże nie powstrzyma od zniszczenia go.

– Nie rozumiem, co masz na myśli, mówiąc, że Ciemność „przepchnęła na drugą stronę fragment siebie”. – Roland próbował zrozumieć to zdanie, lecz nic mu nie mówiło.

– Istnieje tylko jedna Ciemność, tak samo jak istnieje tylko jedna Światłość. Tak jak on jest kawałkiem Ciemności, tak ja jestem kawałkiem Światłości. Ciemność trzyma swe fragmenty blisko, nie wierząc, że przy niej zostaną, a Światłość nie chce, by należało do niej cokolwiek, co nie chce tam się znaleźć.

– Jeśli coś kochasz, pozwól mu odejść. Jeśli do ciebie wróci, jest twoje. Jeśli nie, nigdy twoje nie było. – Rebecca oblała się rumieńcem, gdy wszyscy na nią spojrzeli. – Przeczytałam to na podkoszulku – wyjaśniła, przygryzając dolną wargę. Sądząc z ich reakcji, obawiała się, że powiedziała coś niewłaściwego.

Evan odrzucił włosy z twarzy i oczy mu zalśniły.

– Ależ tak właśnie jest.

– Naprawdę?

– Właśnie tak – powtórzył.

Rebecca pokiwała głową z zadowoleniem.

– Tak też myślałam.

Daru nachyliła się, uścisnęła jej dłoń i znów zwróciła się do Evana.

– Czy jesteś dość silny, by go pokonać?

– Jeden na jednego, tylko on i ja? – Evan wzruszył ramionami i blask w jego oczach przygasł. – Dla utrzymania równowagi jesteśmy obdarzeni równą siłą, lecz Mrok często pobłaża sobie i wyczerpuje moc tylko dla zabawy.

Daru westchnęła.

– Miałeś odpowiedzieć jednoznacznie „tak” albo „nie”, a nie powiedziałeś żadnego z tych słów.

– Dobrze więc – Adept uśmiechnął się – Być może. Ale wpierw muszę go znaleźć.

– Nie możesz po prostu... bo ja wiem – Roland zagrał na strunie G – rzucić jakiegoś zaklęcia i poznać miejsce jego pobytu?

– Nie. Dopóki rzeczywiście nie zakłóci równowagi, muszę szukać go w taki sam sposób, w jaki ty szukałbyś śmiertelnika.

– W ciągu niecałego tygodnia?

– Tak.

– Czy wiesz, jak on wygląda?

– Gdybym go zobaczył, poznałbym go.

Tym razem to Roland westchnął.

– Czy wiesz, jak wielkie jest to miasto? Jak wielu ludzi tu mieszka?

– Tak – odrzekł Evan – ale mam pomocników.

Roland i Daru wymienili spojrzenia, które świadczyły o tym, że od chwili, gdy ich sobie przedstawiono, po raz pierwszy całkowicie się zgadzają.

– Oprócz tego – ciągnął Evan, nie zważając na niedowierzanie malujące się na twarzach dwojga jego słuchaczy – powinniśmy dowiedzieć się, gdzie zamierza otworzyć bramę...

– Czy to możesz wyczuć? – przerwała Daru.

– Och, tak...

Kobieta rozluźniła się trochę.

– ...musi to być dość duży obszar otwartej przestrzeni, a ziemia nie może być skuta betonem czy stalą.

– Park – zasugerowała Rebecca i podskoczyła.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jak wiele parków jest w tym mieście? – zaprotestował Roland.

– Tak. – Powiedziała to z taką powagą, że mógł jedynie wnioskować, iż rzeczywiście wiedziała, ile parków jest w mieście.

– Potrzebna nam jest mapa. – Daru wstała i poprawiła fałdy swego sari. – Mam ją w samochodzie. Za chwilę wrócę.

Roland odprowadził ją wzrokiem, mając nadzieję, że nikt tego nie zauważy. Czuł się jak ostatni sukinsyn, ale kołysanie jej udrapowanych w jedwab bioder było tego warte.

Kiedy wróciła, miała przez ramię przerzucone coś, co wyglądało jak ubranie, a w ręku trzymała złożoną mapę Toronto oraz żółty, papierowy prostokąt długości około ośmiu cali.

– Pewno nie zajmujesz się mandatami za parkowanie w niedozwolonych miejscach? – spytała Evana, rzucając mapę i kwit na stół Rebeki.

– Przykro mi, ale to nie mój wydział. Oddaj cesarzowi, co cesarskie, i tak dalej.

Daru bez zdziwienia pokiwała głową.

– Czytałeś Biblię.

– Czytałem wszystkie wasze wielkie dzieła literatury: Biblię, Koran, Szekspira, Wellsa, Harolda Robbinsa...

– Kogo?

Evan puścił do niej oko, przez co sprawiał wrażenie młodszego o pięć lat.

– Tylko żartowałem.

Daru wyróciła oczami i poszła do łazienki, żeby się przebrać.

– Czytałeś *Kubusia Puchatka*? – spytała Rebecca. – To moja ulubiona książka.

Oczywiście – odpowiedział Evan, sadowiac się ostrożnie na parapecie pomiędzy dwoma doniczkami, wyciągając przed siebie nogi w wysokich butach i krzyżując je. – Kubuś jest bardzo mądry.

– Jak na misia o bardzo małym rozumku – dodała Rebecca.

Była to kolejna rzecz dotycząca Rebeki, której istnienia Roland sobie nie uświadamiał. – Sama czytasz tę książkę? – dopytywał się.

– Tak. – Urażona Rebecca zmarszczyła czoło. – Potrafię czytać książki trudniejsze od *Kubusia Puchatka*. – Przerwała, pomyślała przez chwilę i dodała: – Ale nie dużo trudniejsze.

– Rebecca – rzekła Daru, wracając do salonu w białych bawełnianych szortach i takim samym podkoszulku – ma cały komplet książek o misiu Paddingtonie.

– Lubię misie – oznajmiła zgromadzonym Rebecca. – Mam też kilka książek o niedźwiadkach Berenstainów.

Roland pomyślał, że dziewczyna zapewne czytała dla przyjemności więcej niż większość absolwentów college'ów.

Daru rozłożyła na stole mapę i Rebecca pochyliła się nad nią.

– Czy parki to te zielone obszary? – spytała.

– Tak.

– Czasami – Rebecca westchnęła z zadowoleniem – rzeczy mają sens. Parki są zielonymi obszarami – wyjaśniła Evanowi, kiedy przyłączył się do nich.

Stół był mały, w mieszkaniu panował upał i Roland, który i tak nigdy nie interesował się zbytnio parkami, wkrótce doszedł do wniosku, że woli przyglądać się z oddali niż stać w ścisiku. Wyglądało na to, że Rebecca rzeczywiście znała wszystkie parki w mieście, wiedziała, ile drzew rośnie w każdym z nich i kto – albo co – żył na każdym drzewie.

Tom wskoczył na parapet, przez chwilę chwiał się w otwartym oknie, a potem zniknął. Roland zakładał, że zwierzak nie wyskoczyłby, gdyby nie był przekonany, że bezpiecznie wylądował na ziemi, więc brzdąkał dalej i nie wspominał o odejściu kota.

Pewnie musiał się odlać. Prawdę mówiąc, to niezły pomysł.

Poszedł do łazienki, zrobił swoje, a po powrocie zastał trójkę przyjaciół wciąż ślęczących nad mapą.

– ...nie, ten jest zbyt pagórkowaty i rośnie w nim zbyt wiele drzew...

– Parki – mruknął Roland. – Parki! – powtórzył głośniej. Znał taki jeden park. –

Rebecca, czy ten telewizor działa?

– Co? – Rozejrzała się po mieszkaniu, jakby nie była pewna, kto to powiedział.

Roland powtórzył pytanie.

– O, tak, działa, ale odbiera tylko piąty i dziewiąty kanał.

– To wspaniale, po prostu wspaniale. Potrzebny mi jest dziewiąty kanał. Mogę włączyć telewizor?

– Jasne. – Dziewczyna nachyliła się nad mapą. – Nie, ten jest za długi i za chudy.

Jak wszystko inne w mieszkaniu, przenośny telewizorek na półce nad kaloryferem był nieskazitelnie czysty. Roland odwinął przewód z tyłu odbiornika – najwyraźniej Rebecca nie była wielką miłośniczką telewizji – poszukał najbliższego gniazdka i podłączył do niego odbiornik. Jeśli dobrze zapamiętał godzinę rozpoczęcia, nie powinno ominąć go nic poza pierwszym rzutem meczu.

Kiedy pojawił się obraz, czarno-biały i trochę zaśniewony, Roland stwierdził, że trafił prawie w samą porę. Zaczynała się pierwsza zmiana meczu – było po pierwszym aucie, a pałkarz dobiegł do drugiej bazy. Ściszywszy dźwięk, Roland siadł, żeby pooglądać coś, co potrafił zrozumieć.

Pod koniec trzeciej zmiany poczuł, że kanapa się ugina, i usłyszał cichy brzęk bransolet Evana, który usiadł przy nim.

– Kto wygrywa?

– Detroit – jeden do zera.

– Primadonna Jaysów nadal na ławce?

– Aha – westchnął Roland – nadal... Zaczekaj! – Odwrócił się do Adepta, zobaczył go nieznośnie blisko i zdołał oprzeć się chęci sprawdzenia, czy jego włosy rzeczywiście są tak jedwabiste, na jakie wyglądają. – Co ty wiesz o baseballu?

Evan zaczekał z odpowiedzią, aż pałkarz Bluejaysów odbił piłkę.

– Sygnały telewizyjne z łatwością przenikają przez barierę.

– Chcesz powiedzieć, że w niebie, w krainie elfów czy jak tam nazywacie to miejsce, skąd pochodzisz, oglądacie telewizję?

– Ja nazywam je domem. Tak, owszem.

– W czym – spytał żartem Roland, nie mogąc się powstrzymać – w szklanych kulach?

– Skądże znowu, kule stale się toczą. Wystarczy zwykły większy kawałek kryształu o stosunkowo płaskiej powierzchni.

– Nie mówisz chyba poważnie. – Przyjrzał się badawczo twarzy Evana. – Mówisz poważnie. A niech mnie porwą diabli!

Evan odsonił zęby w uśmiechu i przeciągnął się.

– Mało prawdopodobne.

Roland był zafascynowany pulsem bijącym w dołku szyi Evana. Usłyszał trzask pałki zawodnika i wrzask tłumu na stadionie, lecz nie mógł oderwać od niego oczu. Zauważył, że Evan pachniał tą samą czystością co mieszkanie Rebeki. Westchnął i zamknął oczy, znów widząc w wyobraźni te wielkie białe skrzydła.

– Daru i Pani poszły do sklepu. Mam nadzieję, że niczego nie chciałeś. Sprawiałeś wrażenie bardzo przejętego meczem.

Otworzywszy oczy, Roland rozejrzał się po mieszkaniu. Był sam z Evanem.

– Nie, nie chciałem niczego. – Przyglądał się refleksom słońca na złotych rzęsach Evana. Siedzieli bardzo blisko siebie. Rozpaczliwie pragnął coś powiedzieć, cisza bowiem zaczynała mówić zbyt wiele. – Dlaczego zwracasz się do niej w ten sposób... Pani?

– To znak szacunku.

– Nie czułości? – spytał podejrzliwie Roland.

– Czy często nie oznacza to tego samego?

– Wiesz, uzyskanie od ciebie jednoznacznej odpowiedzi jest prawie niemożliwe.

– Światłość nigdy nie dostarczała łatwych odpowiedzi.

Roland parsknął.

– Właśnie to miałem na myśli. – Co jest z tym obrazem, pomyślał, z trudem skupiając się ponownie na programie. Kobiety poszły na zakupy, a mężczyźni oglądają mecz. Tyle tylko, że jedna z kobiet ma kuku na muniu, druga stale się zastanawia, spod jakiego kamienia wypelzłem, a jeden z mężczyzn jest aniołem. Tak jakby.

– Daru, dlaczego nie lubisz Rolanda?

Daru podniosła trzecią puszkę koncentratu lemoniady, oglądała ją przez chwilę, a potem wrzuciła do koszyka.

– Co masz na myśli, Rebecca?

– No wiesz – Rebecca mówiąc, ścisnęła łagodnie żytni chleb – cały czas zachowujesz dystans.

– Nie mogę powiedzieć, żebym nie lubiła Rolanda. Masz musztardę w domu? – Tak.

– Po prostu nie znam go zbyt dobrze.

– W takim razie powinnaś go poznać lepiej. Roland jest miły.

Daru westchnęła; trzy lata opiekowania się Rebeccą i prawie tyle samo lat przyjaźni z nią umożliwiło jej zrobienie myślowego skoku do tego, co w rzeczywistości dziewczyna miała na myśli.

– Nie prześpię się z nim – powiedziała cicho. – Podaj mi, proszę, główkę sałaty.

Rebecca posłusznie wybrała warzywo ze sterty, ważąc je w dłoni przed podaniem przyjaciółce.

- Dlaczego nie?
- Bo nie chcę.
- Dlaczego nie chcesz?
- Bo go nie znam.
- Ale poznałabyś go, gdybyś się z nim przespała.

Zainteresowana kasjerka podniosła głowę. Daru poczuła, że się czerwieni, i cieszyła się, że ma zbyt ciemną cerę, aby łatwo było to zauważyć. Najbardziej widocznym i jednocześnie najbardziej drażniącym przejawem upośledzenia Rebeki był brak panowania nad siłą głosu. Wszystko mówiła jednakowym tonem głosu. Normalnym tonem dość donośnego głosu.

- On nie chce spać ze mną.
- Rebecca, ciszej.

Daru nabrała lepszego mniemania o Rolandzie, kiedy usłyszała, że odmówił skorzystania z propozycji Rebeki – istniało bardzo duże prawdopodobieństwo, iż to ona złożyła propozycję. Równocześnie myślała o nim gorzej, sądziła bowiem, że wie, dlaczego tak postąpił. Rebecca może wydawać się przedwcześnie dojrzałą dziesięciolatką, niemniej jest dorosłą kobietą i Roland nie miał prawa myśleć o niej jak o dziecku. Oczywiście była zdumiewająco dziecinna i Rolandowi należała się pochwała za to, że nie wykorzystał tego faktu. Tyle że Rebecca nie była dzieckiem i... Jak zwykle utknąwszy na zawłościach problemu pożycia seksualnego Rebeki, Daru westchnęła i zapłaciła za zakupy.

Jednakże po wyjściu ze sklepu, dopóki jeszcze myślała o tym, spytała:

– Czy pamiętasz, żeby codziennie brać pigułkę? – Bóg jeden wie, że miała dość kłopotów z uzyskaniem pozwolenia na te środki; myśl o tym, że umysłowo upośledzeni dorośli prowadzą aktywne życie płciowe, przyprawiała większość osób w departamencie o spazmy.

– Nie martw się, Daru. – Rebecca przesunęła torbę z zakupami i uśmiechnęła się uspokajająco. – Nie będzie dzieci. – Nie było to całkiem kłamstwem. Nie powiedziała dokładnie, że bierze pigułki. Daru po prostu nie chciała zrozumieć, że dzieci przychodzą, kiedy chcą, i żadne małe pigułki nie mają na to wpływu. Rebecca żałowała, że nie umie tego wyjaśnić, bo wtedy wszyscy mogliby przestać brać te małe pigułki.

- On tam jest. Jest na stadionie.

– Co? – Roland odwrócił się raptownie i spojrział na Evana. – Posłuchaj, fakt, że zapolowy nie złapał łatwej piłki, wcale nie musi świadczyć o tym, że on ma z tym coś wspólnego. Już przedtem bywało, że Jaysi zwyciężali w ostatnim momencie.

– A czy już przedtem piłki zmieniały kierunek lotu podczas spadania?

– Jasne. Stadion jest tuż nad jeziorem. To jedno z najbardziej wietrznych boisk w całej lidze.

– Popatrz na flagi, Rolandzie. – Evan wskazał ekran i Rolandowi nagle stanął przed oczami duch przyszlých święt Bożego Narodzenia na grobie Scroocea. – Nie ma wiatru.

– Tak, ale...

– I ta wcześniejsza decyzja...

– Rzeczywiście, mógł wyjść za linię autu, w końcu drugobazowy sędzia był tuż obok.

– Ale wyglądało na to, że nic mu nie grozi, prawda?

– Racja. – Roland musiał to przyznać.

– A ten błąd, którego sędzia po prostu nie dostrzegł?

– Zdarza się. – Jednakże sam nie był przekonany o słuszności swych słów.

– To on. – Evan wstał, zaciskając wargi w wąską kreskę. – On tam jest. Nie wiem, co on tam knuje, ale jest tam. Muszę spróbować go znaleźć. Takiej szansy możemy już nigdy nie mieć.

– Mam nadzieję, że przybędzie w sposób nieco bardziej konwencjonalny od tego, w jaki znikł – mruknął Roland, nagle osamotniony w mieszkaniu. Wyciągnął drżącą rękę i dotknął wgłębienia w kanapie. – Odszedł. Tak po prostu. – Zaśmiał się nerwowo i wrócił do oglądania meczu. Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

– O, witaj, Becco. – Duża Blondyna Z Głębi Korytarza rozpromieniła się na widok Rebeki i Daru, które weszły do przedsionka w bloku mieszkalnym. – Byłyśmy na zakupach? – spytała wesoło, ocierając twarz dużym kawałkiem różowego płótna. Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się do Daru i dodała tym samym sztucznym tonem: – Jakie to miłe, że przychodzisz w wolny dzień i pomagasz naszej Becce.

Uśmiech Daru był wymuszony.

– Pewno zastanawiacie się, dlaczego tu czekam. Przyjedzie po mnie chłopak mojej siostry, żeby podrzucić mnie do ich ślicznego domu na Don Mills. Mają tam centralną klimatyzację.

– On musi być bardzo silny – powiedziała zaintrygowana Rebecca.

– Kto taki, kochanie?

– Chłopak pani siostry, który przyjedzie panią podrzucić.

– Czyż ona nie jest rozkoszna? – Duża Blondyna Z Głębi Korytarza spytała Daru



teatralnym szeptem. Rozległ się klakson samochodu na podjeździe i kobieta wstała z trudem. – Bądź grzeczną dziewczynką, Becco. A pani – wycelowała tłusty palec w Daru – niech da mi znać, gdybym mogła jakoś pomóc.

Rebecca przyglądała się wychodzącej na ulicę sąsiadce i westchnęła. Bardzo chciała zobaczyć, jak ktoś podrzuca Dużą Blondynę Z Głębi Korytarza, ale zamiast tego chłopak jej siostry przyjechał samochodem.

– Evan chyba zesłał jej sen, który podziałał – rzekła, kiedy wchodziły po schodach.

– Chyba tak – zgodziła się Daru. – Rebecco, czy chcesz, żebym znów z nią porozmawiała?

– Możesz z nią znów porozmawiać, ale ona znów nie posłucha.

Daru musiała przyznać, że to prawda. – Mnie to nie przeszkadza – ciągnęła Rebecca – bo właściwie to mi jej żal.

– Żal ci jej? Dlaczego?

– Bo zawsze musi być sobą, a to nie może być przyjemne przez większą część czasu.

Daru wciąż zastanawiała się nad tym, gdy weszły do mieszkania, które wydawało się prawie chłodne po spiekocie panującej na zewnątrz.

– Dokąd poszedł Evan? – spytała Rebecca, stawiając torbę z zakupami na stole i wyciągając paczkę szynki.

– Na mecz baseballowy – oznajmił krótko Roland, nie odrywając oczu od telewizora.

– Co, u licha... – zaczęła Daru.

– Bo na tym meczu jest on.

– Och. – Kobieta usiadła obok Rolanda i rzuciła okiem na ekran.

Tłum ryknął, gdy piłka skręciła w locie. Sędziowie sprawdzili zarówno piłkę, jak i miotacza Tigersów. Kibice ryknęli jeszcze głośniejszym głosem, gdy obaj przeszli kontrolę pomyślnie.

Pod koniec szóstej zmiany zawodnik Jaysów zderzył się z drugobazowym obrońcą Tigersów i po piekielnej kłótni, jaka się wywiązała, obaj zostali usunięci z gry.

Kiedy Rebecca podawała kanapki z szynką – ludzie muszą mimo wszystko jeść – rzucona nisko piłka wyskoczyła z rękawicy łącznika, poturlała mu się między nogami i poleciała dalej. Ryk tłumu zmienił się w stały i nieprzyjemny pomruk.

Podczas siódmej zmiany BJ Bird zrobił krok do tyłu i spadł z dachu łoża zawodników. Komentator wyraził przypuszczenie, że stało się tak, gdy próbował uchylić się przed butelką rzuconą przez kibica Detroit.

– Ja nie widziałam butelki, a ty? – spytała Daru.

– Nie – rzekł Roland – nie widziałem.

Wybuchły bójki wśród kibiców ze słuchawkami na uszach, bo sprawozdawca radiowy powiedział dokładnie to samo.

W trakcie ósmej zmiany nie zauważono dwóch poważnych błędów, a jeden z gwiazdorów sportu, ulubieniec publiczności, urządził awanturę o swoje trzecie uderzenie i został usunięty z gry. Ryk przeszedł w groźne wycie.

Tigersi wygrali jedyny podczas meczu bieg do bazy domowej w dziewiątej zmianie, Bluejaysi natomiast grali fatalnie.

Ostateczny rezultat: trzy do dwóch dla Tigersów.

Z miejsc na koronie stadionu podniosły się wrzaski – Oszustwo! Oszustwo! – i na stadionie zawrzało.

– To takie cholernie niepodobne do Kanadyjczyków – mruknął Roland. – Zamieszki? Nie wierzę.

Patrzyli w milczeniu, jak kamera pokazuje w zbliżeniu kłębiącą się masę ludzi, z których jedni krzyczeli z gniewu, inni z paniki. Dziennikarz komentujący na żywo dokładał wszelkich starań, żeby opisać, co widzi:

– Wydaje się, że wyjścia są zablokowane przez natłok ciał. Widzę, jak rodzice podnoszą dzieci, starając się je ratować... Policja próbuje odzyskać panowanie... O mój Boże, ten człowiek ma kij baseballowy...

Drugi sprawozdawca powtarzał bez przerwy: „O cholera, o cholera, o cholera...” – dopóki ktoś nie wyłączył mu mikrofonu.

Pokazując stadion kamera natrafiła na jedyną wysepkę spokoju. Za bazą domową, w odległości dwóch rzędów pustych miejsc od zamieszek, siedział ciemnowłosy mężczyzna. Przyglądał się i czekał. Kiedy poczuł, że kamera jest skierowana na niego, podniósł głowę i uśmiechnął się.

– To on! – Roland i Rebecca wykrzyknęli razem.

Daru poczuła, jak jej serce załomotało, gdy napotkała jaskrawoniebieskie oczy postaci na ekranie.

Wtedy niespodziewanie pojawił się biały błysk i telewizor zgasł.

## Rozdział szósty

– Na zakończenie powtórzenie najważniejszych wiadomości z dzisiejszego dnia: cztery osoby zginęły, a siedemnaście zostało rannych podczas zamieszek na stadionie na terenie wystawy Nie wniesiono jeszcze żadnych oskarżeń w sprawie tego incydentu. Policja nie chce ujawnić nazwisk zabitych do chwili zawiadomienia najbliższej rodziny. Mówiła Heather Chan, słuchali państwo wiadomości o szóstej. Kiedy dziennik się skończył, policjant na dyżurze wyłączył radio i potrząsnął głową. W mediach wiadomość brzmiała tak czysto: czterech zabitych i siedemnastu rannych, żadnego bałaganu, żadnego zamieszania, żadnej wzmianki o hałasie ani smrodzie, ani też o poczuciu beznadziejności, jakie ogarnia człowieka na widok rozruchów, w których bierze udział prawie czterdzieści tysięcy ludzi. Oczywiście był to punkt widzenia gliniarzy, a ich opinia nigdy jakoś nie wzbudzała większego zainteresowania.

Policjant przysunął sobie stos raportów o aresztowaniach i zaczął wpisywać do komputera zawarte w nich informacje. W całej tej aferze na stadionie najbardziej wkurzała go robota papierkowa. Przy braku personelu we wszystkich wydziałach – grypa, która szalała w mieście, zdawała się specjalnie lubić policjantów – ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali, było podwojenie ilości pracy. Mężczyzna wlepił zmrużone oczy w bazgroły kolegi i doszedł do wniosku, że nazwisko brzmiało O’Conner. Miał nadzieję, że czternasty komisariat doceni, co robią dla nich inne posterunki w mieście.

– Hej, Harper. – Pracowniczka cywilna rzuciła na biurko kolejny plik papierów.

– Wypchaj się ze swoim hej – odburknął. – Lepiej, żeby dla ciebie też była taka sterta, Wojtowicz, bo inaczej marny twój los.

Kobieta poklepała papiery przy swoim komputerze i przez kilka minut słychać było tylko ciche stukanie klawiszy.

– To jak, odkryto już przyczynę tych zamieszek?

Policjant odwrócił się, zazdrosnym okiem patrząc, jak sprawnie w porównaniu z nim, jej palce poruszają się po klawiaturze.

– Nie słyszałaś nowiny? Jaysi przegrali.

– To żadna nowina. I nie powód do rozruchów – parsknęła Wojtowicz.

– Może nie sam z siebie. – Harper odliczał na palcach. – Po pierwsze, Jaysi przegrali z Tigersami. To zdenerwowało wielu ludzi. Po drugie, sędziowie spisywali się do kitu. Zdarza się. To rozzłościło znacznie więcej ludzi. Po trzecie, co jednocześnie mogło być przyczyną drugiego, żar się leje z nieba; gdybyś chciała, mogłabyś na helmie pałkarza usmażyć jajko. W upale ludzie szybciej wpadają w złość i łatwiej przechodzą do czynów.

– Policjant wyszczerzył zęby na widok jej sceptycznej miny. – Takich rzeczy z psychologii uczą nas w akademii. Bardziej bym się zdziwił, gdyby w takim zgrzanym, rozwścieczonym tłumie nie wybuchły zamieszki.

– A te wszystkie kamery telewizyjne, które się przepaliły?

– Jakie kamery? Nic o tym nie słyszałem.

– Błysnęło ostre światło i wszystkie kamery się spaliły. Zanim tu przyszedłem, oglądałam mecz w domu.

– Kosmici – rzekł dramatycznie Harper.

Wojtowicz przewróciła oczami.

– Jasne. Mali, zieloni kibice Bluejaysów.

– Dobra, terroryści.

– Którzy przyjechali z Buffalo na mecz? Zejdź na ziemię.

Mężczyzna rozłożył ręce na znak kapitulacji.

– W porządku, poddaję się. Nie wiem, dlaczego kamery się przepaliły, ani mnie to szczególnie nie obchodzi.

– A co powiesz na to, że rozruchy skończyły się równie niespodziewanie, jak się zaczęły?

– Kto może przewidzieć, co zrobi motłoch?

– Nie. – Kobieta potrząsnęła głową, przypominając sobie, czego doświadczyła podczas oglądania meczu. – Cała ta historia sprawiała nieprzyjemne wrażenie.

– To są zamieszki – zauważył Harper. – Nie powinny sprawiać miłego wrażenia.

– Wiesz, co mam na myśli.

Zamyślił się przez chwilę, lecz w końcu wzruszył ramionami.

– Z upału ludzie robią różne dziwne rzeczy.

– Jest dopiero czerwiec! – zaprotestowała kobieta.

– Tak, wiem. – Policjant spojrział przez szklane drzwi na powietrze drgające z gorąca nad jezdnią. – Niech Bóg ma nas w swej opiece w lipcu i sierpniu.

Daru wyłączyła telewizor. Z dziennika nie dowiedzieli się niczego nowego, a Evan wciąż nie wracał.

– Cóż... – powiedziała do dwóch pozostałych osób, bezradnie wzruszając ramionami.

– Głęboka studnia – mruknął Roland, sięgając po gitarę. – Obróć ją na bok, a będziesz miała tunel.

– Och, bardzo mi pomogłeś! – warknęła Daru.

– Co obrócić na bok? – zastanawiała się Rebecca.

Zlekceważyli ją.

– A co chcesz, żebym powiedział? – powiedział drwiąco Roland. – Ustawmy wozy wkoło? Stwórzmy drużynę nieustraszonych ratowników i idźmy mu na ratunek? Nie wiemy, gdzie jest. Może go już w ogóle nie ma. Mógł już przegrać, a wtedy siedzimy po uszy w gównie. Czy pomyślałeś o tym? – Przeciągnął gwałtownie dłonią po strunach, westchnął i przycisnął czoło do gładkiego drewna.

Daru otworzyła usta, żeby mu powiedzieć, co sądzi o jego postawie defetysty, lecz Rebecca stuknęła ją lekko w ramię i pokręciła głową.

– Nie złość się na niego, Daru. On się martwi o Evana i jest tym rozdrażniony.

Roland podniósł wzrok, spojrział Daru w oczy i wzruszył ramionami. Z jego wyrazu twarzy nic nie można było wyczytać.

– Przepraszam. Ona ma rację.

Zadzwoił telefon. Daru i Roland podskoczyli, a Rebecca, zupełnie jakby się go spodziewała, przyklękła i wyciągnęła aparat spod kanapy. Znow zadzwonił.

– To Evan – powiedziała, podając telefon Daru.

– Skąd wiesz? – spytał Roland, gdy kobieta wzięła go od niej i przyłożyła słuchawkę do ucha.

Rebecca podniosła końcówkę przewodu, trzymając plastikową wtyczkę w dwóch palcach.

– Nie jest podłączony.

– Tak, tak, rozumiem. Zaraz tam będę. Posterunek pięćdziesiąty drugi? Dlaczego tak daleko? Tłok? Aha. Tak, wiem, gdzie to jest. Za jakieś piętnaście minut. Ty też. – Odłożyła słuchawkę, wzięła głęboki oddech i oznajmiła: – To był Evan. Muszę pojechać i wpłacić za niego kaucję.

– Wpłacić kaucję?

– Wiesz, poświadczyć za niego. – Przerwała i wargi jej drgnęły lekko. – Nie ma żadnych dokumentów.

Roland zachichotał. Zawtórowała mu, a potem oboje wybuchnęli śmiechem, podczas gdy Rebecca przyglądała im się z ogłupiałą miną.

Nie przestając się śmiać, Daru wstała, wzięła torebkę i podeszła do drzwi.

– Wrócimy najszybciej, jak będzie to możliwe.

Roland wytarł załzawione oczy.

– Nie ma dokumentów – powtórzył, znow skręcając się ze śmiechu. – Nie ma dokumentów.

Rebecca pokręciła głową. Czasami tak zwani normalni ludzie zachowują się bezsensownie.

Przeszła przez jezdnię przed pięćdziesiątym drugim komisariatem szybkim krokiem, nie patrząc pod nogi. Jak śmieli dać jej mandat za nieprawidłowe parkowanie, kiedy zatrzymała się tylko na minutę czy dwie. Dobra, może na dziesięć, ale gdzie indziej miała zostawić samochód? Znalezienie wolnego miejsca w śródmieściu przypominało wrywanie zębów – nie, było nawet gorsze od wrywania zębów. Oprócz dwudziestu doliczając zamierzała pozostawić gliniarzom niezatarte wrażenie po sobie. Nagle poczuła, że zderza się z kimś ramieniem, i straciła równowagę. Czyjaś silna dłoń przytrzymała ją i postawiła na nogi.

– Dzięki – rzekła do człowieka, który ją wyratował. Kiedy go mijala, spojrzała mu w twarz. Kąciki jej skrzywionych ust powędrowały w górę. Mężczyzna posłał jej w odpowiedzi uśmiech, na widok którego zapomniała o wszystkim. Nie dbając, co sobie o niej pomyśli, patrzyła na niego tak długo, aż wraz z towarzyszącą mu kobietą wsiadł do starego, zużytego japońskiego samochodu typu kombi i odjechał. Nawet nie był w jej typie: zbyt młody, zbyt atrakcyjny, stanowczo zbyt urodziwy – przyjęła sobie za punkt honoru nie interesować się mężczyznami, którzy byli zdecydowanie ładniejsi od niej – oraz obdarzony nieodpartym wdziękiem. – No, to jest mężczyzna – wzniosła westchnienie ku wieczornemu niebu – dla którego warto zrobić z siebie idiotkę. – Rzuciła po raz ostatni rozmarzone spojrzenie w kierunku, w którym zniknął, otworzyła drzwi komisariatu i weszła do środka, zapomniawszy o wcześniejszej złości.

– Zagraj jeszcze raz tę o jednorożcu. – Rebecca nie mogła usiedzieć na miejscu. – Tę, którą napisała twoja przyjaciółka.

– Już ją grałem, dziecino. A po niej dwie następne.

– Wiem – rzekła, przewracając oczami. – Powiedziałam, żebyś zagrał ją jeszcze raz.

Roland uśmiechnął się.

– Aha, jeszcze raz. Zechciej mi wybaczyć.

Rebecca zamyśliła się, marszcząc brwi i obgryzając paznokieć lewego kciuka.

– Zgoda – oświadczyła po chwili. – Możesz zagrać, co chcesz, ale wpierw musisz zagrać piosenkę o jednorożcu.

– Wygrałaś. – Roland ustąpił, nie przestając się uśmiechać. Nie miał nic przeciwko graniu dla Rebeki – choć zazwyczaj chciała, żeby śpiewał ciągle te same piosenki – ponieważ była zawsze taka zasluchana i ogromnie skupiona. Tacy słuchacze nie zdarzali się często.

Mknie co sił przez ciemny las, Strach błyszczy w jego oku.

Za sobą słyszy dźwięk, co świadczy, Że łowcy go zachodzą z boku.

Z całego repertuaru Rolanda dziewczyna najbardziej lubiła proste melodie z fantastycznymi tekstami, które przysyłała mu w każdym liście od pięciu czy sześciu lat

jedna z jego najstarszych przyjaciółek. Kilka razy próbował oszukać Rebecę piosenkami o podobnej tematyce i budowie, lecz nigdy nie dawała się nabrać. Kiedyś zagrał jej jeden z własnych utworów. Słuchała równie uważnie, przechyliwszy głowę na bok, ale gdy skończył, powiedziała:

– To bardzo dobre, Rolandzie, ale niezupełnie. – Jednakże nie umiała mu wyjaśnić, jaka była ta piosenka.

Od tej pory nie zagrał jej już żadnej ze swoich melodii, głównie dlatego, że w głębi duszy podzielał jej zdanie.

Kiedy skończył, usłyszeli głosy na korytarzu. Drzwi się otworzyły.

– Evan! – Rebecca zerwała się na równe nogi i przebiegła przez pokój, z trudnością zatrzymując się przed Adeptem. – Nic ci nie jest?

– Jestem zdrow i cały, Pani. – Uśmiechnął się. Rolandowi wydało się, że był trochę zmęczony. – Dziękuję za troskę.

– Aresztowali cię!

– Tak. – Pieszczotliwie odgarnął jej z twarzy pasmo włosów. – To prawda.

Rebecca spojrzała na Daru i oczy jej się rozszerzyły.

– Masz kurczaka!

– Tak. – Daru podała jej torbę w czerwone i białe paski – Mam.

Rebecca zanurzyła twarz w torbie, wdychając zapach powoli i z zachwytem, następnie odwróciła się i pokazała ją Rolandowi.

– Rolandzie! Mają kurczaka.

– Widzę, dziecino. – Stał, przyciskając do siebie Cierpliwość i szukał u Evana śladów czegokolwiek. Z doświadczenia wiedział, że gliny nie obchodzą się łagodnie z pozbawionymi dokumentów młodymi ludźmi, których wyciągają z różnych zajęć. – Nic ci nie jest?

Evan rozłożył ręce.

– Jak widzisz, jestem cały.

Roland nadal się przyglądał. Korzystasz z okazji, żeby się pogapić, i skrywasz to pod pozorami troskliwości, stwierdził cichy wewnętrzny głos, lecz został zignorowany. Rebecca włożyła muzykowi do jednej ręki talerz pełen kurczaka, frytek i surówki z kapusty, a z drugiej wyjęła gitarę i zastąpiła ją widelcem.

– Jedz – powiedziała i tak też uczynił.

Później, kiedy ogryzł już kości i odzyskał równowagę wewnętrzną – miał nadzieję, że nie będzie musiał przez to przechodzić za każdym razem, kiedy ujrzy Evana, choć podejrzewał, że tak będzie – zapytał:

– Co się stało?

Evan podsunął Tomowi kawałek skórki. Kot pojawił się w chwili, gdy zasiedli do jedzenia.

– Położyłem kres zamieszkom – odparł. – Nie mogłem znieść tego cierpienia, tego strachu. On się wymknął. Sądzę, że wiedział, iż tak się skończy. Myślę, że jest gdzieś teraz i śmieje się ze mnie. – Urodziwa twarz Adepta była zmęczona i zatroskana. – Zakończenie tych zajęć wyczerpało całą moją moc.

Daru prawie nie mogła poznać swego głosu, gdy oświadczyła:

– Kiedy ocaliłeś tych ludzi, kiedy pozwoliłeś mi się wymknąć, być może skazałeś resztę świata na pogrążenie w Ciemności.

– Wiem.

Nic więcej nie można było powiedzieć, bo rzeczywiście o tym wiedział, i to lepiej od nich, cierpienie w jego głosie, w tym jednym słowie, wystarczyło, żeby wycisnąć łzy z kamienia.

Posterunkowy Harper odsunął na bok klawiaturę, splótł palce i przeciągnął się. Jego służba dobiegała końca i policjant już nieomal czuł smak zimnego jak lód piwa, które czeka na niego w domu. Jakoś przetrzyma to ostatnie półtorej godziny. Co się może zdarzyć o wpół do dziesiątej wieczorem w niedzielę w Toronto zwanym Dobrym?

Usłyszał, że drzwi się otwierają, lecz zanim się odwrócił, już wiedział, co zobaczy. Klimatyzacja, która zmagala się z upałem, nie mogła sobie poradzić z wonią zastarzałego brudu, zastarzałego potu, niepranej odzieży, a przede wszystkim z przenikliwym smrodem stęchłego moczu.

– Hej, koleś, masz chwilkę?

Oddychając płytko przez usta, Harper wstał i powoli podszedł do kontuaru. To było najgorsze – nie miał innego wyboru i musiał zająć się tą staruszką. Nie mógł pozwolić sobie na pójście do toalety i zostawienie gościa koledze przy biurku. A niech to wszyscy diabli.

– W czym mogę pomóc? – spytał, z wysiłkiem zachowując obojętność.

– Znasz tę dziewczynę, którą zabili wczoraj w nocy? Wydaje mi się, że wiem, kto to zrobił. Interesuje cię to?

– Co...

Pani Ruth westchnęła i potrząsnęła głową.

– Ta dziewczyna, którą zabili wczoraj w nocy – powtórzyła powoli. – Wydaje mi się, że wiem, kto to zrobił. – Policjant nadal sprawiał wrażenie trochę ogłuszonego, więc dodała: – Właśnie szłam do pojemnika na śmieci, kiedy zobaczyłam, jak ten facet wychodzi z parkingu. Wtedy niczego nie podejrzewałam, ale on miał jakiś dziwny zapach. Potem usłyszałam przez pocztę pantoflową, co się stało, więc przyszedłam



opowiedzieć o wszystkim gliniarzom.

– Miał dziwny zapach? – Policjant zastanawiał się, jak staruszka mogła to poczuć.

– Tak. Nie czuć go było kosztownymi perfumami czy brylantyną, raczej krwią. – Głos starej kobiety zabrzmiał posepnie. – A ja wiem, jaki zapach ma krew.

– Jeśli poszła pani do śmietnika, musiała pani znaleźć zwłoki. – Tak zawsze się dzieje, westchnął Harper w duchu. Każda sensacyjna zbrodnia przyciąga pomyślników.

Pani Ruth zmrużyła oczy.

– Nie powiedziałam, że poszłam do pojemnika na śmieci – sprostowała. – Powiedziałam tylko, że byłam w drodze. Coś mi przeszkodziło i nie dotarłam do niego. Czy zamierzasz wreszcie wezwać kogoś, żebym mogła złożyć zeznanie i opisać tego faceta, czy mam się rozzłościć?

Z głosu była tak podobna do nauczycielki, która wzbudzała w Harperze przerażenie przez całą trzecią klasę, że wcisnął guzik interkomu, zanim zauważył, iż poruszył palcem.

Pani Ruth uśmiechnęła się.

– ...no bo dlaczego miałbym mu pozwalać, żeby tak mną pomiatał?

– Racja, dlaczego.

– Temu pieprzonemu przemądrzalcowi przewróciło się we łbie tylko dlatego, że jeździ BMW i ma tę szpanerską pracę w firmie komputerowej, ale ja jestem tak samo dobry jak on.

– Lepszy.

– Masz, kurwa, rację!

Adept Mroku nachylił się, ostrożnie kładąc ręce na stole między kólkami pozostawionymi przez szklanki z piwem.

– W końcu, gdzie byliby wszyscy tacy jak on, gdyby nie ty. Jeden z tych, którzy rzeczywiście wytwarzają to, co tamci konsumują.

– Właśnie. To też! – Mężczyzna wychylił zawartość szklanki i podsunął ją do napełnienia, dawno przestał się dziwić, dlaczego dzbanek nigdy się nie opróżnia. – I wiesz, co jeszcze? Ten sukinsyn miał czelność mi powiedzieć, że nie mogę kłaść swoich śmieci na końcu podjazdu. Ten pierdolony podjazd należy do nas obu, a jemu się wydaje, że może mi zabronić wystawiania tam moich pieprzonych śmieci.

– Może już czas, żeby coś z tym zrobić.

– Aha. – Mężczyzna spojrział spode łba. – Może już czas. – Nagle odepchnął krzesło i wstał, zataczając się lekko. – Trzeba zaraz coś z nim zrobić.

– Czy nadal trzymasz strzelbę w głębi szafy w korytarzu?

– Aha. – Mężczyzna zmrużył oczy. – Tak. Już ja pokażę temu skurwysynowi. –

Szedł chwiejnym krokiem, objając się o krzesła i ludzi, nie pozwalając, by przekleństwa czy rozlane piwo przeszkodziło mu w dotarciu do domu. Do szafy na korytarzu. I w daniu nauczki temu zarozumiałemu gnojkiowi z sąsiedztwa.

– Przyszło prawie za łatwo – westchnął Adept. Przyciągnął uwagę jednej z kelnerek i zawołał ją do siebie skinieniem głowy.

– Och, ależ on jest odlotowy – szepnęła dziewczyna do koleżanki, wsuwając tacę pod pachę i obrotem bioder poprawiając krótką spódniczkę.

Druga z kelnerek spojrzała w kierunku mężczyzny.

– Sprawia wrażenie niebezpiecznego.

– Tobie się wydaje, że każdy, kto ma błysk w oku, jest niebezpieczny.

Kelnerka potrząsnęła głową, kołysząc postrzępioną fryzurą.

– Tak, ale on wygląda rzeczywiście groźnie. Jak... jak ostry nóż.

– Jakie to poetyckie. – Zwilżywszy jaskrawoczerwone wargi, wezwana dziewczyna oddaliła się powłóczyстым krokiem, rzuciwszy ostatnie słowa: – Nie martw się, kotku, poradzę sobie.

– W takim razie już uzgodnione. – Daru schowała długopis z powrotem do torebki i wydarła kartkę z notatnika, który trzymała na kolanach. – Pójdę jutro, zrobię wszystko, co absolutnie trzeba zrobić, i uprzedzę, że biorę wolne na resztę tygodnia. Roland i Evan zaczną pokazywać w hotelach rysunek. – Spojrzała na szkice, jakie Evan wykonał na podstawie przelotnego ujrzenia Adepta Ciemności na stadionie. Rysunki były dobre i uwzględniały nawet guziki przy kołnierzu i lekko pogardliwy wyraz twarzy. – Czy możemy być pewni, że cały czas będzie tak wyglądał? – spytała.

– O tak – zapewnił ją Evan. – Dopóki ponownie nie przejdzie przez barierę, jest w takim samym stopniu związany z tym ciałem, jak ja ze swoim.

Usatysfakcjonowana Daru pokiwała głową, a Roland przegnał z myśli obraz, jaki mu nasunęła wzmianka o związaniu z ciałem Evana.

– A jutro po pracy – oświadczyła Rebecca – Evan i ja we dwóch...

– We dwoje – automatycznie poprawiła Daru.

– Właśnie. Evan i ja we dwoje pójdziemy poprosić mały ludek, żeby pomógł szukać.

– Dziewczyna westchnęła. – Szkoda, że nie mogę wziąć wolnego do końca tygodnia.

– Mimo iż potrzebujemy cię, Pani, tam jesteś bardziej potrzebna.

– Tak, ale...

– Czy nie mówiłaś, że trzy z twoich współpracowniczek mają zwolnienie lekarskie?

Rebecca znów westchnęła.

– Tak, trzy. Gdybym i ja się zwolniła, nie byłoby to sprawiedliwe wobec Leny. Wtedy sama musiałaby piec bułeczki.

– Nie rób takiej smutnej miny. – Evan odczepił swój znaczek z uśmiechniętą buzią, nachylił się i przypiął Rebecce do podkoszulka. – W pracy widzisz wielu ludzi, słyszysz wiele rozmów. Jeśli zaczniesz się dziać coś dziwnego, będą o tym mówić, a ty nam wszystko powtórzysz. Ktoś, kto słucha ludzi w trakcie ich codziennych, zwykłych zajęć, może udzielić nam potrzebnej wskazówki. Adept Ciemności najbardziej zakłóci życie zwyczajnych ludzi.

– W porządku. – Rebecca skinęła niechętnie głową i chwyciła go za rękę. Przesunęła palcem po jego bransoletkach, aż zabrzęczały, uśmiechnęła się i zrobiła to jeszcze raz. – Ale dlaczego nie możemy zacząć już dziś wieczorem? Nie jest jeszcze późno.

– Jest zdecydowanie za późno – oświadczyła Daru, wstając. – Żadne z nas nie wyspało się dobrze zeszłej nocy, a ty i ja – rzekła z naciskiem – musimy wstać wcześniej rano. – Obróciła się do Rolanda. – Wychodzimy. A ty – zwróciła się do Rebeki – kładź się do łóżka.

– Może będzie lepiej, jeśli zostanę? – zaproponował Roland.

– Będzie lepiej, jeśli pójdziesz do domu i przebierzesz się w coś czystego – odparła Daru.

– Ale... – Spojrzał na Evana, potem na Rebeccę, a następnie na Daru. Ich twarze wyrażały jedynie ciekawość, na obliczu Daru malowało się nieomal wyzwanie. – No tak, chyba masz słuszość.

– Daru prawie zawsze ma słuszość – powiedziała Rebecca.

– Doprawdy. – Przechylił się nad oparciem kanapy, szukając futerału od gitary. – Czy to nie jest męczące? – Pokrowiec ześlizgnął się i leżał na podłodze, poza zasięgiem jego ręki.

Daru uśmiechnęła się.

– Nie, ani trochę.

– Pani Ruth zawsze ma słuszość – oznajmiła Rebecca wszystkim obecnym.

Daru przewróciła oczami.

– Pani Ruth jest bezdomna, Rebecco. Samo to nie jest bardzo słuszne.

– Czy znasz panią Ruth? – spytał Roland, obchodząc kanapę, żeby dostać się do futerału.

– Nie miałam jeszcze tej przyjemności.

– Ominęła cię prawdziwa rozkosz. – Schylił się i podniósł futerał, który nie był zamknięty. – Masz... Wynocha stąd, kocie!

Tom uniósł głowę, mrużąc lekko ślepia od blasku i ziewnął. Jego ciało doskonale pasowało do futerału, wszystkie łapy były bezpiecznie wczepione pazurami w filcową wykładzinę.

– Precz! Won stąd!

– Pewno myślał, że to kocie łóżko – wysunęła przypuszczenie Rebecca, gdy Tom wstał, przeciągnął się i przelaźni przez krawędź pokrowca.

– Nic mnie nie obchodzi, co się jemu wydawało – warknął Roland, przykłękając i strzepując kocią sierść. Gdy Tom szturchnął go w żebra niemal dość mocno, żeby go przewrócić, jęknął głucho i odepchnął kota. Zwierzak sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie, wrócił i powtórzył swój manewr.

Daru zdławiła śmiech.

– Myślę, że on próbuje cię wkurzyć. Koty zawsze wiedzą.

– Co wiedzą? – Roland ostrożnie ułożył Cierpliwość, zatrzasnął wieko i wyprostował się. – Chodźmy już.

– Spotkamy się tutaj jutro rano? – spytał Evan. Kiedy Roland odwrócił się do Adepta, jego oblicze złagodniało.

– Aha, ósma trzydzieści, tak jak się umawialiśmy. – Pokiwał palcem na Rebecę. – Opiekuj się nim do tego czasu, dziecino.

Rebecca rzeczowo skinęła głową.

– Jasne, że tak. – Uśmiechnęła się do Evana, a on odpowiedział tym samym.

Roland nie mógł już zaprzeczać temu, co widział na własne oczy.

– Hej, jeśli sądzisz...

Dłoń Daru niczym stalowa obręcz zacisnęła się na jego ręce powyżej łokcia. Kobieta wypchnęła go za drzwi i zatrzasnęła je za sobą, zanim Roland zdążył się połapać, co ona robi. Kiedy go wypuściła, roztarł ramię i spojrzał na nią wściekłym wzrokiem.

– Czy wiesz, co tam się będzie działo dzisiaj nocy? – wybełkotał w podnieceniu.

– Wiem. – Jej głos był lodowaty. – A ty wiesz?

– Oczywiście. Oni zamierzają... hm...

Daru westchnęła, a jej głos stał się odrobinę serdeczniejszy:

– Zastanów się przez chwilę. Pomyśl, kim jest Evan. On z pewnością nie wykorzysta biednej, opóźnionej umysłowo dziewczyny. – Daru uśmiechnęła się niespodziewanie. – I nie przypuszczam, aby Rebecca wykorzystała jego. Chodź. – Ruszyła w stronę schodów. – Podwiozę cię do domu.

Zgodnie z poleceniem rozmyślając nad tym, Roland pośpieszył, żeby dogonić Daru.

– Czy ciebie to nie niepokoi? – dopytywał się, kiedy przechodzili przez mały korytarz.

– Dlaczego miałoby niepokoić? Evan z natury nie jest zdolny do czynienia zła, a Rebecca, pomimo swego upośledzenia, jest fizycznie dojrzałą kobietą odczuwającą wszystkie – otwierając drzwi, Daru zastanawiała się nad następnym słowem – popędy,

jakie z tego wynikają.

– Chcesz powiedzieć, że kiedy spytała, czy będę z nią spał...

– Wyrażała się eufemistycznie? Prawdopodobnie tak.

Daru rozejrzała się w obie strony i weszła na College Street. Roland szedł za nią.

– Posłuchaj, nie można chronić umysłowo upośledzonych przed światem tak mocno, aby nigdy nie mieli szansy wyciągnąć z niego żadnej nauki. Rebecca ma pracę i mieszkanie, dlaczego więc nie miałyby mieć również kochanków?

– Bo może zostać skrzywdzona!

– Emocjonalnie? Tak samo jak my wszyscy. Prawdę mówiąc, dzięki swej prostocie nie stwarza wielu uczuciowych męczarni, jakimi się zadręczamy. Fizycznie? Nie ma na świecie kobiety, której by to nie groziło. Wstyd i hańba, ale tak jest. Myślisz, że Rebecce brak rozsądku, aby unikać mężczyzn, którzy chcieliby ją wykorzystać? No więc myślisz się. Rebecca ma dziecięcą zdolność patrzenia prosto w serce i żaden oszust, psychopata czy maniak nie może jej skrzywdzić. Oczywiście nie jest to jakaś specjalna moc, jaką obdarzeni są wszyscy umysłowo upośledzeni, ale Rebecca z całą pewnością tak. – Daru zatrzymała się przy swoim poobijanym, zielonym samochodzie i zaczęła szukać kluczy w torebce.

Roland uniósł głowę i obserwował, jak coś, co na pewno nie było wiewiórką, biegnie po przewodach energetycznych.

– Ona widzi skrzaty w zaroślach – mruknął.

Daru spojrzała tam gdzie on i parsknęła.

– Ty też. – W odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie Rolanda wzruszyła ramionami i rzekła:

– Tak samo ja. Po patrzeniu w oczy Evanowi byłabym zdziwiona, gdybym ich nie widziała. – Szarpnęła drzwi, wsiadła i schyliła się, by wyciągnąć pas od strony pasażera.

– Czy ciebie to nie niepokoi? – spytał Roland, kładąc gitarę na tylnym siedzeniu.

– Nie. – Daru zapaliła gaz i ostrożnie wyprowadziła samochód z miejsca, w którym zaparkowała. – One będą żyć swoim życiem, a ja swoim. Nędza, głód i dyskryminacja niepokoją mnie dużo bardziej. Dokąd jedziemy?

– Na Neal, na wschód od Pape, na północ od Danforth.

– Wiem, gdzie to jest.

Przez chwilę jechali w milczeniu; Roland koncentrował się na tym, jak widzi Rebecę, a Daru na – ruchu ulicznym.

– Do dwunastego roku życia – powiedziała nagle Daru, hamując na czerwonym świetle – Rebecca była normalną dziewczynką. Pewnej niedzieli podczas wycieczki za miasto w rodzinny samochód uderzyła ciężarówka. W czasie zderzenia Rebecca została

wyrzucona z samochodu. Gdy przyjechała pomoc, oba pojazdy płonęły, a dziewczynka była jedyną osobą, która przeżyła. Znalaziono ją w rowie na poboczu, ubłoconą i okrwawioną. Według raportu medycznego tego dnia zaczęła miesiączkować, prawdopodobnie w czasie wypadku lub tuż po nim.

Roland drgnął, bardziej wytrącony z równowagi wzmianką o miesiączce niż o śmierci trojga ludzi. To nie moja wina, tłumaczył się przed samym sobą, to kobiece sprawy.

– Najcięższym z jej obrażeń było pęknięcie czaszki; duży odłamek kości uciskał mózg. Straciła tak wiele krwi, że lekarze obawiali się o jej życie, jednakże dziewczynka doskonale zniosła operację i szybko odzyskała pełnię zdrowia, w każdym razie zdrowia fizycznego. Nie trzeba było długo czekać, by ujawniły się skutki uszkodzenia mózgu. W ciągu niecałego roku jej umiejętności czytelnice zostały zredukowane do poziomu podstawowego. Straciła także umiejętności matematyczne i zdolność myślenia abstrakcyjnego.

– Jakiego?

– Abstrakcyjnego. Abstrakcje to te wszystkie rzeczy, jakie ludzie stworzyli, żeby zaśmiecać sobie życie. Sto lat temu, może nawet pięćdziesiąt, w niektórych częściach świata Rebecca świetnie dawałaby sobie radę. Wyszłaby za męża, miała dzieci i troszczyła się o żywy inwentarz, całe życie spędzając w obrębie ściśle określonych parametrów i mając do czynienia z rzeczami, z którymi dobrze potrafi sobie poradzić. Jednakże życie w dzisiejszych czasach – Daru na sekundę oderwała dłonie od kierownicy i rozłożyła je bezradnie – po prostu nie zostawia jej takiej możliwości. Lekarze i pracownicy społeczni wkrótce stwierdzili, że skoro Rebecca nie radzi sobie z myśleniem abstrakcyjnym, nie może korzystać ze skrótów. Każdą rzecz czy uczynek musi wykonywać krok po kroku w ściśle określonych etapach. Mimo to upośledzenie nie było tak ciężkie, by trzymać Rebecę w zakładzie zamkniętym. Dziewczynka przebywała więc kolejno w kilku rodzinach zastępczych.

– A krewni?

– Nie ma żadnych. – Daru wrzuciła trzeci bieg gwałtownym, ledwo opanowanym ruchem. – Kiedy Rebecca miała piętnaście lat, jej ojczym przyszedł do Towarzystwa Opieki nad Dziećmi i przyznał się do molestowania seksualnego powierzonych mu dzieci.

Roland nagle ujrzał w myślach wieszanie i ćwiartowanie owego mężczyzny. Niewątpliwie skłonił go do tego gniew brzmiący w głosie Daru.

– Próbował tego samego z Rebecca. Powiedział, że nie pamięta, co się stało, że gdy oprzytomniał, już szedł się przyznać. Czytałam raport. Cały czas powtarzał: „Nie

zdawałem sobie sprawy” i zalewał się łzami. Jedyne, co Rebecca powiedziała na ten temat, zarówno podczas pisania raportu, jak i później, gdy ją pytałam, to: „Pokazałam mu, co zrobił”. – Daru przerwała, omijając autobus i skręcając w Neal Street. – Nie, nie sądzę, abyś musiał się martwić o Rebecę. Poza tym, nie widziałam jej jeszcze w tak dobrym stanie jak dzisiaj.

– Evan?

– Mało prawdopodobne, aby zawdzięczała to sytuacji. – Uśmiech Daru błysnął bielą w ciemności, kontrastując z głębokim sarkazmem w jej głosie. – To miałyby sens. W końcu Evan jest Światłością i należałoby się spodziewać po nim, że będzie wydobywał z ludzi to, co w nich najlepsze. Mów, kiedy.

Roland wskazał dom swego wuja i Daru zatrzymała się przed nim. Mężczyzna wysiadł, wyciągnął gitarę z tyłu, zamknął drzwi i nachylił się do Daru w otwartym oknie.

– Dziękuję za podwiezienie. I za informacje. Dałaś mi... – westchnął. Evan i Rebecca. Właśnie. – Dałaś mi dużo do myślenia.

– I jeszcze jedno. – Kobieta popatrzyła mu w oczy i Roland niemal skulił się na widok bezkompromisowego wyrazu jej twarzy. – To prawda, że zdenerwowałeś się z powodu Rebeki, ale nie sądzę, aby tego przyczyną było jej upośledzenie. Myślę, że jesteś bardziej zły dlatego, że ona prześpi się z Evanem, a ty nie.

Roland przyglądał się tylnym światłom samochodu, który zniknął za rogiem, i kiedy Daru już nic nie mogła powiedzieć, wyszeptał:

– To śmieszne. – Potem odwrócił się i wszedł do budynku, lekceważąc coś – cokolwiek to było – co siedziało w peoniach i parsknęło szyderczo na jego widok.

Evan przycisnął policzek do włosów Rebeki. Oczy miał półprzymknięte, oddech płytki. Dziewczyna przytuliła się mocno do jego piersi, a on uśmiechnął się, głaszcząc ją lekko dłonią po wilgotnych plecach. Godzina w jej objęciach uczyniła wiele dla przywrócenia mu mocy, jaką zużył na stłumienie zamieszek. Do rana...

Równowaga została zakłócona nagle i boleśnie. Ledwo powstrzymał się przed głośnym krzykiem.

Oto jestem, rzekła Ciemność. Chodź i złap mnie, jeśli się odważysz.

Wiedział, że wyzwanie zostało rzucone w chwili jego słabości i nieprzygotowania, wyczerpania po popołudniowym wysiłku. Zdawał sobie sprawę, że Ciemność nie rzuciłaby tego wyzwania, gdyby sądziła, iż może przegrać. Wiedział też, że Mrok wie, iż nie może go nie podjąć.

Delikatnie położył Rebecę na łóżku i wysunął się spod jej wyciągniętej ręki. Poruszyła się i na wpół ocknęła, wołając go po imieniu. Nachylił się i lekko pocałował ją w czoło.

– Śpij, Pani – rzekł, czując słonawy smak na wargach. Dziś w nocy będzie czuwał nad jej bezpieczeństwem i jutro i przez całą wieczność, jeśli będzie mógł. Urzekła go swą jasnością od chwili, gdy ją ujrzał, a co Ciemność zrobiłaby takiej słodkiej prostocie...

Rebecca westchnęła i znów wcisnęła się w poduszki. Widziana oczami Evana promieniowała ciepłym, złocistym blaskiem.

Tom wszedł do wnetki i wskoczył na łóżko, sadowiąc się w swoim zwykłym miejscu, teraz zwolnionym.

– Pilnuj jej, maleńki – szepnął Evan. – Bądź przy niej podczas mojej nieobecności.

Tom podniósł łapę i zaczął wylizywać ją między pazurami. Evan nie musiał mówić mu, co ma robić.

Adept wyprostował się, ubrał się w mgnieniu oka, po raz ostatni dotknął wydatnej krzywizny biodra Rebeki, by utrwalić wspomnienie w pamięci, i ruszył ku Ciemności.

...ku zaułkowi spowitemu mrokiem nie tylko nocy. Usłyszał głosy i śmiech. Ostrożnie szedł naprzód.

– Nie... Błagam...

Evan potknął się, gdy fala Ciemności spadła na niego z hukiem, a potem zaczął biec.

U wylotu zaułka, pod słabym, czerwonym światłem migoczącego znaku wyjścia przeciwpożarowego:

Chłopiec, kilkunastoletni, pod ścianą, obie ręce przyciśnięte do twarzy i krew spływająca między palcami.

U jego stóp następny. Twarzą w rozszerzającej się kałuży.

Przed nim pięć roześmianych cieni z nożami.

Dalej dobrze ubrany mężczyzna, który rozłożył ręce i uśmiechnął się na powitanie. Był to uśmiech, który mógł zobaczyć tylko Evan.

– Nie jesteś już taki ładny, co, gówniarzu? – Jeden z cieni zbliżył się do chłopca dumnym krokiem i postukał go w bark tyłcem noża. Ogolona głowa napastnika błyszczała w czerwonym świetle, które zabarwiało na fioletowo pokrywające ją tatuaże.

– Zabawimy się trochę z tobą.

– Oto jestem – mruzczała Ciemność. – Masz okazję skończyć ze mną.

Chłopiec zaskomlał, a jego jasne spodnie nagle pociemniały w kroczu.

– Hej! On się posikał! – Jednego z cieni wprawiło to w histeryczną wesołość.

– Niegrzeczny chłopiec – szydził inny. – A niegrzecznych chłopców trzeba karać.

– Mamy mu uciąć kutasa? – spytał pierwszy, zniżając czubek noża na wysokość szczytu plamy.

– Uciąć mu kutasa! – wrzasnęły cienie, entuzjastycznie przytakując.

– A może najpierw powinieneś czymś się zająć – zasugerował Mrok. Spojrzał na



zegarek. – Proszę, pośpiesz się. Nie mam całej nocy.

Evan podszedł do przodu i wszedł w krąg cieni. Czuł, jak wzbiera w nim zimna furia na myśl o tak beztróskim niszczeniu ludzkiego życia po to, by go wciągnąć w potrzask. Nie mógł odmówić ocalenia chłopca.

– Patrzcie, patrzcie, co my tu mamy? – Wyczuwszy nową ofiarę, przywódca gangu odwrócił się i parsknął szyderczo. – Jakiś pieprzony biały rycerz przybywający z odsieczą?

Pozostali roześmiali się i krąg wokół Evana zamknął się. Przyjemność czerpana z zadawania bólu biła w niego falami, otaczała go i izolowała, a po pewnym czasie go osłabi.

– Proszę – powiedział cicho, otwierając dłonie i rozkładając ręce – puście chłopca. Odłóżcie noże. Wyzwólcie się spod władzy Ciemności. – Wszystkim istotom zdolnym do dokonania wyboru należało go umożliwić.

– Zawrócić z drogi Ciemności? – Przywódca zbliżał się, luźno obejmując nóż prawą dłońią. – Panowie, trafił nam się jakiś pierdolony księżulo.

– Wygląda jak pedał – zauważył bandzior ze swastykami wytatuowanymi na obu policzkach.

– Jemu odetnijmy kutasa! – Trzeci głos wybił się ponad pozostałe i prawie załamał z podniecenia.

Tamtego popołudnia Evan oddał się stadionowi pełnemu wzburzonych ludzi, przypomniał im o Światłości i pomógł przegnać Ciemność. Ta piątka mężczyzn, których miał przed sobą, jedynie zmrużyła oczy w blasku i mocniej ścisnęła broń. Nie było w nich już żadnej Światłości, do której mógłby się odwołać.

Kątem oka dostrzegł ostrze noża i uchylił się. Kiedy stał prześlizgnęła mu się po włosach, wbił łokieć w brzuch napastnika. Lepki od krwi obcas wysokiego buta nieomal trafił go w kolano, wtedy Adept uderzył przywódcę gangu i przewrócił na ziemię.

– A to skurwysyn! – wrzasnął wódz, z trudem podnosząc się na nogi. – Załatwić go!

Oparty o mur zaułka Mrok śmiał się.

To ranny chłopiec – który mógł bezpiecznie uciec, lecz szarpnął jednak napastnika za włosy i odsunął nóż od żeber Evana – dał Adeptowi Światłości dość sił, by mógł uczynić to, co musiał.

Z zaciśniętych rąk Evana buchnęło oślepiające światło.

Po tym walka skończyła się bardzo szybko.

– Wygnawszy zaś człowieka – rzekł Adept Mroku, prostując się – Bóg postawił przed ogrodem Eden cherubów i połyskujące ostrze miecza, aby strzec drogi do drzewa życia.

Evan westchnął i wciągnął słup światła z powrotem do swego wnętrza.

– Jeśli życzysz sobie cytatu – powiedział zmęczonym tonem, przecierając twarz dłonią: – Nie sądzicie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz.

– Bowiem oto ciemności okryją ziemię, a ludzkości mrok jeszcze gęstszy.

– To zaledwie połowa cytatu – zauważył Evan.

Adept Mroku wzruszył ramionami.

– Zapomniałem reszty. – Z wdziękiem wyszedł na środek zaułka w przekonaniu, że Światłość do tego stopnia wyczerpała siły, że nie stanowi już zagrożenia. Fakt, że posiadała ich tyle, by rozprawić się z bandą opryszków, zaskoczył go nieco. Wiedział, że uspokojenie mas na stadionie uczyniło ją niemal bezbronną. Mógł ją wtedy zaatakować, chwilowo zmieść Światłość z powierzchni tego świata, jednakże nie wiedziałyby wtedy, kto ją zwyciężył, i gdzie byłaby w tym przyjemność? Na szczęście Światłość, której czyny tak łatwo przewidzieć, nietrudno było wciągnąć w pułapkę. Poza tym, szczęśliwie się złożyło, że jego oddziały szturmowe dodatkowo osłabiły nieprzyjaciela. Chociaż nie miałby im za złe, gdyby skończyli robotę, być może tak było lepiej. Uniósł rękę i nagłym ruchem wycelował ją w Evana.

Adept uśmiechnął się szeroko i szybko zasłonił się ramieniem. Wraz z tym ruchem znikło całe jego zmęczenie. Srebrne bransolety zatrzymały bicz mocy Mroku i roztrzaskały go na tysiąc niegroźnych kawałeczków. Evan nie widział, dlaczego tak szybko wróciło mu tyle sił – może na tym świecie było więcej dobra, niż się spodziewał – lecz rozkoszował się przybytkiem mocy. Ciemność czeka przykry wstrząs. Szybko cisnął tuzin błyszczących dysków i uśmiechnął się drapieżnie, gdy jeden z nich przedostał się przez pośpiesznie wzniesioną barierę i Adept Mroku krzyknął z bólu. Z płonącymi oczami i uniesionymi dłońmi Evan zbliżył się do pustego miejsca. Był w zaułku sam z rannym chłopcem i zwłokami jego przyjaciela.

Evan sięgnął zmysłami tak daleko, jak pozwalała mu na to odwaga, lecz uciekający Adept Mroku nie zostawił po sobie śladu.

Szloch wydobywający się z krtani niewinnego człowieka sprowadził go znów na ziemię.

Schylił się i łagodnie poklepał chłopca po ramieniu, dodając mu otuchy i uśmierzając ból.

– Richard nie żyje – usłyszał szept spoza okrwawionych palców.

– Tak.

Orzechowe oczy o posklejanych rzęsach spojrzały na niego z dołu.

– Czy możesz sprawić, aby wrócił?

– Nie.

– Ale sprawiłeś, że tamci – głos załamał się – znikli.

– To prawda – przyznał Evan. – Jednakże nie potrafię pokonać śmierci.

Bariera rąk opadła. Jedna z nich spoczęła lekko na sztywniejących plecach Richarda. Chłopiec miał nie więcej niż piętnaście lat, a może nawet i tylu nie miał. Z rozcięcia na policzku wciąż powoli sączyła mu się krew.

– Kim jesteś?

– Wojownikiem walczącym z Ciemnością, Matthew. – Chłopiec nagle podniósł głowę na dźwięk swego imienia. – Jakim i ty stałeś się tej nocy. Ta blizna będzie znakiem wojownika. Noś ją z dumą.

Matthew klęczał samotnie.

– Noś ją z dumą, pewnie – parsknęła pani Ruth, wyłaniając się z cienia człapiącym krokiem. – I to ma być cała cholerna pomoc? Ci mężczyźni!

Matthew drgnął i szybko się odwrócił. Kiedy ujrzał niską, krępą sylwetkę bezdomnej kobiety, która mozolnie ciągnęła za sobą przeladowany wózek ze sklepu, strach malujący się na jego twarzy przeszedł w osłupienie.

– Kim...

– Jedyne kimś, kto zbiera resztki, koleś. Niech no ja spojrzę na tę twarz. – Uszczypnęła go w podbródek, chłopiec spróbował się uchylić, ale nie z bólu. Buchający prosto na niego oddech czuć było cebulą i czosnkiem. – Szybka pomoc lekarska i może w ogóle nie zostanie śladu. Znak wojownika. Akurat.

– Co... – Matthew chciał odwrócić oczy, lecz nie mógł nimi poruszyć. Niespodziewanie zabrakło mu sił. Oczy starej kobiety były czarne i głębokie i chłopiec miał przedziwne wrażenie, że gdzieś spada.

– Teraz pójdziemy stąd i wezwiemy policję. Powiesz im, jak ci źli chłopcy przyparli ciebie i twojego przyjaciela do muru i jak uciekli, gdy zobaczyli, że wchodzę do zaułka. Nie wiem, może sądzili, że jestem z Królewskiej Konnej.

Matthew pozwolił, by pomogła mu wstać. Stara kobieta i mocno wsparty na jej ramieniu chłopiec ruszyli w stronę ulicy. Chłopak widział opryszków, noże, upadek Richarda, słyszał hałas wywołany pojawieniem się bezdomnej kobiety, obserwował szydercze twarze znikające w ciemności.

– Dlaczego... – Popatrzył na swoje ręce. Były zalane krwią. – Dlaczego nic nie czuję?

– To wstrząs. – Pani Ruth mocniej objęła go w pasie. – Tylko nie upadnij mi, koleś. Jestem za stara, żeby cię znów podnieść.

Dotarli do telefonu i Matthew jakoś zdołał wybrać numer policji. Drżącym głosem opowiedział historię, jaką podała mu pani Ruth, gdy tymczasem bezdomna kobieta

kiwała głową z aprobatą.

Niech policja szuka gangu złoczyńców, których opis będzie zgadzał się z tym, jaki podano, pomyślała, chwytając Matthew osuwającego się po szybie budki telefonicznej. Obydwoje siedli ciężko na chodniku i czekali, nasłuchując odgłosu zbliżających się syren. Jeśli nigdy ich nie znajdą, bo tak będzie, co z tego. Dzięki temu nie będą musieli mieć do czynienia z innymi sprawami. Nie będą próbowali sobie z nimi radzić.

Stara kobieta przypomniała sobie śmiech Mroku i wiedziała, że Ciemność okrywa miasto całunem. Na jakiś czas.

## Rozdział siódmy

Budzik ledwo zaczął dzwonić, gdy Rebecca wyciągnęła rękę i go wyłączyła. W pełni świadoma, że ociąganie się oznacza spóźnienie się do pracy – a do pracy nigdy nie wolno się spóźniać – westchnęła i spuściła nogi z łóżka. Odwróciła się i przesunęła delikatnie palcem po miękkiej skórze wzdłuż kręgosłupa Evana.

Mężczyzna poruszył się, lecz nie przebudził.

Rebecca spojrzała na zegarek i znów westchnęła. Cztery po piątej, nie ma czasu na przytulanie się. Daru powiedziała, że musi znaleźć się pod prysznicem, zanim będzie pięć po piątej. W czasie gdy Rebecca patrzyła na zegar, czwórka drgnęła i zamieniła się w piątkę.

Prysznic zmył ostatnie resztki snu. Dziewczyna śpiewała cicho pod nosem, myjąc włosy, wycierając je do sucha ręcznikiem, a następnie sięgając do apteczki po małe, różowe opakowanie pigułek. Poniedziałkowa poranna pigułka wpadła do muszli klozetowej.

Rebecca położyła jedną dłoń poniżej pępka, a drugą nacisnęła plastikową spłuczkę.

– Żadnych dzieci – zamruczała cicho do wtóru spuszczonej wody. I wyczuła dłonią zgodę swego ciała.

Kiedy wróciła do alkowy, Evan obserwował ją przez półprzymknięte powieki.

– Na wiatr i deszcz, Pani – szepnął. – To ledwie środek nocy, a tyś już wstała.

Rebecca zachichotała. W taki sposób mówił, kiedy się kochali. Podobało jej się to. Brzmiało jak bajka. Nie zawsze rozumiała, ale podobało jej się to.

– Idę do pracy – wyjaśniła, wkładając ubranie. – Pierwsza porcja słodkich bułeczek musi być gotowa przed siódmą.

– Moje życie bez ciebie ziać będzie pustką.

Nawet traktująca wszystko dosłownie Rebecca rozpoznała w tych słowach nieskrywane pochlebstwo.

– Głuptasek. – Uśmiechnęła się od ucha do ucha, przesunęła paznokciem po odsłoniętej podeszwie jego stopy i roześmiała się, gdy schował ją szybko. Nałożywszy sandały na własne stopy, zebrała świeże uniformy i poszła do drugiego pomieszczenia. Czerwona torba wciąż leżała pod kuchennym stołem i nadal spoczywał w niej czarny sztylet. Dziewczyna ostrożnie włożyła rękę do środka, chwyciła zwinięty ręcznik i wyjęła go z torby. Krawędzie broni były wyczuwalne nawet przez warstwy tkaniny frotte.

I co teraz? Jej wzrok zatrzymał się na półeczce nad telewizorem. Tam będzie bezpieczny, nikt bowiem nie będzie mógł go dotknąć przez przypadek; musiałby zrobić

to celowo. Dumna z siebie, że pomyślała o tym, odsunęła pluszowego smoka na bok i położyła ręcznik na półce. Następnie zapakowała swoje uniformy, zdjęła klucze z haczyka przy drzwiach i poszła pożegnać się z Evanem.

Obudził się na tyle, by wpleść palce w jej wilgotne włosy i przyciągnąć jej twarz blisko swojej.

– Bądź ostrożna, Pani – szepnął – bo Ciemność czeka.

– Będę uważała – przyrzekła, przyciskając wargi do jego ust, pocałowała go jeszcze raz na drogę i wyszła. Rankiem ma inny smak, pomyślała, bardziej jak morele, a mniej jak jabłka.

Na zewnątrz powietrze było czyste i nieruchome. Blask tego wczesnego poranka był przesycony delikatnością. Rebecca zatrzymała się pod kasztanowcem, spojrzała w górę i zaczęła wspominać.

– Och, Alexandrze. – Oparła się ciężko o drzewo i łzy stanęły jej w oczach. Właśnie uświadomiła sobie, że nigdy już nie ujrzy swego przyjaciela.

Piąta trzydzieści, zawołały dzwony katedry odległej o kilka przecznic. Piąta trzydzieści. Rebecca wyprostowała się.

– Wiem – pociągnęła nosem – już idę.

Było za dziesięć szósta, gdy lekko zdyszana zbiegła po schodach na dół do kuchni stołówki. Machając ręką do starszej kobiety, która już była zajęta pakowaniem ciastek z dżemem, weszła do szatni, przebrała się i poszła poszukać Leny.

Zgodnie z oczekiwaniami kierowniczką była u siebie w gabinecie. Rebecca zaczęła swój poranny obrządek.

– Dzień dobry, Leno.

– Dobry, kotku. – Lena podniosła głowę znad kubka kawy i uśmiechnęła się.

– Czy zechciałabyś spać mi włosy?

– A czy kiedyś nie chciałam? Podejdź tu.

Rebecca przysiadła na rogu biurka, podając Lenie szczotkę i gumkę do włosów. Położywszy papierosa na brzegu wyszczerbionego spodeczka, który służył za popielniczkę, starsza kobieta pokręciła głową nad stanem włosów Rebeki.

– Zapomniałaś się dziś uczesać.

– Przepraszam.

– Drobiazg. Miło spędziłaś weekend?

Rebecca powędrowała wspomnieniami od Alexandra do Evana.

– Niezupełnie – przyznała. – Ale pod koniec zrobiło się całkiem przyjemnie.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć? Schył głowę, kotku.

Rebecca posłusznie spuściła głowę.

– Cóż – powiedziała wreszcie – mały człowieczek, który żył na drzewie przed domem, w którym mieszkam, został zabity, a potem Rolanda i mnie napadł trawnik, potem duch Iwana poszedł po pomoc, a potem przybył Evantarin ze Światłości i zamieszkał u mnie.

– Evantarin zamieszkał u ciebie? Kim jest ten Evantarin? – Lena ścisnęła gumką świeżo poskromione włosy Rebeki z niepotrzebną siłą. Niepokoiło ją to, że dziewczyna spędza weekendy bez nadzoru, i zastanawiała się, dlaczego opieka społeczna nie zamknie jej gdzieś w bezpiecznym zakładzie.

– Powiedział, żeby mówić do niego Evan, i jest chyba jakimś aniołem. On się świeci i przybył walczyć z Ciemnością. – Dziewczyna dotknęła swego spętanego gumką końskiego ogona, jak zwykle żywiąc nadzieję, że jej włosy mogą oddychać, kiedy są tak ciasną związane. – Czy już jestem gotowa?

– Jesteś gotowa – oznajmiła Lena, odczuwszy ulgę, że gość Rebeki okazał się kolejnym wytworem nieokiełznanej wyobraźni. – I lepiej bierz się do roboty. Bułeczki same się nie upieką.

– Bo gdyby tak było, straciłabym pracę – odparła poważnie Rebecca. Była bardzo zadowolona, kiedy wiedziała, co należało powiedzieć. Zabrała szczotkę i wyszła do kuchni.

– Czemu tak szczerzysz zęby? – spytała ostatnia z przybyłych pracowniczek, która wsunęła głowę do gabinetu w chwili, gdy Rebecca wyszła z niego w podskokach.

Lena zaciągnęła się głęboko papierosem.

– Rebecę odwiedził anioł. – Smużka dymu uciekała jej przez nos. – Nazywa się Evantarin i przybył walczyć z Ciemnością.

– Tak? – Spojrzenie drugiej kobiety padło na gazetę, którą trzymała w ręku, i nagłówek: „Mężczyzna zastrzelił sąsiada; twierdzi, że ten skurwysyński yuppie zasługiwał na to, żeby go zabić”. Cóż, życzę mu szczęścia, bo będzie mu potrzebne.

– A ty coś się zerwał tak wcześnie?

Roland odwrócił się od biblioteczki i wzruszył ramionami.

– Nie mogłem spać, wujku, więc pomyślałem sobie, że coś sprawdzę. Nie masz nic przeciwko temu?

– Miałbym mieć coś przeciwko? Skądże znowu. – Zerknął na książkę w ręku siostrzeńca. – Encyklopedia, co? Czyżbyś szukał w niej czegoś dotyczącego dochodowego zajęcia?

– Niezupełnie. – Roland zamknął książkę i odstawił ją na półkę. – Podczas tego weekendu nazwano mnie bardem i chciałem tylko się dowiedzieć, co to znaczy. Ta

książka wiele mi nie pomogła.

– A czego się spodziewałeś? – spytał Tony, zapinając ostatnie guziki roboczej bluzy.  
– Dostaliśmy ten komplet w sklepie spożywczym, tanio, w cenie był duży upust. Klapnij sobie, napij się ze mną kawy, a ja przed wyjściem do warsztatu opowiem ci wszystko, co wiem o bardach.

Roland poszedł do kuchni i obserwował, jak wuj napełnia dwa kubki kawą z ekspresu na stole.

– A skąd ty wiesz o bardach? – spytał, wyławiając śmietankę z lodówki.

– Z książek – odparł Tony, podając mu kubek i gestem zachęcając do siadania. – Ja czytałem właściwe książki. To właśnie wasz problem, dzisiejsza młodzieży. Nie czytacie odpowiednich książek. Potrzeba wam więcej historii, a mniej tych łózkowych bzdur z Hollywood. No więc tak na początek, bard był kimś więcej niż tylko muzykiem. – Popatrzył na śmietankę rozplływającą się w kawie i dodał dwie czubate łyżeczki cukru. – O czym to ja mówiłem? Ach, tak... bard używał muzyki w ten sam sposób, co czarodziej swych zaklęć – chciał wyrzeć wpływ na rzeczywistość...

Roland słuchał zauroczony, po wydarzeniach weekendu zapomniał o niedowierzaniu.

– ...oczywiście nie każdy muzyk był bardem. Wymagało to specjalnego talentu i lat nauki. Siedem lat studiów, siedem lat ćwiczenia i siedem lat grania, o ile dobrze pamiętam. – Tony parsknął. – Dwadzieścia jeden lat. A ja uważałem, że pięcioletni okres terminowania u elektryka ciągnął się w nieskończoność. W każdym razie – wstał i wstawił swój pusty kubek do zlewu – ty masz... ile to już lat? Dwadzieścia osiem? Zacząłeś te bzdury około czternastego roku życia; do licha, ledwo masz za sobą swoje drugie siedem lat.

Niech ci woda sodowa nie uderzy do głowy... słowa pani Ruth, które przyszły mu na myśl, wreszcie nabrały sensu.

– Gdybym nawet w to wierzył – a nie wypowiadam się ani na tak, ani na nie – to jeśli ty jesteś bardem, to od dawnych czasów wszystko zeszło na psy. Johnny Cash, to był dopiero bard. Ty lepiej byś zrobił, gdybyś się obejrzał za jakąś pracą.

Roland drgnął, bo zawędrował myślami bardzo daleko.

– Chyba już ją mam.

– To dobrze. – Tony zatrzymał się w drzwiach. – Spróbuj dla odmiany wytrzymać w niej do końca.

Kiedy drzwi się zamknęły, Roland spojrzął na swe stwardniałe od strun gitary palce i zaczął się zastanawiać, czy głos bez przerwy mamrotał mu ponuro w głowie, że koniec się zbliża.

– To niepodobne do Michelle, żeby się spóźniała.



– Wcześniej czy później, każdy się spóźnia – zauważyła filozoficznie jej towarzyszka.

– Tak, ale Michelle zbzikowała na punkcie jednego z gości. Poświęcała dodatkowy czas na sprzątanie jego pokoju, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Można by pomyśleć, że przyjdzie przed czasem, gotowa do akcji.

– Daj spokój. Słodka, mała, niewinna Michelle?

– Cóż, mnie nie obchodzi, czy słodka, mała, niewinna Michelle będzie wskakiwać do każdego łóżka, które ścieli. – Klucz utknął w zamku i trzeba było nim solidnie pokręcić, zanim dał się wyjąć. – Byle tylko zjawiała się w pracy na czas. Nie mam ochoty oprócz swoich obowiązków odwalać jeszcze jej części roboty. To dziwne, już otwarte. – Gdy kobieta otworzyła drzwi, po omacku poszukała włącznika i zapaliła światło. – Zapach tu jak w toalecie. Coś jest rozlane po całej podłodze.

– Och nie! Spójrz tylko na ten bałagan.

Wokół przewróconego wózka leżały rozsypane szczotki, środki czyszczące, szampony i mydła.

I wtedy kobiety spojrzały w górę.

Nad wózkiem zwisała Michelle z wywieszonym czarnym językiem. Na szyi miała zaciśnięty mocno sznur od zasłon i wielkie zadrapania na szyi w miejscu, gdzie usiłowała się od niego uwolnić.

Założywszy ręce pod głowę, Adept Mroku przysłuchiwał się odległym krzykom.

– Równie dobrze mogę nie wstawać z łóżka – rozmyślał na głos. Śniadanie prawdopodobnie się opóźni.

– Mistrzu?

Adept oderwał spojrzenie od sufitu i opuścił je na przykucnięty cień, który na tle niebieskiej pościeli sprawiał wrażenie plamy.

– Zejdź z łóżka – polecił oziębło. – Ile razy mam ci powtarzać...

– Nigdy więcej, mistrzu. – Cień zszedł z posłania i przeniósł się na stolik. – Mistrzu, Adept Światłości... widziałem, słyszałem.

Mężczyzna zmarszczył brwi na wspomnienie bólu, jaki zadała mu Światłość. Spodziewał się zwycięstwa, przez co cierpienie było jeszcze dotkliwsze.

– Co widziałeś? – spytał chłodno. – Co słyszałeś?

Cień zadrzał, usłyszawszy ton głosu swego pana, lecz wiedział, że lepiej się nie wahać.

– Jest ich troje, mistrzu. Mężczyzna i dwie kobiety. Pomagają i wiedzą, że pomagają Światłości. Ścigają cię, mistrzu.

– Głupcy. – Adept przeciągnął się, a następnie ugniótł palcami lewej dłoni mięśnie

prawego ramienia. Na doskonałym ciele widniała biała, pomarszczona blizna, a sama rana, choć zagoiła się w czasie, jaki upłynął od starcia, nadal pulsowała boleśnie. Cztery noce i pięć dni do chwili, gdy będzie mógł otworzyć bramę, a świat niespodziewanie przestał go bawić. Nie po raz pierwszy żałował, że nie przebył bariery bliżej nocy Letniego Przesilenia, granice należało jednak przekraczać przy nadarzającej się okazji, a tej nocy nie można było przesunąć. Cały zadygotał na wspomnienie o przebyciu bariery. – Jakim sposobem tak urosłeś w siłę, mój błyszczący bracie? – zapytał na głos, kiedy jego oddech wrócił do normy, a pot perlący się na skórze wysechł. – Po wszystkim, co przeszedłeś, powinienesz być wpaść w moje ręce. – Światłość, podobnie jak Mrok, mogła czerpać moc z różnych źródeł, a znalazła tu przyjaciół. – Przyniesz mi ich esencje! – zażądał nagle.

– Tak, mistrzu. – Cień spłaszczył się na wypolerowanym dębowym blacie na grubość papierka. – Ale złapałem tylko dwoje, mężczyznę i jedną z kobiet. Ta druga była... była zbyt...

– Zawiodłeś mnie. – Adept Mroku zareagował na wymówki cienia lekceważącym gestem.

– Ale, mistrzu, ona... – Protestująca zjawa zaczęła wyć, kilkakrotnie zmieniając kształt. Pod koniec leżała i pulsowała słabo, pozbawiona jakiegokolwiek postaci.

– Powiedziałem, że zawiodłeś mnie.

– Tak, mistrzu. – Cień ledwo miał siłę się odezwać.

– Daj mi tych dwoje, których złapałeś. – Pokazał zęby, gdy zjawa przypelzła do jego wyciągniętej dłoni. – Teraz zobaczymy, mój piękny nieprzyjacielu, co się da zrobić w sprawie pozbawienia cię siły w taki sposób, abyś nie trafił na mój trop.

Daru przemierzała labirynt zatłoczonych zakamarków biurowych, z których składał się wydział opieki społecznej. W jednej ręce trzymała wydruk komputerowy, a w drugiej kubek kawy, na którym spoczywał w niepewnej równowadze obwarzanek. Ominęła nadaśanego nastolatka nie spojrzawszy nawet na niego, pozdrowiła koleżankę zdawkowym mamrotem i spojrzała krzywym okiem na trzymaną w dłoni listę nazwisk i liczb. To chyba niemożliwe, żeby sytuacja aż tak się pogorszyła w ciągu weekendu. A może możliwe?

Skręciła do własnego, maleńkiego kąta przestrzeni biurowej, zgarnęła z krzesła stertę teczek z aktami osobowymi i zaczęła szukać miejsca, gdzie by je położyć – bez większej zresztą na to nadziei. Westchnęła i położyła je na podłodze obok pozostałych, chwyciła spadający obwarzanek, o którym tymczasem zapomniała, i rozlała kawę na spóźnione sprawozdanie.

– Pani Sastri?

– Co jest?

Młoda kobieta cofnęła się o krok na widok miny Daru.

– Pan Graham właśnie poszedł do domu, bo rozchorował się na grype – zwymiotował w windzie; twierdził, że *czuł się świetnie do piątego piętra, a potem lubudu* – a pani Freedman i pan Wu zadzwonili, że też nie przyjdą. – Podała naręczne akt, które przyniosła. – Kierownik powiedział, że ma pani się tym zająć. – Gdyby cofnęła się jeszcze o krok, wyszłaby z gabinetu, więc ograniczyła się do odsunięcia. Uśmiechnęła się nerwowo. – Proszę do mnie nie strzelać, pani Sastri, ja jestem tylko pianistką. Daru wzięła papiery, mamrocząc coś pod nosem, i położyła je na biurku z przesadną troskliwością.

– Czy to wszystko? – warknęła.

– Hm, nie. Polecono mi przypomnieć, że za dwadzieścia minut ma się pani zjawić w sądzie. Ale o tym zapewne pani wiedziała – dodała kobieta, wychodząc w znacznie szybszym tempie, niż przyszła.

Daru osunęła się na krzesło i zasłoniła twarz dłońmi. W ciągu mniej niż trzydziestu sekund potroił się przydział jej obowiązków.

– Tylko skończę to, co trzeba zrobić, i wezmę wolne na resztę tygodnia. – Drwiła z siebie i swej beztroskiej obietnicy złożonej zeszłego wieczora. Powinna była wiedzieć, że to nie będzie takie łatwe.

– Pani Sastri, policja na pierwszej linii. Podobno znaleźli jakiegoś włóczęgę, który miał na kartce w kieszeni pani nazwisko i ten numer.

Nigdy nie jest tak łatwo.

– Sądziłem, że wrócisz wcześniej.

– Tak, wszystko się zmówiło, żeby mi przeszkodzić. – Roland wyminął Adepta i wszedł do mieszkania Rebeki. Tom wsunął się tuż za nim. Roland oparł Cierpliwość o ścianę, starając się opanować, choć energia niemal go rozsadzała. – Po pierwsze, metro za nic nie chciało przyjechać. – Nie mogąc chwili usiedzieć w jednym miejscu, zaczął krążyć po pokoju, wymachując rękami. – Sześć – nie jeden, nie dwa, ale sześć – pociągów pojechało w przeciwnym kierunku. Na peronie zrobił się tłok. Jakiś idiota zrzucił niedopałek papierosa na futerał mojej gitary. O mało co nie zostałem puszczony z dymem, a potem jeszcze obsztorcowali mnie za to, że straciłem tego cholernego peta na posadzkę. W porządku. – Rozłożył ręce i zrobił głęboki oddech. – To mogę wytrzymać. W końcu przyjeżdża metro, jesteśmy ściśnięci w środku jak sardynki, i nagle pomiędzy stacjami gaśnie światło i zatrzymujemy się nie wiadomo gdzie. Dzieciaki podnoszą wrzask, a jakaś śmierdząca, gruba baba za mną łapie mnie za tyłek. Próbuje wywinąć się jej z rąk, depczę kogoś i nieomal wybuchają bójką. Śmiejesz się? Evan odrzucił włosy

i opanował się.

– Nie miałbym odwagi. – Jego grymas nie przypominał uśmiechu.

Roland popatrzył wściekle, przeszedł jeszcze dwa razy przez pokój i wymierzył kopniaka kotu. Jego cios chybił celu z dużym zapasem, lecz Tom zaprychał i skoczył pod kanapę. Roland poczuł irracjonalną poprawę humoru.

– Kot nie był winien twoich kłopotów – zauważył łagodnie Evan.

– Skąd ty możesz wiedzieć – warknął Roland. – Czekał na mnie za rogiem.

– Wysłałem go, żeby czekał na ciebie.

– Och.

– Wydaje mi się, że jesteś mu winien przeprosiny.

– Jeszcze czego. – Roland zatrzymał się i posłał mu niechętnie spojrzenie. – Nie będę przeproszał kota. Evan tylko spojrzał na niego. Roland spuścił oczy.

– No, dobra – mruknął i odwrócił głowę mniej więcej w kierunku Toma. – Przepraszam, że cię kopnąłem.

Usadowiony bezpiecznie pod kanapą kot parsknął.

Tylko obecność Evana powstrzymała Rolanda od odpowiedzenia mu również parsknięciem. Wyprostował palce zwinięte w pięści i dokonał świadomego wysiłku, by się uspokoić. Miał rzeczywiście trudny poranek. To mu jeszcze nie daje prawa do zatruwania dnia wszystkim innym. Czuł na sobie ciężar uważnego spojrzenia Evana. Pozwolił, aby go przeniknęło i ukoilo nadszarpnięte nerwy.

– Chyba pośmieję się z tego później – westchnął.

Evan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Powiedziałem później. – Uśmiech nie znikł i Roland stwierdził, że reaguje tym samym. Nic nie mógł na to poradzić; nagromadzone w ciągu poranka drobne przykrości nie mogły się oprzeć sile Evantarina, Adepta Światłości. Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że mają cholernie dużo szczęścia, że tak jest, biorąc pod uwagę, co miało ich czekać w przyszłości.

W ciszy, jaka rozciągała się pomiędzy nimi, Evan popatrzył na niego z zadumą. Roland poczuł, że się oblewa rumieńcem, niespodziewanie bardzo silnie uświadomił sobie, że Evan ubrany jest jedynie w dzinsy. Złota, gładka skóra na klatce piersiowej i brzuchu Adepta opinała mięśnie bez grama tłuszczu. Dłoń Rolanda powoli wyciągnęła się w jej stronę.

Och, nie! Tylko jeszcze nie to. Nie dzisiejszego ranka. Przywołując resztki wcześniejszego rozdrażnienia, Roland wysiłkiem woli opuścił rękę, zwilżył wargi i spytał krótko:

– Jadłeś już śniadanie?

W czasie, jaki Evanowi zajęła odpowiedź, Roland zdał sobie sprawę, że gdyby Adept nalegał, nie potrafiłby się oprzeć i załamałaby się jego orientacja seksualna. Nie był pewien swych odczuć, gdy Evan odwrócił się do stołu i z dumą wskazał na toster.

– Zrobiłem grzanki.

Zabrzmiało to tak podobnie do słów Rebeki, że Roland pozwolił sobie na odprężenie.

– Dobra, włóż coś na siebie i napijemy się kawy przed wyjściem.

– To miło. – Evan skinął głową i wszedł do wnęki sypialnej.

Roland śledził poczynania Evana dzięki cichej muzyce srebrnych bransolet. Zastanawiał się, czy Adept zdejmuje je do spania. Dlaczego się nad tym zastanawiasz... Przestań! zgañił siebie. Zaczynasz mieć wyjątkowo brudne myśli.

Z ubranym Evanem znacznie łatwiej sobie radził. Zebrali rysunki i opuścili mieszkanie. Tom wyslizgnął się w chwili, gdy mieli zamknąć drzwi.

– Więc gdzie zaczniemy? – spytał Roland, kiedy we troje szli korytarzem.

– Na górze – powiedział Evan. – Ciemność zarzuca Światłości łatwość odgadnięcia jej posunięć, lecz postępowanie jej samej jest przewidywalne dokładnie w takim samym stopniu. Poza tym, czy nie chciałbyś mieszkać w najlepszych warunkach, gdybyś tylko mógł?

– Ty nie chcesz – zauważył Roland, niemal potykając się o Toma, który nagle wyskoczył naprzód i zbiegł po schodach.

– Nie słyszałeś, że za przyjaźń można kupić lepsze łóżko niż za pieniądze?

– Brzmi to jak cytat z ciastka z wróżbą.

– Zastanawiałaś się kiedyś, skąd pochodzą ciasteczka z wróżbą?

– Daj spokój.

– Mówię serio, to nasz drugi produkt pod względem wielkości eksportu.

– Wiem, że będę tego żałował... – Wyszli na słońce i Roland zmrużył oczy, spoglądając na swego towarzysza. – A jaki jest pierwszy?

– Jasne piwo.

Roland przewrócił oczami.

– Rozumiesz? Jasne piwo. Jasność... – Evan westchnął. – Popracuję jeszcze nad tym.

– Czy jest pani pewna, że go pani nie widziała?

Kobieta w recepcji hotelu King George potrzęsnęła głową. – Nie, ja...

– Pomyśl dobrze, Sheilo – wtrącił się Evan, mówiąc głosem, który miał zachęcać do zwierzeń. – To ważniejsze, niż ci się wydaje.

Roland zdziwił się, skąd Evan znał jej imię, ale dostrzegł mosiężną plakietkę przypiętą do bluzy kobiety. Punkt przewagi dla rzeczywistości, pomyślał.

Recepcjonistka znów przyjrzała się rysunkowi, ściągnając zębami bladą szminkę z dolnej wargi.

– Nie, jestem pewna, że zapamiętałabym go, gdybym go widziała.

– Do licha – zaklął Roland pod nosem. – Już siódmy raz. – Dokładnie rzecz biorąc, nie zaczęli od samej góry – mianowicie od King George – istniało bowiem wiele gorszych hoteli pomiędzy nim i mieszkaniem Rebeki. Na początku Roland przypuszczał, że mogą mieć trochę kłopotów z namówieniem pracowników hotelu do współpracy, zważywszy, iż nie mieli żadnego oficjalnego powodu do wypytywania, lecz obecność Evana zdawała się skłaniać każdego – od kierownika do sprzątaczkę – do udzielania im pomocy. I w każdym dotychczas odwiedzionym hotelu znajdował się ktoś – mężczyzna, kobieta, młody, stary, bez znaczenia – kto podsuwał Adeptowi numer prywatnego telefonu i poufnym szeptem informował, że może później przypomni sobie więcej.

– Ale widzisz – dokończyła Sheila, oddając Evanowi kartkę papieru i uśmiechając się nieśmiało – przez ostatnie dwa tygodnie byłam na urlopie. Pozwólcie, że spytam kogoś innego.

– Dziękuję.

Na widok wdzięczności Evana oczy jej zwilgotniały i Roland musiał ugryźć się w język, żeby nie powiedzieć czegoś zgryźliwego, kiedy kobieta weszła do biura. Żył w szczerą nadzieję, że on sam nie wygląda tak sentymentalnie, kiedy Evan się do niego uśmiecha. Poważne podejrzenia, że tak było, nie poprawiły mu nastroju.

Chłopiec hotelowy niezauważenie oddalił się od marmurowego kontuaru i udał się w stronę windy. Pan Afotyk z przyjemnością dowie się, że ktoś go szuka. Pewno będzie wystarczająco wdzięczny, aby dać mu kolejną porcję. A następna porcja, chłopcu hotelowemu zabłyśły blade oczy, starczy mu na kilka kolejnych dni odlotu.

– Jack. – Policjantka Patton trąciła łokciem swego kolegę. – Tych dwóch przy recepcji.

– To oni – rzekł mężczyzna. – Opis zgadza się co do joty.

Ruszyli w ich stronę.

– Evan.

Evan podniósł wzrok. Dotychczas śledził wzory na marmurze, głaszcząc opuszkami palców chłodny kamień.

– Wydaje mi się, że mamy kłopoty. – Zbyt wielu policjantów przez zbyt wiele lat spędzonych na ulicy, podchodziło do Rolanda, aby muzyk nie potrafił się zorientować, kiedy przedstawiciele prawa zmierzają wyraźnie ku niemu. Mężczyzna i kobieta, którzy się zbliżali, nie sprawiali wrażenia rozgniewanych, niemniej nie wyglądali również na zadowolonych.

– Czy możemy z panami zamienić kilka słów? – Nie było to zupełnie pytanie. Nie było to także polecenie.

Evan wdzięcznie skinął głową.

– Oczywiście.

Czując się zaszczycona, policjantka odprowadziła ich do cichego kąta. Mieli zaledwie ośmiogodzinną przerwę w służbie, zaczynali właśnie podwójną służbę z powodu tego cholernego wirusa grypowego, a Patton nie miała chęci słuchać pobłażliwych uwag jakiegoś długowłosego rozrabiaki bez względu na to, jak był ładny. Fakt, że zauważyła jego urodę oraz to, że pod wpływem spojrzenia tych szarych, burzliwych oczu serce zaczęło jej tańczyć, rozłóścił ją jeszcze bardziej.

– W Ramadzie powiedziano nam, że pokazujecie pewien rysunek. Zobaczmy go.

Roland pomyślał o reakcji, jaką prawdopodobnie by wywołał, pytając o nakaz, więc postanowił się nie odzywać i patrzył w milczeniu, jak Evan podaje rysunek.

Posterunkowy Brooks otworzył teczkę z aktami osobowymi, jaką miał ze sobą, i dwoje policjantów porównało rysunek złożony na podstawie zeznań świadków z tym nowym.

– Zgodny w dziewięćdziesięciu procentach – szepnął.

– Skąd go macie? – spytała Patton, wymachując rysunkiem.

– Narysowałem go – odpowiedział potulnie Evan.

– Ty mi nie podskakuj, gnojku – warknęła policjantka. – Ten mężczyzna jest podejrzany o morderstwo i jeśli ukrywasz jakieś informacje, trafisz za kratki tak szybko, że ci się włosy zakręcą w loczki.

Roland nie był pewny, czy Evan jest zdolny do kłamstwa, lecz sądził, że nie jest to najlepsza pora, żeby się o tym dowiedzieć.

– Dostaliśmy je z tego samego źródła co wy – oznajmił szybko. Ku jego uldze Evan milczał.

Brwi posterunkowego Brooksa uniosły się. – Ta starsza pani... – zaczął i przerwał, gdy Patton posłała mu nieprzychylnie spojrzenie.

Starsza pani?, powtórzył w duchu Roland. Starsza...

– Pani Ruth. – Wyraz twarzy obu policjantów powiedział mu, że dobrze się domyśla. Spadek napięcia był niemal wyczuwalny, więc założył, że nie mają pojęcia, iż był to jedynie domysł. Policjanci nadal nie byli uszczęśliwieni, lecz nie dotykali już kajdanek.

– Nie wiem, dlaczego się do was zgłosiła – powiedziała Patton. – Bez względu na to, czy wydaje się wam, że jesteście jakąś strażą obywatelską – policjantka zgmiotła w dłoni kartkę z portretem Adepta Mroku na małą kulkę – trzymajcie się z dala od tego. Słyszycie mnie?

– Słyszymy – rzekł cicho Evan.

Kobieta skinęła głową w stronę wyjścia.

– A teraz, precz stąd!

Poszli precz.

Po wyjściu z klimatyzowanego westybulu zderzyli się ze ścianą upału, który sprawił, że w ciągu kilku sekund byli złani potem. Spaliny tysięcy samochodów, nie mając ujścia, wypełniały powietrze szarozółtawą mgłą o gorzkiej woni. Choć dwie przecznice dalej, na Yonge Street, barwne, letnie tłumy płynęły falami w jedną i drugą stronę, tu na chodnikach panowała błogosławiona pustka.

– Nie mogę uwierzyć, że się nam udało – dziwił się Roland, kiedy zeszli po trzech niskich schodkach i oddalili się od hotelu.

Evan wzruszył ramionami i wsunął dłonie za skórzany, nabijany ćwiekami pas.

– Stanowiliśmy dla nich kłopot wiążący się z robotą papierkową, której woleliby uniknąć, więc to właśnie podkreśliłem. Światłość nie odniosłaby korzyści, gdybyśmy następnych kilka godzin spędzili w komisariacie na składaniu zeznań, w które żadne z nich nie uwierzyłoby.

Roland pokręcił głową; gdyby to zawsze było takie łatwe.

– Pozwól, że zgadnę. Nie prosisz gliniarzy o pomoc, bo żaden z nich nie ma daru Widzenia?

– Właśnie. A ci, którzy go posiadają, zostają bardzo szybko oślepieni albo zostają zmiażdżeni przez tryby mechanizmu społecznego, bo system interesuje sprawiedliwość, a nie prawda.

Głęboko filozoficzna sentencja jak na kogoś, kto dopiero co nauczył się opiekać grzanki, pomyślał Roland, opierając się ostrożnie o skrzynkę na gazety, tak żeby nie dotknąć gołą skórą rozgrzanego metalu.

– Co teraz?

– Poczekamy. Policja odjedzie, Ciemność bowiem bez trudu zdoła ujść ich uwagi, a wtedy my... – Evan umilkł, kiedy jego spojrzenie padło na gazetę.

– Wejdziemy i porozmawiamy z innymi pracownikami?

– Nie. To niepotrzebne.

Roland odwrócił się i mrużąc oczy, popatrzył na gazetę, chcąc sprawdzić, co było przyczyną tej nuty w głosie Evana. „Wzmoczone wysiłki policji w pościgu za podejrzanym o morderstwo” – brzmiał największy nagłówek. To już wiemy. Zastanawiał się, jakim sposobem pani Ruth mogła opisać policji Adepta Mroku, gdy przeczytał drobniejszy tekst, prawie niewidoczny w odbłasku słońca na skrzynce. Samobójstwo pokojówki w hotelu King George. Zapomniał o poprzednim pytaniu.



– On jest tutaj – rzekł Evan surowo i zimno. – Idziemy. Tu musi być jeszcze inne wejście, którego nie widzi policja przy recepcji.

– To duży hotel, Evanie. Skąd będziesz wiedział, na którym piętrze się zatrzymał? W którym pokoju?

– Skoro już wiem, że on tu jest – Adept obnażył zęby – będę umiał znaleźć jego pokój.

Odszukali boczne drzwi, odrobinę tylko mniejsze od ozdobnych, mosiężno-szklnych, olbrzymich drzwi wiodących do westybulu, i wślizgnęli się do środka, niepostrzeżenie docierając do schodów ewakuacyjnych.

– W hallu na dole wznosił bariery ochronne – wyjaśniał Evan podczas wspinaczki – ale wątpię, czy zadał sobie trud uczynienia tego na własnym piętrze. Z pewnością zostawił ślady.

W trakcie zagłądania przez każde drzwi Roland widział w wyobraźni lepkie, podobne do smoły smugi Ciemności wdeptane w miękkie, kremowe dywany, lecz kiedy Evan wciągnął go na szóste piętro i rzekł „To tutaj” – niczego nie ujrzał. Zarówno dywan, jak i łososiowe ściany były czyste. Gdy jednak Evan odwrócił się i machnął mu dłonią przed oczami, Roland o mało nie zwrócił lunchu.

Adept szedł korytarzem zdecydowanie, a Roland podążał za nim, nie odrywając oczu od jego pleców. To, co widział kątem oczu, było wystarczająco okropne. Kiedy Evan się zatrzymał, Roland podniósł wzrok. Na drzwiach widniał mosiężny numer 666.

– Cóż, przynajmniej Ciemność ma wycucie historii – mruknął pod nosem, zastanawiając się, czy owa liczba była zbiegiem okoliczności, żartem czy ostrzeżeniem. Gdyby oglądał w kinie, już krzyczałby: „Nie! Nie otwieraj tych drzwi!” Zza drewna i farby promieniowało – z braku lepszego słowa – zło.

Zdenerwowany, lecz nie załęknioty Roland przełknął ślinę i zwilżył wargi. Cała sytuacja wydawała się zbyt nierealna, by mogła być przerażająca.

Evan przytknął dłoń do drewna tuż nad zamkiem i drzwi otworzyły się bezszelestnie. W apartamencie zalegał mrok. Zwisiał czarnymi pajęczynami z sufitu i zbierał się w lepkich kałużach na posadzce. Ściany pokryte były wielkimi płatami pleśni i Rolandowi wydawało się, że w niektórych dostrzega twarze. Słyszał szum klimatyzacji, lecz pokój nadal cuchnął stojącą wodą i czymś jeszcze gorszym.

– Nie ma go – stwierdził Evan, rozglądając powoli po apartamencie.

Roland szybko podniósł rękę, żeby zasłonić sobie oczy, gdy Evan rozjarzył się i Światłość wypaliła wszelkie ślady Mroku w pokoju. Bez względu na to, jak bardzo pragnął zakończenia tego wszystkiego, ulga z powodu przełożenia Armageddonu

sprawiła, że nogi się pod nim ugięły. Wtedy usłyszał, jak winda się otworzyła i znajomy głos zabrzmiał w korytarzu.

– Na miłość boską, Jack, nie potrzebujemy wsparcia, żeby przesłuchać podejrzanego. Poza tym, jeśli spróbuje jakichś sztuczek, zastrzelę go z przyjemnością.

Teraz wpadł w przerażenie. Policję potrafił zrozumieć.

Złapał Evana za podkoszulek i przyciągnął do siebie, informując o sytuacji kilkoma specjalnie dobranymi słowami. Evan zlekceważył go, a Roland pomyślał o kilku innych znakomych słowach, które miał ochotę powiedzieć, nawet jeśli nie miał czasu.

Evan sprawiał wrażenie spłoszonego, a głosy zbliżały się coraz bardziej. Z tego, co Roland pamiętał, szeroki korytarz prowadził prosto z pokoju do windy. Nie ma możliwości, żeby się wyślizgnąć niepostrzeżenie. Rozpaczliwie rozejrzał się po apartamencie. Sypialnia czy łazienka? Nie, będą jak w pułapce. Za meblami? Wszystkie wystarczająco duże sprzęty stały tuż pod ścianami.

Może powinni spróbować wykręcić się bezczelnością.

– Drzwi są otwarte.

W ciszy, jaka zapanowała, odgłos odpinanych kabur brzmiał nienaturalnie głośno i w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości.

Może lepiej nie.

Roland wepchnął nie stawiającego oporu Evana do jedynej kryjówki, do jakiej zdążyli dotrzeć – do szafy na ubrania w pobliżu drzwi. Zamknął oczy i przez kilka sekund modlił się.

Może to i nie pomogło, lecz na pewno nie zaszkodziło.

Kiedy się uspokoiło, policjanci stali na środku pomieszczenia plecami do szafy.

– Wydaje mi się, że uciekł – powiedział cicho posterunkowy Brooks, przechylając głowę, by wychwycić najlżejszy hałas.

Roland starał się nakłonić swe serce, by przestało bić tak głośno. Wiedział, że lada chwila, lada moment te plecy w niebieskich mundurach odwrócą się i wszystko się skończy. Zostaną uznani za współuczestników morderstwa i Ciemność będzie mogła działać bez przeszkód. Nieśmiały głos w jego głowie krzyknął „Jak ci nie wstyd!” – że bardziej obchodziło go to pierwsze, lecz Roland go zignorował. Dał Evanowi sójkę w bok, ale znów nie było żadnej reakcji.

– Chyba masz rację – zgodziła się Patton. – Upewnijmy się jednak dobrze. Chodźmy.

Sypialnia. Nie mogę uwierzyć, idą do sypialni! Roland ścisnął mocno ramię Evana, a drugą dłoń przyłożył do drzwi szafy. Niewielka szpara, jaką sobie zostawił, ograniczała mu pole widzenia i choć widział, jak policjanci ruszają w kierunku sypialni, w żaden sposób nie mógł stwierdzić, czy rzeczywiście tam weszli. Z trudem czekał i obserwował,

jak na jego zegarku mija piętnaście sekund – najdłuższe piętnaście sekund jego życia – po czym ruszył przed siebie, wyciągając Evana z szafy, z apartamentu i z korytarza. Nie zatrzymali się, dopóki obaj nie byli na klatce schodowej, stosunkowo bezpieczni. Żadnych strzałów. Żadnych krzyków.

Żadnych odgłosów pościgu.

Przyptyw ulgi był tak silny, że nogi się prawie pod nim ugięły. Stał z zamkniętymi oczami, opierając się całym ciężarem o poręcz, i czekając, aż przestanie drżeć od szoku adrenalinowego.

– Rolandzie? Nic ci nie jest?

– Czy nic mi... – Otworzył gwałtownie oczy i przycisnął Evana do ściany, wbijając palce w jego ramiona. – Gdzie byłeś, do kurwy nędzy? Potrzebowałem cię, a ty wystawiłeś mnie do wiatru!

– Szukałem naszego nieprzyjaciela – wyjaśnił spokojnie Evan, zauważając gniew Rolanda, lecz nie próbował go uspokoić. – Sądziłem, że znalazłem ślad. Myliłem się. Dlaczego mnie potrzebowałeś?

– Podczas twojej nieobecności pojawili się gliniarze! Podobno twierdziłeś, że Ciemność potrafi się przed nimi ukryć?

Evan zdołał wzruszyć ramionami, mimo tego iż Roland go przytrzymał.

– Widocznie porzucił osłony, kiedy odszedł. – Popatrzył łagodniej. – Dlaczego mnie potrzebowałeś? – powtórzył cicho.

Głos Rolanda był przenikliwy i odbijał się od ścian klatki schodowej niczym rój rozgniewanych pszczół.

– Chciałem, żebyś nas stamtąd wyprowadził!

– Ale ty to zrobiłeś. – Evan wyciągnął ręce i nakrył nimi dłonie Rolanda. – Dziękuję ci. – Uśmiechnął się.

Roland usiłował szybko cofnąć ręce, lecz go nie posłuchały. Wyczuwał żar skóry Evana przez cienką bawełnę podkoszulka. Ciepło zaczęło rozchodzić się po jego ciele, sprawiając, że zaschło mu w ustach i zapało dech w piersi. Przesunęło się niżej, rozniecając podobny żar.

– Evanie, ja... – Nie wiedział, co chce powiedzieć. Potrafił tylko bezradnie wpatrywać się w puls na złotej szyi, obawiając się spojrzeć Evanowi w oczy.

– Nigdy nie jest wstydem kochać ani też pragnąć kochać – rzekł cicho Evan, unosząc ręce i uwalniając dłonie Rolanda. – Nie ma również niczego złego w pragnieniu bez zaspokojenia, jeśli nie ma się takich skłonności. – Uniósł brew. – Choć twoje ciało może próbować przekonać cię, że jest inaczej.

Roland poczuł, że uszy mu czerwienieją, bo spojrzawszy na krocze dzinsów,

przekonał się, że reakcja ciała była aż nazbyt widoczna. Ciało jest chętne, ale duch wysiada.

– Fakt, że jestem obiektem pożądania, nie rani mych uczuć ani nie jest dla mnie obrazą. – Evan znów się uśmiechnął, lecz dużo delikatniej, bez uprzedniego płomiennego żaru. – Prawdę powiedziawszy, wręcz przeciwnie.

Zwilżywszy wargi, Roland zdołał się uśmiechnąć i powoli opuścił ręce.

– Pragnę jedynie walić twoją głową w ścianę. – Głos mu trochę drżał, ale nie tak bardzo, by to przeszkadzało. – Zrzuciłeś na mnie ciężar ratowania naszej skóry.

Evan odsunął gęstwinę włosów z oczu.

– A ty nie zawiodłeś mojej wiary w ciebie – zauważył. Wiedział, że Roland pragnął udawać, przynajmniej zewnątrz, że nic się nie stało, i szanował tę potrzebę.

– Cóż – Roland uniósł podbródek i wyprostował się – chodźmy stąd, zanim gliny zechcą przeszukać klatkę schodową. – Evan skinął głową i Roland zaczął schodzić z szóstego piętra. Zastanawiał się, czy Evan wiedział, jak bliski był tym razem odrzucenia dwudziestu ośmiu lat społecznego i seksualnego uwarunkowania. Evan twierdził, że nie ma również niczego złego w pragnieniu bez zaspokojenia. Miał nadzieję, że Adept ma rację; mógł pogodzić się z pragnieniem, ale zaspokajanie może okazać się ponad jego siły. Z drugiej strony mniej niż dobę temu zaprzeczał także tej żądzy. Czy to oznacza, że za dwadzieścia cztery godziny...

Mężczyzna w średnim wieku, ubrany w kombinezon mechanika, wyszedł z drzwi awaryjnych na czwartym piętrze i poczłapał na górę, mijając Rolanda i Evana. Kiedy znajdował się na granicy zasięgu słuchu, najwyraźniej celowo wyszeptał tak, by go usłyszano:

– Cholerni pędzie na schodach.

Jeśli miał coś jeszcze do dodania, jego słowa utonęły w śmiechu Rolanda.

## Rozdział ósmy

– Ale gdzie on poszedł? – pytała Rebecca, rozdając wysokie szklance wypełnione równo bladozielonkawym płynem i kostkami lodu.

Roland upił ostrożnie łyk i skrzywił się; mrożona herbata ziołowa. Cudownie. Zamierzał w drodze powrotnej kupić kilka puszek jakiegoś napoju gazowanego i teraz płacił za swoje zapominalstwo.

– Czy przeniósł się do innego hotelu? – Rebecca rozsiadła się na podłodze, opierając się plecami o kanapę i nie spuszczać oczu z Evana, który usadowił się na parapecie.

– Mało prawdopodobne – odpowiedział Evan i pociągnął długi łyk napoju. Uczynił to z ogromnym zadowoleniem, jak zauważył Roland. – Zapewne zamieszkał w prywatnym domu.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy.

– Ale kto by chciał go przyjąć?

Evan westchnął.

– Byłabyś zaskoczona, Pani, jak wielu ludzi darzyłoby go miłością. Potrafi być nadzwyczaj miły.

– Pozwól mi zamieszkać w twoim pokoju gościnnym, a też ci coś skapnie, kiedy moja strona zawładnie światem? – domyślił się Roland.

Evan pokiwał głową.

– Coś w tym rodzaju. – Odwrócił się i wyjrzał przez okno, szepcząc cicho w noc: „Jeszcze raz wziął Go diabeł na bardzo wysoką górę, pokazał Mu wszystkie królestwa świata oraz ich przepych i rzekł do Niego: Dam Ci to wszystko, jeśli upadniesz i oddasz mi pokłon”. Westchnął i odwrócił się w stronę pokoju, oczy miał zasmucone. – On oczywiście niczego nie da, lecz śmiertelnicy zdają się nigdy tego nie zauważać. A co ja mogę mu przeciwstawić?

– Swą olśniewającą osobowość – zasugerował Roland. Evan uniósł brwi i spojrzał na Rolanda, który jedynie wzruszył ramionami. – Nie znoszę widoku Adepta Światłości, który użala się nad sobą – wyjaśnił. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie posunął się za daleko, czy nie ocenił niewłaściwie nastroju Evana. Nie sądził, żeby się mylił – widział tę minę w lustrze wystarczająco często, by ją poznać.

Evan zmarszczył czoło, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, a potem jakby zmienił zdanie i nagle się uśmiechnął.

Roland rozluźnił mięśnie, których nie napiął świadomie.

Rebecca przechyliła głowę na bok i przygryzła kosmyk włosów, niezupełnie pewna,

czy rozumiała to, co zaszło między tymi dwoma mężczyznami.

– Wierzę w ciebie, Evanie – oświadczyła, wyciągając rękę, by poklepać go delikatnie po kolanie.

Nakrył jej dłoń swoją dłonią.

– Dodaje mi to sił i radości, o Pani.

Roland popatrzył na ich splecione dłonie, które spoczywały na wypłowiałych dzinsach Evana, i sięgnął po gitarę. Musiał dać wyraz muzyce, jaką słyszał.

Wtedy zadzwonił telefon.

– Kurwa jego mać, cholera!

Rebecca podskoczyła i spojrzała na Rolanda, mrugając ze zdumienia. Osobiście nie lubiła dźwięku dzwonka, który rozbijał spokój na kawałki. Nie zdawała sobie sprawy, że inni byli takiego samego zdania.

Telefon ponownie zadzwonił.

– To pewno Daru – rzekła Rebecca, wyciągając aparat spod kanapy. – Zawsze dzwoni w poniedziałek wieczorem. W poniedziałkowe popołudnia podłączam telefon po powrocie z pracy. Halo? – Dziewczyna odsunęła słuchawkę od ust. – To Daru.

Roland ukrył twarz w dłoniach, gdy melodia umknęła mu na kuszącą odległość.

– Oczywiście, że to ona – mruknął. – A któż by inny?

– Nie może przyjść dziś wieczorem.

– Co takiego? – Podniósł głowę. – Daj mi słuchawkę. – Niemal wyrwał ją Rebecce i warknął: – Jak to nie możesz dziś przyjść? My tu próbujemy uratować świat, a nie zbieramy się na jakiegoś pieprzonego brydza!

– Doskonale. – Głos Daru działał na słowa jak zastrzona stal. – Proszę cię bardzo. Ty idź ratować świat. Ja próbuję uratować ludzi, którzy na nim żyją!

Roland ledwo zdążył odsunąć słuchawkę od ucha, gdy Daru rzuciła swoją z taką siłą, że wyraźnie dało się to słyszeć w całym pokoju. Nawet Tom podniósł głowę znad swego posiłku.

– Ona, hmm, nie może przyjść dziś wieczorem – powiedział, odkładając słuchawkę.

– Przecież ci już o tym mówiłam.

– Tak. – Wsunął aparat z powrotem pod kanapę. – Wiem.

– Co zrobimy bez Daru? – spytała Evana z niepokojem Rebecca. Wszystkie plany były ułożone na cztery osoby.

– Roland będzie musiał pójść z nami.

– Na spotkanie z małym ludkiem?

– Tak.

– Nie. – Roland podniósł ręce, gdy padło na niego spojrzenie szarych oczu Evana

i brązowych Rebeki. Oni oboje patrzą z tą samą nieubłaganą siłą, przyszło mu na myśl. Kiedy zwrócą na ciebie uwagę, możesz się poczuć nieco przytłoczony. Przed przybyciem Evana nigdy nie rozumiał, jak prostota Rebeki może być siłą. Teraz zastanawiał się, jak mógł tego nie dostrzegać. – Nie mam zamiaru spędzić wieczoru na rozmowach ze stworzeniami w krzakach i kanałach ściekowych. Zostanę przy pierwotnym planie i posłucham, o czym mówi się na ulicy.

– Nie podoba mi się, że zostaniesz sam na ulicy – powiedział Evan, przemieniając się niepokojąco w Evantarina, Adepta Światłości.

– Daru jest sama – przypomniał Roland.

– Więc po co narażać na niebezpieczeństwo was oboje.

– Czy Daru grozi niebezpieczeństwo? – zaniepokoił się Roland.

– Osamotnieni łatwiej padamy łupem Ciemności.

– Znów banały z ciasteczek z wróżbą – parsknął Roland.

Evan zmrużył oczy.

– Niemniej jednak to prawda.

– Posłuchaj, jeśli zostanę sam, szanse Daru wzrosną o połowę, bo Mrok może zaatakować mnie.

Obaj podnieśli się i stanęli pochyleni do przodu z wysuniętymi podbródkami i obnażonymi zębami.

– A jeśli rzeczywiście tak się stanie?

– Będziesz mógł bić się z nim o moje ciało.

– To nie jest śmieszne, Rolandzie!

– To nie miało być śmieszne.

– Nie powinniście się sprzeczać. – Rebecca stanęła pomiędzy nimi. – Przestańcie natychmiast. – Spojrzała gniewnie najpierw na jednego, a potem na drugiego. Miłą dawała do zrozumienia, co się stanie, jeśli nie przestaną.

Evan przemówił pierwszy.

– Przepraszam – rzekł cicho. – Nie chcę, żeby stała ci się krzywda.

Roland zrobił głęboki oddech.

– Ja też nie chcę, żeby mi się coś stało. Jednak przebywałem z wami przez cały dzień. Muszę mieć trochę czasu dla siebie. – Głosem błagał Evana o zrozumienie.

Niespodziewanie zrozumiała go Rebecca.

– Troska o kogoś czasami produkuje tyle drobnych kawałeczków, że nie można sobie z nimi poradzić. Prawda?

Troska? Czy to było właśnie to? Czy jest w tym coś więcej niż tylko pociąg seksualny? Z troską może potrafiłby sobie poradzić. Zdobył się na uśmiech, kiwnięcie

głową i niepewne: Tak.

Evan westchnął, lecz powiedział tylko:

– Uważaj na siebie.

Beton i asfalt oddawały gorąco dnia, utrzymując wysoką temperaturę nawet o zmroku. Setki głów falowały w tłumie pieszych, którzy podążali od jednej plamy jaskrawego światła do drugiej: wiele różnych stacji ryczało z odbiorników radiowych samochodów jadących w górę i w dół ulicy. Zapach potu i perfum mieszał się z odorem spalin, tworząc charakterystyczną woń letniej nocy w mieście.

Na ulicach panowała jakaś inna atmosfera. Kiedy Roland wtopił się w falujący tłum, który przemieszczał się na południe Yonge, wyczuwał tę inność przez skórę. Inni też ją czuli, bo śmiech miał odcień desperacji i masy ludzi przewalały się tam i z powrotem z jakąś nerwową zaciekłością.

Lepiej, że nie wiecie, powiedział w duchu. Naprawdę lepiej, że nie wiecie. Problem polegał na tym, że on sam wiedział. Wiedział, że gdzieś w mieście jest Ciemność i że gdyby zaatakowała go dzisiejszej nocy, stanie przed nią samotnie. Przyglądał się ludzkim twarzom, które wchodziły w jego pole widzenia i znikały niczym kalejdoskop różnych oczu, ust i nosów, policzków i podbródków, uśmiechów i grymasów – brązowe, czarne, białe i żółte twarze.

Szlak by to trafił! Wbił wzrok w ziemię, czując ściskanie w żołądku. Nie poznałbym go, gdybym go zobaczył.

Rebecca była z Evanem. Daru zaszyła się bezpiecznie w swym biurze. Został zupełnie sam.

– Musiałem, kurwa, zwariować – mruknął. Dwie nastolatki wlepiły w niego wzrok i ominęły go szerokim łukiem.

Zastanawiał się nad zatrzymaniem się i pogranie chwilę przy Gerrard, lecz zapach dochodzący z pizzerii w połączeniu ze zdenerwowaniem przyprawiał go o konwulsyjne ściskanie w gardle. Nadal szedł na południe. Przy Edward siedział jakiś staruszek i fatalnie grał na akordeonie, na Dundas, od północnej strony Eaton Centre, czteroosobowy zespół wyposażony we wzmacniacze podnosił poziom hałasu na rogu o jakieś sto decybeli. Słowa wykrzykiwanych przez nich piosenek łączyły seks z cierpieniem. Roland usiłował ich nie słuchać, przeciskając się przez zgromadzony tłum. W drodze do swego stałego, stosunkowo bezpiecznego miejsca na Queen mijał ćpunów i pijaków, uciekinierów i prostytutki.

Zobaczył, jak po drugiej stronie ulicy dwoje dzieciaków, nie więcej niż piętnastoletnich, kupowało mały pakiet od starszego mężczyzny w czarnej, skórzanej kurtce. Robili to jawnie, świadomi, że nikomu nie będzie się chciało wtrącać. Roland



zaciśnął zęby i szedł dalej. A ja jestem jednym z tych dobrych facetów. Zaciśnął pięść, aż plastikowy uchwyt futerału wbił mu się w dłoń. I dziwił się, kto zaprosił Ciemność. Każdy, kurwa, z nas. Gniew, nawet gniew na siebie, dodawał mu sił, więc trzymał się go uparcie.

Na narożniku Rolanda stał jakiś mężczyzna. Tłuste strąki długich, brudnych włosów spadały mu na plecy, bosa stopy wystawały spod poplamionych dżinsów, a ciemnoczerwony, świeżo wymalowany krzyż połyskiwał wilgotnie na wybrudzonym podkoszulku.

– Koniec – krzyknął zaskakująco głębokim i donośnym głosem – jest bliski!

– Tylko tego mi jeszcze brakowało – jęknął Roland. – Naprawdę tego nie potrzebuję. Nie dzisiejszego wieczoru. – Patrząc przed siebie i udając, że nie widzi obłąkanego, przekroczył kałużę wymiocin – jej smród zagłuszyły setki innych woni – i ruszył w stronę innego miejsca, które często odwiedzał.

Na dużym placu przy gmachu Simpsonsów od strony Bay Street stali przygnębiony z wyglądu kwiaciarz i sprzedawca hot dogów. Nieprzerwany strumień turystów płynął w kierunku zarówno starego, jak i nowego ratusza miejskiego. Roland ostrożnie postawił futerał na chodniku, wyjął Cierpliwość i zostawił pudło otwarte. Sprawdził, czy instrument jest nastrojony, popatrzył na przechodzącą młodą kobietę, której piersi poruszały się ociężale pod luźnym, wydekoltowanym podkoszulkiem, nagle wpadł w melancholię i zaczął cicho grać.

Grał i śpiewał automatycznie, koncentrując się na przepływających obok niego i przez niego ulotnych strzępach rozmów.

– ...zacznie się dopiero za dwadzieścia dziesiąta, sprawdziłem w gazecie.

– On oczywiście twierdzi, że tylko omawiali interesy przy lunchu...

– Posłuchaj, Marge, umówmy się tak. Pozwolisz mi zachować brodę, a ty możesz przekłuć sobie uszy.

– ...i to w dodatku do tego samobójstwa pokojówki dziś rano.

Dwaj mężczyźni spacerowali wolno i Roland nadstawiał ucha, by posłyszeć, o czym mówią.

– To nie było samobójstwo. Tylko jakiś ćpun, który wreszcie się przejechał.

– Chłopiec hotelowy wstrzykuje sobie prawie cały gram heroiny i to ma być wypadek? Podejrzewam, że w King George coś się dzieje.

– Tak? A kto to wie, co tym ćpunom odbija?

Rzeczywiście, kto? – zamyślił się Roland, kończąc piosenkę. Czy widzieli dziś po południu tego chłopca hotelowego? Może z nim rozmawiali? Czy mogli go ocalić? Odpędził te myśli i starał się pogрузić swe uczucia w sarkazmie. Przynajmniej zostawia

po sobie ślad. Nie podziałało. Sarkazm był zbyt kruchą podporą, by unieść ciężar, jaki teraz dźwigał. Zawsze przybywamy o jednego trupa za późno.

– Co tu robisz?

Roland się odwrócił i jego gitara zetknęła się brzuchem najgrubszego policjanta, jakiego widział na oczy. Facet wyglądał jak żywcem wzięty z wiejskiej komedii z Burtem Reynoldsem, jego małe, świńskie oczka błyszczały wśród fałd tłuszczu.

– Zadałem ci pytanie, chłopcze.

Nawet mówił, jakby wyszedł z wiejskiej komedii z Burtem Reynoldsem, lecz Rolandowi nie było do śmiechu. Dać takim pałkę policyjną i prawo do jej używania, a skorzystają z tego.

– Czy coś się stało?– Roland odezwał się tonem spokojnym, obojętnym, nie prowokującym. Jeśli Mrok przysłał tego człowieka, nie musiał się dużo wysilać.

– Czy gdyby nic się nie stało, marnowałbym czas na rozmowy z tobą? Tarasujesz chodnik. Idź stąd. – Za tymi słowami kryły się inne. No dalej, ty nic niewarty hippisie, zmywaj się. Jesteś gównem warty i obaj o tym wiemy.

Kilka lat temu Roland może by zaprotestował. Piesi wymijali go swobodnie i nikt się nie uskarżał.

Kilka lat temu Roland skończył na przesiedzeniu nocy w więzieniu z trzema połamanymi żebrami. Przykucnął, schował Cierpliwość i zatrzasnął wieko futerału.

Gliniarz stał i obserwował go, póki zakręt Bay Street nie przesłonił jego sylwetki.

W huku metra, od którego wibrowało całe zachodnie zbocze Don Valley, Evan i Rebecca przeczołgali się przez otwór wycięty w siatce i wdrapali na górę pod masywną, betonową podporę wiaduktu Bloor.

– Spójrz na rośliny! – Rebecca przekrzykiwała hałas torów kolejowych.

Bujna zieleń pokrywała ziemię pomimo prawie nieustającego hałasu i drgań oraz spalin wzbijających się znad Bayview Avenue. Nawet ostatnio panujący skwar zdawał się nie mieć wpływu na roślinność.

– Opiekuje się nią troll. To jego zadanie. – Metro przejechało i ostatnie słowa dziewczyny zabrzmiały w ciszy. Zachichotała i dodała ciszej: – Opiekuje się również mostem.

Evan spojrział na stalowe podpory mostu i spuścił wzrok. Troll był ich ostatnią nadzieją na uzyskanie informacji. Nikt z szarego ludku, którego spotkali i ostrzegli, nie potrafił czymkolwiek im się odwdziżyć. Wielu po prostu zlekceważyło ostrzeżenia. Większość szarego ludku w tym mieście była młoda i nie troszczyła się nadmiernie o to, co ich bezpośrednio nie dotyczyło. Starszych, bardziej tradycyjnych istot było niewiele i z każdym dniem ich liczba malała.

Ich uwagę przyciągnęło drzewo stojące w miejscu, gdzie nie powinno być żadnego drzewa. Evan oczyścił umysł i troll skłonił głowę z wdziękiem.

Dzięki swemu sposobowi bycia troll sprawiał wrażenie wysokiego – choć nie był w rzeczywistości bardzo duży – oraz potężnego – choć nie był bardzo masywny.

Rebecca uśmiechnęła się i podeszła do niego.

– Lanie – położyła dłoń na ramieniu trolla i mech, jakim był porośnięty, ugiął się pod jej dotykiem – to jest Evantarin, mój przyjaciel.

Troll milczał, podczas gdy górą przejechał z hukiem kolejny pociąg metra. Pozbawione białek oczy trolla patrzyły na Adepta. Stwór pokiwał głową.

– Ciemność przybyła – zaczął Evan, jednakże troll uniósł sękatą rękę. – Jeśli wiesz o tym, dlaczego nie ukryłeś się w bezpiecznym miejscu? – spytał Evan. – Trolle są w wystarczającym stopniu istotami Światłości, by zabicie ciebie dodało sił Mrokowi.

Troll uśmiechnął się.

– Nic mi nie grozi – rzekł głosem, który płynął równie powoli i pewnie jak rzeka wędrująca ku morzu. – Ta mała Ciemność nie odważy się mnie zniszczyć. Wie, że jestem za silny. Nie będzie marnować sił potrzebnych jej na rozprawienie się z wami. Jeśli piękna bariery i przyjdzie wielka Ciemność, ja nie opuszczę swego ogrodu.

– Próbujemy powstrzymać tę Ciemność, Lanie – oznajmiła z zapalem Rebecca, zadowolona, że troll miał ochotę na rozmowę. Czasem, kiedy przychodziła z wizytą, godzinami siedzieli w milczeniu. – Evan twierdzi, że trolle są mądre. Czy wiesz o czymś, co mogłoby nam pomóc?

– Wiem, jak pomagać roślinom we wzroście. Znam się na mostach. – Troll schylił się i wyprostował małą sadzonkę, którą zgiął wiatr. – Od wielu lat nie myślałem o innych sprawach.

– Być może nadszedł już czas – rzekł cicho Evan.

Troll spojrział w górę na wiadukt, na dwa olbrzymie łuki i te mniejsze na obu końcach i znów popatrzył na Evana.

Pod wpływem uważnego spojrzenia trolla Evan podniósł dumnie podbródek i odrzucił włosy z twarzy.

Troll ostrzegawczo uniósł rękę.

– Nie musisz pokazywać mi się w aureoli blasku, Adepcie. Ja stąpałem wśród Światłości. Pani – Evan drgnął, słysząc z ust trolla imię, jakie nadał Rebecce – w bluszczu utknął mały ptaszek. Wypadł z gniazda, a ja jestem zbyt ciężki, by wspiąć się na górę i włożyć go do niego z powrotem.

– Czy chciałbyś, żebym ja to zrobiła, Lanie? – Rebecca leciutko podskoczyła.

– Gdybyś zechciała.

– Zaraz wrócę, Evanie. – Wdrapała się na zbocze i zniknęła z drugiej strony filaru, najwyraźniej wiedząc, o jakim bluszczu mówił troll.

Ogłuszeni hałasem, odczekali chwilę, aż przejedzie pociąg. Troll powiedział:

– Jeśli zwyciężysz, zabierz ją ze sobą.

– Co takiego?

– W innych czasach mogłaby zapaść korzenie, jej niewinność nie miałaby znaczenia, ale ta epoka bez przerwy ją wykorzenia. To dla niej okrutne, a ja pragnąłbym dla niej spokoju. Zrób to, a będę miał wobec ciebie dług.

Kompletnie zaskoczony, Evan odwrócił się i odszedł kilka kroków. W przeszłości mężczyźni i kobiety przekraczali bariery, ale nikt nie czynił tego ostatnio. Adept wyobraził sobie Rebeccę w świecie, z którego przybył, i dziewczyna idealnie do niego pasowała. Być może dlatego tak mnie pociąga, że przypomina mi o ojczyźnie. Wzdrygnął się na myśl o tym, jak on sam czułby się uwięziony w tym świecie. Był zdumiony, że do tej pory jej niewinność pozostała nieskalana.

– Wybór musi należeć do niej – odparł cicho. – Jednakże jeśli zwyciężymy, poproszę ją, żeby poszła ze mną.

– Jeśli przegrasz, Adepcie, to już nie będzie stanowiło problemu.

Największa na świecie księgarnia była otwarta do późna i przyciągała nieprzerwany strumień klientów, choć był to drobiazg w porównaniu z tłumem, który wciąż kłębił się przecnicę dalej na Yonge. Roland przycisnął Cierpliwość do piersi i przez chwilę muskał palcami struny, kojąc nadwężone nerwy. Gdyby tylko na to pozwolił, nieufność wobec policji łatwo mogła się przerodzić w irracjonalny strach. Nie miał jednak zamiaru na to pozwalać.

Na nieszczęście podejrzenie, iż Ciemność czai się tuż poza zasięgiem wzroku i gra na jego poczuciu zagrożenia, pogarszało sytuację.

– Powiedziałem, wchodź do samochodu!

Roland otworzył usta, żeby wyjaśnić, że kurtka mu się o coś zahaczyła i nie mógł jej odczepić, gdy został uderzony pałą. Próbował się uchylić i upadł na gliniarza, przewracając go na ziemię. Plecy, zębra, nogi, głowa; stracił rachubę ciosów...

Stawianie oporu podczas aresztowania, powiedzieli mu w sądzie. Napaść na funkcjonariusza policji. Kolega tego gliniarza, który oprócz przyglądania się nic nie robił, znów stał bezczynnie. Ze względu na młody wiek Roland dostał wyrok w zawieszeniu. Ledwo skończył piętnaście lat.

– Masz jakiś powód, żeby blokować chodnik?

Struny gitary werżnęły się Rolandowi w palce, kiedy zacisnął dłonie i odwrócił się. Strużka potu nie spowodowana upałem spływała mu po boku. Było ich dwóch i stali

wystarczająco blisko, by mógł poczuć zapach mydła i płynu po goleniu.

Wyższy, rudowłosy gliniarz wyciągnął książkę raportów. Potrafił poznać strach na pierwszy rzut oka, a w jego zawodzie strach oznaczał winę.

Daru westchnęła i odsunęła akta leżące na biurku. Zrobiła całą robotę papierkową, jaką mogła, lecz wciąż czekał na nią wielki plik dokumentów dotyczących terminów spotkań w sądzie i wizyt osobistych. Tydzień już miała zajęty, nie zapobiegało to jednak pojawianiu się nowych problemów i nowych ludzi, którzy potrzebowali pomocy, i nowych bitew, jakie trzeba było stoczyć.

Wyłączyła lampę na biurku i nagle zdała sobie sprawę, że pałą się tylko światła awaryjne.

– Za dwadzieścia jedenasta? – rzekła do swego zegarka, jakby to była jego wina. Jej głos zabrzmiał echem wśród ciszy, a kiedy ucichł, uświadomiła sobie, że słyszy tylko bicie swego serca. – Zdaje się, że znów jestem ostatnią osobą na piętrze. – Wstała, wzięła torebkę i wyszła ze swego kącika, kierując się w stronę wind. Szła ostrożnie ciasnymi, zagraconymi korytarzykami, które w słabym świetle wydawały się jeszcze ciaśniejsze i bardziej zagracone. Panowała tak niezmacona cisza, że Daru zastanawiała się, czy nie jest ostatnią osobą w całym budynku.

Nacisnęła przycisk windy i czekała. Czasami w nocy wyłączano windy, co zmuszało ją do długiej wędrówki z siódmego piętra po kiepsko oświetlonych schodach. Nienawidziła ich; pole widzenia było ograniczone do połowy schodów w górę i połowy w dół, najdrobniejszy odgłos odbijał się bez końca od betonowych ścian, tworząc nieprawdziwe zagrożenia i maskując rzeczywiste. Drgnęła na dźwięk dzwonka oznajmającego przybycie windy. Kiedy weszła do środka, skarciła samą siebie za to, że przestraszył ją odgłos, który słyszy setki razy dziennie.

Podziemny garaż był bardzo jasno, niemal jaskrawo oświetlony i we wszystkich kątach czaiły się podkreślone ostre cienie. Daru przymrużyła oczy i lekceważąc znak nakazujący pieszym nie schodzić z dróg dla nich przeznaczonych, przeszła na ukos przez pusty parking do sektora, w którym zostawiła swój samochód. Wyszła zza rogu, zatrzymała się i zaklęła. Światła były pogaszone.

Obejrzała się do tyłu. Przez otwarte drzwi windy smuga chłodniejszej żółci zlewała się z białym blaskiem lamp fluorescencyjnych. Powinnam wrócić na górę i zawiadomić strażnika. Tymczasem drzwi się zamknęły i Daru usłyszała szum windy jadącej do góry. Za jej plecami była ciemność.

Jej podniszczone kombi niczym cień w mroku stało nie dalej niż dziewięć metrów. Zanim winda wróci, Daru może być już w samochodzie i w drodze do domu. Zrobiła krok, a potem jeszcze jeden. Zdumiało ją, jak szybko znalazła się w obszarze całkowitej

ciemności. Przecież powinno docierać tu światło z pozostałej części parkingu.

Natrafiała na samochód goleniami.

– Cholera!

Słowo zapadło w ciemność.

Dotykając jedną ręką samochodu, a drugą przetrząsając po omacku torebkę w poszukiwaniu kluczyków, Daru podeszła do drzwi kierowcy i zaczęła szukać klamki. Otwierałam ten głupi samochód tysiąc razy... o, już jest. Przyciskając kciuk do krawędzi zamka, wyjęła kluczyk i włożyła go energicznie. Klucz utknął w zamku, a kiedy gwałtownie szarpnęła, żeby go wyciągnąć, wyleciał jej z rąk i spadł na ziemię.

Daru zdusiła cisnące się jej na usta przekleństwo, przyklękła i zaczęła obmacywać betonową posadzkę.

Wtem zamarła z wyciągniętymi rękami i rozsuniętymi palcami, bo uświadomiła sobie, że nie jest sama. Poczwała, że włosy jeżą się jej na głowie, wstrzymała oddech i wyteżyła zmysły. Usłyszała cichy, prawie jedwabisty dźwięk. Potem jeszcze raz, bliżej.

Wtedy przypomniała sobie, że Mrok krąży po mieście.

Jej poszukiwania zamieniły się w rozpaczliwą walkę, która zagłuszyła wszelkie następne odgłosy. Nie musiała ich słyszeć. Wiedziała, że on tam jest. Czubek jej palca natknął się na metal. Chwyciła klucze, zdzierając sobie skórę na kostkach, i szybko wstała.

Potem nie mogła znaleźć klamki...

Potem nie mogła znaleźć zamka...

Potem ten przeklęty klucz nie chciał wejść...

Potem coś dotknęło jej pleców.

Kobieta wrzasnęła i odwróciła się gwałtownie, zasłaniając się ręką.

– Proszę uważać, panienko. Pomyślałem, że przyda się tu trochę światła. – Strażnik uniósł latarkę i poświecił na drzwi samochodu.

Daru zaczerpnęła głęboko tchu i siłą woli opanowała drżenie. Starszy mężczyzna uśmiechnął się serdecznie. Nie był zaskoczony ani urażony jej reakcją.

– Tu jest rzeczywiście dość upiornie, kiedy zgasną światła – dodał, rozglądając się.

Kobieta popatrzyła tam gdzie on, zauważając, że ciemność stała się bardziej szara niż czarna. Widziała swój samochód. Niewyraźnie, ale widziała. Zwilżywszy wargi, wyszeptwała „Dzięki” – otworzyła drzwi i wsiadła do samochodu. Kiedy odjeżdżała, przez ułamek sekundy wydawało jej się, że w świetle reflektorów widzi cień w miejscu, w którym nie powinno być cieni.

Nie mając powodów do zatrzymania Rolanda – nie było nakazu, podejrzany nie był notowany, nie miał na sumieniu nawet nie zapłaconego mandatu – policja nie miała

innego wyjścia, jak go wypuścić. Przeżył przykre dwadzieścia minut, podczas których jękał się przy swoim nazwisku i zapominał własnego adresu. Za każdym razem, gdy otwierał usta, policjanci nabierali coraz większego przekonania, że musi być winny. Kazali mu odłożyć gitarę, nie miał więc w rękach nawet dodającego otuchy ciężaru Cierpliwości. Wreszcie machnęli na niego ręką i odesłali z surowym „Będziemy mieć na ciebie oko”.

Przecznicę dalej przyszło mu do głowy, że jeden z gliniarzy, a może nawet obaj byli młodszy od niego. Miał uczucie, że gdyby zdał sobie z tego sprawę wcześniej, byłoby jeszcze gorzej. Wstrząśnięty i wyprowadzony z równowagi, ruszył w stronę Yonge Street i anonimowego tłumu. W tym momencie Ciemność wydawała się lepsza od kolejnego zetknięcia z torontońską policją.

Czterooosobowy zespół wciąż ryczał swoją wersję rocka od północnej strony Centre, lecz miał coraz mniej słuchaczy. Roland zobaczył kolejną grupę nastolatków, którzy odeszli i wtopili się w nieustający strumień ludzi idących na południe. Nikt nie szedł na północ.

Zdumiony tym, poszedł za tłumem.

Na otwartej przestrzeni, tuż przed dużymi, środkowymi drzwiami, panował ścisk. Niektórzy ludzie kołysali się, inni kiwali głowami do taktu, wszyscy stali w milczeniu i słuchali męskiego głosu i gitary akustycznej.

Roland przepychał się do przodu – używając futerału jako taranu, gdzie było to konieczne – aż znalazł się w odległości jednego rzędu od śpiewaka. Nie rozumiał, co ludzie w nim widzą. Ciemnowłosa mężczyzna mniej więcej w jego wieku brzdąkał na lśniącej, nowej, czarnej gitarze marki Ovation. Głos miał dość przyjemny, lecz nienadzwyczajny. Z pewnością nie dorównywał jakością instrumentowi. Gdy Roland zaspokoił już ciekawość, wsłuchał się dobrze w piosenkę.

Nie rozumiał słów, jeśli były w niej jakieś słowa, lecz bez trudu podchwycił emocje. Rozpacz. Rozczarowanie. Poczucie beznadziejności. Stwierdził, że kołysze się do rytmu, czując to samo. Po co to wszystko? Nikt inny o to nie dba, więc dlaczego on miałby?

Evan o to dba, skarcił go cichy głos w głowie.

To jego obowiązek, odparł na to, pragnąc, by głos zamilkł i pozwolił mu słuchać muzyki.

A Daru? – spytał głos.

Jej również, zauważył radośnie, po raz pierwszy w życiu wygrywając z tym cichym głosem.

A Rebecca?

Na to nie miał odpowiedzi. Rebecca dbała, ponieważ taka już była. Nie było żadnego

innego powodu. Nagle muzyka straciła sens. Roland energicznie pokręcił głową żeby się z niej otrząsnąć.

Śpiewak podniósł wzrok i uśmiechnął się do niego.

Roland zaczął się szybko wycofywać, ignorując krzyki oburzonych ludzi, na których wpadał, i lekceważąc rzucane półgłosem liczne przekleństwa. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy przywarł plecami do słupa i gdy od Mroku dzielił go tłum ludzi. Serce waliło mu tak mocno, iż nie słyszał muzyki, lecz mimo to wiedział, iż nadal rozbrzmiewa.

I wiedział, że musi coś z tym zrobić.

Nie mogę. Znow przyjdzie policja i tym razem nie skończy się tylko na gadaniu.

Dyszał, jakby brał udział w wyścigach.

Nie mogę. Nie mogę sam walczyć z Ciemnością. Tu powinien być Evan!

Wokół niego mężczyźni i kobiety w różnym wieku kołysali się i kiwali głowami. Na ich twarzach malowała się coraz większa posępność.

Nie mogę.

Jednakże otwierał już futerał i wyjął Cierpliwość, zasłaniając się nią niczym tarczą.

Musiał, Mrok bowiem zabierał coś, co kochał, wypaczał to i oszpecał. Nie mógł dłużej na to pozwalać.

Nie było nikogo innego.

Co jednak podziała wystarczająco silnie, by rozproszyć rozpacz oblepiającą tłum jak czarny syrop? Co ma dość mocy, by przekroczyć bariery pomiędzy pokoleniami słuchaczy zauroczonych śpiewem Mroku? Wybrał i odrzucił wybór, wybrał i znow odrzucił. Wtedy zdał sobie sprawę, że ma tylko jedną szansę, ma tylko jedną piosenkę. Zagrał pierwszy akord i pomodlił się, by John Lennon, gdziekolwiek się znajduje, przyszedł mu z pomocą.

Przy czwartej zwrotce ludzie stojący najbliżej niego zaczęli odwracać głowy.

Przy szóstej zrzucili z siebie urok Ciemności i piosenka wywierała coraz większy wpływ.

Roland pozwolił, by przemawiała własnym głosem, skoncentrował się na melodii i słowach, całą resztę wyrzucił ze swego umysłu. Piosenka musiała dotrzeć wszędzie, nie zostawiając miejsca dla Mroku.

Kiedy skończył *Imagine* i natychmiast przeszedł do *Let It Be*, dostrzegł łzy błyszczące na niejednym policzku. Podejrzał, że jego własne też są mokre. Czuł, jak potęga śpiewu i muzyki spływa dzięki jego głosowi i palcom w serca ludzi, gdzie będzie rozkwitać. W to warto wierzyć, twierdziła owa potęga. Nadzieja. Życie. Radość.

Zaczął *Can't Buy Me Love* i zauważył, że ludzie przytupują do taktu. Dostrzegł uśmiechy i wiedział, że wygrywa.



Przestał śpiewać dopiero wtedy, kiedy zachrypl, i bez zdziwienia stwierdził, że trwało to nieco ponad dwie godziny. Roześmiany i rozgadany tłum zaczął się rozchodzić. Tu i ówdzie słyhać było jeszcze gniewne pomruki, lecz przytłaczające poczucie rozpacz zostało rozproszone.

Roland rozprostował zdętwiałe palce i uśmiechnął się. Beatlesi – Ciemność, jeden do zera.

– Sądzę – rozległ się cichy głos – że powinniśmy porozmawiać.

Roland uśmiechnął się szerzej. Po tym z łatwością poradzi sobie z gliniarzami. Odwrócił się i zamarł.

Mrok uśmiechnął się.

## Rozdział dziewiąty

– Bardzo dobrze grasz. – Adept Mroku wskazał głową na Cierpliwość, którą Roland tulił w objęciach. – Byłbyś świetny, gdybyś miał lepszy instrument.

Roland ścisnął mocniej polerowane drewno.

– Jestem zadowolony z tego, co mam – oznajmił z urazą przebijającą się przez strach.

– Ależ, oczywiście. – Postawiwszy pionowo swą gitarę, Adept Mroku wsparł się na niej. – Gdybyś nie był zadowolony, nie byłbyś taki dobry. Zapewne jednak zastanawiałeś się, jak by to było zagrać na gitarze naprawdę wysokiej klasy. Takiej, która ma porządną rezonans i struny nie podwyższające tonu, gdy najmniej się tego spodziewasz.

Palce Rolanda z własnej woli odszukały strunę A. Rzeczywiście miała takie tendencje bez względu na to, ile razy zmieniał strunę ani jak starannie ją stroił. Cierpliwość, choć była najlepszym instrumentem, na jaki było go swego czasu stać, zawsze miała trochę głuche brzmienie. Musiałem być szalony, żeby się porywać na niego tylko z takim... Zaczekaj! Oderwał wzrok od Ciemności i spojrzał na resztkę rozchodzącego się tłumu. Zwyciężyłem. Ponownie ogarnęło go uczucie dumy ze zwycięstwa, a wraz z tym wróciła pewność siebie.

– Jestem zadowolony z tego, co mam – powtórzył tonem, który definitywnie kończył dyskusję. Schował ostrożnie Cierpliwość, pieszcząc ją delikatnie podczas układania na filcu futerału. Kiedy się wyprostował, trzymając mocno w dłoni znajomy uchwyt futerału, Adept Mroku zagroził mu drogę.

– Przespaceruj się ze mną.

– Co mam zrobić?

– Przespaceruj się. Teraz nie musisz się obawiać niczego z mojej strony. Pokonałeś mnie. Możesz pozwolić sobie na wspaniałomyślność.

To mowa o spacerze przez puszcę. Roland wbił wzrok w punkt ponad ramieniem ubranego w bawełnę mężczyzny i starał się uporządkować myśli. Nie miał zamiaru iść na spacer z tym pozornie przyjaznym młodzieńcem i kropka, lecz Evan potrzebował informacji, gdzie kryje się Mrok i gdzie będzie brama, a to może być najlepsza i prawdopodobnie jedyna szansa, żeby się tego dowiedzieć. Oczywiście, będzie się z tym łączyło pewne ryzyko, lecz czyż nie warto? Wciąż czuł ogrzewające go resztki mocy, jaką włożył w swoją muzykę. Poza tym, z bliska Mrok nie wydawał się aż tak przerażający. Pokonał go raz i może to zrobić ponownie.

Dwie duże, ubrane na niebiesko postaci, które nadchodziły z południa, podjęły za niego decyzję.

– Dokąd pójdziemy? – spytał, ruszając na północ.

Adept Mroku dołączył do niego.

– Och, tak się przejdziemy.

Szli w milczeniu, dopóki nie skręcili w lewo w Dundas. Wtedy Adept rzekł:

– Chciałbym zawrzeć z tobą umowę.

Zdumiony Roland obejrzał się z przestachem.

– Umowę? Jakiego rodzaju?

– W zamian za to, czego najbardziej pragniesz, przestaniesz pomagać Światłości.

Zabrzmiało to tak lekko, że Roland mógł powiedzieć tylko jedno:

– Kuisz mnie?

Adept uśmiechnął się z odrobiną zakłopotania.

– Cóż, w końcu to moje zajęcie.

Mimo wszystko Roland nie potrafił powstrzymać się od śmiechu. Znow skręcili w lewo, do małego parku za Centrę i szli teraz po trawie w stronę wysokich wieżyc kościoła Świętej Trójcy.

– Więc kuś, ale ostrzegam cię, nie pragnę niczego, co możesz mi dać.

– Ostatnio pragnąłeś jednak czegoś innego.

Zarys policzka Evana, długa linia jego ud, żar w jego dłoniach...

– Nie. – Roland stanowczo pokręcił głową. – Nie, nie pragnąłem.

Adept Mroku wyglądał na zaskoczonego.

– Wypierasz się swego pragnienia Światłości?

Roland otworzył usta, żeby powiedzieć „tak”, nie mógł bowiem przyznać się przed Mrokiem do czegoś, do czego nie mógł przyznać się przed samym sobą. Zatrzymał się jednak, nagle świadom niebezpieczeństwa, jakim było okłamanie Ciemności. Zdał sobie sprawę, że kłamstwo byłoby wyparciem się Światłości, słowa natomiast, z których się składało, były nieważne.

– Nie – powtórzył jeszcze raz, powoli i wyraźnie. – Nie wypieram się mojego pragnienia.

– Ale powiedziałaś...

– Zaprzeczyłem temu, że pragnąłem ostatnio czegoś innego. – Co nie było dokładnie prawdą, lecz Roland sądził, że ujdzie mu to na sucho. – Pragnąłem miłości już wcześniej. Ale po co to sondowanie? – Rzeczywiście, po co?, pytał sam siebie, obracając tę koncepcję w myślach i czując się tak, jakby przed chwilą oberwał cegłą. Evan miał rację. Nie ma nic złego w kochaniu. Zaczekaj, aż go znowu zobaczę, a wtedy... Przerwał rozmyślania. Nie był pewien tego, co zrobi, ale przynajmniej wiedział, że przestał uciekać. Światło przy drzwiach kościoła padło na twarz Mroku i Roland uświadomił

sobie, że znów wygrał.

– Nie to zamierzałem ci zaproponować – warknął Adept, gdy zawrócili w stronę Centre. – Nie tego pragniesz najbardziej.

– Więc? – zachęcił go Roland, chcąc być, jak zasugerował Mrok, wielkodusznym zwycięzcą.

Adept nabrał głęboko tchu i przyłożył dłoń do szklanych drzwi wiodących do centrum handlowego. Drzwi się otworzyły.

– Hej, przecież jest po północy. Nie powinny być otwarte.

– Nie były.– Adept posłał mu przez ramię szeroki uśmiech. Jego niebieskie oczy wydawały się w słabym świetle prawie czarne. – Wchodzimy.

Roland wzruszył ramionami.

– Jak się powiedziało A, trzeba powiedzieć B... – I wszedł za nim.

Wnętrze Eaton Centre w nocy wyglądało inaczej, zupełnie jak scena czekająca na aktorów. Ich buty na miękkich podszewkach nie wydawały dźwięku podczas stąpania po płytkach posadzki. Przeszli przez rozległą halę i zatrzymali się za szklanymi drzwiami prowadzącymi na Yonge. Po drugiej stronie szyby, w miejscu, gdzie grali, były teraz jedynie śmieci.

Ciemność zrobiła gest dłonią o długich palcach.

– Proponuję ci to, czego doświadczyłeś tam dzisiejszej nocy...

– To już należy do mnie – rzekł pogardliwie Roland, czując resztki ciepła tej potęgi. – Wyplęnęło z mojego wnętrza, nie z jakiegoś zewnętrznego źródła. Nie możesz mi tego dać ani odebrać.

– Nie pozwoliłeś mi dokończyć – westchnął Adept Mroku. – Sprawię, że to, czego zaznałeś dzisiejszej nocy, będzie płynęło z twoich własnych pieśni.

– Moich własnych...

– Tak. Twoje słowa, twoja muzyka będzie miała moc poruszania ludzi. Nie tylko granie dzieł innych twórców.

– Moje...

– No więc – uśmiechnął się Mrok – czyż nie tego właśnie pragniesz ponad wszystko?

– Tak. – Roland ledwo wykrztusił to słowo. Mieć to, czego brakowało jego piosenkom. Przemawiać wreszcie własnym głosem. Widzieć, że muzyka, którą komponuje, znaczy coś dla innych; że pobudza ich do łez, śmiechu czy gniewu; że przetrwa i będzie wciąż wywierała ten sam wpływ, kiedy jego już dawno nie będzie. Często myślał, że oddałby za to swą duszę. Teraz miał taką szansę.

– No i jak, zawieramy umowę?

Evan tak naprawdę go nie potrzebuje. Poza tym, dziś już zrobił swoje w walce

z Ciemnością. Pokonał ją nie raz, lecz dwa razy. Czy to nie wystarczy?

– Rolandzie?

Jego piosenki. Jego muzyka.

– Czy zawieramy umowę?

Wiatr cisnął w drzwi czerwono-białym papierkiem po pieczonym kurczaku.

Rolandzie, oni mają kurczaka.

Widzę, dziecino.

Czy Rebecca będzie jeszcze chciała słuchać jego piosenek, jeśli ustąpi? Coś mu podpowiadało, że nie. Cóż jednak znaczy opinia jednej przygłupiej dziewczyny w porównaniu z resztą świata?

Czuł, że drży, i nie mógł podnieść głowy. Jego głos był ledwo słyszalny.

– Nie.

Dużo znaczy.

– Nie?

Wiedział, że powinien czuć uniesienie, iż jeszcze raz okazał się dość silny, lecz miał jedynie bolesne poczucie straty.

– Robisz błąd, Rolandzie. – Adept Mroku wzruszył ramionami. – Ale to twój błąd.

– Bardzo spokojnie się z tym godzisz – rzekł Roland z pewnym zaskoczeniem. Nie był całkowicie pewny, czy podoba mu się takie nonszalanckie podejście do jego poświęcenia.

Adept przycisnął dłoń do drzwi, które ponownie się otworzyły.

– Jednych się zdobywa, innych się traci. Ojej – przerwał – wygląda na to, że twoi przyjaciele w niebieskich strojach wciąż tam są. Nie sądzę, żeby bardzo się ucieszyli, widząc, jak wychodzisz z zamkniętego gmachu.

Roland przeniósł wzrok z dwóch gliniarzy na Adepta Mroku i uświadomił sobie, że mówi chyba najgłupszą rzecz w swoim życiu, nie miał jednak wątpliwości, iż policji się boi, a jeśli chodzi o Ciemność – czuł się zmieszany.

– Co zrobimy?

– Oczywiście wyjdziemy tylnymi drzwiami. Przeszli przez halę z powrotem do drzwi, które zaprowadziły ich na drugą stronę kościoła.

– Obeszliśmy kościół Świętej Trójcy dookoła – stwierdził Roland, kiedy zatrzymali się pod tym samym reflektorem na kościelnym murze.

– Tak – powiedział Adept Mroku – wiem.

Roland oparł się o kamienną ścianę i zaczerpnął głęboko wilgotnego powietrza.

– Nie potrafię cię zrozumieć. Nie jesteś taki, jak sobie wyobrażałem. Jesteś taki...  
cóż, z bliska nie jesteś wcale taki przerażający.

– Czyżby? – rzekł Adept Mroku. I nagle stał się bardzo przerażający.

Nogi ugięły się pod Rolandem, kolana uderzyły o beton. Jego umysł, który próbował ogarnąć bezmiar zła, z jakim miał do czynienia, nie mógł ogarnąć niczego więcej. Roland usiłował odwrócić wzrok, lecz nie zdołał. Próbował krzyżeć, lecz nie mógł. Zmusił oporne wargi do wypowiedzenia jednego słowa, które wydostało się z jego ust jak skowyt.

– Evan...

Mrok uśmiechnął się.

– Za późno.

– Hej, Marge!

Posterunkowy Patton przystanęła z dłonią na drzwiach komisariatu i zaczęła na pracownicę cywilną, która biegła do niej, machając kawałkiem papieru.

– Znalazłam tego faceta, którego szukałaś!

– Szybko się uwinęłaś. – Policjantka puściła drzwi i wyciągnęła rękę.

Kobieta podała jej dokument, uśmiechając się od ucha do ucha.

– To nie było trudne. Raczej trudno go nie zauważyć. Nie dziwię się, że zapamiętałaś jego wygląd.

Posterunkowy Patton rzuciła okiem na wydruk i pokiwała głową w zamyśleniu.

– Tak, ja też się nie dziwię. – Zdjęcie nie oddawało w pełni jego urody; nie mogło pokazać blasku we włosach ani olśniewającego uśmiechu. Kiedy zobaczyła go w hotelu, wiedziała, że musiała go już gdzieś widzieć. – A więc zgarnęliśmy go podczas zamieszek... Evan Tarin, tak? – Policjantka wepchnęła kartkę do kieszeni. – Dzięki, Haniu. Nigdy nie przestajesz mnie zadziwiać tym, co udaje ci się wyciągnąć z komputera.

Hania wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

– Na tym polega moja praca. To akurat było łatwe.

Kilka minut później, już w samochodzie patrolowym, posterunkowy Patton rzuciła koledze wydruk na kolana.

– A nie mówiłam – powiedziała, kiedy na niego spojrział. Czytając informacje, posterunkowy Brooks tylko coś odburknął.

Policjantka z zrozumiałą miną postukała palcami w deskę rozdzielczą.

– Wiedziałałam, że w mieście nie może być dwóch tak przystojnych mężczyzn.

– Cóż, bardzo ci dziękuję, Mary Margaret. – Oddał jej kartkę i włączył silnik. – Co teraz zrobimy?

– Ten pan został oddany pod kuratelę niejakiej Daru Sastri z miejskiej opieki społecznej.

– Aha. I co z tego?

– Skończymy pracę i może jutro do niej zajrzemy. Ten pan Tarin ma jakiś związek z naszym mordercą, a ja chciałabym zamienić kilka słów z nim i z jego przyjaciółką.

– Powinniśmy byli zatrzymać ich wtedy po południu.

Posterunkowy Patton zmarszczyła brwi.

– Tak, wiem. – Ciągle nie wiedziała, dlaczego pozwoliła wyjść tym dwóm bez podania nazwiska, bez niczego. Nie było to jej normalne zachowanie. Kątem oka zerknęła na Jacka. Nie było to normalne zachowanie żadnego z nich. – Chyba ten upał tak na nas podziałał.

– Naprawdę w to wierzysz?

Kobieta zaśmiała się niewesoło.

– Od tamtej nocy w Valley nie wiem już, w co wierzyć.

– Ja osobiście wierzę w to, co zawsze.

– Zawsze wierzyłeś w jednorożce?

– Jasne.

– Zapewne też w elfy i chochliki?

– Aha.

– W duchy, upiory i skaczące w nocy zmyry?

Przez chwilę milczał, kiedy się odezwał, w jego głosie nie było już wesołości:

– To się rozumie samo przez się.

Siedzieli w milczeniu, patrząc, jak mija noc.

– Ale gdzie on jest, Evanie?

– Nie wiem, Pani. Nie potrafię go znaleźć.

– Czy on nie żyje?

– Nie. Wiedziałbym, gdyby nie żył...

Świat sprawiał wrażenie innego, niż powinien być. Roland z trudem otworzył oczy i natychmiast znów je zamknął, gdyż nawet ta odrobina światła wbijała mu kolce w mózg. Odkąd sięgał pamięcią, nie miał tak okropnego kaca; jego mózg był jak przepuszczony przez mikser, żelazna obręcz przyciskała mu żołądek do kręgosłupa i usilnie pragnął zwymiotować. Znowu. Zapach dawał jednoznacznie do zrozumienia, że raz już to zrobił. Gdyby tylko jego głowa przestała podskakiwać, może zdołałby...

Przypomniał sobie Ciemność, przerażenie i ból i zaczął przeraźliwie wyć, wymachując niezdarnie rękami i nogami.

– Mówiłem ci, że żyje.

Mocniejsze zaciśnięcie stalowego uchwytu, którym Roland był objęty w pasie, spowodowało napad hysterii, ograniczając jego świat do walki o zaczerpnięcie tchu.

Kiedy wydawało się, że nie grozi mu już natychmiastowe omdlenie, otworzył oczy.

Ziemia kołysała się w odległości jakichś czterech stóp od jego głowy, tuż poza zasięgiem wyciągniętych palców. W polu widzenia czasami pojawiała się jakaś rozmazana, brązowa plama i wyczerpany Roland zastanawiał się, co to było. Zebrawszy wszystkie siły, a nie miał ich zbyt wiele, zdołał odzyskać panowanie nad rękami w wystarczającym stopniu, by pchnąć to coś, co go ścisnęło. Nie ustąpiło, choć w dotyku było ciepłe i jakby sprężyste.

Znów się zacisnęło. Ręce Rolanda opadły, przed oczami zrobiło się żółto, potem pomarańczowo, a potem...

– Zabić zaraz! – zadudnił drugi głos, po którym rozległ się jakby huk pioruna. Po krótkim czasie, dzięki Bogu, ucisk się zmniejszył i Roland mógł wciągnąć do płuc wielkie hausty cuchnącego powietrza.

Kiedy przejaśniło mu się w oczach i odzyskał całkowicie zdolność widzenia, nagle poznał w rozmytej, brązowej plamie bosą i brudną stopę.

Trochę mniejsza od kajaka, pomyślał jak przez sen, kołysząc się w jedną i drugą stronę.

– Jezu! – Przerazenie dodało mu sił, by wykręcić głowę i spojrzeć w górę.

Olbrzym, który niósł go pod pachą, musiał mieć piętnaście stóp wzrostu. Jego idący obok towarzysz był trochę niższy. Obaj odziani byli w prymitywne tuniki bez rękawów, sporządzone z gnijących i śmierdzących skór.

Roland bił i kopał, a kiedy to nie pomagało, starał się wyslizgnąć z uchwytu. Wypłoszył mnóstwo much, które zerwały się znad skór, polatały w kółko i ponownie usiadły. Olbrzymi jednakże nie zwracali na niego uwagi. Rolanda opuściły siły. Głowa mu opadła, rzeczywistość ograniczyła się do skrawka ziemi, który kołysał się pod nim. Widząc, jak ścieżka ustępuje miejsca skałom, wyszeptał: – Zdaje mi się, że nie jestem już w Kansas. – Nie było to oryginalne, niemniej jedynie na to było go stać w obecnych okolicznościach. Odnosił wrażenie, że nie odczuwa już strachu – lęk opuścił go wraz z siłami. Czuł się jedynie odrętwiały – przypuszczał, że to się zmieni, kiedy tylko się dowie, czego ma się bać.

Olbrzymi brodzili w stertach rozkładających się odpadków, unosząca się woń sprawiła, że Roland dostał skurczów żołądka. Znów zaczął wymiotować. Okazało się to zbyt wielkim wysiłkiem dla jego niedotlenionego organizmu i ponownie pogрузzył się w nieświadomości.

Ocknął się kilka minut później, gdy wylądował niezgrabnie na miękkim, uginającym się stosie, w którym wyczuł jednak twarde części. Uwierały go w posiniaczone boki. Było to najlepsze miejsce do odpoczynku, na jakie kiedykolwiek natrafił. Kiedy tak leżał



i rozkoszował się możliwością swobodnego oddychania, nawet smród mu nie przeszkadzał. Zupełnie niczego nie widział, w uszach dzwoniło mu głośno, ale mimo to nie czuł się tak dobrze od – wspomnieniami czym prędzej ominął Ciemność – wielu godzin. Nagle rozbłysło światło i bez ruszania się z miejsca ujrzał stojącego w odległości około dziesięciu stóp jednego z olbrzymów, którego cień tańczył na sterwie błyszczących w blasku ognia przedmiotów. W rękach trzymał gitarę Rolanda, która w porównaniu z jego rozmiarami wyglądała jak zabawka.

Roland drgnął i spróbował się podnieść. Jego ręka przebiła oparcie z mokrym odgłosem i zapadła się w głąb jamy wypełnionej czymś, co w dotyku przypominało ryżowy pudding – tylko że ziarenka ryżu się ruszały. Uciekając spieszenie do tyłu, dopóki kolanami nie dotknął skały, Roland spojrzął ze zgrozą na to, na czym leżał. Większość trupów uległa rozkładowi w stopniu uniemożliwiającym rozpoznanie, brzęczenie było dziełem niezliczonej ilości much, klatka piersiowa, do której wpadła mu ręka, poruszała się. Biorąc pod uwagę obecność much, nawet mimo słabego oświetlenia, nie trzeba było geniusza, żeby się domyślić, dlaczego.

Jedynie odraza do trupów powstrzymała Rolanda od zareagowania odrazą na obecność robaków. Choć miał wielką ochotę biegać w kółko i wrzeszczeć: „Zabierzcie je ode mnie! Zabierzcie je ode mnie!”, otrzepał tylko rękę i przykląkł z oczami rozszerzonymi z przerażenia.

Jedyny nieboszczyk, jakiego widział Roland – podobnie jak większość jego pokolenia w tej części świata – leżał na marach niczym woskowa kukła, nie sprawiając wrażenia, że kiedykolwiek żył. Te trupy były jednocześnie mniej i bardziej realne; jedyne posiadane przez Rolanda wiadomości na temat postępowania z nimi pochodziły z filmów, o których wolałby raczej nie pamiętać. Tym niemniej nie sposób było tej sytuacji pomylić z filmem ani nawet z koszmarem. Ani kino, ani senne mary nie były w takim stopniu bezpośrednie. Coś go boleśnie ugniatało w kolano. Przesunął się na bok i spuścił oczy. Zgniół swoim ciężarem trzy czwarte palca nieboszczyka, odsłaniając lśniący staw. Roland zaczął się trząść w nieopanowany sposób i czuł, jak w głębi trzewi wzbiera w nim wrzask.

– Na twoim miejscu nie krzychałbym. – Jeden z trupów poruszał szczęką, lecz jego głos był głosem Mroku. – Przypomnij tylko tym dwóm o swojej obecności, a mogą zdecydować się na wcześniejszy lunch.

Roland załkał, lecz był to jedyny dźwięk, jaki wydał. Obejrzał się przez ramię. Jeden olbrzym nadal dorzucał do ognia, drugi zaś grzebał w rupieciach pod przeciwną ścianą groty.

– Stąd jest wyjście – ciągnął Mrok. – Wystarczy mnie wezwać. Poproś mnie

o pomoc, a zabiorę cię do domu. – Wargi pożyczonych ust nie były zdolne do śmiechu, lecz Roland usłyszał rozbawienie w głosie Adepta Mroku, który dodał: – Nie czekaj za długo.

– Czekaj za długo – powtórzył słabym głosem Roland, gdy nieboszczyk zamilkł. Umysł Rolanda chwiało się na granicy obłądzenia. Spoglądał w czarną czeluszczyk z uczuciem bliskim niecierpliwego oczekiwania.

Tak właśnie, zrezygnuj, szedł cichy głos w jego głowie. Wybierz łatwe rozwiązanie, jak zawsze powiada wuj Tony.

Kusiła go możliwość ucieczki. Cofnął się jednak. Jeszcze czego. Zmusił się do zniecierpliwienia. Ci faceci są nieżywi. Nie mogą mnie skrzywdzić. A gdyby spróbowali, wystarczy jedno dobre pchnięcie, żeby rozpadli się na kawałki. Odważne słowa, nawet jeśli nie wierzył w nie całkowicie. Jego nadmiernie wybujała wyobraźnia bez przerwy ożywiała makabryczne szczątki. On chce, żeby był zbyt przerażony, aby myśleć, pragnie, żeby jedynym moim wyjściem było wezwanie go na pomoc. Cóż, może sobie... Oderwał się od myślenia o Ciemności – to doprowadzi go do załamania – i wrócił do naglącego problemu, jak wymknąć się olbrzymom. Adept Mroku w pewnym sensie wyświadczył mu przysługę, bo strach, jaki wzbudzała w nim Ciemność, był tak wielki, iż nie pozostawiał wiele miejsca na ziemskie lęki. Kiedy Roland skupił się na kwestii przeżycia, uznał, że jakoś sobie poradzi.

– Pić teraz. Zjeść je później.

To brzmiało zachęcająco.

– Zjeść je teraz. Zanim umrze.

To już mniej.

Roland odwrócił się ostrożnie. Większy olbrzym leżał na ziemi przy ogniu, wsparty plecami o kupę rupieci, i tulił w objęciach drewnianą beczułkę. Mniejszy siedział i obgryzał koniec puszczeli.

– Zjeść je teraz – powtórzył nadąsanym tonem, gdy kość pękła z głośnym trzaskiem. Roland skrzywił się. – Nieżywe nie takie smaczne.

– Nie umrze – upierał się drugi, pociągając długi łyk z beczułki. – Nie ma niczego złamanego.

– Zawsze umierają – wymamrotał pierwszy.

Roland zdał sobie sprawę, jak łatwo byłoby wpaść w pułapkę myślenia o tych olbrzymach jak o śmierdzących durniach. Może nie są zanadto błyskotliwi, ale sarta trupów za jego plecami świadczyła o skuteczności ich metod. Ponieważ był nieprzytomny, kiedy go zabrali, podejrzewał, że jest pierwszym posiłkiem, jaki wrzucili do spizarni bez uprzedniego pobicia niemal na śmierć. Jeśli nikt przedtem nie próbował

im uciec, jego szanse na powodzenie niezmiernie wzrosły. Musiał jedynie iść po cichu w cieniu pod ścianą, wymknąć się niepostrzeżenie z jaskini i biec co sił w nogach.

Problem w tym, że mniejszy olbrzym siedział pomiędzy nim i Cierpliwością, a nie zamierzał jej zostawić.

Przyglądał się, jak większy olbrzym leje pozornie nieskończony strumień płynu do ust, podczas gdy mniejszy wysysa szpik z kości, którą rozgryzł, jakby to był jakiś żółtoszary lizak miętowy. Przecież muszą pójść się wysikać czy coś w tym rodzaju. Kiedyś wreszcie muszą. Miał nadzieję, że opuszczą grocie, żeby to zrobić. Aby czymś się zająć, zaczął zbierać czerwce z ręki, którą niechcący włożył w trupa. W pewnym sensie było to najokropniejsze, co mu się przydarzyło, bo brał w tym czynny udział, a nie był jedynie obserwatorem. Pokusa wrzaśnięcia: „Zabierzcie mnie stąd!” i zapłacenia każdej ceny za wybawienie rosła z każdą chwilą oczekiwania, z każdą larwą, z każdą muchą, z każdym spojrzeniem czy zerknięciem na gnijące zwłoki dookoła, tak że nerwy Rolanda były napięte mocniej od strun gitary.

Wreszcie mniejszy olbrzym wstał i kopnął towarzysza, który tylko chrapnął i mocniej ścisnął beczułkę.

– Wychodzę – oznajmił. – Nie jedz!

To się spodobało Rolandowi. Na widok człapiącego prześladowcy zamarł w bezruchu, a potem szedł za nim po zaścielonej kośćmi podłodze, aż sylwetka olbrzyma znikła za wyjściem z grotu. Weź Cierpliwość i uciekaj. Weź Cierpliwość i uciekaj, tak brzmiała melodia, w takt której się poruszał. Weź Cierpliwość. Chwycił gitarę. I weź... o w mordę! Chociaż Roland nie grał na harfie, miał znajomych, którzy grali, i spędził z nimi dość czasu, by się zorientować, że ten tak niedbale ciśnięty na stos rdzewiejących zbroi instrument – cały z drewna różanego, zmatowiałego srebra i giętego złota – należał niegdyś do mistrza. Miał ochotę trącić istniejące jeszcze struny albo musnąć gładką krzywizną harfy, lecz powstrzymał się. Wiedział, że gdyby jej dotknął, zabrałby ją, a to byłaby kradzież. Nie wolno okradać nawet takich napompowanych sterydami typów. Człowiek, który kroczy w Mroku, powinien być cholernie ostrożny, żeby nie urazić Światłości.

Wyprostował się, pomyślał przez chwilę i nagle podjął decyzję: zostawienie harfy na stercie śmieci, żeby została roztrzaskana lub, co gorsza, rozpadła się powoli z powodu zaniedbania, byłoby jeszcze większą krzywdą dla Światłości niż kradzież instrumentu. Uniósł ją ostrożnie, by nie poruszyć nielicznych całych strun, i łudził się nadzieją, że Jasność tak to potraktuje. Wsunął ją pod pachę i chwycił gitarę.

Kiedy plastikowy uchwyt znalazł się znów w dłoni Rolanda i znajomy ciężar Cierpliwości zawisł u jego boku, odwrócił się i odkrył, że wbrew przypuszczeniom

większy olbrzym nie spał.

Zaskakująco blade oczy przyglądały mu się spod krzaczastych brwi, na wąskich wargach zakwitł niewiarygodnie pusty uśmiech.

Świetnie. Jest wkurzony. Może pomyśli sobie, że jestem przywidzeniem.

– Mięso?

A może jednak zgłodniał. Cholera! Roland uchylił się przed wymachem ręki olbrzyma i szybko pobiegł do wyjścia z jaskini, porzuciwszy ostrożność. Może powinienem się zatrzymać i spróbować kołysanki. Olbrzym ryknął i wstał. Może nie. Roland wyskoczył w blask wczesnego poranka, wyminął bardzo zaskoczonego mniejszego olbrzyma, który półprzytomnie próbował go złapać, i popędził w dół kamienistego zbocza. Gdyby udało mu się dotrzeć do lasu, który widniał w odległości ledwo stu jardów lub mniej, wśród drzew z łatwością zdołałby prześcignąć większych i bardziej niezdarnych olbrzymów.

Miał taką nadzieję.

– Czy jesteś pewien, że powinnam iść do pracy, Evanie? – Rebecca stała w drzwiach, z niepokojem obserwując Adepta, który krążył po jej małym mieszkaniu. – Mogłabym zostać w domu i pomóc ci szukać.

– Bardzo pragnąłbym twojej pomocy, Pani. – Evan zrobił dwa kroki i wziął ją za rękę. – Wiesz jednak, że każde zakłócenie jeszcze bardziej osłabia granice pomiędzy twoim światem a Ciemnością. A jeśli nie pójdziesz do pracy? – Przycisnął policzek do jej dłoni.

– Gdybym nie poszła do pracy, zakłóciłoby to życie wielu ludzi. – Rebecca z powagą pokiwała głową. – Ale Roland jest jednym z moich najspecialniejszych przyjaciół. Chciałabym pomóc go szukać.

– Każde z nas ma swoją rolę do odegrania, Pani. – Burza ucichła w szarych oczach Adepta, który wydawał się nienaturalnie spokojny.

– Rozumiem. – Dziewczyna westchnęła. – Mimo to wolałabym być z tobą.

– A ja wolałabym mieć cię przy sobie, Pani. – Rzeczywiście tego chciał; kiedy była z nim, czuł się silniejszy, pewniejszy siebie i lepiej kontaktował się ze Światłością, choć nie rozumiał dlaczego. Podejrzywał, że Roland został porwany, by wciągnąć go w pułapkę, i nie chciał, żeby Rebecca była w pobliżu, gdy znajdzie się w potrzasku. Nie mógł narażać się na takie ryzyko. Nie mógł jej narażać. Rebecca będzie bezpieczna w pracy. Cała reszta była prawdą.

Gałęzie targały go za włosy, szarpały na strzępy podkoszulek i zostawiały bolesne pręgi na odsłoniętej skórze ramion. Roland spuścił głowę, by uniknąć zetknięcia ze szczególnie agresywną, zimnozieloną gałęzią, i zaklął, gdy zahaczył stopą o wystający korzeń i omal się nie przewrócił. Poruszały się szybciej i łatwiej, gdyby wyrzucił harfę:

wtedy jedną ręką mógłby odginać gałęzie przed sobą. Ta sama zawziętość, która trzymała go na ulicy w każdą pogodę, kazała mu jednak nie wypuszczać instrumentu spod pachy. Obtarł sobie łydki o zwalony pień, znów zaklął i zatrzymał się.

Początkowo słyszał tylko własny oddech. Po chwili przestał sapać jak cała klasa uprawiająca aerobik i zaczęły do niego docierać inne odgłosy lasu.

Śpiew ptaków.

Szelest liści na wietrze.

Ciche tarcie dwóch gałęzi o siebie.

Co ważniejsze, nie słyszał trzasku poszycia leśnego ani ryku olbrzymów. Początkowo sytuacja wyglądała groźnie, jednak nawet mniejszy olbrzym nie mógł się rozpędzić wśród drzew i dzięki zwinności Roland wkrótce zostawił ich daleko w tyle. Sądząc po odgłosach, był już bezpieczny.

Oparł delikatnie harfę o zwaloną kłodę i zostawił Cierpliwość w bezpiecznym miejscu za pniem olbrzymiego drzewa. Następnie pofolgował swym nerwom, dostając dobrze zasłużonego ataku hysterii.

Po ataku poczuł się dużo spokojniejszy. Był zmęczony i wciąż wystraszony, lecz już nie napięty do granic wytrzymałości. Usiadł na kłodzie, wytarł wilgotne policzki dłonią i westchnął.

– I co teraz? – spytał harfy.

Jedna z pękniętych strun drgnęła na wietrze i cicho brzęknęła o całą strunę, która znajdowała się obok niej.

Roland uśmiechnął się po raz pierwszy od dość dawna.

– Nie ma za co – rzekł i sięgnął ręką po Cierpliwość.

Futerał zyskał kilka nowych wgnieceń i zadrapań, lecz kiedy wydobył zeń gitarę, by ją obejrzeć, instrument sprawiał wrażenie całego.

– To jest moja pani – oznajmił harfie, odpinając taśmę i znów układając delikatnie Cierpliwość na gąbce i filcu. – Przypuszczam, że byłaś kiedyś czyjąś panią. – Trzymając harfę na kolanach, przyczepił pasek haftowanego płótna do zakręconych końców instrumentu. – A dama zasługuje na lepsze traktowanie. Proszę. – Zarzucił taśmę na ramię i wstał. – Może trochę nisko, ale zostawia mi wolną rękę do obrony. – Albo odolbrzymiania, dodał bezgłośnie, ton jego wewnętrznego głosu wyraźnie sugerował: „mnie nie nabierzesz”.

Przesunął lekko Cierpliwość, poprawiał jej ułożenie tylko po to, by nacieszyć się jej dotykiem, i mocno zatrzaskał wieko. Nagle z futerału rozległ się cichy dźwięk, stłumiona, lecz stanowcza odpowiedź.

Roland otworzył futerał.

Cierpliwość wyglądała jak zawsze. Tracił palcem jej struny. Brzmiała jak zawsze. Tyle że nigdy się nie odzywała, gdy na niej nie grał. Wreszcie, gdy minęło kilka minut, a gitara i harfa nadal milczały, wzruszył ramionami i zamknął futerał. Biorąc pod uwagę wszystko, co przeżył, oceniał to zdarzenie na trzy w dziesięciopunktowej skali i nie sądził, aby skutki były groźniejsze od strachu, jaki wywołało.

– W porządku. – Wyprostował się. – Przepasałem swe biodra. Jak się stąd wydostaniemy?

Wydawało mu się, że gdzieś kiedyś czytał o tym, że mech porasta drzewa od północnej strony. Mech wokół niego rósł tam, gdzie mu się podobało, w kilku miejscach oznaczało to całe drzewo. Las uniemożliwiał Rolandowi dostrzeżenie słońca i żaden pomocny harcerz pragnący zdobyć sprawność tropiciela nie pojawił się, by wskazać mu drogę.

– I tak nie wiem, dokąd mam iść.

Wreszcie postanowił nadal podążać w kierunku, który wybrał podczas panicznej ucieczki – mniej więcej w dół – kurczowo trzymając się myśli, że w końcu musi napotkać kogoś, kto pokaże mu drogę do domu. Zwrócenie się do Ciemności nie może być jedynym wyjściem.

Wtedy ten przeklęty, cichy głos spytał: A jeśli to prawda?

– Przepraszam, czy my się skądś znamy?

Evan odwrócił się i spojrzał na młodą kobietę. Była tym, na kogo wyglądała, a nie wytworem Mroku, uśmiechnął się więc i odpowiedział:

– Nie sądzę.

Kobieta wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego ramienia powyżej bransolet.

– Jest pan pewien? – Czubkiem palca zakreślała kółeczka na jego skórze.

– Tak.

Powoli przesuwiała dłoń po jego ramieniu i dotarła do barku, który zaczęła masować. Zbliżyła się tak bardzo, że przycisnęła biust do jego klatki piersiowej.

– To nieważne – westchnęła – teraz jesteśmy razem.

Evana na chwilę oszołomiła żądza, jaka płonęła w jej oczach, lecz zdołał potrząsnąć głową i łagodnie uwolnił się z objęć kobiety. Światłość ciągnie do Światłości, pomyślał, idąc dalej z uśmiechem, gdy młoda kobieta odeszła; zachował jedynie mętne wspomnienie zdarzenia, skutki nie były bardzo przykre.

Jednakże, gdy przeszedł dwie przecznice dzielące mieszkanie Rebeki od Yonge Street, podobne „skutki” odczuły kolejno trzy kobiety, z których jedna mogła być jego prababcią, dwaj mężczyźni, trzynastoletni chłopiec i zenująco kochliwy pies. Evan zatrzymał się na rogu, żeby się nad tym zastanowić. Zdawał sobie sprawę, że co najmniej

dwie pary oczu wpatrują się w niego z nie ukrywanym pragnieniem.

Niczego nie może mi zrobić, bobym go znalazł, więc wydaje mu się, że utrudni moje poszukiwania, stawiając tych ludzi na drodze. Ponieważ Mrok nie naraził nikogo na niebezpieczeństwo, Evan był pełen podziwu dla jego zręcznego zagrania. Nie mógłby prowadzić poszukiwań, gdyby co chwila musiał się zatrzymywać i wyplątywać z objęć kolejnego wielbiciela; straty zarówno czasu, jak i mocy byłyby ogromne, zważywszy te pierwsze dwie przecznice. Po głębszym zastanowieniu zrobiło mu się zimno z wściekłości.

On manipuluje Światłością w tych ludziach; nie Mrokiem, ale Światłością!

Kiedy zabłysła moc rozgniewanego Evana, troje stojących najbliżej ludzi, w których Adept Mroku już wzbudził żądzę Światła, padło na kolana z wyrazem zachwytu i szczęścia na twarzach. Evan poczuł, że reaguje na ich pragnienie, że jego moc się objawia; wiedział, że każde z nich doznaje własnego objawienia Światłości. Chęć kontynuowania, przeciągnięcia całkowicie na stronę Jasności przynajmniej tych trojga, była silna i stanowiła być może największą pokusę, z jaką zmagał się na tym świecie.

Światłość bowiem mogła zniszczyć równowagę równie łatwo jak Mrok.

Każde zachwianie równowagi osłabiało jednak bariery i wspomagało Ciemność.

Wyciszył swą moc i zajął się naprawianiem szkód. Światłość była zbyt potężna, by mógł wymazać ją z pamięci, ale uczynił wszystko, co było w jego mocy, by zmniejszyć jej wpływ. Schronił się w zaciszu mieszkania Rebeki i zastanawiał się nad tym, co robić dalej.

Szarpiącemu się z harfą Rolandowi burczało w brzuchu. Do ust napływała mu ślina.

– Och, wybrałaś sobie świetny moment na zawieranie bliższej znajomości z krzakiem – mruknął, starając się rozplatać struny harfy z gąszczu liści i gałązek. Jego palce były dziwnie niezdarne, być może dlatego, że myślał tylko o kuszącej woni pieczonego mięsiwa. Na ledwo widocznej wśród drzew polanie widział zarys domu; byłby już tam, gdyby harfa nie zaplątała się w zaroślach.

Roland zmarszczył czoło, ostrożnie odczepiając pękniętą strunę, która owinęła się wokół mocnej gałęzi. To prawda, że gnany głodem pędził przed siebie dość szybko, jednak wydawało mu się, że dobrze przywiązał taśmę do harfy; nie powinna była się obluzować. Znowu zaburczało mu w brzuchu. Minęło ponad dwanaście godzin od chwili, gdy zjadł ostatni posiłek. Umierał z głodu.

– Już. – Odczepił wreszcie harfę i przerzucił ją przez ramię. – A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, zajmę się zdobyciem czegoś do jedzenia. – Chwycił Cierpliwość i ruszył w stronę polany. – Może za śpiew dostanę kolację. Śniadanie. Cokolwiek.

Harfa brzęknęła cicho. Cierpliwość odpowiedziała.

Roland westchnął.

– W porządku, będę uważał. W końcu – sięgnął do tyłu i poklepał rzeźbione drewno – przypuszczam, że nie było to dla ciebie miłsze niż dla tego krzaka. Ale ty – dodał, potrząsając delikatnie Cierpliwością – jesteś w futerale. Na co ty się uskarżasz?

Rozległ się stłumiony przez filc i winyl niedwuznaczny dźwięk gwałtownie szarpniętej struny G.

– Kobiety. – Roland przewrócił oczami. Nawet szczególnie mu nie przeszkadzało, że teraz gitara wydawała dźwięki bez jego dotyku. Zawsze uważał, że ma własną osobowość. Poza tym, pomyślał, przedzierając się powoli przez zarośla, nic, co wydarzy się w ciągu dnia, nie może cię zaskoczyć, jeśli o świcie o mało co nie zostałeś zjedzony przez olbrzymów.

Zatrzymał się na skraju polany i osłupiał ze zdziwienia.

Ściany małej chatki o stromym dachu zrobione były z kwadratowych pierników, które ustawiono jeden na drugim i połączono zaprawą z twardego, białego lukru. Okrągłe gonty na dachu były z ciasteczek – z kawałkami czekolady, sądząc z wyglądu – a drzwi i okiennice z cukrowych tafli z orzeszkami ziemnymi. Na podwórzu zauważył kilka okrągłych zagród i sądził, że przeznaczone były dla bydła, bo wykonano je z drewna. Pod ścianą chatki dymił mały, ceglany piec – to z niego bił ten cudowny zapach, który go tutaj przywiódł.

Chłonał zapach i już miał zamiar zbliżyć się do domku, ale cofnął się, dręczony jakimś nieuchwytnym wspomnieniem. Wszystko wydawało się takie znajome...

Drzwi chatki otworzyły się. Roland zamarł, gdy spiesznie wyszła z nich siwowłosa staruszka. Niosła wielką, drewnianą łopatę i Roland domyślił się, że chciała wyjąć to, co piekło się w piecu. Nigdy nie widział, żeby ktoś używał takiej łopaty poza pizzerią, jednakże do tej pory nie widział też pieca na wolnym powietrzu ani chatki z piernika, więc zbył to wzruszeniem ramion. Nie będzie staruszce teraz przeszkadzał, bo jeszcze się poparzy. Poczeka, aż odejdzie na bezpieczną odległość, i wtedy zajmie się śniadaniem.

Przez śnieżnobiały fartuch staruszka otworzyła drzwiczki pieca. Woń buchająca z wnętrza była jeszcze silniejsza.

Roland szybko przełknął ślinę. Jestem taki głodny, że zjadłbym... dziecko.

Na końcu łopaty leżał skulony w pozycji embrionalnej siedmioletni chłopiec. Gorąco zmieniło jego włosy w skręconą szczecinę. Skóra, z wyjątkiem miejsc, w których tłuszcz wypłynął na powierzchnię, wciąż jeszcze skwiercząc i trzaskając, była przypieczona na złotobrązowy kolor.

Żołądek podszedł Rolandowi do gardła, świat zawirował przed oczami; zanim uciekł, przez głowę przebiegła mu historyczna myśl: w bajce nigdy ich najpierw nie rozbierała.



Gdyby astralna postać Evana mogła westchnąć, uczyniłaby to podczas zataczania coraz szerszych kręgów, których środkiem było Eaton Centre. Choć w postaci bezcielesnej Evan nie mógł niczego zrobić, bez trudu zauważył pozostałości mocy – Adept Mroku nie próbował ich ukryć. Teraz wiedział już, co się stało z Rolandem, ale nadal nie miał pojęcia, gdzie on jest. Po jakimś czasie go znajdzie, czas był jednak jedyną rzeczą, jakiej mu brakowało, jeśli chciał udaremnić zamiary Ciemności, zanim nadejdzie noc Letniego Przesilenia.

Wiedząc, iż na jednej szali leżało życie Rolanda, na drugiej zaś wszystkich innych ludzi na świecie, Evan mógł podjąć tylko jedną decyzję – Ciemność bezwzględnie trzeba było powstrzymać. Gdyby mu się nie powiodło, Roland nie byłby w gorszym położeniu niż reszta ludzi. Gdyby mu się udało i Roland nadal by żył, zdołałby go odnaleźć. Miał nadzieję, że Roland będzie jeszcze wtedy chciał żyć.

Tymczasem w mieszkaniu Rebeki Tom wskoczył Adeptowi na kolana i trącił go łebkiem w zmarszczkę pomiędzy dzinsami a podkoszulkiem. Brak reakcji najwyraźniej rozzłościł kota, który przysiadł, wymachując gniewnie ogonem. Wczepił pazury głęboko w spodnie Evana, delikatnie powęszył i parsknął. Z uszami położonymi na płask zeskoczył na podłogę, pomaszerował w stronę okna i zatrzymał się na parapecie, by wyrazić swe zdanie wymownym miauknięciem. Następnie znów parsknął i zeskoczył, znikając z oczu.

Roland nie przestawał biec, z wyjątkiem przerw, gdy skurcze żołądka zmuszały go do osunięcia się na kolana i wyrzucania z siebie gorzkiej żółci na leśną ściółkę. Uciekał najdalej, jak mógł, od grozy tego, co ujrzał na polanie. Nie widział, przez co przeskakuje, z czym się zderza, przez co się przedziera; przed oczami tańczyły mu tylko wizje olbrzymów, trupów i dzieci upieczonych na kolor brązowej grzanki.

Kiedy w końcu upadł, nie mając już sił, by wstać, obrazy te osaczały go i pragnały tylko jednego.

Chcę do domu.

Nie obchodzi mnie cena. Chcę do domu.

Nie mogę już tego znieść.

Nic się nie stało. Najwyraźniej Mrok pragnał, by przyznał się do porażki.

Z jego krtani wydobyło się udręczone, zdławione łkanie, szloch, który rozdzierał gardło. Wreszcie zdołał zaczerpnąć tchu wystarczająco głęboko, by wykrztusić słowa.

– Chcę...! – krzyknął.

– A cóż my tu mamy?

Głos był ciepły i głęboki. Przyjaźnie przeciągał zgłoski i był tak odległy od wszystkiego, co przydarzyło się Rolandowi, że przylgnął doń z całych sił.

– Całyś jest, młodzieńcze?

– Ja... – Roland z wysiłkiem podniósł się na łokciu i ujrzał nad sobą zatroskaną mordę wielkiego, brązowego niedźwiedzia. Wielkiego, brązowego niedźwiedzia, który był ubrany w farmerki, a na szyi miał zawiązaną chustkę w groszki. – Ja – powtórzył słabym głosem i zemdlął.

## Rozdział dziesiąty

– Kiedy tylko skończysz jeść, tato odprowadzi cię do skraju lasu.

– Ja też! Ja też! – Niedźwiedziątko uderzało łyżką w drewnianą miseczkę z owsianką i prawie rozlało mleko.

Roland pochwycił kubek i odsunął go w bezpieczne miejsce. W podziękowaniu mama niedźwiedzica posłała mu uśmiech, który Roland postarał się odebrać w zgodzie z duchem, w jakim został ofiarowany, nie zważając na paszczę pełną wyszczerzonych, ostrych zębów. Zresztą nie sądził, aby ze strony tych niedźwiedzi groziło mu jakieś niebezpieczeństwo; od chwili, gdy tata niedźwiedź przyniósł go do chaty, okazywały mu jedynie serdeczność.

– Nie, dziękuję. – Odmówił kolejnej porcji owsianki. Wszystkie miski, nawet niedźwiedziątka, mieściły nieprzyzwoite ilości jedzenia, a Roland w obawie przed urażeniem kucharki zjadł wszystko, co mu podano.

Mama niedźwiedzica pokiwała głową.

– Jesz tak mało, że i wiewiórka nie wyżywiłaby się tym – skarciła go, stukając pazurami w porysowany blat stołu. – Nie upłynie dziesięć minut, jak padniesz z głodu na szlaku.

– Dałabyś spokój bardowi, mamó – mruknął tata niedźwiedź, podnosząc swą miskę i wylizując do czysta. – Wie, kiedy najadł się do syta. A skoro nie zamierzasz dokończyć tego plastra miodu...

– Proszę bardzo. – Roland podał mu kawał plastra i patrzył, jak tata niedźwiedź w krótkiej chwili pożera około funta miodu. Zdumiewające, do czego można się przyzwyczaić, pomyślał. Kiedy ocknął się utulony w łóżeczku niedźwiedziątka i ujrzał mamę niedźwiedzicę, która kładła mu na czole zimny kompres, załkał i skulił się, widząc coś, co wydawało mu się kolejnym odcinkiem koszmaru. Mama jednak nadal wycierała mu twarz i mruzczała słowa otuchy szorstkim głosem. Wreszcie kiedy przekonał się, że jest bezpieczny, wybuchnął płaczem.

Niedźwiedzica tuliła go w objęciach i głaskała po plecach, mając na uwadze swoją siłę i jego wątłość. Wycieńczony przerażeniem Roland usnął.

Wkrótce został wyrwany ze snu przez niedźwiedziątko, które wetknęło mu zimny nos do prawego ucha. Jego krzyk sprawił, że niedźwiedziątko się rozbeczało, przybiegła mama niedźwiedzica i wszystko zakończyło się zwyczajną domową sceną.

– Nie ma nic lepszego niż mała przekąska między śniadaniem i obiadem. – Tata niedźwiedź wstał od stołu i czknął z zadowolenia. – Przed tobą długa droga, panie

bardziej, więc lepiej ruszajmy.

– Nie wiem, jak wam dziękować – zaczął Roland, gdy cała rodzina odprowadziła go do progu. Zarzucił harfę na ramię i wziął do ręki gitarę. – Ocaliliście mi życie. – Poczuł, że coś go ścisną w gardle i był niebezpiecznie bliski płaczu. – Nie mam jak wam się odwdziżyć.

– Bzdura. – Mama niedźwiedzica klepnęła go w plecy i omal nie przewróciła na kolana. – Bardowie są kimś szczególnym. To samo zrobilibyśmy dla każdego z nich. – Uśmiechając się życzliwie, podała tacie niedźwiedziowi kapelusz. – Jakie to jednak szczęście, że tato usłyszał wołanie twoich instrumentów, bo inaczej pomyślałby, że jesteś jakimś biednym zwierzątkiem, które błąka się po okolicy. Ano, wtedy zapewne nie dożyłbyś południa.

– Tak. – Roland pogładził wolną ręką gładką ramę harfy. – Wiem o tym. – Z dzikiego biegu przez zarośla pozostało mu w pamięci jedynie przerażenie – przypuszczał, że Cierpliwość i harfa mogły grać *Bitewny hymn Republiki* – jednakże bardzo dobrze pamiętał, co spowodowało jego paniczną ucieczkę. Wiedział, że wspomnienie to będzie mu towarzyszyć aż do śmierci.

Tata niedźwiedź oderwał zapłakane niedźwiedziątko od swojej nogi, podał je matce i wypchnął Rolanda za drzwi.

– Serce mi się kraje, kiedy widzę, jak maleństwo szlocha – zwierzył mu się podczas spaceru przez polanę otaczającą chatkę. – Ale las jest dla niego zbyt niebezpieczny. A ty – wyprostował się i spojrzał na Rolanda z góry – masz szczęście, że jestem z tobą. A tak, tak. – Wrócił do swej zwykłej postawy i odsunął z drogi młody pęd, gdy znaleźli się w cieniu pierwszych drzew. – Strzeż się szponów jak kły i tnących szczęk stworów, które żyją w tym lesie.

– Dżabbersmoków – mruknął Roland.

– Ależ tak właśnie. Mama ci o nich opowiedziała?

– Nie. – Roland ścisnął mocniej futerał Cierpliwości i uważnie unikał spoglądania w głęboki mrok, który gromadził się pod pewnymi drzewami. – Wydaje mi się, że zaczynam rozumieć ten świat.

Pani Ruth uderzyła o brzeg pojemnika na śmieci gazetą, z której wyleciało nadgryzione ciastko z wiśniami i ogryzek jabłka.

– Ludzie powinni mieć więcej szacunku – rzekła, patrząc złym okiem na wilgotną, lepłą plamę. Zwykle zabierała prasę wcześniej rano, unikając w ten sposób śmieci, lecz było to wczesnopołudniowe wydanie gazety i sądząc z tego, co zdążyła już zauważyć, koniecznie musiała ją przeczytać. – Faj. Zęby wyrzucać odpadki na moją gazetę! – Zmierzyła wrogim spojrzeniem mijającą ją w pośpiechu młodą kobietę. – Pytam cię,

dlaczego ludzie nie poświęcają czasu na prawidłowe odżywianie się? Problemy żołądkowe. Zapamiętaj me słowa, wszystkich czekają problemy żołądkowe.

Młoda kobieta spuściła oczy i przyspieszyła nieco kroku. Nie miała czasu na słuchanie bezdomnych, starych wariatek.

Pani Ruth rozścieliła gazetę na wierzchu wypełnionego po brzegi wózka ze sklepu i przeczytała nagłówek, mrużąc oczy: „Nowoczesny cud – anioł objawił się na rogu Yonge i Carlton”. Artykuł przytaczał zeznania kilku niezależnych świadków, którzy widzieli stojącą na skrzyżowaniu podczas godziny szczytu świetlistą postać mężczyzny ze skrzydłami, oraz podawał, że opinie różnych Kościołów wciąż napływają. Pani Ruth parsknęła pogardliwie.

– Już ja wam pokażę opinię. Ktoś tu się trochę za bardzo szarogęsi. – Wepchnąwszy gazetę pod będący w doskonałym stanie kij hokejowy, który znalazła w stercie nieprzydatnych śmieci, które poza tym ją rozczerowały, zaczęła ciągnąć piszcący i protestujący wózek po ulicy. – Jeśli chcesz coś zrobić porządnie – poinformowała dwóch biznesmenów, przepychając się między nimi – musisz sam to zrobić.

– Poszły won! Ale już! – Tata niedźwiedź schylił się, podniósł kamień i cisnął nim w parę czerwonych pantofelków. Buciki odskoczyły z drogi i oddaliły się tanecznym krokiem, znikając w poszyciu leśnym.

Roland mocno przełknął ślinę i opanował odruch wymiotny. W pantofelkach były stopy, pomarszczone i z mumifikowane, lecz niewątpliwie stopy. W miejscach, gdzie skurczyło się wyschnięte ciało, przeświecały matowo kości.

– Strasznie dokuczliwe – wymamrotał człapiący naprzód tata niedźwiedź. – Ale nie są groźne.

– Świetnie. – Roland starał się ukryć swój sarkazm. Miło byłoby dla odmiany spotkać lwy, tygrysy i niedźwiedzie, pomyślał. Gdy zerknął na tatę niedźwiedzia, dodał w myślach: Dobra, wykreście niedźwiedzie.

– Pani Sastri?

Daru odburknęła twierdząco, nie podnosząc głowy.

Biurokracja właśnie wypluła nowy stos formularzy wymagających od niej natychmiastowego zajęcia się nimi, a już miała trzy dni zaległości w pracy terenowej; nie miała czasu na jałowe pogaduszki.

– Pani Sastri, gdyby zechciała mi pani poświęcić kilka chwil.

Głos miał ciepłe i przekonujące brzmienie; był to głos osoby, która uznawała służenie jej za swe prawo.

Na jego dźwięk Daru przeszły ciarki po plecach. Brzmiał jakby znajomo, ale wiedziała, że nie był to głos żadnego z mężczyzn w biurze.

Im prędzej z nim pomówię, tym prędzej się go pozbędę. Westchnęła, podpisała dwa pierwsze dokumenty z wierzchu, odepchnęła stos na bok i tym samym ruchem obróciła się wraz z krzesłem.

– Mogę poświęcić panu jedną... – zaczęła i zamilkła, kiedy uświadomiła sobie, kto stoi w wejściu jej gabinetu.

Jego ciemne włosy były ostrzyżone krótko, zgodnie z wymogami mody. Pukiel gęstych włosów spadał z wdziękiem na czoło. Oczy miał bardzo niebieskie, otoczone firankami nieprzyzwoicie długich rzęs. Zęby błyszczały bielą na tle opalenizny koloru kawy z mlekiem. Miał na sobie bladoszary garnitur z surowego jedwabiu, nie grubą, bawełnianą koszulę, lecz Daru poznała go natychmiast. Zastanawiała się, czy Evan wiedział, jak dokładny był jego rysunek. Udało mu się nawet uchwycić pogardę, która kryła się pod powierzchownym wdziękiem.

– Tak? – Z zadowoleniem stwierdziła, że głos jej zadrżał jedynie odrobinę, a i nad tym szybko odzyskała panowanie. Widzialny nieprzyjaciel, z którym można było się bić, mniej ją przerażał od wroga czającego się w mroku. – Czym mogę służyć, panie...

Mężczyzna podniósł dłonie o długich palcach.

– Moje imię nie jest ważne. I mam wrażenie, że rzeczywiście może pani mi pomóc. Czy mogę usiąść?

– Czyż mogłabym panu przeszkodzić? – Daru uśmiechnęła się w wymuszony sposób. Wskazała gestem na drugie krzesło, które prawie niknęło pod stosami akt osobowych. Nie dostrzegła, jak to zrobił, lecz nagle pękające w szwach teczki znalazły się porządnie ułożone na podłodze, a jej gość zakładał nogę na nogę, poprawiając kant spodni.

– Przybyłem złożyć pani propozycję – rzekł.

– Jeśli zamierza mnie pan zabrać na bardzo wysoką górę – odparła Daru, zastanawiając się, czy ktoś ją usłyszy, gdyby krzyknęła – to szybko. Mam dużo pracy.

– Na bardzo wysoką górę. Tak. – Przeciągnął słowa, jakby zostawiały mu w ustach niesmak. – Ponieważ brak pani czasu na uprzejmości, sam z nich również zrezygnuję. Proponuję pani możliwość uporania się z tym wszystkim. – Ogarnął ręką cały wydział. – Koniec z robotą papierkową. Żadnej rządowej biurokracji. Koniec przymusu stania i przyglądania się, jak zła sytuacja przeistacza się w jeszcze gorszą. Mogę dać pani moc radzenia sobie z problemami i rozwiązywania ich na bieżąco.

Nie będzie już dzieci ginących na jej oczach. Nie będzie mężczyzn i kobiet, których niszczą trudne warunki, podczas gdy ona zmuszona jest przyglądać się bezradnie, bo nie ma środków na ich ratowanie.

– A jak ma wyglądać moja część ugody?

– Zaprzestanie pani walki ze mną.

– Cóż, w takim razie to raczej unieważnia całą pańską umowę, bowiem na tym to wszystko – wymach jej ręki był powtórzeniem ruchu mężczyzny – właśnie polega. Na walce z tobą. – Zmrużyła oczy. – Widzisz, ja cię znam; ty nie jesteś pięknym młodzieńcem w drogim garniturze. Jesteś gospodarzem domu, który wynajmuje rodzinie imigrantów gówniane mieszkanie w suterenie bez ogrzewania i z nieczynną ubikacją za dziewięćset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, bo wiesz, że rozpaczliwie potrzebują dachu nad głową. Jesteś gnojkiem, który bije swą ciężarną dziewczynę prawie na śmierć, bo zapomniała przynieść mu piwa. Jesteś ojcem, który gwałci dziesięcioletnią córkę, a potem zrzuca na nią winę za to, co jej zrobił. I jesteś każdym sędzią, i każdym ławnikiem, który pozwala tym skurwysynom wymigać się od odpowiedzialności.

Mężczyzna przez chwilę siedział przyszpilony wzrokiem Daru, po czym wstał i wygładził nie istniejącą zmarszczkę na marynarce.

– Wie pani co, pani Sastri – w jego głosie pojawił się nieprzyjemny ton – pani zaczyna mnie denerwować.

– To doskonale – warknęła Daru – bo ty zawsze denerwowałeś mnie. A teraz spierdalaj z mojego biura.

Adept Mroku pokręcił głową.

– Co za język – rzekł z wyrzutem, lecz wyszedł. Daru rozprostowała dłonie, położyła je płasko na blacie biurka, żeby przestały drżeć, i usiłowała przypomnieć sobie, jak się oddycha.

– Popatrz no, Jack, czy on ci kogoś nie przypomina? – Stojąca przy windzie policjantka Patton wskazała mężczyznę, który wychodził z biura opieki społecznej.

Posterunkowy Brooks zmarszczył czoło.

– Czy to nie on...

Wtedy para niebieskich oczu wymazała tę myśl, a także wszystkie inne z nią związane.

– Wyglądacie państwo na zagubionych – powiedział mężczyzna, zatrzymując się przed nimi. – Mogę w czymś pomóc?

Rzeczywiście się zagubili; poza częścią dostępną dla ludności ratusz miejski w Toronto przypominał labirynt.

Szukamy niejkiej Daru Sastri.

– Och, tak mi przykro. – Mężczyzna doprawdy sprawiał wrażenie okropnie zmartwionego. – Wyszła z biura i nie wiadomo, kiedy wróci.

– Czy wie pan, dokąd poszła?

– Wiem tylko, że gdzieś do miasta. – Uśmiechnął się. – Czy chcecie państwo

porozmawiać z kimś innym?

– Nie. – Patton westchnęła. Gdzieś do miasta. Świetnie. – To musi być ona.

Adept Mroku odprowadził wzrokiem policjantów do windy i rozkoszował się ich rozczarowaniem. Miał nadzieję, że sprawa, jaką mieli do pani Sastru, była ważna.

Las skończył się niespodziewanie. Jeszcze przed chwilą przedzierali się – lub w przypadku taty niedźwiedzia, szli jak burza – przez zarośla, a teraz spoglądali na step ciągnący się aż po horyzont.

– No, synu, dalej nie idę. – Tata niedźwiedź z roztargnieniem podrapał się za uchem. Zanurzył głęboko pazury w bujnym futrze i wydobyl jakiegoś wijącego się wielonoga, którego odrzucił niedbałym pstryknięciem. – Tam dla mnie za dużo nieba, ale jeśli będziesz iść za słońcem, wszystko powinno się ułożyć pomyślnie.

– Iść za słońcem – powtórzył Roland, spoglądając na wysoką, błękitną kopułę nieba. Oczy, przyzwyczajone do przyćmionego światła w lesie, zaszyły mu łzami. Zamrugał szybko, by je otrzeć z oczu. Słońce, które stało prawie w zenicie, płonęło gorącej i znajdowało się wyżej niż słońce w jego ojczyźnie.

– Powodzenia, panie bardziej. – Tata niedźwiedź ostrożnie klepnął go po plecach.

Roland oparł się o najbliższe drzewo i zdołał utrzymać się na nogach.

– Jak mam wam dziękować za wszystko, co dla mnie zrobiliście...

– Taki tam drobiazg. – Olbrzymi niedźwiedź sprawiał wrażenie zażenowanego. – Ułóż tylko kiedyś o nas piosenkę.

– Tak zrobię. – Roland skinął głową. – Możesz na to liczyć. – Stał przez jakiś czas, patrząc, jak tata niedźwiedź wraca do chatki – do mamy niedźwiedzicy, niedźwiedziątka i złotowłosej dziewczynki, która się jeszcze nie pojawiła. Następnie Roland wszedł na otwartą przestrzeń prerii.

Droga była łatwa i z wdzięcznością przyspieszył kroku. Trawa, której źdźbła niemal niczym się od siebie nie różniły, dochodziła mu mniej więcej do kostek i ciągnęła się jak okiem sięgnąć w każdym kierunku. Ciężar lasu zsunął się z barków Rolanda niczym niepotrzebny płaszcz. Mężczyzna zostawił go bez wahania, pozwalając słońcu otulić wspomnienia miękką kołdrą światła. Podczas wędrówki przestał myśleć, zranione zakamarki jego umysłu nasiąkały grzejącym i kojącym upałem.

Kiedy las zniknął za wzniesieniem, Roland usiadł i zjadł drugie śniadanie, jakie zapakowała mu mama niedźwiedzica. Potem wstał i poszedł dalej, wciąż w upalnym słońcu, ciągnąc za sobą długi cień.

Z otumanienia wyrwał go ból nosa. Delikatnie dotknął twarzy i zaklął. Wiedział, że ma podrażnioną i mocno zaczerwienioną skórę. Zmrużył oczy i spojrzał na przedramiona, które właśnie zaczynały go palić.



– Mogłem się domyślić – mruknął. – Wszystko ma tu swą cenę. – Wróciwszy już całkowicie na ziemię, westchnął i uczynił jedyne, co można było – poszedł dalej. Po przejściu bardzo krótkiego odcinka zdał sobie sprawę, że cena jest wyższa, niż sądził. Nigdzie nie widział wody, a nagle poczuł się strasznie spragniony. – Idź za słońcem, a wszystko się dobrze ułoży – zadrwił, oblizując wyschnięte wargi. – Dla kogo dobrze się ułoży? – Przy każdym kroku czuł, jak słońce wypija z niego wilgoć. Miód i biszkopty leżały kamieniem na żołądku, a słodki posmak potęgował jego pragnienie.

Stał w równej odległości od obu katedr, rozkoszując się sposobem, w jaki jego obecność niweczyła wszelki wywierany przez nie dobry wpływ. Stanowiły symbole Światłości, jednak w walce z nim nie miały żadnych szans, bo on był fragmentem żywej Ciemności. Oparty o mur przed wejściem do sklepu, czekał na trzecią osobę spośród przyjaciół swego wroga. Jego słudze nie udało się zdobyć jej odbicia, ale to nie miało znaczenia, ponieważ obrazy pozostałych dwojga zawierały jej wizerunek.

– Rebecca – wyszeptał imię dziewczyny i zastanowił się nad swymi informacjami. Gdyby była tylko niewinna, jej zgładzenie sprawiłoby mu wielką rozkosz, jednakże była także nedorozwinięta i to ją ocaliło. Cóż to za przyjemność, gdy ofiara pozostaje nieświadoma? Nie, zniszczy delikatną strukturę jej świata, zakłóci równowagę niezbędną do przeżycia i odeśle zrozpaczoną i spłakaną w objęcia Światłości jako kolejny ciężar i kłopot.

Na jego twarz wypełził powolny uśmiech, gdy pomyślał o Adepcie Światłości tak okrutnie zaplątanym w sidła nadzwyczaj zawilego dylematu. Jeśli wyjdzie na ulicę, ludzie, na których ponoć tak bardzo mu zależy, będą krzywdzeni, wykorzystywani i wypaczani przez pożądanie Światłości, pożądanie samego Adepta. Jeśli zaś zostanie w domu, utrudni mu to poszukiwania. Nie uniemożliwi, lecz z pewnością zmniejszy ich skuteczność.

– Jestem genialny – mruknął i wyprostował się, zauważywszy nadchodzącą zdobycz.

Rebecca zaglądała do każdej witryny lombardu, ponieważ leżało to w jej naturze, lecz prawie nie widziała klejnotów, które skrzyły się wesoło w popołudniowym słońcu, próbując zwrócić na siebie uwagę. Ciemność przegnała gdzieś Rolanda, nie miała więc serca do błyskotek. Doszła do ostatniego okna i zmarszczyła brwi. Czegoś jej brakowało. Jej uwagę przyciągnął zegarek z dwoma wielkimi szmaragdami. Powiedział jej, że jest dwie po trzeciej.

Po trzeciej.

Co się stało z dzwonami?

Serce zaczęło Rebecce bić mocno jak zawsze, gdy działo się coś złego.

Co się stało z dzwonami?

Trzy minuty po trzeciej, twierdził zegarek.

Cztery minuty.

Pięć minut.

Co się stało z dzwonami?

Nie mogąc już tego znieść, odwróciła się raptownie i spojrzała z rosnącą paniką na jedną wieżę i na drugą.

– Zadzwońcie – błagała. – Zadzwońcie.

Adept Mroku poczuł, że dzwony wymykają mu się z rąk. Zacisnął dłoń. Zadrżały.

– To niemożliwe – warknął.

Powoli, stopniowo dzwony uwalniały się spod jego wpływu. Walczył z nimi, lecz nie mógł ich zatrzymać, i kiedy zaczęły bić, biły też w niego, dzwoniąc mu w głowie, hucząc i rozbrzmiewając, aż zaczął krzyczeć i bezskutecznie przyciskał dłonie do uszu. Poczuł, jak upada broń wymierzona w nieprzyjaciela, i wiedział, że wróg to również czuje. Uciekł, nieomal wrzeszcząc z bezsilnej złości.

Rebecca westchnęła z ulgą, gdy życie znów się potoczyło codziennym torem. Zegarek na wystawie lombardu musiał się pomylić.

Wraz z zachodem słońca powietrze oziębiło się, i ciepło dnia szybko się rozproszyło. Roland, ubrany w mocno zniszczony podkoszulek, zadygotał i stojąc na niezbyt pewnych nogach, spojrzał nieprzyjaznym wzrokiem na zachodzące słońce. Nie miał pojęcia, od jak dawna szedł w stronę szarego wzniesienia w oddali, lecz nie sądził, żeby się do niego zbliżył. Nagle nogi ugięły się pod nim i mężczyzna siadł ciężko na trawie.

To śmieszne, pomyślał, przelękając krew. Podczas upadku przygryzł sobie język i był nieprzytomnie wdzięczny nawet za tę odrobinę wilgoci. Jest dopiero siódma. Opuściłem domek niedźwiedzi o jedenastej. Zaledwie osiem godzin. Niemożliwe, żeby tak chciało mi się pić. Tak jednak było. Był spragniony, zmęczony, spalony słońcem i zziębnięty.

Słońce schowało się za horyzontem i temperatura znów spadła o kilka stopni. Skulony Roland rozmyślał o przyjemnościach, jakie czekają go w nocy. Wilkołaki. Wampiry. Upiory. Stado spłoszonych smoków. To, iż nie widział żadnych zwierząt, nie świadczyło o tym, że ich tu nie ma. A w tej okolicy wychodzą zapewne po zmroku. Oczywiście najpierw musiałbym przeżyć na zimnie wystarczająco długo, by mogły mnie pożreć.

Popatrzył w niebo i znów zadygotał, jednakże tym razem nie z chłodu. Wszędzie dookoła z nieba sphywała kurtyna niczym nie zmaconej czerni. Siedząc samotnie w ciemności, odnosił wrażenie, że jest jedyną żywą istotą, jaka została na świecie, że samo istnienie kończy się tuż za czubkami palców jego wyciągniętej ręki. Od

wybuchnięcia szlochom powstrzymywał go jedynie dodający otuchy ciężar gitary opartej o jego nogę i harfy wciśniętej pod pachę. Gdyby słońce zostawiło mu dość wilgoci na łzy, zacząłby płakać.

Wreszcie spuścił głowę i usnął ze zmęczenia.

Obudziła go harfa, która wysłała w mrok nocy śpiewną nutę. Roland gwałtownie podniósł głowę i przez chwilę zastanawiał się, gdzie jest. Gdy przypomniał sobie, jęknął. Wszystkie okropne przeżycia nie były snem.

Podczas jego snu wstał księżyc w pełni i świecił wysoko na bezgwiezdnym niebie. Każde źdźbło trawy na tej pozornie nie kończącej się prerii było wyraźnie widoczne, obwiedzione srebrem na tle maleńkiego, doskonałego cienia. Gdy wyteżył wzrok, wydawało mu się, że dostrzega cień wzniesienia, ku któremu szedł.

W oddali rozległ się grzmot. Nadciągał coraz głośniejszy i mocniejszy. – Zaczekajcie! – Roland zerwał się na nogi. Miał oczy rozszerzone ze strachu i przyspieszony oddech. – To nie grzmot, to...

Z ciemności wyłonił się z dudnieniem podwójny szereg jeźdźców; gdy pędzili ku niemu, ich zdobione srebrem zbroje i końska uprząż płonęły w świetle księżyca. Roland stał sparaliżowany, gdy mknęli ku niemu, aż w ostatniej chwili, kiedy nie widział i nie słyszał niczego prócz jeźdźców i ich rumaków, szeregi rozdzieliły się i okrążyły go z obu stron. Teraz kontynuowały swój szalony galop wokół niego.

Jeżeli wychowany w mieście Roland mógł to stwierdzić, zwierzęta były normalnymi końmi i w związku z tym normalnie go przerażały dzikimi oczami, błyszczącymi kopytami i wielkimi zębami. Nie wiedział jednak, co się kryje pod fantastycznymi zbrojami, w jakie odziani byli jeźdźcy. Jedynie dwie ręce, dwie nogi i głowę mógł przyjąć za pewnik.

Kiedy pierwsza włócznia utkwiała w ziemi u jego stóp, był niemal na to przygotowany. Gdy druga drasnęła go w ramię, rysując cienką kreskę krwi, odskoczył. Z głębi jego gardła wyrwało się łkanie. Kiedy trzecia wyrwała mu niewielki kawałek ciała z uda, ból stał się częścią przerażenia i już nie wiedział, gdzie jedno się kończy, a drugie zaczyna. Zewsząd był otoczony; nie mógł uciec, nie mógł schować się, więc zadrżał i zamknął oczy, zaciskając zęby, by powstrzymać cisnący mu się na usta krzyk. Przynajmniej umrę cicho, poprzysiągł sobie ponuro. Ciemność może się ugryźć w dupę.

Harfa zaczęła grać; była to niesamowita i szczególna melodia, bo harfa miała niewiele całych strun.

Grzmot kopyt ucichł i całkowicie ustał.

Roland odważył się otworzyć oczy i kiedy to uczynił, harfa zamilkła. Poczuł raczej, niż usłyszał, że coś się zbliża do niego z tyłu. Nie był przekonany, czy dobrze robi, ale

odwrócił się powoli.

Koń zatrzymał się w odległości mniejszej od długości swego ciała, jeździec, który go dosiadał, zarzucił wodze na ozdobnie grawerowany łęk siodła. Gdy zdjął srebrnoczarne rękawice, ukazały się dłonie białe jak lilie. Smukłe palce uniosły hełm w kształcie ptasiej głowy. Roland nie miał pojęcia, jakiego ptaka przedstawiał hełm, bo znał tylko gołębie i nie był to jeden z nich. Ujrzał kobietę, której kruczoczarne włosy spływały na ramiona i piersi; zielone jak jadeit oczy przyglądały mu się ciekawie spod ukośnych brwi.

Roland przełknął ślinę. Poza Evanem, była najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widział, od czubków odrobiny szpiczastych uszu do wystających kości policzkowych i wilgotnego błysku zaciśniętych warg.

– Ta harfa, którą niesiesz – głos, choć oschły i podejrzliwy, był równie piękny, jak jej oblicze – jak dostała się w twe ręce?

– Uratowałem ją. – Czuł mętlik w głowie.

– Od czego?

Roland przesunął ciężar harfy na biodrze, jak przez mgłę odbierając protest rany na udzie i czując świeżą krew, która wsiąkała w dżinsy.

– Z jaskini olbrzymów. – Jako że sytuacja zdawała się wymagać tytułu grzecznościowego, dodał: – Proszę pani.

– Ta harfa należała do mego brata.

Roland zastanowił się, którym kawałem gnijącego mięsa był jej brat, lecz powiedział tylko:

– Przykro mi.

– Jesteś wszelako człowiekiem.

Nie zabrzmiało to jak pytanie, więc milczał, chwilowo zadowolając się jedynie patrzeniem na nią.

– Atoli harfa przyjęła cię. – Kobieta zmarszczyła brwi, co zmieniło jej urodę, lecz jej nie umniejszyło. – Czyżbyś był bardem?

– No, niby tak. – Przypomniał sobie, co opowiadał wuj Tom. – Tak, jestem, ale przede mną wciąż siedem lat.

Na wzmiankę o siedmiu latach kobieta lekceważąco wzruszyła ramionami i powtórzyła:

– Jesteś bardem.

– Wasza wysokość...

Zbliżył się do nich jeden z pozostałych jeźdźców. Roland drgnął, bo patrząc damie głęboko w oczy, zapomniał, że ktoś jeszcze istnieje.

– ...co mamy z nim zrobić?

– Zabierzemy go ze sobą. – Uśmiechnęła się i Roland poczuł, jak jego serce szaleje z radości. – Wzgórze od dawna było pozbawione muzyki.

Podskakując boleśnie z tyłu siodła, Roland starał się jednym okiem śledzić Cierpliwość, drugim harfę, a obydwoma jeźdźca w hełmie z głową ptaka. Przyprawiło go to o ból głowy, jakby mało mu było cierpienia. O ile mógł stwierdzić, mimo mroku, ruchu i obaw, że spadnie i zostanie stratowany przez jeźdźców galopujących za nim, jego instrumenty były w lepszym stanie niż on sam. Jeździec, za którym siedział, nosił hełm w kształcie głowy kota, lecz nawet najbardziej rozpaczliwe próby trzymania się opancerzonego torsu nie zdradziły Rolandowi, czy obejmuje mężczyznę czy kobietę.

Wzgórze okazało się wzniesieniem na horyzoncie, do którego Roland brnął przez większość popołudnia; był tego pewien w chwili, gdy wyłoniło się z ciemności. Zobaczył, że księżniczka dała znak dłonią, i znaczna część wzgórza rozplynęła się we mgle. Z otworu trysnęło bladoszare światło. Konie i jeźdźcy popędzili naprzód i Roland, wciąż starając się nie spaść z siodła, znalazł się pod ziemią.

Kilka chwil później, zasłaniając się Cierpliwością i czując zamęt w głowie na widok barwnych, rozświetlonych obrazów, kuśtykał za księżniczką, która przeprowadziła go przez wielkie, rzeźbione wrota. Docierały do niego pomieszane strzępy wrażenia, że przemierzają wypełnioną ludźmi olbrzymią salę o łukowatym sklepieniu, oraz że słyszy towarzyszący im szmer zaskoczenia.

Roland nie spuszczał oczu z księżniczki, w głowie rozbrzmiewały mu hymny na cześć jej urody, które zagłuszały cierpienie i lęk.

W końcu sali znajdowało się podwyższenie i gdy Roland z księżniczką zbliżyli się do niego, mężczyźni i kobiety rozstąpili się, odsłaniając człowieka siedzącego na wielkim, czarnym tronie.

Dobry Boże, ależ oni są do siebie podobni, pomyślał w pierwszej chwili Roland. Drugą jego myślą było – czyżbym oszalał? Mężczyzna na tronie miał ciemnorude włosy i bladoszare oczy.

– Wcześniej stajesz przed moim obliczem, czcigodna córko. – Nie zabrzmiało to przyjaźnie. – Cóż mi przywiozła?

– Dwie rzeczy, dostojny ojczy. – Uniosła w górę harfę. – Harfa mego brata odnalazła się, ten, który ją nosi, sam jest bardem. – Przerwała na chwilę i dodała bez wyrazu:

– Ludzkim bardem. Harfa go akceptuje.

Roland poczuł na sobie spojrzenie wszystkich zgromadzonych. Przyszpilony stanowczym spojrzeniem króla, uświadomił sobie, dlaczego sądził, że mimo odmiennych kolorów włosów i oczu tych dwoje jest tak do siebie podobnych. Mieli taki sam wyraz twarzy i takie same gesty.

– Zakładam – rzekł oschle król – żeś nie pokonał mego syna w walce i nie wyszarpnął mu harfy ze sztywniejących dłoni?

– Ehm, nie, czcigodny panie. – A jak zdobył harfę? Wydawało mu się, że jego wspomnienia zaczynają się zaledwie od pierwszego spojrzenia na księżniczkę. Z trudem sięgnął pamięcią dalej i odpowiedział: – Ja... ehm... wyratowałem ją z jaskini olbrzymów.

– Szkoda. Niemniej uciszył go olbrzym, skutek więc jest ten sam.

Roland odniósł wrażenie, że nieżyjący książę nie był zbyt lubiany.

– Odniosłeś mi jeden ze skarbów mego królestwa. Proś o co chcesz, a będzie ci dane.

On musi znać drogę do domu. Dom. Roland starał się nie zapomnieć tego słowa, lecz stojąca w pobliżu księżniczka była nieskończenie bardziej rzeczywista. Jej obecność odsuwała wszystko daleko.

– Chciałbym... – Poczul suchość w gardle i język przywarł mu do podniebienia, gdy nagle uświadomił sobie, jak jest spragniony. – Chciałbym prosić o szklanek wody, jeśli to możliwe.

Król zmarszczył brwi.

Roland spostrzegł, że otaczający go ludzie cofają się i usłyszał brzęk metalu, gdy księżniczka i jej jeźdźcy odwrócili się ku niemu.

– Szklanek wody – powtórzył władca.

Cisza wydłużała się i przeciągała. Roland miał rozpaczliwą ochotę podrapać się po nosie, lecz bał się poruszyć.

Król uśmiechnął się powoli i dwór znów zaczął oddychać.

– Wody dla barda! – rozkazał monarcha. – Kiedy już odświeżysz się i przyodziejiesz, panie bardzie – uśmiechnął się szerzej – wydamy ucztę!

Roland stwierdził, że otacza go wirująca ciżba jaskrawo ubranych mężczyzn i kobiet, spośród których wszyscy śmiali się, rozmawiali i wyrażali zatroskanie o jego osobę. Stracił księżniczkę z oczu i znów zaczęła go boleć noga. Dobiegające go strzępy rozmów nie miały sensu, więc przestał słuchać; nie było to takie trudne, bo nikt w rzeczywistości nie mówił do niego. Ktoś wcisnął mu do ręki srebrny puchar, który wychylił z wdzięcznością. Teraz czuł się jedynie zmęczony, wyczerpany...

I niski, dodał w myślach, zderzając się twarzą z obfitym biustem. Nawet kobiety były sporo wyższe od mającego niemal sześć stóp Rolanda.

Popychany, ciągnięty i popędzany, trafił wreszcie do małego, pełnego pary pomieszczenia, w którym znajdowały się dwie młode kobiety i balia pełna gorącej wody.

– ...odzienie.

– Co? – Ostatnie zdanie było wyraźnie skierowane do niego. – Przepraszam, nie dosłyszałem.

Młoda kobieta zachichotała i wsunęła krótki, kasztanowy kosmyk za szpiczaste ucho.

– Rzekłam, że powinieneś zdjąć odzienie. Wszelako nie życzysz sobie kąpać się w nim?

– Ehm, nie. – Oparł ostrożnie gitarę o kamienną ławę i popatrzył dziwnie na srebrny puchar w swej dłoni.

Druga kobieta, o czarnych włosach, które wyglądały na jej głowie jak błyszcząca czapeczka, westchnęła i podeszła bliżej.

– Nie mam zamiaru spędzić tu całej nocy. Jeśli tylko nie będziesz się kręcić, panie bardzie, poradzimy sobie. Ómo, przestałabyś chichotać i pomogłabyś mi...

Roland zamierzał protestować, gdy dwie pary zaskakująco silnych rąk zaczęły ściągać mu dzinsy, lecz brakło mu energii. Zanim zdążył się zawstydzić, był już w wannie i gorąca woda koła jego obolałe ciało. Po zmyciu zaschniętej krwi kąpiel zabarwiła się na różowo. Roland wrzasnął, gdy woda dostała się do otwartej rany na nodze.

– Poczekaj. – Óma chwyciła go za ramiona i przytrzymała. – Kąpiel pomoże na twe rany, jeśli tylko dasz jej szansę.

Nie miał wielkiego wyboru, więc siedział z zaciśniętymi zębami, dopóki ból nie ustąpił. Wtedy stwierdził, że nie czuł się tak dobrze od – sięgnął pamięcią wstecz – od wczoraj! Wszystko się wydarzyło w ciągu zaledwie jednego dnia!

To zdumiewające, jak szybko można się przyzwyczaić. Po raz pierwszy przyszło mu to na myśl, gdy obserwował jedzącego tatę niedźwiedzia. O tym samym myślał, gdy kąpały go dwie młode i piękne kobiety. Potem zdał sobie sprawę, że jego ciało zupełnie nie traktuje zaistniałej sytuacji z taką samą obojętnością jak przemęczony umysł.

– Lepiej tego nie zmarnuj, panie bardzie – zachichotała Óma, masując namydlonymi palcami jego spięte mięśnie barków – bo inaczej Jej Wysokość wpadnie w szał.

Roland zaczerwienił się, skulił i uznał, że nie ma jak się schować. Jego umysł opornie przeskoczył na wyższy bieg.

– Jej Wysokość? – wykrztusił.

– Wywarłeś na niej ogromne wrażenie. – Óma namydliła mu włosy i myła je energicznie. Kiedy skończyła polewać głowę ciepłą wodą z dzbanka, dodała: – Najpierw czeka cię uczta, a później igraszki.

Roland wiedział, co znaczą igraszki tam, skąd pochodził, więc zajął się pierwszą informacją.

– Zrobiłem na niej wrażenie?

– Bez wątpienia. Swą prośbą skierowaną do Jego Królewskiej Mości jej ojca.

– Moją prośbą?

– Spodziewano się po tobie – odezwała się druga kobieta, podając duży ręcznik, by nim się owinął – że będziesz błagał o życie.

Mały, cielesny problem przestał istnieć.

Roland pozwolił ubrać się w pożyczone, piękne szaty i zaprowadzić do sali bankietowej, cały czas łudząc się nadzieją, że jeśli błaganie było koniecznością, zostanie jeszcze jedną szansę. Myśl umknęła mu w chwili, gdy ujrzał księżniczkę, która pokiwała głową z aprobatą i pociągnęła go do siebie. Siadł na wskazanym miejscu, zauroczony zaskakującym kontrastem pomiędzy bledością jej skóry i czernią ałtasu sukni.

– Alabaster i heban – szepnął i zaczerwienił się na widok jej uśmiechu.

Mijająca uczta przypominała kalejdoskop obrazów: krótko ostrzyżona służba odziana była w jasne stroje, a ci, którym usługiwano, nosili ubrania w kolorach czerni, czerwieni i srebra. Roland nie zdawał sobie sprawy, że czerń, czerwień i srebro mogą mieć tyle odcieni, że mogą skrzyć się, lśnić i płonąć tak intensywnie.

I dźwięków: Ponad gwar jedzenia i picia często wybijał się śmiech, lecz pobrzmiwała w nim niemiła nuta, jakby śmiejący się znali jakieś tajemnice obce słuchaczom.

I smaków: Roland jadł wszystko, co przed nim stawiano, rozkoszując się potrawami, które miały konsystencję jedwabiu i smak słońca, ostry posmak zimowego dnia, upojny aromat środka nocy.

I woni: Zapach bijący z ciężkiej masy włosów Jej Wysokości spowijał go, brał w niewolę i oszalał, nie zostawiając miejsca na inne wonie i bardzo niewiele miejsca na zastanowienie.

Nie potrafił już bać się ani nawet czuć zmęczenia. Wszyscy, których widział, byli młodzi i piękni i traktowali go, jakby był trzecią najważniejszą osobą po królu i księżniczkę. Jeśli rano ma zostać zabity, jutro będzie się tym martwił i prawdopodobnie z uśmiechem stanie naprzeciwko plutonu egzekucyjnego. Albo tutejszego jego odpowiednika.

Kiedy resztki jedzenia znikły ze stołów, w wielkiej sali zapadła cisza.

– A teraz, panie bardziej – rzekł król – może zechciałbyś zaszczycić nas pieśnią.

Zbliżył się służący z wyczyszczoną harfą, która znów miała wszystkie struny i była tak piękna, jak Roland się spodziewał. Powiódł łagodnie palcem wzdłuż jej słodkiej krzywizny i uśmiechnął się.

– Zechciej mi wybaczyć, wielmożny panie – powiedział – lecz wolałbym zostać przy znajomej mi damie.

Charakter ciszy uległ zmianie, lecz król tylko machnął wdzięcznie dłonią i odparł:

– Wybór należy do ciebie, czcigodny bardziej.



Powolnym ruchem, podejrzewał bowiem, że wypił odrobinę za dużo ciemnoczerwonego wina, Roland otworzył pokrowiec i wydobyl Cierpliwość.

– To się nazywa gitara – rzekł w odpowiedzi na uniesioną brew króla. Przebiegł palcami po strunach, poczuł, że panuje nad sytuacją, rozpoczął grę, oddając się muzyce bez reszty.

Nie pozwolili mu przestać grać, dopóki dłonie mu nie zdrętwiały, a głos przycichł do ochryplego szeptu. Wtedy, pośród okrzyków pochwały i podziwu, księżniczka wzięła go pod rękę i wyprowadziła z sali.

Gdyby go poprosiła, wykręcałby się zmęczeniem, lecz nie prosiła – rozebrała ich oboje, dosiadła go i jechała na nim od jednego wstrząsającego orgazmu do następnego. Roland nie miał pojęcia, skąd wziął siły, jednakże jego ciało potrafiło zaspokoić jej żądania, zrezygnował więc z oporu i poddał się rozkoszy.

Zbudził się w nieprzeniknionej czerni, całkowicie nieprzytomny. Miotał się przez chwilę w panice, aż wreszcie gwałtownie usiadł. Pokój stopniowo wypełnił się delikatną szarą poświatą. Roland dostrzegł połyskujące srebrno-czerwone gobeliny, ogromne owalne lustro i rozrzucone dookoła ubrania. Kiedy się odwrócił, ujrzał splątany gąszcz niebieskoczarnych włosów spływających na jedną pierś koloru kości słoniowej. Przypomnił sobie i położył się z uśmiechem.

Światło zaczęło przygasać, aż pokój ponownie pograżył się w absolutnej ciemności.

Roland usiadł.

Światło wróciło.

Położył się.

Światło zgasło.

Nieźle, pomyślał. Mogłoby mi się tu spodobać. Znakomite jedzenie, świetne ubrania, piękna kobieta. I tutejsi ludzie doceniają muzykę. Zdrzemnął się na chwilę z głową wypełnioną tańczącymi obrazami życia w roli dworskiego faworyta, a potem znów usiadł.

– Łazienka – westchnął. Zastanowił się, czy nie zbudzić księżniczki, aby wskazała mu drogę, lecz postanowił tego nie czynić. Idąc na wyczucie, trafił do małej izdebki w korytarzu, która służyła do tego celu. Kiedy wrócił, z drugiego końca łóżka wpatrywały się w niego jasnozłote oczy. – Skąd, u licha, się tu wziąłeś? – szepnęła, marszcząc czoło.

Tom miauknęła władczo, wbijając pazury w materac.

– Sza! – Roland przyłożył palec do ust. – Zbudzisz ją. – Upuścił szlafrok, który znalazł, i zamyślił się. – Prawdę powiedziawszy, to nie byłby taki zły pomysł. Teraz, kiedy wypocząłem, jestem pewny, że znajdziemy coś do roboty. – Wślizgnąwszy się

ponownie do łóżka, schylił głowę nad rubinowymi ustami.

– Jezu Chryste! – Odwrócił się gwałtownie i spojrzał wściekle na kota. – Podrapałeś mnie, ty mały gnojku! – Złapał się za prawy policzek i zobaczył na dłoni plamy krwi. – Obedrę cię ze skóry i przerobię na... na... Jezu Chryste – powtórzył, lecz tym razem zabrzmiało to bardziej jak modlitwa. Myślał trzeźwo po raz pierwszy od chwili, gdy zobaczył księżniczkę w blasku księżycy całą jak z jadeitu, hebanu i srebra.

Szybkie spojrzenie na księżniczkę upewniło go, że wciąż mocno spała. Rozejrzał się po pokoju i odnalazł swój zegarek.

– Druga czterdzieści trzy – zamruczał, zakładając go na rękę. Kiedy wczorajsze przyjęcie dobiegło kresu, musiało być już blisko świtu. Oznaczało to, że jest druga czterdzieści trzy po południu. Znow popatrzył na księżniczkę. Środek dnia, a ona śpi bardzo mocno. Roland potrząsnął ją za ramię, najpierw łagodnie, potem silniej. Jej klatka piersiowa wciąż się unosiła i opadała, lecz była to jedyna oznaka życia.

Z bijącym boleśnie sercem podbiegł do lustra i obejrzał swą szyję. Nie znalazł śladów ugryzienia. Tom prychnął.

– No cóż, mogły przecież być – syknął, czując się jak dureń. – Skąd się tu, u licha, wzięłeś? – spytał znow, schylając się i przyglądając kotu. – Czy Evan kazał ci mnie znaleźć?

Tom wykręcił się i zaczął myć sobie nasadę ogona.

– Och, wielkie dzięki. – Powiedział to z sarkazmem, ale rzeczywiście był mu wdzięczny. Nie można było rozpaczać w obliczu tak wyrafinowanej obojętności. Wyprostował się i przeczesał włosy rękami. Muszę uciec, zanim ona się obudzi. Jeśli tego nie zrobi, wiedział, że nie zdoła odejść, jeśli ona się znow do niego uśmiechnie. Do tej pory było fantastycznie, ale miał podejrzenia, że gdy ich wysokości przestaną się interesować nową zabawką, sytuacja bardzo się zmieni.

Szybko ubrał się w czarne jedwabie i aksamity, które miał na sobie podczas uczyty – nie miał pojęcia, gdzie były jego dzinsy – wziął Cierpliwość i poszedł w kierunku drzwi. Tom szedł przed nim.

Kot wydawał się z całą pewnością wiedzieć, dokąd idzie, a ponieważ Roland tego nie wiedział, poszedł w ślad za kotem. Ściany korytarzy rozjaśniały się, a potem ciemniały za nimi.

Nawet gdybym był przy zdrowych zmysłach zeszłej nocy, idąc na górę, nie zapamiętałbym drogi. Tworzące labirynt korytarze wiły się, skręcały i zapętlały z radosną beztróską. Na szczęście jestem zbyt zagubiony, by się bać. Nie miało to większego sensu, jednakże życie ostatnio też go nie miało, więc Roland nie oponował. Stwierdzenie to nie było jednak ściśle. Słuch mówił mu, że on i Tom są ostatnimi żywymi istotami. Ciężar tej

ciszy przygniatał go. Wyrażenie „grobowa cisza” uparcie nasuwało mu się na myśl i pomimo wszelkich starań nie mógł go odegnąć. Do tej pory go nie rozumiał; teraz owszem.

Nieświadomy niczego Tom szedł dalej.

Minęli ogromny łuk, którego Roland z pewnością przedtem nie widział. Choć kot się nie zatrzymywał, Roland z ciekawości włożył głowę do środka. W słabym świetle ledwo było widać czarny prostokąt, po obu stronach którego stały dwa białe trójkąty wysokości około pięciu stóp. Wszedł krok dalej i trójkąty stały się dwiema piramidami czaszek, które przyglądały mu się pustymi oczodołami.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zdanie: „Spodziewał się, że będziesz błagał o życie” nabrało sensu.

Roland przyspieszył kroku, by dogonić Toma.

Kiedy jego kroki ucichły w oddali, czerń nad ołtarzem zagęściła się w coś więcej niż tylko brak światła.

– A więc wyobrażasz sobie, że to będzie takie proste, co? – Adept Mroku uśmiechnął się. – Twój gospodarze śpią, a ty tymczasem wymykasz się na słońce, nawet nie dziękując za gościnność. – Uśmiech stwardniał, hebanowe brwi zmarszczyły się. – Nie sądzę.

Mały zieleniec był pusty. Adept poczynił pewne kroki, by tak było. Rozparł się na ławce, wyciągnął długie nogi i uniosł twarz do słońca, umysłem tymczasem składając wizytę w królestwie cieni.

Po dotarciu do wielkiej sali bankietowej Roland prawie jej nie poznał. Kiedy nie było w niej dworzan, ziało z niej chłodem i ponurością. Zmatowiałe srebro poszarzało, czerń przypominała tylko tego, kto rządzi tym królestwem. Roland zadrżał i podczas wędrówki ku drzwiom po drugiej stronie trzymał się bliżej Toma. Przebyli połowę drogi, gdy rozległ się pytający dźwięk. Roland zatrzymał się, westchnął i zawrócił. Tak jak się spodziewał, harfa stała oparta o czarny tron.

– Piękny sposób traktowania skarbów – rzekł cicho, przykucnął i ostatni raz pogładził jej wdzięcznie wygiętą ramę, bardzo nie chcąc zostawiać instrumentu, do którego tak absurdalnie się przywiązał. Co innego wymknąć się ukradkiem, gdy wszyscy śpią – jeśli szczęście mu dopisze, zapomną o nim przed zjedzeniem śniadania – a zupełnie co innego uciec ze skarbem narodowym. Wstał i z żalem rozłożył ręce. – Chyba musimy się pożegnać. – Harfa znów zadźwięczała. – Chciałbym móc cię zabrać. – Widząc bardzo zniecierpliwione spojrzenie Toma, odwrócił się do wyjścia. Tym razem wibrujący dźwięk dał się słyszeć w całej sali. Roland skrzywił się i odwrócił. – Pobudzisz wszystkich – ostrzegł. Czuł, że harfa szykuje się do wydania kolejnego dźwięku, więc

chwycił ją wolną ręką, bo i tak pragnął to uczynić. – To był jej pomysł – wyjaśnił niemrawo Tomowi, który siedział przy drzwiach i wymachiwał wściekle ogonem. Cierpliwość brzęknęła z aprobatą z wnętrza futerału.

Tom prychnął, wyszedł przez drzwi i wpadł na coś, co wyglądało jak lita ściana. Rozległ się słaby, jednakże słyszalny stuk, kiedy kocia czaszka zetknęła się z czymś, co było odrobinę twardsze od niej. Tom mrugnął, usiadł i z zapalem zaczął wylizywać sobie przednią łapę.

Roland podrzucił nerwowo harfę w dłoni.

– Dobra, jasne. Wierzę ci. Miałeś szczerze zamiary. – Obejrzał się przez lewe ramię, czując, że jeżą mu się włosy na głowie. Usłyszał, albo wydawało mu się, że usłyszał jakiś dźwięk, metaliczny i powtarzający się, dobiegający z miejsca, tuż za którym blade, szare światło słabło i przygasało. Niechętnie odrywając wzrok, popatrzył na kota i syknął: – Jeśli znasz wyjście, zaprowadź mnie do niego.

Nie dając się popędzać, Tom liznął łapę po raz ostatni, a następnie pacnął nią ścianę. Wymachiwał ogonem ze złością. Kołysząc głową na boki, przywarł do ziemi i zasyczał.

Dźwięk stał się głośniejszy i bardziej rozpoznawalny. Metaliczny, owszem. Kroki. Więcej niż jednej osoby.

– Tom!

Kot położył uszy po sobie i mruknął głucho, wciąż zajęty ścianą.

– Dobra, w porządku. Pracujesz nad tym. – Nie mogę uwierzyć, że jestem uzależniony od kota. Roland spocił się pod pachami i czarny jedwab przykleił mu się do skóry. Czuł zapach swego strachu. Niemal bezwolnie odwrócił się, by spojrzeć w głąb korytarza. – O cholera!

Z mroku wyłoniła się postać w czarnej zbroi podobnej do tych, które nosili jeźdźcy, ale w większej części metalowej niż skórzanej. Krok za pierwszą postacią szła następna.

– Sądziłem, że oni cały dzień śpią. – Roland miał pretensje do całego wszechświata. To nieuczciwe! Może gdybym oddał harfę. Wtedy poczuł słodkawy odór rozkładającego się ciała i domyślił się, że z tymi strażnikami nie da się pertraktować. – Nie, tylko znowu nie to. – Cofnął się o krok. Natychmiast przypomniały mu się szczerzące zęby, gnijące twarze ze spiżarni olbrzymów. – Nie potrafię. – Przełknął ślinę i zrobił jeszcze jeden krok do tyłu. – Nie potrafię znów sobie z tym poradzić. – Kolejny krok i półobrót; odwracał się, by uciec. Nadepnął na coś miękkiego.

Wrzasnął zarówno z bólu, jak i z przerażenia, gdy Tom miauknął przeraźliwie i wbił mu ostre pazury w delikatną skórę przy kostce.

– Nie jestem wojownikiem! – krzyknął do nie wykazującego zainteresowania kota.

Wtedy już nie miał wyboru.

Uchylił się przed pierwszym wymachem, padając na ziemię i rzucając Cierpliwość oraz harfę pod ścianę. Miał nadzieję, że będą tam bezpieczne. Futerał gitary zahaczył o struny harfy, które zadźwięczały niczym nieharmonijny kontrapunkt dla brzęku metalu. Roland zobaczył, jak zbliżający się do niego łukiem wielki, czarny miecz niespodziewanie zmienił kierunek i uderzywszy w kamienną posadzkę, ześlizgnął się po niej.

Harfa. Harfa kierowała poczynaniami strażników. Albo odstraszała ich. Albo coś w tym guście. Odskoczył przed kolejnym ciosem i wtedy poczuł uderzenie, które go odrzuciło na bok. Drugi strażnik przystąpił do walki z maczugą. Moje ramię! Złamał mi, kurwa, ramię! Nie było to jednak całkiem zgodne z prawdą, bo palce, którymi szybko poruszał na próbę, wciąż reagowały. Nadal cholernie bolało, ale nie stracił władzy w ręce. Harfa! Muszę dostać się do harfy! Uchylił się przed świszczącym mieczem, który zderzył się ze ścianą i obsypał go odłamkami muru. Roland rzucił się na ziemię w geście rozpaczliwej paniki.

Uderzył kolanem w harfę i czubek miecza wymierzony w jego oko zadrżał, lekko ucałował go w policzek, zostawiając smugę palącego bólu, i znikł. Oparł się na zdrowej ręce i znów upadł na posadzkę z polerowanego drewna, gdy coś uderzyło go w nerki. Ogarnięty mdłościami i oślepiiony cierpieniem, szarpnął srebrne struny.

Adept Mroku przesunął się odrobinę, by słońce padało mu bezpośrednio na twarz. Harfa była prawie błahostką. Bez umiejętności gry na harfie, temu tak zwanemu bardowi na niewiele się przyda. Trzeba szybko z tym skończyć. Zaczynało mu się nudzić.

Zdyszanemu Rolandowi przestało się mącić w oczach. Przypadkowe dźwięki, jakie wydobywał z harfy, zatrzymały strażników. Stali w skrzypiących czarnych zbrojach, kołysząc się lekko i bezcelowo wykonując sztywne ruchy rękami. Kiedy im się przypatrywał, zawrócili i zaczęli powoli zbliżać się do niego. Roland targał palcami struny, wypełniając korytarz dźwiękami, lecz strażnicy pokonali je i szli nadal.

– Hej, koleś, dasz dolca?

Wyrwany nagle z królestwa cieni Adept Mroku warknął, chciał już użyć mocy – i ledwo się w porę opanował. Zaskodzi swym planom, jeśli zostawi wyraźny znak dla Światłości. Obrzucił przekleństwami stojącą przed nim obszarpaną starą kobietę. Zapamięta ją i później się z nią rozprawi.

Staruszka cmoknęła z dezaprobatą.

– Jeśli nie masz, koleś, po prostu powiedz. Nie ma powodu, żeby zachowywać się grubiańsko. – Potrząsnęła głową i mamrocząc coś o zwyczajach młodzieży, poczłapała dalej, ciągnąc za sobą protestujący wózek sklepowy.

Adept Mroku zazgrzytał zębami. Nie rządził królestwem cieni, choć mienił się

władcą dużej jego części. Na ponowne nawiązanie kontaktu trzeba będzie czasu i wysiłku, na który nie mógł sobie pozwolić. Strażnicy będą musieli skończyć sami.

– Powinienem być żywcem obedrzeć ze skóry tę staruchę – wymamrotał. Wciąż jeszcze nie było za późno. Zerwał się na nogi, odwrócił i...

W parku nie było żadnej starej kobiety.

Tom nagle miauknął głośno i Rolandowi serce podskoczyło do gardła.

– Co jest! – wrzasnął, obracając się gwałtownie. Otworzył usta na widok kota, który zniknął w pozornie litej ścianie. – Zaraz. Oczywiście.

Tom znów zamiauczał, jego miauczenie dochodziło z nieco większej odległości niż przed chwilą. Jeden ze strażników chwiał się w przód i w tył, tak iż wydawało się, że musi się przewrócić. Drugi powłóczył podrygującą nogą, lecz żaden nie zaprzestał pościgu.

– Zaraz – powtórzył Roland. Miał tylko kilka sekund na zastanowienie. Gorzej już być nie może. Chwyciwszy Cierpliwość, rzucił się na ścianę, w ostatniej chwili zamykając oczy.

Żelazna ręka chwyciła go za kostkę.

Niejasne wrażenie ciemności, potem szarości, wreszcie światła i przerażający odgłos rozdzierania czegoś, co nigdy nie powinno się rozedrzeć.

Wylądował na trawie, cieplej, suchej i pachnącej lekko kurzem w słonecznym cieple. Przez chwilę tylko dyszał, a potem, ponieważ było to tak przyjemne, przewrócił się na plecy i poodychał jeszcze trochę. Zasłoniwszy się jedną ręką od blasku słońca, przeprowadził w myślach inspekcję.

Policzek. Ramię. Plecy. Udo. Kostka. Kostka?

– O cholera! – Metalowe palce wciąż wpijały się w kość.

Wiedział, że musi popatrzeć, niemniej zebranie się na odwagę trwało kilka minut. Wreszcie westchnął i usiadł. Czarna rękawica połyskiwała matowo w słońcu. Poszczerbiona krawędź w miejscu, gdzie oderwano ją od reszty zbroi, błyszczała jaśniej. Roland potrząsnął nogą na próbę. Rękawica nie drgnęła.

– Zabierzcie ją ode mnie!

Podczas dzikiej szarpaniny, jaka się wywiązała, rękawica otarła się o harfę i odpadła.

Roland zrobił kilka głębokich oddechów.

– Nikt cię nie pytał o zdanie – rzekł opryskliwie do Toma, który cicho przyglądał się wydarzeniom, owinąwszy łapy ogonem. Roland jakoś zdołał podnieść się. Spojrzał złym wzrokiem na rękawicę. – Pusta. Ten smród był złudzeniem. Posłużył się moim własnym strachem przeciwko mnie. Ten wszawy sukin... – Uniósł nogę, zastanowił się i zamiast

tego kopnął wściekle kępę trawy.

Tom wstał, przeciągnął się i powoli zaczął się oddalać.

– Jasne, dobra. Już idę. – Roland schylił się ostrożnie i podniósł oba instrumenty. Ostatni raz czuł się tak parszywie, kiedy grał w hokeja w kategorii młodzików, ale niech go diabli, jeśli miałyby przewrócić się na oczach kota.

W godzinę i siedem minut dotarli do ścieżki. Po pięćdziesięciu sześciu minutach droga się rozwidlała. Jedna ścieżka prowadziła do miłej doliny, a druga pięła się po skalistej, nagiej górze, której wcześniej nie zauważył.

– Tak, czytałem tę księgę – westchnął Roland i przysiadł na przydrożnym się głazie. – A jeśli myślisz, że będę się wspinał na tę górę, to zbzikowałeś. – Pokręcił się ostrożnie, żeby zmniejszyć nacisk na sińce na plecach. – I tak będę sikać krwią.

Tom ziewnął, zwijając delikatnie różowy jęczyzek.

– I nawzajem, kupo kłaków. – Roland wstał skrzywiony. – No to chodźmy już. – Skręcił na niebezpieczną ścieżkę, podwójnie dla niego groźną, bo nie mógł pomagać sobie rękami w czasie wspinaczki. Nie chciał porzucić harfy. Nie teraz. Nie po tym, ile razem przeszli.

Tom wybiegł naprzód; zatrzymywał się przy każdej nowej przeszkodzie, by poczekać na Rolanda z poczuciem wyższości widocznym na pyszczku.

Kiedy zapadł zmrok, w oddali rozległo się ciche granie myśliwskich rogów.

Roland starał się szybciej wspinać.

Rogi grały głośniej.

Wreszcie perć się skończyła. Góra też.

Zadyszany Roland zachwiał się na krawędzi przepaści i spojrzał w dół. Daleko pod sobą widział jedynie białe strzępy, które musiały być chmurami.

U podnóża góry postaci w zbrojach błyszczących księżycowym srebrem stanęły w strzemionach i zakrzyknęły wyzywająco.

– Co teraz? – Roland rzucił pytanie w głąb nocy.

Mrucząc głośno, Tom otarł się o jego nogi, a następnie skoczył w przepaść z ogonem rozwianym niczym proporzec.

– O nie – Roland zrobił krok do tyłu – nie zeskoczę z urwiska za kotem. Wybicie to sobie z głowy. Nie ma mowy. – Zastanowił się, jakie ma jeszcze wyjście. – Wolałbym zaryzykować spotkanie z księżniczką, niż zrobić coś tak głupiego. – Wtedy przed oczami stanął mu poruszający szczęką trup, przez którego Mrok mówił mu, że nie ma innego wyjścia, jak dzięki niemu. Rozprostował ramiona. – A co tam, niech to przynajmniej będzie moja decyzja. – Pokuśtykał jak pływak wchodzący do zimnej wody i rzucił się w przepaść.

Cierpliwość i harfa zagrały do wtóru jego krzyku.



## Rozdział jedenasty

– Pani pozwoli, że jej pomogę.

Duża Blondyna Z Głębi Korytarza wdzięczyła się do przystojnego mężczyzny, któremu pozwoliła wciągnąć po schodach swój wózek z zakupami.

– Taka kobieta jak pani – mruzczał młodzieniec – powinna nosić urny jak kreteńska bogini albo kwiaty jak nimfa strumienia, a nie zakupy.

Wtaczała się za nim na schody z głupawym uśmiechem i choć zwykle brakło jej tchu, by jednocześnie wspinać się i mówić, zdołała wysapać:

– Mój szwagier twierdzi, że spośród wszystkich osób, jakie widział, mam najlepszą budowę kości.

Adept Mroku uśmiechnął się.

– Pani szwagier jest bardzo wnikliwym człowiekiem. – Cierpliwie zczekał na nią na pierwszym piętrze. – Ale co sobie wyobraża pani mąż, że pozwala pani tak samej chodzić. – Spuścił głos. – W tym mieście jest wielu obcych, niebezpiecznych ludzi. Szczególnie dla samotnej, pięknej kobiety.

– Jakbym o tym nie wiedziała. – Odpoczęła chwilę, trzepocząc nad sercem jedną dłonią, która przypominała pulchnego kolibra wśród fioletowych kwiatów na jej bluzce. Spuściła grubo wysmarowane tuszem rzęsy. – Niestety, ja nie mam męża.

– Mądra decyzja, aby nie ograniczać się tylko do jednego mężczyzny. Kobieta taka jak pani potrzebuje swobody.

Przytakiwała mu podczas całej drogi przez korytarz.

Samolubna, prózna i głupia, pomyślał, kiedy dotarli do jej drzwi. Już jest moja.

– Czy zechciałby pan wejść na chwilę? Moglibyśmy napić się herbaty, albo może wina. Sądzę, że mam butelkę bardzo dobrego wina. – Uśmiechnęła się do niego tak, jak jej zdaniem uśmiechają się kobiety światowe.

– Bardzo chętnie wejdę. Mam wobec pani pewne plany.

– Ojej! – Nie mogła trafić kluczem do zamka, bo niemal zapomniane uczucie bycia pożądaną uczyniło ją niezdarną.

W chwili gdy kieliszki znalazły się na stole, nie musiał już ukrywać, kim jest. Należała do niego.

– No, koleś, otwórz oczy. Myślisz, że nie mam nic lepszego do roboty, tylko siedzieć z tobą w zaułku przez całą noc?

– Pani Ruth? – Roland usiłował skupić wzrok na bezdomnej kobiecie, lecz jej twarz wciąż uciekała mu na boki i zachodziła mgłą. Wydawało mu się, że nie warto trzymać

oczu otwartych, więc je zamknął. Nie czuł się najlepiej. Prawdę mówiąc, czuł się parszywie. Był cały obolały, ale sądził, że ból skupia się w prawym ramieniu, lewej nodze, krzyżu i twarzy. Najpierw prawy policzek. Potem lewy. Potem znów prawy. Trwało to jakiś czas – jego umysł był równie zbolały jak reszta ciała – lecz wreszcie zobaczył, co się dzieje. – Pani Ruth... – Zwilżył wargi i spróbował jeszcze raz: – Pani Ruth, proszę przestać mnie bić.

– Dopiero jak otworzysz oczy, koleś.

Roland westchnął. Po co się fatygować. Lewy policzek. Prawy policzek. Lewy...

– Au! – Raptownie podniósł powieki. – To zabolalo!

Pani Ruth siadła w kucki z zadowoloną miną.

– Bo miało. No, zbieraj się. Masz dziś robotę.

– Gdzie ja jestem? – Skrzywił się na jej widok. – Dobra, nieważne. Sam popatrzę. – Zacisnąwszy zęby, uniósł się na łokciach. Pani Ruth zasłaniała mu widok z przodu, ostrożnie więc pokręcił głową. Z jednej strony w mroku nocy majaczyły zardzewiały, niebieski pojemnik na śmieci, woń gnijącego jedzenia podsuwała myśl, że znajduje się na tyłach restauracji. Z drugiej strony, dużo dalej, na końcu zaułka widać było przejeżdżające samochody. Odległość tłumiała odgłosy silników. Ledwo widać było brzeg szyldu „Pekiński Og...” – Chinatown. – Wtedy to do niego dotarło. – Chinatown. Jestem w domu. – Popatrzył na panią Ruth, która pokiwała głową. – W domu – powtórzył, usiłując usiąść. Wciąż był ubrany w czarny jedwab i aksamit; poza zasięgiem jego ręki leżała błyszcząca w słabym świetle harfa. Wróciły wspomnienia; olbrzymi, dziecko, las, niedźwiedzie, słońce, preria, włócznie, księżniczka, czarna zbroja i ostatni, przerażający skok w przepaść...

– Sza, koleś, sza. – Pani Ruth wepchnęła Rolandowi chusteczkę do ręki i poklepała pocieszająco po drżącym ramieniu.

Roland zdusił szloch, usiłował wziąć się w garść i ledwo tego dokonał. Wziął kilka głębokich, urywanych oddechów i przetarł twarz kawałkiem płótna, które, o dziwo, pachniało płynem do zmiękczenia tkanin. Nic, co przydarzyło mu się w królestwie cieni, nie doprowadziło go na skraj tak kompletnego załamania psychicznego, jak wspomnienie strachu połączone z oszałamiającą ulgą powrotu do domu.

– Wiem, koleś, wiem. – Nie były to tylko zwykłe pomruki współczucia; rzeczywiście sprawiała wrażenie, że wie, co uspokoiło Rolanda jeszcze bardziej. – Zetknąłeś się z potwornościami, jakie niewielu ludzi potrafi sobie wyobrazić, lecz choć teraz wydaje ci się to straszne, dzięki temu staniesz się lepszym bardem. – Jej głos przestał brzmieć współczująco i ponownie nabrał energicznego, rzeczowego tonu. – Później możesz sobie pofolgować. W tej chwili jesteś potrzebny.

– Co się stało z Tomem? Wrócił?

– Oczywiście. Przecież to kot, prawda?

Roland nie miał zielonego pojęcia, co miał z tym wspólnego fakt bycia kotem, tym niemniej pokiwał głową i zaczął przekonywać swe posiniaczone ciało, że musi wstać.

Dwie noce do Letniego Przesilenia. Dwie noce. Tylko dwie. Te słowa uporczywie krążyły Evanowi po głowie. Westchnął, żałując, że nie może poświęcić ani chwili na rozkoszowanie się tym światem. Pod tak wieloma względami bliższy był Światłości niż Mrokowi; bliżsi jej byli zarówno tutejsi ludzie, jak i żywoty, które wiedli.

Deszcz wyplukał z powietrza lepki upał, wieczorny podmuch wiatru niósł ze sobą delikatny zapach żywej zieleni. Evan nie przepadał za miastami; odgradzały swych mieszkańców od tego, co miało znaczenie. Jednakże w porównaniu z innymi to miasto nie było takie złe; można było w nim zobaczyć drzewa, otwarte przestrzenie i dowody świadczące o tym, że nie stało się ważniejsze od żyjących w nim ludzi.

Gromadka dzieci kręciła mu się wokół nóg i pobiegła ulicą, wypełniając wieczór Światłością. Evan posłał za nimi czuły uśmiech błogosławieństwa. Jedna z dziewczynek zatrzymała się, odwróciła i spojrzała na niego z wyrazem zdumienia, zastanawiając się, co ją tak przyciągnęło. Evan narysował znak w dzielącej ich przestrzeni i dziewczynka się uśmiechnęła, wyciągając rękę, by dotknąć delikatnych linii Światła.

– Marian, chodź już!

Ich spojrzenia zetknęły się. Marian skinęła głową z powagą, odwróciła się i z radosnym okrzykiem pobiegła do swych kolegów.

Oto powód, dla którego należy powstrzymać Ciemność, pomyślał Evan i powrócił myślami do czekającego go zadania.

Niezupełnie rozumiał, co się wczoraj wydarzyło pomiędzy Rebecca i Adeptem Mroku. Kiedy przybył, uwolniony spod uroku, jaki rzucił na niego nieprzyjaciel, walka była zakończona. Pozostały tylko ślady mocy i Rebecca.

– Zegarek na wystawie lombardu spóźniał się, Evanie – powiedziała, zdumiona jego nagłym przybyciem. Ze śladów mocy wyczytał, że Ciemność zaatakowała i coś ją powstrzymało; coś olbrzymiego, co ledwie się ruszyło, ale mimo to przegnało Mrok.

Dziś towarzyszył Rebecce w drodze do pracy i z powrotem, pozostały czas spędzając na poszukiwaniu słabego tropu, jaki zostawił w czasie ucieczki Adept Mroku, zbyt wstrząśnięty, by odpowiednio go zamaskować. Dzisiejszej nocy pójdzie tym tropem i miał nadzieję, że dotrze nim do kryjówki Ciemności.

Dwie noce do Letniego Przesilenia. Dwie noce. Tylko dwie.

– Gdzieś ty był, do licha?

Roland westchnął i oparł się ciężko o ścianę gabinetu Daru.

– To długa historia – rzekł, podrzucając ciężką harfę na ramieniu.

– Lepiej, żeby była dobra. Rebecca umiera z niepokoju o ciebie. – Obejrzała go od stóp do głów i parsknęła. – Wyglądasz, jakbyś wrócił z balu przebierańców.

– Nie. To raczej nie był bal. – Po jego obliczu przebiegł cień.

Twarz Daru trochę złagodniała. Odniosła wrażenie, że Roland wydorósł podczas tych czterdziestu ośmiu godzin nieobecności. Była w nim teraz głębia, jakiej wcześniej nie dostrzegła.

– Co ci się stało w twarz?

– Nic takiego. – Dotknął policzka, gdzie czubek czarnego miecza narysował delikatną kreskę, i musnął palcem szkarłatne paciorki zakrzepłej krwi. – Nie chcę o tym mówić.

– Wdałeś się w bójkę z Adeptem Mroku. – Nie było to pytanie, lecz Roland i tak pokiwał głową. – Nic ci nie jest?

Roland zrobił głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. Wyglądało na to, że nie jest z nim zupełnie źle.

– Był taki czas – powiedział – kiedy byłem o włos od utraty zmysłów. W tej chwili nie czuję się dużo lepiej, lecz w porównaniu z poprzednim stanem nic mi nie jest. – Wyprostował się z wysiłkiem, nie zważając na przeraźliwy ból w nerkach. – Pani Ruth twierdzi, że musimy natychmiast pójść do Rebeki.

– Pani Ruth tak twierdzi?

– Zgadza się.

– Przyjaciółka Rebeki, ta zwariowana, bezdomna staruszka?

– Znów się zgadza.

Daru zmarszczyła brwi i machnęła dłonią w kierunku stosu papierów na biurku.

– Muszę jeszcze uporać się z tonami roboty papierkowej, jeśli chcę jutro wyjść w teren, a ty każesz mi to po prostu zostawić, bo jakaś stara, bezdomna wariatka mówi, że tak powinnam zrobić?

Roland wrzucił ramionami. Miał uczucie, że waży sto funtów. Każde z osobna.

– Słuchaj, wiem tylko tyle, ile powiedziała mi pani Ruth. Twierdzi, że Rebecca nas potrzebuje, i mnie to wystarcza.

– Wierzysz jej?

– Tak.

– Dlaczego?

Roland przymrużył oczy. Nie miał na nic ochoty.

– Bo kiedy już się zawrze bliższą znajomością z Ciemnością – rzekł – naprawdę nietrudno dostrzec Światłość.

Patrząc mu w oczy, Daru musiała uwierzyć. Wstała i chwyciła torebkę.

– Chodźmy – powiedziała i pierwsza poszła w stronę windy.

Rebecca przyglądała się sokowi pomarańczowemu w dzbanku. Była pewna, że ostatnim razem było go więcej. Podniosła pustą puszkę i zmarszczyła brwi, patrząc na nalepkę. Większość długich słów nie docierała do niej, lecz umiała przeczytać: „Dopełnić trzema szklankami zimnej wody”. Znów zajrzała do dzbanka. Może mieli na myśli inną, większą puszkę? Może zeszłym razem puszka była większa. Wydawało jej się, że kupiła taką samą puszkę. Obrazek był taki sam.

Spłoszona nagłym, głośnym waleniem w drzwi omal nie upuściła dzbanka z sokiem do zlewu.

Może to Roland, pomyślała, szybko biegnąc do drzwi. Może wrócił! Szamotała się z łańcuchem, odsunęła zasuwę – Evan nalegał, by zawsze używała obu zamknięć, gdy nie była w jego towarzystwie – i otworzyła drzwi na oścież.

– Och – rzekła.

W otwartych drzwiach stała Duża Blondyna Z Głębi Korytarza. Jej włosy, zwykle schludnie polakierowane, były w dzikim nieładzie. Błada, zapuchnięta twarz była pokryta rozmazanymi resztkami grubego makijażu. Jej ciało, wyzwolone z kajdan stanika i paska, dygotało i trzęsło się pod luźną, hawajską suknią koloru bzu. Rebecca przyglądała się z pełną zgrozy fascynacją sutkom jej masywnych piersi, które kołysały się w tę i z powrotem.

– To wszystko twoja wina! – wrzasnęła kobieta, rzucając się naprzód.

Rebecca usiłowała zamknąć drzwi, lecz ciężar napierającej Dużej Blondyny Z Głębi Korytarza nie pozwalał na to. Odsunęła się do tyłu, gdy kobieta wtargnęła na kolejny krok czy dwa do jej mieszkania.

– Co jest moją winą? – pytała błagalnie dziewczyna, z każdą sekundą bojąc się coraz bardziej. – Ja niczego nie zrobiłam.

Kobieta rozłożyła grube ręce i w kurczowo zaciśniętej dłoni matowo błysnął nóż kuchenny. – Kiedyś to był przyzwoity blok, dopóki ty się tu nie sprowadziłaś! – Rzuciła się na nią z nożem, który wykonał w powietrzu morderczy łuk.

Rebecca odskoczyła ze szlochem. Cios chybił, lecz poczuła towarzyszący mu zimny podmuch.

– Nie rozumiem! – załkała. Chciała uciec, lecz Duża Blondyna Z Głębi Korytarza zagradzała jej drogę do otwartych drzwi.

– Powinni cię zamknąć! – Krok. Ciach. – Z dala od normalnych ludzi! – Krok. Ciach. – Dlaczego mamy być zmuszeni patrzeć na ciebie! – Krok. – Jesteś chora! – Ciach. – Wariatka!

Nóż nie trafił, lecz uderzona ręką Rebecca zatoczyła się pod ścianę. Dotknęła czegoś twardego i metalowego. Pusta puszka po soku pomarańczowym. Złapała ją i rzuciła z całych sił. Puszka odbiła się z brzękiem od przeciwległej ściany, odwracając uwagę Dużej Blondyny Z Głębi Korytarza na tyle długo, by Rebecca zdołała chwycić dzbanek soku pomarańczowego i chlusnąć nim jej w twarz.

Kobieta zawyła i chwyciła się za oczy, upuszczając nóż.

Rebecca dygotała w swym kącie. Nie potrafiła wyminąć jej i dojść do drzwi. Po prostu nie mogła.

Kobieta spojrzała na Rebeccę załzawionymi oczami i uśmiechnęła się.

– Tak naprawdę zabicie cię się nie liczy – oświadczyła przerażająco wyraźnie. – Bo jesteś inna. – Zostawiła nóż na podłodze i zaczęła się do niej zbliżać.

Rebecca uciekała wzdłuż ściany, rzucając wszystkim, co wpadło jej w ręce. Tosterem stojącym na malutkiej lodówce. Roślinami z parapetu. Pluszowym smokiem z półeczki nad telewizorem. Zawiniątkiem z ręcznika...

Ręcznik trafił Dużą Blondynę Z Głębi Korytarza w podbródek i rozwinął się. Czarny sztylet upadł u jej stóp. Opuchnięte wargi odsłoniły wielkie, białe zęby. Nachyliła się, by podnieść broń.

Wydawała się absurdalnie mała w jej ogromnej dłoni i ani trochę groźna.

I wtedy z ostrza zaczęła się wylewać Ciemność.

Zapadła dziwna cisza, gdy dwie kobiety przyglądały się, jak chmura cienia owinęła się wokół ręki trzymającej sztylet i zaczęła rosnać. Kiedy dosięgła dołeczków jej łokcia, Duża Blondyna Z Głębi Korytarza zaczęła krzyczeć.

– Zabierzcie ją ode mnie! Zabierzcie ją ode mnie! – Próbowała wypuścić sztylet, lecz palce nie zareagowały. Cień przesunął się wzdłuż jej ramienia i zaczął pokrywać klatkę piersiową, zyskując na szybkości. Wrzaski zmieniły się w nieartykułowane wycie, a potem ucichły, gdy cień szybko zasłonił jej twarz. Orzechowe oczy wyjrzały jeszcze na chwilę z Ciemności, wyrażając cierpienie i zaskoczenie.

Kiedy ciało upadło na podłogę, cień i sztylet zniknęły.

Z tylnego siedzenia samochodu dobiegł akord tak pobrzmiwający zagłada, że Daru omal nie zjechała na pobocze.

– Co to było? – spytała, ledwo wymijając klnącego rowerzystę.

Roland poruszył się na siedzeniu.

– Harfa – rzekł krótko.

– Dłaczego...

– Ja tego nie zrobiłem.

– Więc dla...

– Myślę, że powinniśmy się pośpieszyć. – Zaciśnął wargi.

Daru zatrzymała się z piskiem pod znakiem zakazu parkowania przed blokiem Rebeki i wraz z Rolandem wyskoczyła z samochodu. Już stamtąd słyszeli krzyki. Roland biegł za Daru z Cierpliwością objającą mu się o nogi i harfą wciśniętą pod pachę.

– Drzwi! – krzyknęła Daru, bijąc pięścią w szybę. – Są zamknięte!

– Co? – Roland zatrzymał się gwałtownie. – To ty nie masz klucza?

– Dlaczego miałabym mieć? – zaprotestowała Daru. – Przecież ja tu nie mieszkam!

– Świetnie, żeby to szlag trafił! Musi być tylne... – Z futerału dobiegł stłumiony, przenikliwie wysoki dźwięk. Harfa obróciła mu się w rękę i powtórzyła ten dźwięk niczym echo. Głośno.

Jednakże niewystarczająco głośno. Pojawiło się kilka pęknięć, lecz drzwi nadal trzymały.

– O, tak? – Roland ostrożnie odłożył Cierpliwość i wsparł harfę na biodrze. – Zatkaj sobie uszy – powiedział do Daru, zrobił głęboki oddech i szarpnął za najcieńszą strunę, wkładając w to całą swoją duszę, jak zawsze, gdy grał.

Szklane drzwi zadrżały i rozsypały się.

Słyszac wciąż brzącający w głowie ostry dźwięk, Roland podniósł Cierpliwość i wszedł za Daru do budynku. Poślizgnął się na potłuczonym szkłe i boleśnie uderzył zranionym ramieniem o ścianę. Świat znikł na chwilę, a kiedy wrócił, wydawało się, że korytarz faluje. Nic nie słyszał przez echo, które odbijało się we wnętrzu jego czaszki. Powinienem był wiedzieć, że za to zapłacę, pomyślał, ale jakoś zdołał dojść do schodów.

Daru przepchnęła się przez tłum lokatorów zgromadzonych przed drzwiami Rebeki i weszła do środka.

– Dobry Boże.

Mieszkanie wyglądało, jakby stoczono w nim wielką bitwę. Dookoła leżały skorupy potłuczonych donic i połamane rośliny, wszystko pokrywała cieniutka warstwa ziemi. Kanapa była zepchnięta prawie pod przeciwległą ścianę, obok niej leżało ogromne, wzdęte ciało w fioletowej sukience. Spoczywało w pozie zbyt bezwładnej jak na żywą istotę. Rebecca siedziała skulona w kącie pod kaloryferem. Kolana miała podciągnięte pod brodę, oczy zamknięte i kołysała się wprzód i w tył.

Daru przestąpiła nad opiekaczem do grzanek i przyklękła przy zwłokach na podłodze. Wciskając głęboko palce w zwały tłuszczu, poszukała pulsu na szyi. Nic. Przyjęła to bez zaskoczenia. Widziała wielu nieboszczyków, lecz żaden nie wyglądał na tak nieżywego, jak ta kobieta. Wytarła rękę o udo, bowiem skóra zmarłej była zimna i wilgotna, obciągnęła jej fioletową sukienkę, przysłaniając pulchne nogi. Śmierć i tak ma niewiele godności, pomyślała, dobrze wiedząc, jakie zdanie będzie miała na ten temat

policja. Nie lubią manipulowania dowodami rzeczowymi.

Podeszła do Rebekki.

– Ach. Ach. Ach. – Przy każdym sapnięciu Rebecca wydawała cichy okrzyk, świadczący o zagubieniu i poczuciu skrzywdzenia.

– Rebecco? Rebecco, to ja, Daru. Otwórz oczy, złotko. Wszystko jest już dobrze, jestem tu.

Rebecca nie dawała po sobie poznać, że słyszy. Jej krzyki stawały się coraz głośniejsze, a kołysanie bardziej uporczywe. Nagle rzuciła się w bok i Daru ledwo zdążyła ją uchronić przed uderzeniem głową w kaloryfer.

– Hej, dziecino, spokojnie, już po wszystkim. Już po wszystkim. – Roland pomógł Daru i razem ją unieruchomili.

– Nie! Nie! Nie! – Wrywała im się z rąk, jej okrzyki zmieniły się we wrzaski protestu.

– Może by ją spoliczkować? – zaproponował Roland, przekrzykując dziewczynę.

– Zbyt ryzykowne. To ją może jeszcze bardziej przestraszyć. Musimy ją uspokoić. Dotrzeć do niej w jakiś sposób.

Roland zmarszczył brwi i spróbował przypomnieć sobie, dlaczego ta scena wydaje mu się znajoma. Dawno, dawno temu. Nie, poprawił się, mniej niż przed tygodniem, tylko wydawało się nieskończenie dawno temu.

– Rebecca wpadła w panikę. – Wstał, ciągnąc za sobą Rebeccę i Daru. – Musimy wyprowadzić ją na dwór.

– Co?

– Na zewnątrz. Słuchaj, nie kłóć się i zaufaj mi. To się już raz zdarzyło. Daru rzuciła pełne zgrozy spojrzenie na zwłoki.

– Nie to! – warknął Roland, potrząsając lekko Rebecca. – To!

Nie mając lepszego pomysłu, Daru pomogła wyprowadzić prawie bezwładną Rebeccę z mieszkania na oczach tłumu gapiów stojących z otwartymi ustami i sprowadzić ją po schodach. Kiedy dotarli do parteru, usłyszeli zbliżające się syreny.

– Przynajmniej jeden z tych idiotów miał dość rozumu, by zadzwonić na policję – sapnęła Daru, z wysiłkiem przeprowadzając Rebeccę po potłuczonym szkle.

– I co teraz?

– Tutaj. – Roland zszedł z chodnika na trawę. Odwrócił się i przycisnął Rebeccę do pnia drzewa.

Krzyk ucichł jak ucięty nożem. Zacerpnęła głęboko tchu, przywarła bezwładnie do szorstkiej kory i zaczęła szlochać, powoli osuwając się na ziemię.

Roland przyklęknął i wziął ją w ramiona, szepcząc wszystkie pocieszające bzdury,



jakie przychodziły mu na myśl.

Podjechał pierwszy samochód policyjny. Potem drugi.

Daru wyszła im na spotkanie. Tym umiała się zająć.

– Sastri? Daru Sastri? Z opieki społecznej? – Posterunkowy Patton nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Że też wśród wszystkich obecnych ludzi... – Chciałabym zamienić z panią kilka słów na temat pani przyjaciela. Niejakiego pana Evana Tarina.

– Teraz? – W wydziale mówiono, że Daru potrafi zabić uniesieniem brwi. Skorzystała z tej umiejętności.

Posterunkowy Patton poczuła, że się czerwieni. Usłyszała, jak stojący obok Jack kręci się nerwowo.

– Nie, nie teraz – wymamrotała.

Do czasu, gdy Daru pozwoliła im zakłócić spokój Rebeki, ciało zostało usunięte, zeznania świadków spisano, a kuchenny nóż zabrano jako dowód.

– Rebecca. – Posterunkowy Patton mówiła cichym głosem, którego używała w rozmowach z małymi dziećmi. – Rebecca, muszę zadać ci trochę pytań. – Sastri podała jej kilka faktów z życia Rebeki i policjantka obiecała postępować ostrożnie. „Nie jestem ludojadem!”, warknęła. Sastri przeprosiła.

Rebecca uniosła głowę znad piersi Rolanda i wytarła twarz dłonią.

}

– Pani jest z policji – powiedziała, pociągając nosem. – Policja to nasi przyjaciele.

– Właśnie. Policja to wasi przyjaciele. – Tak zwani normalni ludzie powinni być tak chętni do współpracy.

– Muszę cię zapytać, co się dziś stało w twoim mieszkaniu.

Rebecca wykrzywiła usta i oczy znów zaszyły jej łzami, jednak odpowiedziała na pytanie dość spokojnie, choć jednym tchem.

– Zapukała do drzwi i odpowiedziałam, i powiedziała, że powinni mnie zamknąć, i miała nóż, więc rzuciłam w nią dzbankiem soku i teraz go nie mam i upuściła nóż, ale wciąż starała się zrobić mi krzywdę i wtedy Ciemność ją zjadła.

– Ciemność ją zjadła?

– Aha. – Znów zasłoniła twarz.

Policjantka wstała.

– Słyszałeś? – zapytała swego towarzysza.

Posterunkowy Brooks pokiwał głową.

– Dość dobrze się zgadza z tym, co zeznali inni świadkowie. Z wyjątkiem tego ostatniego stwierdzenia. Ciemność ją zjadła. Ciekawe, co to znaczy.

– Zupełnie nie rozumiem. – Patton zwróciła się do Daru. – A pani?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała jej zgodnie z prawdą Daru. Nie dodała, że chciała się dowiedzieć.

– Wydział zabójstw uważa, że to był rozległy zawal. – Patton skinęła głową w stronę trzech stojących na chodniku mężczyzn bez marynarek. Ponieważ nie było morderstwa, nadrabiali zaległości w sprawach prywatnych. – Tak więc, sędzę, że nie mamy się czym martwić. Zostanie pani z nią na noc?

– Jeśli nie, ja zostanę – wtrącił się Roland.

Posterunkowy Patton kiwnęła głową do niego. Człowiekowi o takim spojrzeniu można zaufać, pomyślała podczas powrotu do samochodu patrolowego. Wygląda, jakby przeszedł przez piekło i uszedł z życiem. Tylko dziwnie się ubiera.

– Nie poznała mnie – powiedział Roland ze zdumieniem w głosie.

– Nie wyglądasz tak samo. – Daru parsknęła.

Roland wzruszył ramionami i postawił Rebecę na nogi.

– Chodź, dziecino. Wracamy do środka.

Rebecca czknęła.

– Ciemność ją zjadła, Rolandzie.

– Ciekawe, co ma na myśli – szepnęła Daru.

Roland popatrzył jej w oczy nad głową Rebeki.

– Ciekawe, gdzie jest Evan – rzekł. – I znów z nią nie porozmawialiśmy. Posterunkowy Patton zakręciła kierownicą i wóz patrolowy z piskiem skręcił w Dundas Street.

– Wiem.

– Uważam, że powinniśmy zawiadomić sierżanta.

– O czym? Nie mamy mu nic do powiedzenia.

– No tak, ale...

– Powiemy mu, kiedy z nią porozmawiamy.

– Sam nie wiem, Mary Margaret.

– Ja wiem. – Nagłe przyspieszenie podczas wymijania tramwaju wcisnęło ich oboje w oparcia. – Daruj to sobie, Jack.

To było tutaj. Każdy, kto widzi, mógłby to dostrzec, ponieważ dwupiętrowy, wiktoriański dom otaczała atmosfera posępności. Idąc tropem wiodącym do kryjówki Adepta Mroku, Evan zachowywał się bardzo ostrożnie. Użył jedynie ułamka swej mocy, tyle tylko, by wykonać zadanie, za mało jednak, by się zdradzić. Dlatego też to, co mogłoby potrwać kilka sekund, zajęło mu wiele godzin, lecz miał nadzieję, że Mrok nadal nie zdaje sobie sprawy, że został odkryty.

Wysłał do domu sondę i zastał tylko jedną żywą istotę – mroczną, lecz ludzką – oraz obfitość dowodów, że dotarł do końca tropu. Odgarnął włosy z twarzy, podszedł do drzwi i nacisnął dzwonek. Usłyszał jego echo rozbrzmiewające w całym domu, a potem zbliżające się kroki.

– Tak, w czym mogę pomóc? – Siwe włosy, bladoniebieskie oczy i zaskakująco czarne brwi. Pewny siebie głos, starannie modulowany, lecz pozbawiony emocji, nawet ciekawości.

Evan musiał powstrzymać się z całych sił, by nie rozbłysnąć i nie przeciągnąć tego mężczyzny tak daleko w Światłość, daleko jak był teraz pogrążony w Ciemności. Zamiast tego wyciągnął rękę – drżącą z niepokoju – dotknął jego piersi i przywrócił do stanu, w którym się znajdował, nim Adept Mroku zaczął deprawować go i niszczyć. Pozostawił mu jednak wspomnienie Ciemności i tego, kim się omal nie stał.

Mężczyzna wybałuszył oczy, zakrztusił się i odbiegł od drzwi.

Evan wszedł i zamknął drzwi cicho za sobą. W ciszy szedł śladem Ciemności schodami na górę do pomieszczenia, które niegdyś było dużą i ładną sypialnią. Widok nie był tak straszny jak w hotelu, bo Mrok przebywał tu krócej.

Nagle równowaga została zakłócona, wstrząs był tak silny, że Evan omal nie wykrzyknął. Naprawdę krzyknął chwilę później, gdy dotarło do niego wysłane z odległego mieszkania przerażenie Rebeki. Ze łzami spływającymi po twarzy stał jak skamieniały, serce mu pękało.

Przykro mi, Pani, lecz jeśli będę zmuszony cię poświęcić, by zniszczyć Ciemność, uczynię to.

Adept Mroku, ucieleśnienie odnoszącego sukcesy młodego kierownika, pogwizdując skręcił w dróżkę wiodącą do domu. Tego wieczora dobrze się bawił; jego zdaniem nie mógł przegrać. Bez względu na to, czy Rebecca przeżyje czy zginie, Światłość będzie miała pełne ręce roboty, pragnąc udaremnić zamiary jego narzędzia. A cóż to było za narzędzie – całe życie urojeń i wydumanych krzywd zmienione w wyostrzoną broń. Jej dziewictwo, odebrane tylko dlatego, że tak je sobie ceniła, było dodatkową premią.

Otworzył drzwi i zaczął iść na górę.

– Mistrzu, nad tobą!

Ostrzeżenie nadeszło w ostatniej chwili. Adept Mroku uchylił się przed błyskiem aureoli, której bliskość sprawiła mu ból. Warknął w twarz Światłości i znikł.

Evan powoli schodził po schodach, otoczony promiennym blaskiem swej natury.

– Już drugi raz – powiedział do mężczyzny, który trząsał się, skomlał i zasłaniał oczy – z własnej woli wybrałaś Ciemność. Niewielu dostaje drugą szansę. Ty jej nie dostaniesz. – Złączył dłonie i pomiędzy nich wyrósł miecz Światłości.

Jedynym oświetleniem w mieszkaniu Rebeki była wpadająca przez okna poświata unosząca się nad miastem w nocy. Rebecca dostała kubek ciepłego mleka i została położona do łóżka. Daru wyciągnęła się na kanapie, jej warkocz leżał na podłodze. Roland siedział na kuchennym krześle, brzdąkając kołysankę na Cierpliwości. Kiedy pojawił się Evan, wstał powoli i jeszcze wolniej odłożył gitarę.

– Witaj w domu – rzekł.

Twarz Evana rozpromieniła się. Doprawdy nie sądził już, że ujrzy Rolanda.

– Ty też – powiedział, przeplatając słowa radością.

Roland nie chciał odpowiedzieć uśmiechem.

– Gdzie się, do licha, podziewałeś? – spytał. – Rebecca cię potrzebowała.

– Wiem. – Radość znikła. – Czułem jej strach.

– I nic cię to nie obchodziło?

– Nie mogłem przyjść.

– Przypuszczam, że nie mogłeś też przyjść, kiedy ja cię potrzebowałem. – Roland wyminął go i zapalił światło. Evan zbyt mocno jaśniał w ciemności, stawał się zbyt nierealny, by można mu było coś zarzucić.

Daru poskarżyła się mruknięciem i usiadła, przecierając oczy. Spostrzegła Evana, minę Rolanda i doszła do wniosku, że może zaczekać z powitaniem.

– No? – Roland złapał Evana za ramię i odwrócił go, szarpiąc. – Gdzie byłeś, kiedy ja... kiedy ja... – Głos mu się załamał i otarł łzę. – Kiedy cię potrzebowałem?

Evan rozłożył ręce i jego srebrne bransolety zabrzączały cicho.

– Nie mogłem zaprzestać swoich zmagania z Mrokiem nawet po to, by cię ocalić. Przepraszam.

– Przepraszam nie wystarczy!

– Najmocniejszą stal – rzekła cicho Daru – hartuje się w najgorętszym ogniu.

– Tak? – Roland gwałtownie się do niej odwrócił. – Nikt się, kurwa, nie pyta stali, co ona o tym myśli, no nie? – Szybko spojrział na Evana, wiedząc, że Adept ma rację. Nie mógł oczekiwać niczego więcej niż każda inna żywa istota zagrożona przez Ciemność, lecz miał również świadomość, że to nie umniejsza poczucia krzywdy. – A co z Rebeccą? – spytał.

– Ja rozumiem, Rolandzie. – Nieśmiały głos Rebeki dobiegł zza drzwi do wnęki sypialnej.

– Ja też, dziecino – westchnął. Opuściła go złość. Popatrzył Evanowi w oczy. – Naprawdę. – Nie próbował jednak ukryć urazy.

Evan pokiwał głową, przyjmując jego cierpienie do wiadomości, bo nic więcej nie mógł zrobić.

– Gdybym tylko mógł, przyszedłbym do ciebie – rzekł do Rebeki.

– Wiem – powiedziała i uśmiechnęła się.

– W takim razie – Daru podkuliła pod siebie nogi, robiąc miejsce na kanapie – siadź lepiej, Evanie, a my opowiemy ci, co cię ominęło. Chyba że już znasz szczegóły...

– Nie, nie znam. – Przeszedł przez pokój, usiadł i posadził Rebecę obok siebie. Objął ją czule ramieniem, przytulając mocno do serca. Jedno po drugim, zaczynając od Rolanda, który ocknął się w zaułku – zgodnie z cichą umową nikt go nie pytał, co się działo wcześniej – przyjaciele opowiedzieli mu o wydarzeniach owego wieczora.

– A kiedy policjanci wyszli – zakończyła Rebecca – poszliśmy na górę i Daru kazała mi... – Zmarszczyła ze zdumieniem czoło i popatrzyła na okno. Wszyscy spojrzeli w tym kierunku.

Na parapecie siedział Tom i wyglądał na ogromnie zadowolonego z siebie. W pyszczku trzymał wijący się kawałek Ciemności. Kot zeskoczył, przebył pokój w ciszy i upuścił zdobycz u stóp Evana.

Otoczyła ją klatka ze światła.

– Dziękuję – rzekł poważnie Evan do kota.

Tom ziewnął.

– Co to jest? – spytała Daru, przyglądając się pulsującej, czarnej masie.

– To, na co wygląda. Oderwany kawałek Mroku, który obdarzono ograniczonym życiem.

– Jest żywy?

– O tak. Jest go tu nie więcej niż w sercach wielu ludzi, a taką ilość łatwo przeoczyć. Sądzę, że pełnił funkcję oczu i uszu Adepta Mroku.

– Co z nim zrobimy? – zainteresował się Roland, zdumiony spokojnym tonem swego głosu. Nie wiedział, czy pragnie wgnieść to małe obrzydlistwo w podłogę czy wybiec z pokoju z krzykiem.

Adept Światłości wyciągnął rękę, klatka zmieniła się w sferę i wzniosła na wysokość około czterech i pół stopy.

– Przesłuchamy go.

Grudka skurczyła się z wrzaskiem przerażenia.

– Niczego nie wiem! – zapiszczała.

– Opowie nam o planach swego mistrza – dokończył Evan, jakby nic mu nie przerwało. Klatka zalsniła mocniej.

Łatwo byłoby mu współczuć, pomyślała Daru, gdyby w takim stopniu nie symbolizował zła. Ciemność stopniowo powiększa swe królestwo, a my wzruszamy ramionami i zauważamy to, gdy jest już za późno.

Posłaniec Adepta Mroku wił się i kulił pośrodku klatki. Odsuwał się od jej ścian najdalej, jak mógł.

Evan czekał; a z nim wszyscy pozostali.

– Otworzy bramę w noc Letniego Przesilenia – wyjęczał wreszcie skrawek Ciemności.

– To już wiemy. Gdzie?

Roland przypuszczał, że tym tonem Evan zmusiłby do składania zeznań nawet betonowy chodnik.

– Nie mówił. Naprawdę. Naprawdę. Naprawdę. Ofiara musi utrwalić bramę.

– Ofiara?

Kawałek Ciemności odsunął się najdalej, jak mógł, od grożącego mu Evana.

– Krew szykuje drogę – wybełkotał.

Klatka skurczyła się i Mrok zawył, zetknąwszy się z Jasnością. Po kilku sekundach został jedynie olśniewająco jasny pyłek, który w końcu zniknął.

– Czy on umarł? – spytała Rebecca.

– Nie można zabić Ciemności – wyjaśnił Evan – lecz tylko wygnać ją na jakiś czas.

Stojący za nim Roland przewrócił oczami, patrząc na Daru. Kobieta wzruszyła ramionami. Z doświadczenia wiedziała, że kiedy raz na jakiś czas świat się kurczył, jedynym wyjściem było robić swoje.

– Jaka ofiara? – spytała.

– Brama musi zostać zakotwiczona w tej rzeczywistości – rzekł ponuro Evan. – Jutrzejszej nocy zginie niewinna osoba, by tak mogło się stać. – Zacisnął pięści. Odwrócił się gwałtownie i uderzył nimi w ścianę. – A ja nie mogę go powstrzymać, póki nie dowiem się, gdzie to będzie!

Rebecca podeszła i wzięła go za rękę.

– Znajdziesz to miejsce – oświadczyła z absolutnym przekonaniem. Daru i Roland pokiwali głowami potwierdzająco, bardziej z nadzieją niż absolutną pewnością.

Evan wziął Rebecę w ramiona i oparł policzek o czubek jej głowy.

– Obyś miała rację, Pani – odrzekł ze znużeniem.

– Czy możemy coś jeszcze zrobić dzisiejszej nocy? – spytała Daru.

Evan potrząsnął głową.

– W takim razie – Daru wstała i zarzuciła na ramię torebkę – pójdziemy już sobie. Podwieźć cię do domu, Rolandzie?

– Myślałem, że mógłbym zostać. Jeśli nikomu to nie przeszkadza.

Rebecca odwróciła się w objęciach Evana i uśmiechnęła promiennie.

– Mnie nie, Rolandzie. Już spałeś na kanapie.

– Evan?

Mężczyzna podniósł głowę.

– Miło jest być wśród przyjaciół.

Daru podeszła do drzwi, szukając w torebce kluczyków od samochodu.

– Rebecca, masz mój numer do domu. Gdyby jeszcze coś niezwykłego – cokolwiek – zdarzyło się dziś w nocy, masz do mnie zadzwonić.

– Dobrze, Daru.

Kiedy drzwi się zamknęły, Evan odesłał Rebeccę do wnęki sypialnej. – Wracaj do łóżka, Pani – powiedział. – Za chwilę przyjdę do ciebie.

Rebecca pokiwała głową i zdusiła ziewnięcie.

– Czy mam przepędzić Toma z posłania?

– Nie. Zasłużył dziś sobie na to miejsce.

– Dobrze. Dobranoc, Rolandzie.

– Dobranoc, dziecino.

Kiedy Roland został sam z Evanem, nie wiedział, co ma powiedzieć i od czego zacząć.

– Jesteś zdrowy? To znaczy, na ciele? Królestwo cieni jest... – Pierwszy odezwał się Adept.

– Tak, jest. – Roland nie potrafił ukryć złości w głosie. Wydaje mi się, że mam prawo być wkurzony jak jasna cholera. Słyszał w gniewie pieśń, lecz Evan czekał cierpliwie na odpowiedź, więc przeprowadził szybko inspekcję, otworzył usta, by wymienić obrażenia i zatrzymał się, jakby piorun w niego strzelił. Nic go nie bolało. Marszcząc czoło, sięgnął pamięcią wstecz. Pamiętał ból, podczas gdy ukląkł obok Daru w mieszkaniu Rebeki, omal nie rozpląkał się z ogromnym wysiłkiem prowadząc rozhisteryzowaną dziewczynę po schodach do drzewa, lecz później... Nie przypominał sobie bólu po tym, jak Rebecca się uspokoiła, przyjmując schronienie w jego ramionach.

– Nic mi nie jest – przemówił wreszcie, bo taka była prawda, nawet jeśli nie rozumiał, dlaczego.

Evan skinął głową.

– Daru ma rację, jesteś silniejszy.

Roland rozłożył ręce.

– Przeżyłem.

– Pogodziłeś się ze sobą. – Niebieskoszare oczy błagały o zrozumienie, gdy Adept dodał: – Przyszedłbym po ciebie, gdybym mógł. – Głos mu zachrypł. Roland nagle zdał sobie sprawę, że ta decyzja była równie bolesna dla Evana, jak i dla niego. Może nawet bardziej dla Evana, bo to on powinien być białym rycerzem i do jego obowiązków

należało przychodzenie z pomocą.

– Hej, nie martw się. Naprawdę rozumiem. – Rzeczywiście zrozumiał. Wreszcie. Ścisnął lekko Evana za ramię, który popatrzył na niego z zaskoczeniem, wyczuwając nieobecny przedtem brak zahamowań.

– Z tym też się pogodziłeś? – spytał, uśmiechając się nieśmiało.

Roland również się uśmiechnął.

– Tak – odparł. – Pogodziłem się. – Pchnął lekko Evana w stronę wnęki sypialnej. – Porozmawiamy rano.

– Dobranoc, Rolandzie.

– Dobranoc, Evanie.

– Ten kawałek tutaj.

– Tamten tu.

– Czy to już cała ziemia?

– Chyba tak.

– Opiekacz do chleba z powrotem na chłodziarkę.

– Roślina się popsowała.

– To napraw.

– Nie umiem naprawić rośliny!

Roland nie był pewien, czy mu się to nie śni. Czuł, że leży na kanapie i ma nogi przykryte kocem, jednakże piskliwe głosiki docierające co jakiś czas do jego uszu były jak ze snu. Do rozstrzygnięcia wątpliwości wystarczyłoby pewnie otworzyć oczy, ale po prostu mu się nie chciało.

– Zamieć podłogę.

– Wypucz opiekacz do chleba.

– Wypucz wszystko.

– Teraz czysto, aż lśni.

Oczyrna wyobraźnia widział gromadę maleńkich ludzików ubranych jak Eroll Flynn w *Robin Hoodzie*.

– ...lecz szewc i jego żona już więcej skrzatów nie ujrzeli – mruknął.

– O czym mamrocze bard?

– O sprawach bardów. Wracaj do roboty.



## Rozdział dwunasty

– Rolandzie? To ty?

– Tak, to ja, wujku Tony. – Roland wszedł po czterech schodkach wiodących na półpiętro i zajrzał do kuchni. – Co robisz dziś w domu? Warsztat zamknięty?

– Nie. Twoją ciotkę znów wczoraj w nocy rozboleły plecy i muszę zawieźć ją do lekarza o jedenastej. Znalazłeś sobie nową dziewczynę? Zauważyłem, że ostatnio kilka razy nie nocowałeś w domu.

Zielone oczy, włosy czarne jak heban i smukłe, muskularne ciało spowite w atlas.

– Nie. To tylko ta praca, o której ci wspominałem.

Tony zmarszczył czoło i zamknął książkę, stukając w okładkę opuszkami palców.

– Chyba się nie zamieszalesz w jakieś nielegalne interesy?

– To nic nielegalnego, wujku. – Roland poczuł, jak kąciki warg podjeżdżają mu do góry, jakby chciał się uśmiechnąć. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie dodać: – Można bez wahania powiedzieć, że jestem po stronie Światłości.

– Po stronie światłości – parsknął Tony. Przyjrzał się bratankowi zmrużonymi oczami. – Niemniej wygląda na to, że dobrze ci to robi. Spoważniałeś trochę.

Roland westchnął. Nie zauważył tego. Z maleńkiego lustra w łazience spoglądała na niego ta sama twarz co zawsze – gdyby pominąć świeże draśnięcie spowodowane zwracaniem większej uwagi na profil w trakcie golenia. Dość miał już słuchania, jak bardzo wydorósł, bo nie uważał się wcześniej za szczególnie dzieciinną osobę.

– Lepiej już pójdę. Wpadłem tylko, żeby się przebrać.

– Zaczekaj chwilę. – Tony odchylił krzesło do tyłu i wziął ze stołu kopertę. – To przyszło do ciebie wczoraj. Wygląda, że od twojej śpiewającej przyjaciółki. – Podał mu list.

– Na to wygląda – przyznał Roland, spojrzawszy na stempel z Tulsa w Oklahomie i schował wąską kopertę do tylnej kieszeni dżinsów. – Przekaż cioci Sylvii, że życzę jej powrotu do zdrowia.

– Wrócisz dziś do domu na noc?

– Nie wiem.

– W każdym razie spróbuj się trochę przespać. Strasznie kiepsko wyglądasz.

Roland zatrzymał się na schodach i rzekł do wujka:

– Sądziłem, że twoim zdaniem ta praca mi służy.

– To, co kryje się we wnętrzu człowieka, nie ma nic wspólnego z tym, ile śpi.

Banał godny Evana, pomyślał Roland, i powiedział:

– Mówisz, jakbyś rozmawiał z jednym z moich przyjaciół. – Pomachał ręką i podszedł do drzwi.

– Zdaje się, że znalazłeś sobie mądrzejszych przyjaciół! – zawołał do niego Tony.

Roland roześmiał się i wciąż się uśmiechał, kiedy wszedł do metra i wrócił do śródmieścia.

– Daru musi być nadal w mieście. – Roland odwiesił słuchawkę i pokręcił głową. – Tym razem rozmawiałem z automatyczną sekretarką, a nie z żywą osobą, ale wiadomość była ta sama. Oddzwoni po powrocie. Jest siedemnaście po dziewiątej. Zaczynam podejrzewać, że ta kobieta wyłącznie pracuje.

– Jej praca jest ważna – zauważył Evan. – Daru bez przerwy walczy z Ciemnością, dzisiaj musiało jej się powieść lepiej niż nam.

Tego dnia niczego nie dowiedzieli się o miejscu, gdzie Adept Mroku zamierzał otworzyć bramę. Przez cały ten długi i nużący dzień absolutnie nic nie działali.

– Może moglibyśmy chronić osobę, która ma zostać poświęcona. – Roland wziął ananasową bułeczkę, którą Rebecca przyniosła z pracy, aleją odłożył. Wcale nie czuł głodu, jego umysł ciągle pracował. Poświęcenie. Ofiara. Trup.

– Jak? – oparł Evan, gładząc rękami włosy, które nie chciały leżeć na bokach. – Ma do wyboru pełne miasto ludzi. Jego jedynym kryterium jest niewinność. – Obaj mężczyźni spojrzeli na Rebecę, która krzątała się po maleńkiej kuchni, szykując herbatę. – Ona jest jedyną osobą, którą potrafię na pewno obronić – dodał ciszej.

– Więc możemy tylko czekać?

– Czekać, aż on zacznie i mieć nadzieję, że zdołam go powstrzymać, zanim skończy. Tak.

– Czy będziesz mógł ocalić... – Roland umilkł na widok cierpienia w oczach Evana.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, ale... – Teraz Evan cichł powoli.

– Musi być coś, co moglibyśmy zrobić! – Roland uderzył z całych sił pięścią w kanapę. Harfa pod oknem zabrzęczała cicho niczym echo jego emocji.

Rebecca postawiła imbryk na stole.

– Moglibyśmy spytać o to panią Ruth. Ona wie wszystko.

Wcale w to nie wątpię, pomyślał Roland, przypominając sobie bezdomną kobietę pochylającą się nad nim, kiedy ocknął się w zaułku. Podniósł rękę.

– Gotów jestem spróbować. Lepsze to od siedzenia i czekania.

– Doskonale – zgodził się Evan, z wyraźnym wysiłkiem powstrzymując ręce od drżenia. – Pójdiesz porozmawiać z panią Ruth, która jest co najmniej mądrą kobietą, a ja zostanę tu w razie, gdyby Mrok ruszył do ataku, nim otrzymasz odpowiedź. Bo tu, w tym zaciszu, mogę najlepiej bronić mojej Pani. Nie dostanie jej, choćby nie udało mi się

dokonać niczego więcej. – Zostaniesz ze mną, Pani?

Rebecca przeniosła wzrok z Rolanda na Evana i zmarszczyła czoło. Obawiała się, że pani Ruth może nie zechcieć rozmawiać z Rolandem, jeśli przyjdzie sam. Staruszka potrafiła być bardzo nieuprzejma. Jednak Evan chciał, żeby została, potrzebował jej, choć nie bardzo rozumiała, dlaczego.

– Jeśli Roland pamięta drogę – postanowiła wreszcie.

– Pamiętam, dziecino. – Podniósł Cierpliwość, oznajmił harfie, że wróci – odpowiedziała żalonym ćwierknięciem, lecz wydawała się godzić z jego odejściem – i podszedł do drzwi.

– Zaczekaj! – Rebecca chwyciła słodką bułeczkę, przebiegła przez pokój i wcisnęła mu ją do rąk. – Czasami pani Ruth jest miłsza, kiedy jej się coś przynosi.

– Dzięki, dziecino. – Mrugnął do niej, skinął głową Evanowi i wyszedł. Nie było potrzeby, żeby któreś z nich zalecało mu ostrożność.

Roland pojechał tramwajem do Spadiny, a potem autobusem na północ wzdłuż Spadiny do Bloor. Trzy roześmiane i rozgadane młode kobiety, które wsiadły do autobusu, rozpromieniły pojazd swą obecnością, pulchne niemowlę w nosidełku uśmiechnęło się błogo do niego. Zobaczył, jak nastolatek z zielonym irokezem ustępuje miejsca objuczonej zakupami starszej kobiecie o orientalnej urodzie, i doszedł do wniosku, że świat mimo wszystko jest wart ocalenia. Kiedy nucił cicho do taktu kołysania autobusu, nawet świadomość, że dzisiejszej nocy Ciemność może zgładzić następną osobę, nie mogła zepsuć mu humoru. Ostatnio dość przebywał w Mroku. Miał zamiar cieszyć się odrobiną Światłości.

Z powodu korków na drodze cieszył się nią trochę dłużej, niż zamierzał. Równie dobrze mógł pójść pieszo. Teraz już wiadomo, dlaczego bohaterowie nie korzystają ze środków komunikacji miejskiej, pomyślał, przyłączając się do tłumu kłębiącego się przy tylnych drzwiach. Dzień był upalny, czuć to było w autobusie; jedna z pasażerek miała przy sobie pakunek ze świeżymi rybami. Następnym razem pójde pieszo. W porównaniu z tym spaliny na Bloor Street pachniały niczym wiatr za miastem.

Na straży przy krzakach bzu stał tylko jeden wózek i Rolanda ogarnęły złe przecucia. Przyklęknął i wsunął głowę do liściastego tunelu. W środku pachniało zbyt przyjemnie, aby pani Ruth była w domu.

Nie było jej tam.

Jednakże pośrodku placyku, gdzie bezdomna kobieta zwykle siadywała, sterczał wbity w ziemię obdarty z kory patyk, na którym powiewał szary proporzec. Roland schylił się i zdjął go.

– Rachunek z Dominionu? – zdziwił się i odwrócił karteczkę.

Po drugiej stronie ledwo widać było wypisane bladym ołówkiem na wiotkim i wybrudzonym papierze słowa: „Kto wznosił bariery?”

Rzeczywiście, kto? – pomyślał Roland i zmarszczył czoło. Ciekaw był, czy pani Ruth zawsze zostawiała tajemnicze wiadomości, kiedy wychodziła, czy miała to być konkretna odpowiedź na pytanie, które chciał jej zadać.

Co teraz mamy robić?

Kto wznosił bariery?

Doszedł do wniosku, że nie była to najlepsza odpowiedź.

Wepchnął papier do kieszeni, wyczołgał się spod bzdów i wstał, nie zważając na spojrzenia ciekawskich przechodniów. Pojazdy wlokły się po Bloor nieprzerwanym strumieniem, nie dając powodów do przypuszczeń, że od czasu, gdy wysiadł z autobusu, korek na Spadynie znikł w cudowny sposób. Zerknął na zegarek i westchnął. Dziesiąta trzydzieści trzy. Dlaczego ci wszyscy ludzie nie byli w domu ze swymi rodzinami?

Szybko rozejrzę się po sąsiedztwie. Nie mogła odejść daleko, bo zostawiła połowę swego doczesnego majątku.

Daru zachowywała pozory do chwili, gdy zamknęły się za nią drzwi windy, oparła się wtedy ciężko o pokrytą graffiti ścianę. Nie przypominała sobie, kiedy ostatni raz tak rozpaczliwie tęskniła za gorącym prysznicem. Odrzuciwszy warkocz przez ramię, spojrzała na zegarek. Siedemnaście po jedenastej. To wszystko wyjaśnia. Nie powinna była pozwolić, żeby pani Singh namówiła ją na trzecią kawę.

Podczas gdy winda ze zmęczonym pomrukiem przemierzała pozostałe dziewięć pięter, Daru obliczała, ile czasu zajmie jej dostanie się z korytarza między Jane i Finch, gdzie się znajdowała obecnie, do mieszkania Rebeki w śródmieściu. Przynajmniej tam późna godzina będzie działała na jej korzyść; o tej porze w czwartek aleja powinna być pusta. Pewnie jednak przyjadę za późno, żeby w czymkolwiek pomóc. Czasami odnosiła wrażenie, że na tym polegało jej życie – na chodzeniu za Ciemnością, zbieraniu resztek i próbach ich składania.

Mimo to nie żałowała, że postanowiła nie przerywać pracy, zamiast poświęcić cały czas Evanowi. Ludzie polegali na niej. Nie bezimienne masy ludzkości, ale pojedynczy ludzie. Potrzebowali jej i nie chciała zawieść ich zaufania. Małe bitwy często decydują o losach wojny, jak zawsze powiadał jej wuj Devadas.

Winda zatrzymała się ze zgrzytem na parterze. Drzwi rozsunęły się i zamknęły, chowając napis: „Tony kocha Shelley, Annę, Rajetę i Grace”.

Obrotny chłopiec z tego Tony’ego, – pomyślała Daru, idąc przez kiepsko oświetlony hall. Połowa żarówek była znów potłuczona i Daru zapamiętała sobie, żeby następnego dnia zadzwonić do dozorczy budynku. Oderwała taśmę izolacyjną od zamka, przywracając

mu normalne funkcjonowanie. Drzwi zamknęły się za nią z satysfakcjonującym trzaskiem. Wszyscy „narzeczeni”, którzy nie zdążyli się zjawić, mogli teraz nocować na śmietniku.

Zostawiła samochód pod jedyną świecącą latarnią na parkingu dla gości, jak zawsze biorąc pod uwagę, że może go już nie ujrzeć. Podziemny parking był umiarkowanie bezpieczniejszy – jeśli drzwi w ogóle działały – lecz Daru ostatnio trzymała się z dala od garaży w piwnicach.

Po naciśnięciu na gaz kilka razy, by stary samochód zrozumiał, że to nie żarty, obróciła kluczyk w stacyjce... i nic.

– Nie bądź śmieszny – rzekła, próbując jeszcze raz z takim samym skutkiem. – Akumulator nie mógł jeszcze się wyczerpać. – Podniosła maskę i wysiadła, by zobaczyć, co się stało. Zrobiła tak dlatego, że nie cierpiała beczynności, a nie dlatego, że wiedziała, czego szukać.

Akumulator się nie wyczerpał – po prostu go nie było.

Ojciec Daru, który kurczowo trzymał się tradycji hinduskiego stylu życia tak mocno, jak to było możliwe, zawsze obawiał się, że jego córka zarazi się manierami i moralnością ludzi, z którymi pracuje. Manier i moralności nie nabyła, lecz w ciągu lat zgromadziła bogate słownictwo, które by mu się nie spodobało. Skorzystała z niego teraz, zaczynając od angielskiego i przechodząc do francuskiego, hindu, portugalskiego, koreańskiego i do trzech słów, jakie знаła po wietnamsku; słowa te były biologiczną niemożliwością w odniesieniu do samochodu, ale znacznie poprawiły jej humor.

Znów spojrzała na samochód. Dwadzieścia siedem po jedenastej. Komunikacja miejska kursowała do północy. Przerzuciła torebkę przez ramię i poszła na przystanek autobusowy. Zanim do niego dotarła, autobus minął ją z hukiem.

Przypomniała sobie kilka wyrażen, których zapomniała przy samochodzie, jak również powtórzyła pod nosem ulubioną wiązanekę. W złym nastroju czekała na następny autobus, który miał przyjechać według rozkładu za dwadzieścia minut.

Wydawało się, że mrok nocy zgęstniał.

Zaledwie tydzień temu Daru zrzuciłaby winę na swą wyobraźnię. Teraz wiedziała, że to nie złudzenie. Musnął ją ciepły podmuch wiatru. Wyczuła w nim znajomy, słodkawy zapach. Rozejrzała się wokół i zauważyła czerwone światełko na krawędzi cienia rzucanego przez blok mieszkalny. Panowała tam zbyt głęboka ciemność, by przeniknąć ją wzrokiem, lecz kiedy się wpatrywała, światło przesunęło się o dwie stopy w prawo, nasiliło się na chwilę, i znów przesunęło o dwie stopy.

Było ich trzech.

Mogła stać nieruchomo i sądzić, że jej nie dostrzegli. Byłoby to jednak głupie mniemanie, bo na ich widok ciarki ją przechodziły po plecach.

Mogła spróbować ucieczki do samochodu, mogła zamknąć drzwi i łudzić się nadzieją, że światło na parkingu ich odstraszy. Byłoby to daremną nadzieją.

Gdyby nie naprawiła zamka w hallu, mogłaby wrócić do pani Singh i poprosić o pomoc. Nie żałowała tego jednak, bo skoro ona nie mogła wejść, nie mogli wejść także ci trzej, którzy ją obserwowali.

Pozostanie na przystanku oznaczałoby jedynie, że łatwo zagrodzą jej drogę ucieczki.

Wyprostowała się i poszła chodnikiem w stronę odległych świateł dużego skrzyżowania. Przypuszczała, że gdzieś w głębi czuła strach, lecz gniew był jedynym uczuciem, jakie do niej docierało. Gniew, że coś takiego może się w ogóle wydarzyć. Gniew, że nie potrafi zatrzymać się i walczyć.

– Hej, śliczna mamusko!

Głos odezwał się za jej lewym ramieniem. Jak zdołali podejść tak blisko? Nie marnowała czasu na zastanawianie się. Zaczęła biec.

Światło latarni zdawało się nie sięgać do samej ziemi i Daru biegła w swoistej strefie ciemności. Stukanie obcasów o płyty chodnika niemal zagłuszało odgłos pościgu. Oszczędzała siły na bieg; w tej okolicy nikt nie zareaguje na krzyk.

Niespodziewanie, prawie tuż przed nią, wyrósł młody mężczyzna, który rozłożył obie ręce i błysnął białą zębów w ponurym uśmiechu.

– Zabawmy się – zamruczał.

Znajdując się zbyt blisko, by go wyminąć, zepchnęła go na bok uderzeniem ramienia i wtedy zobaczyła dwóch innych mężczyzn, którzy wyłaniali się z mroku.

– Następni? – wysapała i odważyła się na szybkie spojrzenie za siebie. Wydawało się, że pierwsi trzej ją doganiają. Daru wiedziała, że powinna trzymać się głównej ulicy, lecz wiedziała, iż to niemożliwe. Wciągając wielkie hausty wilgotnego powietrza, przyspieszyła i wbiegła w ciemny zaułek między dwoma budynkami. Może zgubi ich w labiryncie wieżowców.

Usłyszała za plecami nieprzyjemny śmiech.

– Dlaczego uciekasz, kochanie? Wiesz, że ci się to spodoba.

Skręcała to w jedną, to w drugą stronę, lecz nie mogła zgubić bandytów, których było coraz więcej. Słyszała echo, które odbijało się od bloków, i wiedziała, że wcześniej czy później, zmęczona i zdezorientowana, skręci w niewłaściwą uliczkę, a wtedy...

Sapiąc ciężko, oparła się o betonową ścianę i próbowała złapać oddech; wyęczała słuch, by z odgłosów pościgu rozpoznać kierunek, z którego nadchodziło bezpośrednie zagrożenie. Stamtąd – z zaułka z prawej strony. I...

Och, dobry Boże, z lewej też!

Wyprostowała się i przygotowała na to, by najpierw rozłożyć na łopatki kilku z nich.

– Te, lalka.

Rozpaczliwie powstrzymała się od krzyku i odwróciła się gwałtownie. Za jej plecami pulchna bezdomna kobieta wskazywała na swój wypakowany wózek.

– Włóż.

– Co?

– Włóż do środka. Do wózka.

– Pani Ruth?

– Może chcesz paść ofiarą zbiorowego gwałtu?

Daru weszła jakoś do wózka. Jakimś cudem. Szmaty i różności, które wypychały jego druciane boki, stanowiły jedynie kamuflaż – środek był pusty. Daru podciągnęła kolana pod brodę i objęła nogi rękami; zerknęła na patrzącą spode łba bezdomną kobietę.

– Dlaczego... – zaczęła.

– Cicho, dzidzia – rzekła spokojnym tonem pani Ruth i narzuciła Daru na głowę kilka szmat.

Odgłos szybkich kroków mijających ją z lewej strony.

Odgłos szybkich kroków mijających ją z prawej strony.

Wózek ruszył z miejsca, protestując przeraźliwie.

– Gdzie – powiedziała Daru.

Pani Ruth poklepała stanowczo stertę szmat na wierzchu.

– Cicho, lalka – powtórzyła.

Rebecca ziewnęła i zasłoniła twarz ramieniem, usiłując ułożyć się wygodnie na kanapie.

– Pani. – Głos Evana zdawał się dochodzić z bardzo daleka. – Dlaczego nie pójdziesz do łóżka?

– Bo zamierzam ci pomóc – wyjaśniła Rebecca, znów ziewając. Podniosła się do pozycji siedzącej i odwróciła do Evana, który stał przy oknie. – Będziemy razem bić się z Ciemnością.

Uśmiechnął się i podszedł, by odgarnąć jej z twarzy splątane kosmyki włosów – Kiedy Ciemność... – zaczął, lecz Rebecca zacisnęła mocno palce na jego nadgarstku, przerywając mu w pół zdania.

– Spójrz! – Wolną ręką wskazała białą mgłę, która sączyła się przez otwarte okno.

Evan zmarszczył czoło, lecz powstrzymał się od użycia mocy. Cokolwiek to było, nie należało do istot Mroku.

Mgła przybrała postać wysokiego mężczyzny o długich, kędzierzawych włosach

i dużych dłoniach robotnika.

– Iwan? – Rebecca wybałuszyła oczy. – Co ty tu robisz?

Evan także go poznał. To był ten duch, który go sprowadził ze Światłości.

– Iwanie? Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać?

– Nie sądzę, żeby mógł, Pani. Odszedł daleko od miejsca, do którego jest przywiązany, i nie ma siły mówić.

– Ale dlaczego? Nigdy nie opuszcza miasteczka uniwersyteckiego. Nigdy. Nie przypuszczałam, że w ogóle może.

– Pani, czy w pobliżu miejsca, gdzie mieszka ów duch, jest jakaś duża, otwarta przestrzeń? – Wiedział, że tak jest, zanim Rebecca odpowiedziała, bo Iwan rozplątał się zupełnie i kolumna mgły zaczęła wirować.

– Aha. Jest takie duże, okrągłe pole w samym środku. Czy to tam, Evanie? Czy Mrok jest tam?

– Tak, Pani, tak sądzę. – Nachylił się i ucałował ją szybko, oczy mu rozgorzały bitewnym blaskiem. Przybędzie, zanim rozpocznie się składanie ofiary, zanim szala się przechyli. Tym razem Mrok nie ucieknie!

– Evanie, ja też chcę iść!

– Przykro mi, Pani, lecz z powodu mojego sposobu podróżowania nie mogłabyś dotrzymać mi kroku.

– Mogłabym – zaprotestowała Rebecca, zeskakując z kanapy. – Mam buty do biegania! – Zapłakała w nagle opustoszałym mieszkaniu.

Małe ciało, utrzymywane nad trawą przez smugi Ciemności, unosiło się w powietrzu. Za ciałem stał mężczyzna, który z uśmiechem wznosił lewą rękę nad głowę. W tej ręce trzymał zakrzywione ostrze czarnego sztyletu.

Evan nie marnował czasu na subtelności. Zgromadził swą moc i strzelił potężnym promieniem czystej Światłości prosto w pierś mężczyzny.

Wstrząs odrzucił go do tyłu i przewrócił na ziemię. Evan na chwilę oślepl od nagłego wybuchu energii, jaki nastąpił po jego ciosie.

Adept Mroku wybuchnął śmiechem.

– Piękny głupcze – zadrwił.

Evan uświadomił sobie, że głos dobiega z odległości jakichś dwudziestu stóp na lewo od...

– Złudzenie! – krzyknął przejmująco i spróbował skupić wzrok.

– Nie. Zwierciadło. Pokazało ci to, co chciałeś ujrzeć, i odbiło energię z powrotem do ciebie. Zużyłem na nie większość swej mocy i byłbym teraz dla ciebie łatwym łupem, gdybyś mógł cokolwiek mi zrobić. Bardzo łatwo odgadnąć zamiary Światłości.



Postąpiłeś dokładnie tak, jak się spodziewałem, choć miałem nadzieję, że użyjesz całej mocy i sam się unicestwisz. Oszczędziłbyś mi kłopotu ze zniszczeniem ciebie, kiedy już skończę swoje zadanie.

Evan podniósł się na nogi i zrobił dwa chwiejne kroki w kierunku głosu. Ledwo widział niewyraźną sylwetkę wśród gwiazd, które wciąż mu tańczyły przed oczami.

Miejskie zegary wybiły północ.

– Za późno – szedził Adept Mroku.

W tym momencie Evan odzyskał wzrok.

Ujrzał nie więcej niż czteroletnią dziewczynkę o kędzierzawych włosach, która leżała na środku trawnika na rondzie Kings College. Ujrzał, jak czarny nóż dotyka jej gardła. Zobaczył krew na trawie.

Szala się przechyliła.

Evan krzyknął z bólu, osunął się na kolana i skulił. Wyczuł zbliżający się Mrok i wstał z wysiłkiem, by popatrzeć mu w twarz.

– Piękny głupcze – powtórzył Adept Mroku. Moc, jaką teraz posiadał, wyostrzyła jego rysy.

Czarny bicz rozciął skórę na ramieniu, którym Evan zasłonił twarz, potem skórę na boku. Smagał mu nogi kreskami bólu i rozrywał bariery ochronne na strzępy.

– Zwyciężyłem – zamruczał Mrok.

Czarny piorun trafił Evana prosto w pierś i wyrzuciłby go z trawnika, gdyby Adept nie zderzył się z pniem młodego dębu i nie ześlizgnął po nim na ziemię. Leżał bezwładnie i zbierał resztki sił, jakie mu zostały. Był wyczerpany i zbolały. Kiedy już sądził, że zdoła uchwycić się drzewa i nie krzyknąć przy tym, wsparł się na dębie jak na lasce i wstał. Natrafił dłonią na siłę żywego drzewa, która biła z korzeni tkwiących głęboko w ziemi i ku swemu zdumieniu poczuł, że owa siła płynie i go przepelnia. Choć nie było wiatru, zaszeleściły liście nad jego głową i na wszystkich dębach okalających rondo. Drzewa ruszyły do boju po stronie Światłości.

Nie było to wiele w porównaniu ze wsparciem, na jakie mogła liczyć Ciemność teraz, gdy ofiara zmieniała układ sił, lecz Evan przyjął ich pomoc z wdzięcznością. Uniósł głowę i z jego złożonych rąk trysnęło światło.

– Ty chyba rzeczywiście jesteś zbyt głupi, by wiedzieć, kiedy przegrałeś – przemówił Adept Mroku, zbliżając się niespiesznie. – Jeśli się poddasz, jutro jeszcze będziesz istnieć i zobaczysz, jak świat ga... Cholera! – Przez krótką chwilę z twarzą wykrzywioną bólem patrzył na kikut swej ręki, która jednak odrosła. Adept Mroku uniósł ją i wycelował w Evana.

Evan odparował pierwszy cios, potem drugi. Trzeci cios trafił go w głowę, snop

światła zamigotał. Czwarty cios zbił go z nóg i smuga światła zgasła.

– Co się dzieje na rondzie Kings College? – spytała posterunkowy Patton swego kolegi.

– Fajerwerki – odpowiedziała dyspozytorka. Przez radio wyraźnie było słychać zmęczenie w jej głosie. Z powodu grypy cała policja pracowała po godzinach. – Dwa doniesienia o fajerwerkach i jedno o jakimś pomyleńcu ze świetlnym mieczem.

Posterunkowy Brooks wyszeptał bezgłośnie: Luke Skywalker? ale Patton wzruszyła ramionami.

– Już jedziemy – westchnęła.

Adept Mroku rozsunął palce i popatrzył przez nie na Evana, który leżał w trawie i dyszał.

– Powinieneś być uciec, kiedy miałeś okazję – oświadczył i zatoczył się do tyłu, gdy coś twardego uderzyło go w żołądek, pozbawiając tchu i przewracając na plecy.

– Nie rób mu więcej krzywdy! – wrzasnęła Rebecca, kiedy stanęła nad Evanem.

– Och, zrobię mu krzywdę – wysapał Adept, siadając i otulając się wściekłością jak peleryną. – Jednak najpierw skrzywdzę ciebie.

Podniósł rękę, by zadać cios, i nagle stwierdził, że spowija go mgła – mgła, która gęstnieje i rzednie, w nie wyjaśniony sposób przesłaniając mu oczy i uniemożliwiając atak. Z pomrukiem uderzył więc w mgłę.

– Nie możesz mnie skrzywdzić – szepnęła mgła i dwoje bladych oczu spojrzało mu prosto w twarz. – Ja już nie żyję.

– Mylisz się – ostrzegł Mrok. – Bardzo się mylisz. Wszakże zgładzenie was teraz byłoby dla was zbyt dobre – Uśmiechnął się. – Życie. Życie ze świadomością poniesionej klęski, gdy jutro brama się otworzy i bariery runą. Po co miałbym zapewniać wam lekką śmierć, gdy przez następną dobę sami będziecie zadawać sobie katusze okrutniejsze od moich. – Zniknął, jego śmiech zmieszał się z dźwiękiem odległych syren.

– Evanie – załkała Rebecca – on już sobie poszedł. Co mam teraz zrobić?

Adept słyszał ją jakby z wielkiej odległości. Nie miał dość sił, by jej odpowiedzieć. Poczucie klęski nie pozwalało mu też spojrzeć jej w twarz.

– Evanie? – Dotknęła rozdartego rękawa jego podkoszulka. Na całym ciele miał rany i rozległe sińce, lecz zamiast krwi każda rana broczyła światłem. – Evanie? Musisz wstać!

– On nie może, Pani.

Na dźwięk tych słów Rebecca szybko się odwróciła i rzuciła w ramiona trolla.

– Och, Lanie, nie wiem, co mam robić! – zawołała.

Lan objął ją tylko i w milczeniu głaskał po plecach.

– On jest ranny. Poważnie ranny.

– Wiem, Pani. Wyczułem jego cierpienie. Dziewczyna pociągnęła nosem i wytarła oczy brzegiem podkoszulka.

– Jedzie policja – stwierdziła.

– Zabiorą go od ciebie.

– Naprawdę?

– On nie jest z tego świata. Pozwól mi, Pani, zabrać go w bezpieczne miejsce, bo mam wobec niego dług.

– Tak. Tak. – Rebecca odsunęła się od trolla i podnosząc głowę, popatrzyła na niego. Łzy wciąż spływały jej po policzkach. – Ty go weź, bo dla mnie jest za ciężki, a ja opowiem policji, co się wydarzyło. Daru mówi, że gdybym miała kłopoty, mam iść na policję. – Kiedy samochód patrolowy zajechał z rykiem i błyskiem świateł, odwróciła się i wyszła mu na spotkanie.

Lan zabrał Evana. Nie mów im o Evanie. Rebecca starała się trzymać tę informację z dala od innych strzępków i kawałeczków, lecz drzwi samochodu zatrzasnęły się z hukiem, ludzie zaczęli krzyczeć i poczuła, że wszystko jej się miesza. Potknęła się o małe, prawie niewidoczne w nocy zwłoki i Ciemność, która je otaczała, omal nie zwała jej z nóg. Ofiara. Kilka strzępków i kawałków uciekło jej i dziewczyna krzyknęła.

Posterunkowy Patton wyteżyła wzrok, by dostrzec, co się dzieje na ciemnym środku zieleńca.

– Ładnie wyglądają – mruknęła, wskazując głową staromodną latarnię uliczną – ale dają bardzo mało światła.

Posterunkowy Brooks mocniej uchwycił pałkę.

– Ktoś się zbliża. Jakby... – Przerwał. Sądząc po odgłosach, było to cierpiące dzikie zwierzę, lecz poruszający się cień wyglądał jak człowiek. – To dziewczyna – dodał kilka chwil później.

– Nie byle jaka dziewczyna. – Posterunkowy Patton wyszła naprzód i Rebecca wpadła jej w objęcia, zmuszając ją do cofnięcia się o krok, bo inaczej obie przewróciłyby się na ziemię.

– On ją zabił! On ją zabił! – szlochała, ściskając kurczowo policjantkę. – To była tylko mała dziewczynka, a on ją zabił. Teraz jest już za późno, a on uciekł! – Ostatnie słowo przeszło w rozpaczliwy lament.

Przy drugim zdaniu posterunkowy Brooks wezwał posiłki przez radio. Przy trzecim zapalił reflektory i oświetlił całe rondo i park pośrodku. Przy czwartym był w połowie drogi do małego ciała, które leżało na trawie.

Posterunkowy Patton zdjęła uczeplone jej ramion palce Rebeki, nieco zdumiona siłą,

jaką musiała w to włożyć, i utuliła zaleknioną dziewczynę w objęciach.

– Kto ją zabił? – spytała, przekrzykując syreny dwóch nadjeżdżających samochodów.

– Kto?

Uciekając od hałasu i zamieszania, Rebecca przycisnęła głowę do jej piersi i załkała. Chciała do domu.

– Rebecco? Rebecco!

– Roland? – Rebecca podniosła szybko głowę, wyrwała się z objęć policjantki i takim samym rozpaczliwym ruchem wpadła w jego ramiona.

Roland jakimś cudem utrzymał się na nogach.

– Cii, dziecino, cii. Jestem przy tobie. – Przesunął się z nią na bok, tak że stanęli na trawie. Rękami gładził Rebecę uspokajająco po plecach. Chciał jej zadać milion pytań, lecz szeptał tylko słowa otuchy w kędzierzawe włosy i był opoką, na której mogła się wesprzeć. Wkrótce stanowili jedyną wysepkę spokoju wśród reflektorów, syren oraz mężczyzn i kobiet, którzy nie mieli pojęcia o grozie, na jaką się przypadkiem natknęli.

Nikt nie zauważył, że zieleniec powiększył się o jeden dąb. Nikt też nie zauważył, że kiedy wrzawa ucichła, drzewa już nie było.

– Byłem przy niej z powodu tego, co zdarzyło się zeszłej nocy – zeznawał później Roland na komisariacie. Uwierzcie mi, mówił jego głos, każde słowo pobrzmiwało szczerością. Miał nadzieję, że nie przesadza. Nie był pewny, co może osiągnąć bez Cierpliwości i harfy.

Skinienie głów.

– Sądziłem, że jest bezpieczna w mieszkaniu. – Tak sądził. – Poprosiła, żebym poszedł na Bloor przynieść kilka rzeczy. – Co się zgadzało. – Tamtejszy Dominion jest otwarty przez całą dobę. – Co było prawdą, chociaż tam nie poszedł. – W drodze powrotnej usłyszałem syreny i zobaczyłem światła, więc poszedłem sprawdzić, co się dzieje. – Biorąc pod uwagę to, co mu przychodziło do głowy podczas szalonego biegu, bo rozumiał, czym są naprawdę „fajerwerki”, i wiedział, do czego jest zdolna Ciemność, niemal z ulgą przyjął to, co zastał na miejscu. – Nie mam pojęcia, co ona tam robiła.

– Poszłam za nim. – Rebecca wyszeptała pierwsze sensowne słowa od chwili, gdy Roland pojawił się na rondzie. – Mam buty do biegania i poszłam za nim.

– Za kim? – spytał detektyw z wydziału zabójstw.

Rebecca szturchnęła Rolanda głową i spojrzała na detektywa. W jej oczach widać było brak zrozumienia.

– Poszłaś za swym przyjacielem?

Wyciągnęła rękę do Rolanda. Evan był ranny.

– Tak.

Ponieważ detektywi nie wiedzieli o Evanie, zadawali niewłaściwe pytania. Rebecca mówiła tylko o tym, o co ją pytano; poza tym policjanci, patrząc na jej odpowiedzi przez pryzmat kategorii, do jakiej ją zaszeregowali, nigdy nie dowiedzieli się prawdy o wydarzeniach.

– Czy widziałaś, kto zabił dziewczynkę?

– Tak.

– Czy widziałaś na własne oczy, jak to zrobił?

– Nie.

– Ale widziałaś go?

– Tak.

– Jak wyglądał?

Kiedy opisała podejrzanego, którego już szukali, byli zadowoleni, uwierzyli jej i przestali zadawać pytania.

– Zostanie pani do dyspozycji policji – powiedzieli, kiedy Rebecca starannie podpisała swoje zeznania drukowanymi literami.

Roland zapewnił ich, że tak będzie.

Dopiero kiedy wracali taksówką do mieszkania Rebeki, Roland miał okazję spytać o Evana, ale nawet wtedy ledwo zdołał wykrztusić pytanie z gardła ściśniętego strachem. To niemożliwe, żeby...

– On jest ranny, Rolandzie. – Rebecca pociągnęła nosem. – Zabrał go troll Lan.

– Gdzie go zabrał, dziecino?

– Gdzieś w bezpieczne miejsce.

Roland był ciekaw, jakie miejsce troll uznał za bezpieczne. Gdy taksówka zatrzymała się przed blokiem Rebeki, już wiedział.

– Rolandzie, patrz! – Rebecca wyskoczyła z taksówki.

– Patrzę, dziecino. – Zapłacił taksówkarzowi i wyszedł z samochodu tylko trochę wolniej od niej. Rzeczywiście było na co popatrzeć. Wszędzie wokół przycupnęły niezwykle i cudowne stworzenia. Stary kasztanowiec ugiął się pod ciężarem małego ludku siedzącego na gałęziach.

Wszyscy przyglądali się Rebecce, która minęła potłuczone drzwi i wbiegła na górę po schodach.

Kiedy Roland dotarł do mieszkania, klęczała przy łóżku, gładząc delikatnie nagie ciało Evana.

– Nie pamiętam – lamentowała głosem tak żalnym, że Rolandowi łzy stanęły w oczach. – Nie pamiętam, co robić.

Dotknął łagodnie jej ramienia, nie rozumiejąc jej, lecz proponując wszelkie wsparcie,

na jakie było go stać. Starał się nie odwracać oczu od sińców i na wpół zagojonych ran. Jeśli on może znieść ból, ja będę musiał znieść świadomość jego wytrwałości.

Siedzący na drugiej poduszce Tom spojrzał na nich oboje z miną, która wydawała się Rolandowi pełna wyrzutu. Pozwoliłeś na to, mówiły kocie wąsy.

– Pani?

– Jestem tu, Evanie. – Rebecca przycisnęła twarz do jego ramienia.

Adept westchnął i zdawało się, że jej dotyk go odprężył. Kiedy dziewczyna się odsunęła, otworzył oczy. Burzliwą szarość zastąpiła posępna barwa ołowiu.

– Rolandzie – rzekł. – Poniosłem klęskę.

Roland zlizął łzę, która spłynęła mu do ust.

– Jest jeszcze jutro – powiedział, starając się powstrzymać głos od drżenia.

Evan opuścił powieki. – Może nie być niczego prócz jutra.

## Rozdział trzynasty

– Rolandzie?

– Mmmph. – Otrząsnął się z flanelowych warstw snu i skupił wzrok na twarzy Rebeki. – Co tam, dziecino?

– Idę do pracy.

– Do pracy? – Zmusiwszy się do zachowania choćby pozorów racjonalnego myślenia, Roland spróbował usiąść, bez większego jednak skutku. Spory futrzany ciężar leżał pośrodku jego piersi. – Wygodnie ci? – spytał.

Tom ziewnął.

– Cudownie. – Roland zakrztusił się. – Cuchniesz żarciem dla kotów. Tylko tego było mi potrzeba z samego rana. – Światło, które wpadało przez zasłony, sprawiało wrażenie bardzo świeżego. Spojrzał na zegarek. Trzynaście po piątej. – Albo na sam koniec nocy. – Minęło zaledwie cztery godziny od chwili, gdy wyszli z komisariatu.

Rebecca postawiła Toma na podłodze.

Kot oddalił się, z rozmysłem lekceważąc ich oboje.

– Powiedz mi, dlaczego idziesz do pracy?

– Dlatego. – Rebecca sprawiała wrażenie zmieszanej. – Zawsze chodzę. Miała na sobie dzinsy i starą, turkusową bluzkę. Jej twarz okalały wilgotne pukle splątanych włosów. Widać było, że zbudziła się jakiś czas temu i z całą pewnością nie była zasnana, Roland zauważył, iż miała podkrążone oczy i przygryzała dolną wargę.

– Jesteś zmęczona, dziecino – rzekł, spuszczać nogi z kanapy i siadając. – Nie spałaś wiele zeszłej nocy. Może byś wzięła dziś wolne?

– Nie. – Pokręciła głową, potrząsając włosami. Kropelka wody spadła Rolandowi na podbródek. – Nie jestem chora. Daru mówi, że nie wolno brać wolnego dnia, jeśli nie jest się chorym.

Roland wiedział, że lepiej się nie spierać z argumentem „Daru mówi”, więc spróbował z innej strony.

– Ale Evan...

Twarz Rebeki złagodniała.

– Evan jest już prawie zdrowy, ale jeszcze nie skończył. Kiedy się zbudzi, będzie się czuł lepiej.

– I będzie pragnął mieć cię przy sobie.

– Tak. – Dziewczyna spoważniała. – Ale powiedział, że przedtem muszę zrobić to, co zawsze, żeby Ciemność nie – zawahała się przy tym słowie, lecz wypowiedziała je –

zakłóciła zwykłego życia. – Westchnęła. – Myślę, że w taki sposób walczę z Ciemnością. Nie rozumiesz, Rolandzie? To nic wielkiego, ale to moje dzieło.

– Rozumiem, dziecino. – Wziął ją za rękę i uściśnął lekko. – Masz rację. Ważne jest zwykłe życie. Właśnie to usiłujemy ocalić, każde na swój sposób.

Rebecca uśmiechnęła się i Roland poczuł, jak ciepło uśmiechu obejmuje go niczym para silnych ramion.

– Wiedziałam, że zrozumiesz – powiedziała. Uwolniła dłoń z uścisku i podeszła do drzwi. Zdejmując łańcuch, zatrzymała się i obejrzała przez ramię. – Dziś jest piątek – oznajmiła. – W piątki piekę bułeczki z jagodami. – I wyszła.

Roland pokręcił głową, założył łańcuch i poszedł do łazienki. Po wyjściu z niej zatrzymał się przy łóżku i popatrzył na Evana. W półmroku wnęki sypialnej skóra Adepta zdawała się lekko świecić. Głowę odrzucił do tyłu, odsłaniając długą, delikatną szyję. Wielobarwne włosy rozsypały się na poduszce. Większość sińców zmieniła się w brzydkie, szare smugi, a po ranach zostały cienkie, białe blizny. Jedna dłoń o długich palcach leżała na brzuchu, drugą wyciągnął, jakby przez sen chciał zatrzymać odchodzącą Rebecę. Ta ręka zwisała teraz z łóżka. Roland podniósł ją i położył na prześcieradle.

Prawie wyleczony sprawia wrażenie bardziej delikatnego niż wczorajszej nocy, gdy był tak ciężko ranny. Rolandem targały silne emocje, które próbował nazwać. Nie była to żądza, choć nie mógł – nie pragnął – zaprzeczać tkliwości. Nie była to też litość, choć to również czuł. Tydzień temu wiedziałby, dokąd to prowadzi, i nie posunąłby się dalej. Tydzień temu był innym człowiekiem. Cicho wyszedł z sypialni.

To musi być miłość.

Nie do Evana wyłącznie. Kochał jednak to, czym był Evan. Kochał go za to, co zgodził się zrobić. Evan zgodził się cierpieć i być może umrzeć, aby świat, który nie był jego światem, nie padł ofiarą Ciemności.

Niespodziewanie poczuł zbyt wielki niepokój, by móc spać, wydobyl Cierpliwość z futerału, usiadł na taborecie kuchennym i zaczął grać, przekładając swe uczucia na muzykę. Śpiewał słowa, jakie mu się nasuwały, pozwalał, by same układały się w rytm. Kiedy skończył, silne słońce letniego dnia dawno zastąpiło bladą poświatę świtu; znalazł pieśń, która od tej pory będzie częścią każdego utworu, jaki zagra.

Nigdy już nie odzyskam wolności, Bo jesteś w mej muzyce, A muzyka to kość z mej kości.

Był to fragment jego starej piosenki, jednej z tych, o których Rebecca mówiła, że są „niezupelnie”. Nieoczekiwanie nabrał nowego znaczenia.

Roland wstał, przeciągnął się i zdał sobie sprawę, że miał słuchaczy, zauważył



bowiem, jak rozbiegli się, spłoszeni jego ruchem. Byli zbyt szybcy, by mógł ich rzeczywiście zobaczyć, lecz gdzieś w głębi jego świadomości tkwiło przekonanie, że byli zadowoleni. Zerknął na zegarek. Za kwadrans dziesiąta? Grał od czterech godzin?

Boże, jak ten czas leci, kiedy człowiek znajduje się... znajduje się... w jakimkolwiek stanie się znajdowałem.

Po czterech godzinach w jednej pozycji powinien być niemal sparaliżowany, ale czuł się doskonale. Tylko w ustach tak mu zaschło, że miał sklezione wargi. Na szczęście przypomniał sobie, że wczoraj schował do kieszeni pół paczki gumy do żucia bez cukru, bo nie czuł się na siłach zaparzyć herbaty – ani zwykłej, ani ziołowej. Do której kieszeni schował tę gumę? Po wyciągnięciu dwóch kapodasterów, zgniecionego rachunku z Dominiona, sześćdziesięciu dwóch centów drobnymi i listu z Tulsa znalazł ją i z westchnieniem ulgi włożył do ust. Wystarczy mu do czasu, gdy będzie mógł się napić kawy.

Schowawszy kapodastery, rachunek i monety do kieszeni, przyjrzał się uważnie listowi. Przesyłka była niezwykle cienka. Miał nadzieję, że nic się nie stało, bo ich comiesięczna korespondencja zazwyczaj miała większą objętość. Zajrzał szybko do wnęki sypialnej i zobaczył, że Evan wciąż śpi, więc siadł i rozerwał kopertę.

W środku były dwie kartki papieru. Na pierwszej było nabazgrane tylko jedno zdanie: „Nie wiem, dlaczego, ale wydawało mi się, że ci się to przyda”. Na drugiej był rękopis utworu muzycznego. Niestaranność, z jaką nuty były rozsypane na pięciolinii, świadczyła o tempie, w jakim je zapisywano. Melodia, harmonia, akordy; wszystko jak trzeba. Także słowa...

Roland oparł kartkę o imbryk Rebeki i wziął Cierpliwość. Nucąc cicho pod nosem, powoli wygrywał akordy. Nie były trudne – D, d-moll, C, d-moll, ale upłynął jakiś czas, zanim zabrzmiała osobliwa melodia. Wreszcie skinął głową i zaczął od początku, tym razem śpiewając słowa.

Cztery wiatry, powietrze, płomienie, Ziemi i wodo, spełń me życzenie, Prośby samotnego niechaj wysłucha – Dzie...

– Rolandzie!

Emocja zawarta w tym krzyku sprawiła, że Roland zerwał się na nogi i obejrzał.

– Rolandzie, skąd wzięłeś tę piosenkę? – Zdyszany lekko Adept stał w drzwiach sypialni z włosami w nieładzie i błyskiem w oczach.

– Przysłała mi ją przyjaciółka – odparł Roland łagodnie, zastanawiając się, czy nie był to jakiś obłęd wywołany obrażeniami odniesionymi poprzedniej nocy. – Czemu pytasz?

– Bo to jest odpowiedź! Nie rozumiesz? To inwokacja do bogini!

– Inwokacja do bogini? – zaprotestował Roland, i umilkł. Wuj Tony miał rację, że Roland wiele nie czytał, ale z kursu mitologii porównawczej, na który kiedyś chodził, zapamiętał, że przed bogami olimpijskimi ludzie czcili jakąś boginię. Czy może kilka bogiń. – W porządku, inwokacja do bogini. – Nadal brzmiało to dziwnie!

Wtedy przypomniał sobie coś jeszcze. Usłyszał we wspomnieniach głos pani Ruth. Ten świat jest strefą buforową pomiędzy Światłością i Mrokiem. Kiedy pojawiło się życie na świecie, wzniesiono bariery.

Roland wyjął z kieszeni rachunek z Dominiona i odwrócił go.

„Kto wznosił bariery?”

Bez słowa podał go Evanowi, gotów się założyć, że zna już odpowiedź.

– Ale ze mnie idiota! – wykrzyknął Adept, najpierw czytając wiadomość od pani Ruth, a następnie przebiegając oczami stronę z tekstem piosenki. Nie był tak szczęśliwy od chwili przybycia tutaj. – Możemy go zatrzymać! Chociaż jest tak późno, możemy go zatrzymać! – Śmiejąc się z ulgą, złapał Rolanda za ramiona i uściskał entuzjastycznie.

Po kilku chwilach wzajemnego klepania się po plecach, odsunęli się od siebie.

– A teraz – Evan podkreślił słowo wymachem ręki – pójdziemy...

– Ehm, Evanie... – Roland przełknął z trudem ślinę. Wspomnienie dotyku ciepłego ciała nie pozwalało mu myśleć jasno. – Proszę, włóż coś na siebie przed zrobieniem czegokolwiek.

Evan spojrzał na siebie, a potem na Rolanda.

– Przykro mi – rzekł i pobiegł ubrać się do sypialni.

Akurat ci przykro. Roland prychnął w duchu, lecz nic nie mógł poradzić na to, że na twarzy zagościł mu głupawy uśmiech. Najpierw ocalimy świat. Potem pomyślimy o... nieważne.

Kiedy Evan wrócił, jego zniszczone podczas walki ubranie było czyste i nowe. Bransoletki i kolczyk rozsiewały iskry, i nawet znaczek z uśmiechniętą buzią był przypięty do podkoszulka.

– A teraz – zaczął, owijając biodra trzecim pasem i zapinając klamrę – pójdziemy mu dokopać.

– Jak? – spytał Roland, chowając Cierpliwość do futerału. – Wezwiemy boginię, a ona przegoni Mrok?

Evan wyjął z lodówki jabłko i ugryzł je. – Zasadniczo masz rację – przyznał, wycierając strużkę soku z podbródka.

Roland przykucnął na piętach.

– W tym musi być coś jeszcze.

– Bo jest – radośnie zgodził się Evan.

– Co?

– Nie wiem.

– Co!

– Posłuchaj, w tym mieście są miliony ludzi. Musimy wśród nich znaleźć czarownicę.

– Chyba za mocno oberwałeś w głowę zeszłej nocy. Czarownice, czyli brzydkie, usiane brodawkami staruchy na miotłach, nie istnieją. – Przypomniał sobie nagle dziecko upieczone na chrupki brąz i zacisnął poblądłe wargi. – Przynajmniej nie tutaj.

– Nie, nie tutaj – potwierdził Evan tonem, który łagodził przerażenie. – Istnieją czarownice związane ze starym, pogańskim kultem. Musimy je odnaleźć. One będą wiedziały, jak użyć pieśni.

Roland westchnął i wstał.

– Dobra – powiedział i uśmiechnął się. Udzielił mu się nastrój Evana. – Jak je znajdziemy? Na żółtych kartkach książki telefonicznej?

Evan rozłożył ręce i oczy mu rozbłyły.

– Dlaczego by nie? Gdzieś trzeba zacząć.

W żółtej części książki nie było czarownic. W białej też nie. Nic też nie znaleźli pod hasłem „wicca” i pochodnymi.

– Wicca? – spytał Roland.

– Mmmm. – Evan przerzucił kartki i dotarł do spisu Kościołów. – To stare słowo. Wesleyanie, zjednoczeńcy, do licha. Może coś będzie pod świątyniami. – Chwilę później zamknął książkę. – Nie mogę uwierzyć, że w tak wielkim mieście nie ma spisu świątyń.

– Spróbuj pod hasłem „okultyzm” – podpowiedział Roland, ale i pod takim hasłem niczego nie znaleźli.

– Paliwa – szepnął Evan. – Papier, parad organizowanie, parapsychologowie – patrz astrologowie, wróżbici etc. Przynajmniej mamy punkt zaczepienia.

– Naprawdę myślisz, że to poskutkuje?

– Tak. Mam dobre przeczucia. – Evan rzekł to w sposób, który rozwiewał wszelkie wątpliwości.

W żółtej części książki telefonicznej Toronto było dwadzieścia pięć haseł w rubryce „astrologowie, wróżbici etc.” Wymieniano w niej nazwiska, herbaciarnie i przedsiębiorstwa, które z nazw przypominały eleganckie firmy inwestycyjne. Roland wydobył telefon Rebeki spod kanapy i włączył go do gniazdka. Posłuchał. Wyjął wtyczkę. Znów ją włożył.

– Nie ma sygnału. – Delikatnie postukał słuchawką o podłogę. – Wciąż nic.

Evan wziął słuchawkę i przyłożył ją do ucha. Po chwili rozchylił wargi i zmarszczył

brwi.

Roland przypuszczał, że Adept usłyszał coś, co umknęło jego uszom. Był o tym przekonany, gdy Evan rzucił słuchawkę na widelki z taką siłą, że omal nie pękła.

– Jesteśmy odcięci? – spytał ostrożnie.

– Tak – potwierdził Evan z taką złością, że Roland drgnął. – Ośmiela się opowiadać mi ze szczegółami, co Ciemność uczyni z tym światem. Począwszy od tych, którzy mi pomogli.

Roland wypełził spod krzaków bzu i wyprostował się, otrzepując spodnie. – Z tego, co widzę, jeszcze nie wróciła – rzekł.

Evan stukał palcami o pasek; był zmartwiony.

– Mam nadzieję, że Mrok jej nie porwał.

– Tak. – Roland przypomniał sobie, co to oznacza. – Ja też mam taką nadzieję. – Wziął głęboki oddech. – To co, może pójdziemy poznać swą przyszłość? Zobaczyć, czy dzisiejsza noc nie będzie ostatnią?

Dwie z wymienionych w książce telefonicznej firm mieściły się w rejonie Bloor/Spadina. Pierwsza znajdowała się po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko siedziby pani Ruth. „Madame Alaina”, głosił wypaczony i wyblakły szyld w oknie na pierwszym piętrze. „Czytanie z gwiazd, kart i rąk. Nie trzeba się wcześniej umawiać”. Jeszcze mniejsza i bardziej wyblakła tabliczka wisiała na drzwiach prowadzących na piętro nad bardzo starą apteką. Przynajmniej Rolandowi wydawało się, że to apteka, chociaż oświetlenie było tak kiepskie i szyby tak brudne, iż nie mógł mieć pewności. Na schodach mocno czuć było gotowaną kapustę.

– To głupota – szepnął Roland, kiedy stanęli na podeście i Evan uniósł rękę, by zapukać.

– Zaufaj mi – powiedział Evan.

Roland westchnął.

Evan zapukał.

Po kilku minutach drzwi się otworzyły i mniej więcej piętnastoletnia dziewczyna przyjrzała im się od stóp do głów. Nie zważając na Rolanda, wbiła ciemne oczy w Evana, jakby był prezentem, który chciałyby wyjąć z opakowania. Nie ścisząc walkmana, którego nosiła na pasku, zsunęła słuchawki na szyję i uśmiechnęła się szeroko. W malutkich głośniczkach pobrzękiwał matowo przebój popularnego zespołu nowej fali.

– Czym mogę służyć? – spytała z nadzieją.

– Chcielibyśmy się zobaczyć z Madame Alainą.

– Och. – Jej zdanie o nich wyraźnie się pogorszyło. – Nie jesteście chyba z policji, co?

– Nie.

– Babcia nikogo dzisiaj nie przyjmuje.

– To ważna sprawa.

– Tak, tak zawsze się mówi. – Wzruszyła obciążonymi łyczę ramionami. – Nie chce nawet wyjść z łóżka. Mówi, że to koniec świata. Proszę spróbować przyjść jutro.

– Jutro może być za późno.

Cierpienie w głosie Evana sprawiło, że oczy dziewczyny zalśniły.

No tak, nastolatki są na to podatne, pomyślał Roland, nie zważając na łyzy, które stały mu w oczach.

– Poczekaj chwilę... – rzekł głośno.

Dziewczyna spojrzała na niego kątem oka, większość uwagi poświęcając jednak Adeptowi. Czując się jak idiota, wziął głęboki oddech i zapytał:

– Może, hm, znasz jakiegoś, no wiesz, czarownicę?

Tym razem rzeczywiście popatrzyła na niego i nie spodobało jej się to, co zobaczyła.

– Jasne, czarownicę. – Zrobiła płynny krok wstecz i stanowczo zatrzasnęła im drzwi przed nosem.

Roland spojrzał na Evana i wzruszył ramionami.

– Chyba nie zna.

Evan westchnął.

Zeszli ze stukiem po schodach i znaleźli się na ulicy.

– Szkoda, że nie mogłem porozmawiać z tą babcią – mówił cicho Evan, kiedy szli na zachód do następnego astrologa w pobliżu. – Miałaby wiele mądrych rzeczy do powiedzenia.

– Co? Evanie, ta kobieta położyła się do łóżka, bo myślała, że będzie koniec świata.

Milczenie Evana było wymowniejsze niż słowa.

Roland poczuł, że się czerwieni.

– No tak.

„Dziecko zamordowane na rondzie Kings College!” Ten nagłówek w gazecie zatrzymał ich na chwilę. Mniejsze tytuły głosiły: „Mężczyzna celowo przejechał cztery osoby”; „Podpalacz podłożył ogień w domu starców, siedemnaście ofiar śmiertelnych”.

– Zaczęło się – wyszeptał Evan i poszedł dalej.

W oddali zawyły syreny.

Drugi adres zaprowadził ich do jaskrawoniebieskiego, drewnianego domku, który nie pasował do siedzib o ceglanych fasadach i wyszukanych koncepcjach projektantów. Na trawniku rosły sięgające kolan chwasty, które z bliska okazały się dzikimi kwiatami łąk. Roland rozpoznał margerytki i rudbekie.

Evan zadzwonił do drzwi. Usłyszeli rozbrzmiewające w domku dwa pierwsze takty LX Symfonii Beethovena.

Kobieta, która im otworzyła, nosiła długie, szpakowate włosy rozdzielone pośrodku. Luźna, uszyta z materiału w kwiaty sukienka z kwadratowym dekoltem sięgała prawie do kostek. Roland zauważył, że na nogach miała parę niemieckich sandałów za sto dolarów.

– Słucham? – powiedziała z uśmiechem.

– Szukamy Sky Mackenzie.

– To ja jestem Sky, ale szukacie czegoś innego.

– Właśnie. – Roland zawsze sądził, że astrologowie, wróżki i tak dalej to banda pomyłców i szarlatanów, a tu już druga osoba udawała, że się mylił.

– Szukacie w poprzednim życiu usprawiedliwienia dla swej decyzji, by zlekceważyć nakazy społeczeństwa i oddawać się zakazanej miłości w tym wcieleniu. – Kryształ, jakimi obwieszony był korytarz za jej plecami, rozszczepiały promienie słoneczne na tęcze.

– Raczej nie. – Jeden punkt dla pomyłców i szarlatanów.

– Nie?

– Nie – rzekł z naciskiem Evan. – Szukamy czarownic. Wiccan?

Kobieta przyłożyła dłoń do piersi.

– Chodziłam na uniwersytet z jedną czarownicą. Bez przerwy napełniała wannę ziołami i kapała woskiem ze świec na sedes i umywalki. Potem przestałyśmy się widywać. Wysłałam za Owena, a ona podobno przyłączyła się do grupy lesbijskich terrorystek. Przykro mi. Pewnie wiele wam to nie pomogło.

– Niewiele – przyznał Roland. Wiszący przy wejściu zegar z kukułką pokazywał prawie południe. Musieli iść dalej. – Dziękujemy za czas, jaki nam pani poświęciła.

– Gdybyście kiedyś chcieli odnaleźć poprzednie życie...

– Będziemy pamiętać o pani.

– Przyjmuję karty VISA i Mastercard – dokończyła i zamknęła drzwi.

W drodze do Chinatown Roland czuł, jak z każdym krokiem pogarsza się humor Evana.

– O czym myślisz? – spytał wreszcie.

– W tak wielkim mieście muszą być wyznawcy dawnego kultu – westchnął Evan.

– Po tym, co się stało zeszłej nocy, szala zbyt mocno się przechyliła, bym sam zdołał powstrzymać Mrok.

– Nie jesteś sam – przypomniał Roland.

– Tak, wiem. – Odgarnął włosy z twarzy. Dwie odziane na czarno kobiety w średnim wieku zamilkły i obejrzały się za nim. – Ale mamy tak mało czasu.

Chiński astrolog, podobnie jak Madame Alaina, mieszkał na piętrze nad sklepem. W odróżnieniu od zagraconego mieszkania Madame Alainy – przez otwarte drzwi spostrzegli mnóstwo haftowanych poduszek, zasłon z paciorków i frędzelków – ten lokal przypominał bardziej mały gabinet lekarski, biały i czysty. Dwa wyściełane krzesła stały naprzeciwko dużego biurka, ściany były obwieszane kaligrafowanymi znakami, z dużych słojów w regale dochodziły interesujące zapachy.

– Czym mogę służyć? – Młody człowiek o orientalnej urodzie wyszedł zza drzwi prowadzących do kuchni.

– Szukamy – Roland wyjął z kieszeni kawałek papieru i poszukał nazwiska na liście – Johna Chin.

– To ja.

– Och.

Młodzieniec uśmiechnął się.

– Wiem – rzekł – sądził pan, że będę starszy.

– No...

– Nic nie szkodzi. Jestem do tego przyzwyczajony... – Wróżbita ucichł i spojrzał na Evana.

Roland odwrócił się. Według niego Evan wyglądał normalnie. Wszelkie ślady jego aspektu były starannie ukryte, lecz astrolog zachowywał się tak, jakby doznał objawienia.

John zrobił krok naprzód i skłonił się.

– Jak mogę ci pomóc, o święty?

Może rzeczywiście doznał objawienia. Obojętnie, czy John Chin miał widzenie czy nie, bez wątpienia zdawał sobie sprawę z tego, kim jest Evan. Roland starał się nie czuć zazdrości i prawie mu się to udało.

Evan potraktował pytanie z dużą powagą.

– Musimy znaleźć kogoś, kto się zna na starych obrzędach kultu bogini.

– Wiccan? – spytał John, nie odrywając wzroku od Evana. – Mają sklep „Wiedza Tajemna” na Dupont. Mogę podać ci dokładny adres.

– Proszę.

Podszedł do biurka i wyciągnął oprawioną w brązową skórę książkę adresową. – Dupont tysiąc czterysta czterdzieści sześć – rzekł po chwili.

– Tysiąc czterysta czterdzieści sześć – powtórzył Evan. – Dziękuję.

Stali już w drzwiach, gdy zatrzymał ich głos Johna.

– O święty, te znaki...

– Są prawdziwe. – W głosie Evana brzmiało zmęczenie.

– Jak mogę pomóc?

Roland przysłonił oczy, gdy Światłość wypełniła pokoi, odbijając się od białych ścian i padając na astrologa.

– Pomagasz, będąc tym, kim jesteś. – Evan przemówił ze środka aureoli. – Światłość zyskuje na siłach dzięki takim jak ty.

Kiedy znaleźli się na ulicy, niesiony nurtem przechodniów Roland przetarł załzawione oczy i spytał:

– Skąd on wiedział, kim jesteś, już przed tym małym popisem pirotechnicznym? I wiesz co, nie sądzę, żeby choć zmrużył powiekę, kiedy zabłysnąłeś.

– W spokojniejszych czasach byłby świętym.

– Świętym? Och. – Roland próbował okazać nonszalancję, której nie czuł. – I to wszystko?

– Takie właśnie podejście – oświadczył Evan, i w jego głosie znów pojawiło się zmęczenie – pozwoliło Ciemności przybyć w ogromnej sile.

– Przepraszam.

– Nie, to ja przepraszam. – Evan wyciągnął rękę, jakby miał zamiar zetrzeć smutek z twarzy Rolanda. – Jestem zmęczony i odezwałem się bez zastanowienia. Proszę, wybacz mi.

Roland wzruszył ramionami.

– Rzeczywiście jesteś zmęczony – przyznał, zatrzymując taksówkę. – Chodźmy na ratunek światu.

„Wiedza Tajemna” była sklepikiem wciśniętym pomiędzy Bank Nowej Szkocji a bar serwujący rybę z frytkami. Na wystawie o szerokości nie większej niż dwie stopy leżała srebrna biżuteria rozsypana na kawałku czarnego aksamitu. Było jej może tuzin. Roland spodziewał się, że ujrzy nietoperze i czarne koty, ale zamiast tego zobaczył normalnie wyglądające półki z książkami, kryształami, świecami i biżuterią. Za ladą leżały woreczki z suszonymi ziołami. Wszędzie unosił się zapach bardzo podobny do tego w gabinecie Johna China, choć ze słabą domieszką woni gorącego oleju i halibuta.

Podszedł za Evanem do lady i przewrócił oczami na widok młodej kobiety, która zaczęła gwałtownie dyszeć. Może nie umiał dostrzec świętego, ale na pewno potrafił poznać działanie hormonów.

– Szukamy Kościoła wiccan – powiedział Evan. – Czy może nam pani pomóc?

– Pomóc? – zapytała. – O, tak.

Evan odczekał chwilę, Roland ukrył uśmiech.

– Kościół wiccan – przypomniał jej wreszcie.



– No, tak. – Wyprostowała się i spróbowała wziąć się w garść. – Tak. Oni są właścicielami sklepu. To znaczy, nie kościół jako taki, ale ci sami ludzie.

Trafiony! – pomyślał Roland. Mamy cię, ty sukinsynu. Zauważył, że Evan się odprężył i wiedział, że obawiał się kolejnego ślepego zaułka.

– Ale wszyscy wyjechali z miasta na jakieś – dodała sprzedawczyni, machając rękami – jakieś zebranie. Dlatego zostałam zupełnie sama.

– Wyjechali z miasta – powtórzył powoli Evan.

– Tak. Mają posiadłość i na wsi spędzają weekendy.

– Muszę porozmawiać z ich kapłanką. – Nachylił się i dziewczyna jęknęła, gdy przysunął do niej twarz bardzo blisko. – Tb sprawa najwyższej wagi.

– Nie ma sposobu, żeby się z nimi skontaktować. Nie mają nawet telefonu.

– Nie...

– Wrócą w poniedziałek – pisnęła z przejęciem.

– Może nie będą już mieli dokąd wrócić w poniedziałek! – Podniósł głos i młoda kobieta skuliła się, zasłaniając uszy i zaciskając powieki, by nie widzieć wizji, jaką przed nią roztaczał.

Choć Rolandowi serce ciążyło w piersi jak ołów – nie będzie pomocy bogini, znów stali sami naprzeciw Ciemności – lekko dotknął ramienia Evana. Wydawało się, że mięśnie Adepta są wyrzeźbione z kamienia.

– Hej – powiedział cicho. – Przerażasz ją.

Rad był, że miał serce z ołowiu, bo inaczej pękałoby na widok miny Evana. – Rolandzie...

– Wiem. – Nie zważając na to, kto ich widzi, pogładził Evana po policzku. – Ja też na to liczyłem. Chodźmy. – Wskazał głową drzwi. – Wracajmy do domu zobaczyć, czy nie ma innego wyjścia.

Stopniowo przygnębienie Evana ustępowało.

– Tak. Zawsze jest inne wyjście. – Uniósł podbródek. – Dziękuję.

– Nic nie jest tak czarne i tak białe, jak ci się wydaje. – Wargi zdrząły Evanowi i Roland poczuł, że się czerwieni. – Dobra, zapomnij, że to powiedziałem.

– Nie. – Evan chwycił go za rękę, która wciąż spoczywała na jego ramieniu. – Będę o tym pamiętał, bo to prawda, o której zbyt często zapomina zarówno Światłość, jak i Ciemność.

Nachylił się nad ladą i opromienił swym uśmiechem zaleknioną sprzedawczynię.

– Proszę mi wybaczyć, nie chciałem pani przestraszyć. Kobieta wstała niepewnie i spróbowała się uśmiechnąć nerwowo.

– Wszystko w porządku. – Rzeczywiście tak sądziła do momentu, gdy w kilka chwil

po wyjściu młodych mężczyzn zauważyła, że wszystkie kryształy w sklepie promieniują delikatnym, białym światłem.

– Dobra, zobaczmy, co mamy. – Szli ścieżką do domu Rebeki, przebywszy w milczeniu całą drogę autobusem. Było po drugiej. Za niecałe dziesięć godzin nastąpi koniec świata – liczył Roland na palcach wolnej ręki – Mamy Adepta Światłości...

– Lekko nadwreżonego Adepta Światłości – poprawił Evan, gdy przeszli przez drzwi, w których nadal nie było szyby.

– Jak wolisz – zgodził się Roland. – Ulicznego grajka, którego wszyscy nazywają bardem, aczkolwiek – ton jego głosu powstrzymał protest Evana – wiem z dobrego źródła, że daleko mi jeszcze do tego. Magiczną harfę, na której rzeczony bard nie potrafi grać. – Cierpliwość odezwała się z futerału pokrowca wysoką nutą cis. – Gitarę, na której potrafi grać. Inwokację do bogini, której nie umiemy użyć. Pracownicę społeczną, której nie możemy znaleźć, oraz Rebecę. Do licha – odsunął się na bok, gdy Evan szarpał się z zamkiem w drzwiach mieszkania Rebeki – mając przeciwko sobie takich nieprzyjaciół, Mrok powinien trząść portkami.

Kiedy weszli, jakieś stworzonko koloru kawy zbiegło po zasłonce i zniknęło za oknem.

Roland zamarł, lecz widząc, że Evan nie jest zaniepokojony, odprężył się. Wydawało mu się, że Evan komunikuje się z czymś niewidzialnym.

– Dobrze się czujesz? – spytał nerwowo, zastanawiając się, czy zdąży wyjąć Cierpliwość i czy coś mu to da.

– Ale ze mnie idiota! – wykrzyknął Evan po raz drugi tego dnia. – Jestem idiotą. – Roland zamknął drzwi i założył łańcuch.

– Dlaczego?

– Wiemy, jak wezwać boginię.

– Naprawdę?

– Tak! – Evan uniósł energicznie ręce i bransoletki podkreśliły jego słowo niczym srebrna sekcja perkusyjna. – Ta pieśń jest inwokacją.

– Aha. Mówiłeś to już rano. – Roland odłożył Cierpliwość i ostrożnie przysiadł na krawędzi kanapy. Jednym okiem spoglądał na Adepta, a drugim na okno, w razie, gdyby intruz wrócił. – Mówiłeś też, że potrzebna jest nam czarownica. Co się zmieniło?

– Wiccanie byli nam potrzebni jako punkt skupienia, ich obrzędy były nam potrzebne jako punkt skupienia kierujący inwokacją do bogini.

– Pytam raz jeszcze, co się zmieniło?

– Rolandzie. – Evan padł na kolana i wziął go za obie dłonie – Ty zaśpiewasz piosenkę. Rebecca skupi jej siłę.

– Rebecca. – Roland był bardzo dumny z tego, że jego umysł pracuje, wzięwszy pod uwagę okoliczności...

– Rebecca. Szary ludek czuwa nad nią. Jest obdarzona prostotą, czystością rzadką nawet wśród Światłości. Znajduje ukojenie w objęciach ziemi. Pomyśl, Rolandzie, jak to wszystko do siebie pasuje.

– Niegdyś powiadano, że niedorozwinięci, tacy jak Rebecca, są dotknięci przez Boga, są jego specjalnymi dziećmi.

Oczy Evana zrobiły się prawie tak srebrne, jak jego biżuteria.

– Kto wznosił bariery? – spytał. – Ona czuwa nad światem i nad Rebecca.

– Jesteś pewien, że się uda?

– Nie. – Evan potrząsnął głową i jego włosy rozsypały się jedwabście. – Nie jestem pewien. Odzyskałem jednak nadzieję, a na tym polega jedna z największych różnic między Mrokiem a Światłością.

– Na nadziei?

– Od niej zależały losy wojen.

Roland odchylił rękę, którą trzymał Evan, i zerknął na zegarek.

– Druga czterdzieści osiem. Wkrótce zacznie się zbierać do domu. – Palce Evana rozpałały ogień w miejscach, gdzie dotykały jego nadgarstków. – A tymczasem, co będziemy robić?

Uśmiech Evana był ironiczny. – Sądzę, że powinieneś raz czy dwa przeciwżyć swoją rolę – odpowiedział.

Roland westchnął, uwolnił rękę i wyjął z tylnej kieszeni wielokrotnie składany kawałek papieru.

– Wiesz co – rzekł – nie ułatwiasz ludziom życia.

– Rebecca!

Rebecca zatrzymała się. Ręka, którą dotykała drzwi kuchennych, drżała z chęci powrotu do domu.

– Złożyłaś ładnie foremki?

– Tak, Leno.

– Zabrałaś swój uniform do prania?

Rebecca przygryzła wargę, lecz trwała nieruchomo, gotowa do wyjścia. Uniform pracownika kuchni leżał złożony – choć nie tak zgrabnie jak w inne piątki – na dnie jaskrawoczerwonej torby.

– Tak, Leno.

– Zabrałaś słodkie bułeczki na weekend?

– Tak, Leno. – Pieczywo zostało upchnięte na wierzchu zabrudzonego uniformu.

Rebecca czekała niecierpliwie na kolejny punkt litanii.

– Tylko nie zapomnij jeść, kiedy będziesz w domu.

Rebecca pokiwała głową, bo to również należało do rytuału.

– Będę pamiętała, Leno.

Jeszcze coś.

Nie usłyszała jej.

Rebecca czekała, niezdolna do ruchu, dopóki ostatnie słowa nie zostaną wypowiedziane. Nie mogła się odwrócić, żeby zobaczyć, dlaczego nie padły. Usłyszała dziwne sapanie, drapanie o linoleum i głos, który znała, choć nie wiedziała skąd.

– Ostrzegano panią, pani Pementel, że papierosy panią zabiją. – Adept Mroku spoglądał na kierowniczkę stołówki, która wiła się u jego stóp, jedną ręką chwytając się za pierś, a drugą skrobiąc w podłogę. – Zdecydowanie duży odsetek palących kobiet po pięćdziesiątce choruje na serce. Co? – Nachylił się lekko nad kobietą, która siniejącymi wargami szeptała bezgłośnie słowa. – Pomocy? Ależ ja już pani pomogłem. Bez mojej pomocy z pewnością żyłaby pani jeszcze dołą. – Uśmiechnął się sympatycznie. – A świat za dołą nie spodobałby się pani.

Obserwując konającą kobietę, pochwycił jej ostatnie tchnienie i wessał w siebie z głębokim zadowoleniem. Dopiero wtedy odwrócił się i przyjrzał Rebecce.

Nadal ścigał tę drugą kobietę. Kiedyś padnie jego łupem, bo bardzo wielu mężczyzn biegło jako psy gończe w jego łowach. Kiedy poczuje, że ją złapano, przybędzie na miejsce, by być świadkiem zakończenia. Co do następnego pomocnika Światłości, tego tak zwanego barda, kraina cieni i Adept Mroku nie mogli się już doczekać, by pokazać mu prawdziwą Ciemność. Ale ta kobieta...

– Nie wiem, co ci przyszło z pomocą ostatnim razem – powiedział do odwróconej Rebeki, z przyjemnością zauważając drzenie jej spragnionych ruchu mięśni – ale teraz już ci nie pomoże. Sama zastawiłaś tę pułapkę. Ja tylko z niej skorzystałem. – Zbliżył się i objął ją w talii.

Rebecca zadrżała, lecz nie mogła uwolnić się z jego uścisku, tak samo, jak nie mogła przestąpić progu. Musiały paść ostatnie słowa.

– Jej urok polega na tym – bardzo gorący oddech musnął jej głowę – że wydarzenia dzisiejszego popołudnia w najmniejszy sposób nie naruszyły równowagi. Ja tylko pomogłem twej przyjaciółce szybciej zejść ścieżką, na którą już dawno wstąpiła, a twój problem jest naturalną tego konsekwencją. Może jednak wciąż tego nie pojmujesz. – Jego dłonie sunęły w górę, chwilę popieściły jej ciężkie piersi i otoczyły szyję. Kciuki wpijały się boleśnie w miękkie ciało. – Jasność nie będzie mogła cię ocalić – zamruczał. – On się

nie dowie, jak zostałaś uwięziona, dopóki nie będzie za późno, a wtedy będzie miał do czynienia ze mną. I przegra. Kiedy już go zabiję, przyjdę po ciebie. Mnie to sprawi przyjemność, tobie nie.

Wtedy, niespodziewanie, została sama z bólem, jaki sprawiły jego ręce i słowa. Rozpaczliwie uczepliła się cichego miejsca w sposób, jaki jej pokazała pani Ruth. Łzy płynęły jej cicho po twarzy, gdy w skupieniu i z determinacją zmagiała się z krępującymi ją pętami. Evan potrzebował pomocy. Musiała pójść do Evana.

Evan dotknął Rolanda i muzyk przestał mruczeć pod nosem słowa piosenki.

– Nie mam wiele czasu, żeby się tego nauczyć – zaczął i umilkł, widząc wyraz twarzy Adepta. – Co się stało? – szepnął, rozglądając się nerwowo.

– Posłuchaj.

W mieszkaniu słychać było rytmiczne mlaskanie kota myjącego językiem łapę, buczenie lodówki i monotonne kapanie wody z kranu w łazience. Na zewnątrz – ruch na ulicy, głosy i dzwony.

Dzwony? Wydawało się, że co najmniej dzwony z dwóch kościołów biją jak oszalałe, głośno, rozpaczliwie i nieharmonijnie. Roland spojrzął na zegarek. Druga dwadzieścia trzy.

– Rebecce grozi niebezpieczeństwo – oznajmił Evan i znikł.

– Pani Pementel? Pani Pementel! – Drzwi do stołówki otworzyły się i księgowy znalazł się oko w oko z Rebeccą, która nadal stała z ręką wyciągniętą, by zamknąć drzwi. – Och – powiedział z wymuszonym i niepewnym uśmiechem – to ty. – Kiedy spostrzegł, że dziewczyna się nie porusza, wyminął ją, zastanawiając się, co miało znaczyć przewracanie oczami. Nie obchodziło go, jak dobrą jest pracownicą, ta dziewczyna powinna być w zakładzie. – Czy widziałaś panią Pemen... – Pytanie nagle stało się niepotrzebne.

– O mój Boże!

Ukląkł przy leżącej kobiecie i rozpaczliwie poszukał tętna. Zdawało mu się, że go nie czuje, ale nie był pewien, czy szuka w dobrym miejscu. A jeśli ona umarła? O Boże! Dotknąłem jej! Wstał, odsunął się na dwa kroki i czym prędzej wybiegł. Pomoc. Powinienem pójść po pomoc. Jednak jeśli ona nie umarła, powinienem coś zrobić. Ale co? Liczy się każda sekunda. Krzyknął, gdy omal nie został oślepiony ostrym światłem.

– Rebecco? Pani? Nic ci nie jest?

Rebecca? Tak miała na imię ta opóźniona umysłowo dziewczyna. Księgowy tarł oczy, aż wreszcie zobaczył wysokiego młodzieńca z włosami dziwnego koloru, który nachylał się nad dziewczyną przy drzwiach.

– Zaraz zaraz – wybełkotał. – Co? Jak?

Evan zlekceważył go. Widział więzy krępujące Rebecę, lecz nie miał pojęcia, jak je zerwać, głos Rebeci był spętany tak samo, jak jej ciało. Wyczuwał plugawość, która mówiła mu o obecności nieprzyjaciela, lecz to nie Ciemność zastawiła te sidła.

– Ty tam! Potrzebna mi pomoc!

Evan niechętnie odpowiedział na wołanie. Musiał to zrobić, jeśli chciał zostać tym, kim był. Odwrócił się. Widział, że pęta krępujące Rebecę sięgają do zwłok na podłodze.

– Kim była ta kobieta? – spytał, odsuwając zdumionego księgowego, który bełkotał z oburzenia. Tak, więzy oplątywały ją, lecz zapoczątkowała je Rebecca. Och, Pani, cóżś sobie zrobiła?

– Powiedziałem, że potrzebuję pomocy! – Księgowy wskazał poplamioną atramentem dłonią na podłogę. Nie wiedział, dlaczego miał nadzieję, że ten wyglądający na punka młodzieniec będzie mógł coś zrobić, był przekonany, że gdyby tylko zechciał zadać sobie trud, wszystko znów byłoby dobrze. – Ona potrzebuje pomocy!

Evan nie miał czasu na delikatność. Evantarin, Adept Światłości, podniósł głowę i pozwolił, żeby śmiertelnik spojrział mu w oczy.

– Jej nie mogę już pomóc – powiedział.

O mój Boże! Trup. Jestem w jednym pomieszczeniu z trupem! Jestem... jego myśl została pochłonięta przez szarobłękitną burzę i głos, który zdawał się rozbrzmiewać echem w głowie.

– Muszę pomóc żywym. Jak nazywała się ta kobieta?

– Pementel. Lena Pementel. Była kierowniczką stołówki. – Narastający strach osłabł na jakiś czas, lecz nadal go odczuwał – był głęboko ukryty i mógł wydostać się na wolność.

– Czy znał ją pan dobrze?

– Nie. Tak. Nie wiem. Spotykaliśmy się w każdy piątek, żeby zaplanować budżet na następny tydzień.

– W każdy piątek? – Evan zrobił krok naprzód.

Księgowy patrzył, jak jego odbicie powiększa się w tych dziwnych, szarych oczach i pisnął: – Tak. Przychodziła do mojego gabinetu... – Pańskiego gabinetu? Pan nigdy nie widział tego obrzędu?

– Jakiego obrzędu?

Evan zaczerpnął głęboko powietrza i postarał się, by w jego głosie przestał brzmieć rozkaz. Po raz pierwszy w życiu zazdrościł Mrokowi zdolności docierania od razu do sedna sprawy bez skrupułów.

– Obrzędu, który wyzwoli moją Panią – rzekł, bardzo opanowany. Rebecca była bezradna, Ciemność mogła powrócić w każdej chwili, a on nie był dość silny, by ją

obronić.

– No cóż, w zeszłym tygodniu przyszedłem wcześniej i trafiłem tutaj.

– I co?!

– I usłyszałem ich rozmowę.

– O czym mówiły?

– Nie pamiętam. – Pośpiesznie wyrzucił z siebie słowa i wcisnął głowę w ramiona. Ponieważ nic się nie stało, ośmielił się podnieść wzrok. To, co ujrzał, sprawiło, że znów zacisnął powieki.

– Więc musisz ponownie przeżyć tę chwilę...

Siedział w gabinecie i czekał, podczas gdy pracownicy stołówki wychodziły po kolei, zegnając się i wymieniając porozumiewawcze spojrzenia w związku z gościem Leny. Ta niedorozwinięta dziewczyna, Rebecca, wychodziła ostatnia. Ledwo doszła do drzwi, gdy Lena ją zawołała.

– Rebecca!

Dziewczyna zatrzymała się z dłonią na klamce, księgowy zastanawiał się, jak długo to potrwa. Sądził, że zejście do stołówki przyspieszy robotę i będzie mógł wcześniej pójść do domu.

– Złożyłaś ładnie foremki?

– Tak, Leno.

Szkoda, że była niedorozwinięta, pomyślał, bo jej bujna uroda była na swój sposób atrakcyjna.

– Zabrałaś swój uniform do prania?

– Tak, Leno.

Prawdę mówiąc, to połączenie obfitej urody i niewinności było seksowne.

– Zabrałaś słodkie bułeczki na weekend?

– Tak, Leno.

Dobry Boże, to trwało w nieskończoność. Nic dziwnego, że w każdy piątek upływało tyle czasu, zanim pani Pementel doszła do jego gabinetu.

– Tylko nie zapomnij jeść w domu.

Dziewczyna pokiwała głową, jak któryś z tych piesków, jakie widywało się w samochodach w latach sześćdziesiątych. Pewnie miały więcej w głowie niż ona.

– Będę pamiętać, Leno.

– Do zobaczenia w poniedziałek, kotku.

– Do zobaczenia w poniedziałek, Leno.

Księgowy drgnął. Usłyszał czyjś głos. Wiedział, że tak było. Drzwi do stołówki

kołysały się w zawiasach, jednak nikogo nie było. Zszedł po panią Pementel, bo było już po trzeciej, ale ona nadal nie pokazywała się w gabinecie. Stołówka była pusta. Oczywiście, że była pusta. W drzwiach nie było niedorozwiniętej dziewczyny piekącej bułeczki. Nie było żadnych oczu, które zajrzały w głąb jego duszy i stwierdziły, że nie wytrzymał próby. To byłoby śmieszne. Za dużo pracował.

Zrobił krok do przodu i zawadził o coś czubkiem świeżo wyczyszczonych brązowych trzewików. Spuścił wzrok.

– Pani Pementel? Pani Pementel! – Ukłękł przy ciele i poszukał tętna. – O mój Boże! Ona nie żyje!



## Rozdział czternasty

Samochód patrolowy objeżdżał powoli rondo Kings College, oświetlając reflektorami zieleniec. Barykady policyjne zostały usunięte późnym popołudniem, lecz kierowcom polecono w miarę możliwości omijać ten plac.

– Myślisz, że wróci na miejsce przestępstwa? – spytał posterunkowy Brooks. Jego towarzyszka zawzięcie spoglądała przez okno na teren oświetlony snopem światła z reflektora. On widział jedynie trawę, drzewa i być może niewyraźny znak po kredzie, który zalśnił bielą w nagłym blasku. Ciekaw był, co ona widziała.

– Mam nadzieję, że tak – wycedziła posterunkowy Patton, nie odrywając wzroku od trawnika. – Mam nadzieję, że wróci. Mam nadzieję, że będziemy na miejscu i mam nadzieję, że ten sukinsyn da mi okazję, żebym go położyła trupem na miejscu. – Widziała ciało dziecka rzucone jak niepotrzebny przedmiot na trawę, choć wiedziała, że zwłoki zabrano dawno temu, i wiedziała, że nie przestanie ich widzieć, dopóki morderstwo nie zostanie pomszczone.

Zakończyli patrol i posterunkowy Brooks wyłączył reflektory. Jakby na ten znak z radia odezwał się beznamienny głos dyspozytorki:

– Funkcjonariusz potrzebuje pomocy, Bloor i Yonge, narożnik od północno-wschodniej strony. Powtarzam, funkcjonariusz potrzebuje pomocy, Bloor i Yonge, narożnik od północno-wschodniej strony.

Posterunkowy Patton nacisnęła guzik.

– Zgłasza się 52354. – Cofnęła się, gdy Jack jednocześnie włączył syrenę i nacisnął pedał gazu. Zaciśnęła wargi i położyła rękę na palce. W tym momencie rozbiecie paru łbów wydawało się doskonałym pomysłem.

Za nimi na rondzie gęstniała Ciemność.

Rebecca wyciągnęła z szafy duży, pomarańczowy sweter i włożyła go na siebie. Nie było jej zimno ani nie myślała, że zmarznie. Potrzebowała go dla dodania sobie otuchy. Kupiła sweter sama – nikt jej w tym nie pomagał – i choć nie umiałaby wytłumaczyć dlaczego, oznaczał niezależność. Siłę. Poza tym był jasny, a Daru zawsze kazała jej nosić jasne kolory w nocy, żeby samochody mogły ją zobaczyć. Rebecca po raz pierwszy usłyszała wtedy, że samochody coś widzą.

– Nic ci nie jest, Pani?

Dziewczyna przytuliła się do piersi Evana, ocierając się głową o jego bark.

– Wciąż się trochę boję, Evanie. Nadal wydaje mi się, że nie rozumiem, czego ode

mnie chcesz.

– Chcę, żebyś posłuchała, jak Roland śpiewa. Dobrze posłuchała. I chcę, żebyś tylko była sobą.

– Tylko tyle?

– Tak. To wszystko.

– Myślę, że to mogę zrobić. – Westchnęła. – Wciąż się trochę boję, Evanie.

– Ja też, Pani. – Przyłożył policzek do jej włosów i otulił ją opiekuńczo. – Ja też. – Przypomniawszy sobie obietnicę, jaką złożył trollowi, i zawstydzony, że musiano go o to prosić. Jeśli wygrają, jeśli oboje przeżyją i jeśli ona wyrazi zgodę, zabierze ją ze sobą, kiedy będzie wracał do Światłości. Tam jej niewinność będzie pod ochroną, a prostota pozostanie nieskalana. Widząc ją uwięzioną i dotkniętą przez Mrok, uświadomił sobie, ile to dla niego znaczy. Takie życie należy otaczać czułą opieką, a ten świat nie nadawał się do tego.

Najpierw jednak muszą wygrać. I przeżyć.

– Jest po jedenastej! – zawołał Roland z dużego pokoju. – Powinniśmy już iść. Rebecca obróciła się w ramionach Evana i uściskała go mocno, a potem wzięła za rękę i wyprowadziła z wnęki.

– Czy zadzwoniłeś do Daru, kiedy spałam, Rolandzie?

– Zadzwoniłem, dziecino. – Nie chciał jej spojrzeć w oczy. – Przez cały dzień nie było jej w biurze. Zostawiłem wiadomość dla niej w pracy i na sekretarce w domu. Rebecca zmarszczyła brwi.

– Ciekawe, gdzie ona jest?

Roland popatrzył na gitarę, na sufit, wyrzwał przez okno i zerknął nawet na Evana, który skinął głową.

– Obawiamy się, że Ciemność ją pojmała, Pani.

– Pojmała Daru?

– Tak.

– Sprawdzałeś? – spytała Evana.

Potrząsnął głową.

– Nie mam na to dość mocy – oświadczył ze smutkiem.

– Więc nie wiesz, czy wpadła w ręce Mroku.

– Daru nie zadzwoniła. Ani do nas, ani do biura.

– To nic nie szkodzi. – Rebecca szczerzej otuliła ramiona swetrem. – Daru pracuje bardzo ciężko i jest bardzo zajęta. Nie zawsze może dzwonić w każdej drobnej sprawie.

Roland nie zamierzał jej przekonywać. Choć osobiście sądził, że już nigdy nie ujrzą Daru, co to szkodzi, jeśli Rebecca będzie myślała inaczej? Po dzisiejszej nocy ten fakt

może się okazać nieistotny.

Harfa pod oknem westchnęła, jakby podmuch wiatru musnął po kolei wszystkie jej struny.

– Myślę, że ona chce iść z nami – oznajmiła Rebecca.

– Z pewnością – rzekł Roland, gładząc polerowaną ramę. – Kiedy będzie już po wszystkim, obiecuję nauczyć się na niej grać. – Pod warunkiem że zostaną mi palce do grania.

Harfa znów westchnęła.

Rebecca powtórzyła westchnienie jak echo.

– Szkoda, że nie słyszałam twojej pieśni.

– Potrzebowałam snu, Pani.

– Wiem.

– W swoim czasie usłyszysz ją.

– Wiem. – Wyszli z mieszkania i dziewczyna starannie zamknęła drzwi. – Dzięki niej miałam przemiłe sny.

Roland i Evan wymienili znaczące spojrzenia za jej plecami.

– Jakie sny? – spytał Roland.

– Jakby ktoś opowiadał mi o wszystkim, o czym zapomniałam. I to nie Roland mi o nich opowiadał, ale ktoś inny, choć nawet we śnie wiedziałam, że to Roland śpiewa.

– O czym ci opowiadano?

– Nie wiem. – Potrząsnęła głową. – Kiedy się zbudziłam, znów nie pamiętałam. Może kiedy rzeczywiście usłyszę twój śpiew...

– Może – zgodził się Roland.

Niedaleko bloku stwierdzili, że mają czwartego towarzysza.

– Rebecca, ten cholerny kot idzie za nami.

– Nie, nie idzie za nami.

– Ależ tak. Przecież jest tutaj!

– Idzie obok nas – sprostowała Rebecca.

– Nie obchodzi mnie, gdzie idzie, tylko każ mu wracać do domu.

– Koty chodzą własnymi drogami, Rolandzie – rzekła Rebecca. Sądziła, że każdy o tym wie.

Evan przykucnął i Tom ocierał się o jego nogi.

– Czeka nas wielki bój, mały futrzaczku. Nie wątpimy w twoją odwagę, lecz nie chcielibyśmy, aby stała ci się jakaś krzywda.

Tom położył jedną łapkę na kolanie Adepta, wysuwając pazury i lekko wbijając je

w dzinsy. Evan uśmiechnął się.

– Jesteś potężnym wojownikiem – przyznał, zagłębiając długie palce w gęste futro kota. – Jeśli naprawdę tego pragniesz, możesz iść z nami.

– Przenieś go przez ruchliwe skrzyżowania – zaproponowała Rebecca.

Wspaniale, pomyślał Roland, kiedy ruszyli. Jakbyśmy nie mieli dość kłopotów. Choć Roland świetnie zdawał sobie sprawę z tego, że kot zaprowadził go z powrotem do rzeczywistego świata, nie zmieniło to zdecydowanie jego zdania o Tomie ani o kotach w ogólności. Świadczyły o tym równoległe kreski zadrapań, jakie pojawiły się na jego nadgarstku dzisiejszego popołudnia. W szklanych drzwiach Mapie Leaf Gardens zobaczył odbicie ich grupy i pokręcił głową. Ciekawe, co sądzi o tym reszta świata.

Reszta świata zdawała się niczego nie zauważać. Jak na wpół do dwunastej w piątkową noc w dużym mieście nie byli na tyle dziwni, by wzbudzać czyjąkolwiek ciekawość.

...z wyjątkiem jednego małego chłopca, który przyglądał im się z otwartymi ustami, chociaż już dawno powinien być w łóżku. Chłopczyk nadal gapił się, dopóki matka nie potrząsnęła nim i nie kazała mu się grzecznie zachowywać.

Zanim doszli do zatłoczonego i ruchliwego Yonge, Rolandowi wydawało się, że biorą udział w filmie. Wszystko było nierealne, odsunięte odrobinę od miejsca, gdzie się znajdowali. Światła były zbyt jasne, cienie za ostre, dźwięki zbyt stłumione, ciepłe powietrze przepływało nad skórę nie dotykając jej. Miał wrażenie, że nic nie istniało, dopóki na to nie spojrział, a gdy spojrział, przestawało istnieć. Inni również to czuli, bo Evan opuścił ręce i bez przerwy przeczesywał wzrokiem przestrzeń wokół nich. Rebecca żuła kosmyk włosów i patrzyła tylko na Evana, jej stopy znajdowały drogę samodzielnie. Nawet Tom leżał cicho w objęciach Rebeki. Położył uszy po sobie i smagał ją po biodrze czubkiem ogona.

Światło na skrzyżowaniu było czerwone i pozornie nie zmieniało się przez bardzo długą chwilę. Tłum falował niespokojnie, nie zaprzestając ruchu ani na chwilę i wtedy Rolandowi przyszło nagle do głowy, jaki to film. To jest western – tuż przed popłochem w stadzie bydła. Kiedy już się zacznie, wiesz, że najlepszy przyjaciel bohatera spadnie z konia i zginie.

– Nadchodzi burza – oznajmiła z absolutną pewnością Rebecca. „

– Tak – przyznał Evan – nadchodzi.

Roland przez chwilę zastanawiał się, czy mówią o tym samym, ale doszedł do wniosku, że to nie jest ważne. Po ciele sływał mu pot, podkoszulek przylepił się do pleców. Podrzucił w wilgotnej dłoni plastikowy uchwyt pokrowca i zaczął powtarzać w pamięci słowa inwokacji. Było to sto razy lepsze od myślenia. Stokroć lepsze to niż

myślenie.

Światła się zmieniły. Nareszcie. Samochody na College ruszyły naprzód. Czarna corvette, która pędziła na południe do Yonge, starała się nadrobić stracony czas.

Z piskiem opon i hukiem, brązowa mazda wbiła się w bok corvetty, odrzucając ją na pomarańczową taksówkę. Przez pierwsze kilka sekund słyhać było jedynie huk samochodów, potem wszystko ucichło i pozostała jedynie zgnieciona, dymiąca sterta metalu. Wtedy ludzie zaczęli krzyczeć.

Evan skoczył naprzód, ale Roland odciągnął go do tyłu.

– Jest jedenasta trzydzieści osiem! Nie mamy czasu, żeby pomagać!

Kierowca taksówki był przewieszony do połowy przez okno. Krew spływająca mu z ust zbierała się kałużę na jezdni.

– Puść mnie! – Evan wrywał się. – Nie rozumiesz! Ja muszę im pomóc!

– Rozumiem. – Roland starał się nic nie widzieć. Starał się nie słyszeć, nie czuć. – Najlepiej im pomożesz pokonując Ciemność!

Evan zrobił krok w stronę rozbitego pojazdu.

– Evanie – cichy głos Rebeki przedarł się przez hałas i historię. Obaj mężczyźni odwrócili się do niej. Gdyby Roland w ogóle o tym myślał, przypuszczałby, że dziewczyna wpadnie w panikę, lecz ku jego zdumieniu sprawiała wrażenie promieniującej spokojem, wyspy wśród zamętu. – Jeśli zatrzymasz się tutaj, Roland i ja pójdziemy dalej bez ciebie.

Evan drgnął, jakby go uderzyła. Wydał okrzyk pełen bólu i pobiegł w stronę ronda przez gromadzący się tłum.

Tom wysunął się z objęć Rebeki i pomknął za nim, szybko znikając w ludzkim gąszczu.

– Tom! – zawołał Roland. – Ty głupi...

Rebecca wzięła go za rękę. Jej dłoń była chłodna i sucha. Jego drżała.

– Tom umie zadbać o siebie. Chodźmy.

Zaczęli biec, przepychając się wśród ghuli, które zawsze się gromadzą w pobliżu miejsca katastrofy, i popędzili College Street za Adeptem.

Dogonili Evana dopiero przy Kings College Road. Stał wpatrzony w rondo z ponurą twarzą i rękami wciśniętymi w kieszenie dzinsów.

Wygląda tak absurdalnie młodo, pomyślał Roland, puszczać dłoń Rebeki i dysząc ciężko. Powietrze wydawało się niematerialne, bieg pozostawił mu palący posmak miedzi w gardle.

Nigdzie nie było widać Toma, choć to on mógł zaszeleścić w zaroślach.

Evan powoli odwrócił się do nich. Miał mokre policzki i rzęsy pozlepiane w wilgotne

strąki. Rebecca wydała jęk cichego protestu i rzuciła mu się w ramiona. Roland skoncentrował się na oddychaniu, zżerany zazdrością o okazywane i przyjmowane uczucie. Nienawidził siebie za to, ale silne ramię objęło również jego i wtedy wszystko było dobrze.

Kiedy odsunęli się od siebie, trzymając się za ręce, popatrzyli na rondo. Im bliżej Ciemności znajdowały się latarnie uliczne, tym bardziej ich blask bladł i zanikał, aż wreszcie Mrok pożarł ich światło całkowicie. Masywna, usiana wieżyczkami sylwetka Kolegium uniwersyteckiego, którą zazwyczaj widać było nad parkiem, tej nocy nie odcinała się na tle bezgwiezdnego nieba.

Roland spojrzął na zegarek. Jedenasta czterdzieści sześć. Czternaście minut.

– Słuchaj – rzekł do Evana tego popołudnia – czy nie moglibyśmy pójść tam wcześniej, na przykład przed zachodem słońca, wezwać tę boginię, wyjaśnić jej wszystko, pójść do domu i poczekać, aż ona to załatwi?

Evan odpowiedział mu, jak często bywało, kolejnym pytaniem.

– I mamy kazać bogini czekać, bo tak nam jest wygodnie? – Sam odpowiedział sobie na to pytanie: – Nie. Wezwiemy ją, kiedy będziemy jej potrzebować. – Uśmiechnął się na widok rozczarowanej miny Rolanda. – Jest takie powiedzenie z dawnych wierzeń, które przeszło do nowych: bogowie pomagają tym, którzy sami sobie pomagają.

– Znów banały z ciasteczek z wróżbą – parsknął Roland.

Przechyliwszy krzesło do tyłu, Evan oparł na stole kuchennym nogę w wysokim bucie.

– Niektóre z tych wróżb są całkiem mądre.

Zbliżali się do ronda; Rebecca trzymała za rękę Evana, Roland trzymał Rebecę. Bliski kontakt pomagał i umożliwiał stawianie kroków, choć wszyscy wiedzieli, co ich czeka na końcu drogi. W miarę zbliżania się do Ciemności odgłosy nocy w ruchliwym mieście słabły, aż wreszcie szli w ciszy przerywanej jedynie delikatnym, srebrnym pobrząkiwaniem bransolet Evana. Nic nie mówili. Wszystko zostało już powiedziane.

– Posłuchaj, Evanie, co będzie robić Mrok, kiedy ja będę śpiewać?

– Będzie usiłował cię powstrzymać.

Roland podejrzewał, że znał odpowiedź, zanim zadał pytanie. Nie mylił się. – A ty?

– Będę cię ochraniał.

– Wiesz, nie wątpię w ciebie, ale czy zdołasz mnie ochronić?

Evan uśmiechnął się smutno.

– Nie mogę go pokonać, bo szala przechyliła się zbyt mocno, ale powinienem odwrócić jego uwagę na tyle, byś skończył pieśń. Reszta nie będzie już zależała od nas.

Przeszli kawałek rondem, omijając okolicę bramy mroku, i stanęli na trawie pod

granicznym łukiem dębów.

Roland posłyszał cichy szelest i poczuł, że coś delikatnie musnęło mu włosy. Podniósł głowę. Na gałęzi drzewa niczego nie zauważył. Nie wiał też wiatr, który mógłby nią poruszyć. Zerknął na swych towarzyszy, lecz skoro oni nie zwracali na to uwagi, wzruszył ramionami i przestał się przejmować. Nie była to najlepsza pora, żeby martwić się drzewami.

Kiedy podeszli bliżej do środka, Ciemność stawała się nieomal materialna. Wyciekała z miejsca, gdzie przelano krew, kłębiła się wokół kostek, wysuwała mgliste macki ku kolanom i za każdym krokiem sięgała wyżej.

– Precz! – warknął Evan. – Ten świat jeszcze do ciebie nie należy. – Rozłożył ręce i z wyjątkiem spienionej mgły, która zaznaczała miejsce złożenia ofiary, Ciemność znikła z parku.

– Tak jest lepiej – oznajmił z aprobatą Roland. Zauważył, że świat na zewnątrz ronda wydawał się odgradzony taflą szkła dymnego. Widział przez tę zasłonę, choć niezbyt wyraźnie; budynki były zamglone i nierzeczywiste.

Jedenasta pięćdziesiąt siedem.

– Wiesz, Evanie – Roland położył gitarę na trawie – skoro po raz pierwszy ujrzałem tę piosenkę dziś rano, co będzie, jeśli spaprę robotę?

Evan pocieszająco klepnął go lekko po ramieniu, lecz rzekł tylko jedno:

– Nie spaprz.

– Nie spaprz – powtórzył Roland. – Jasne. – Wyjął Cierpliwość z futerału, zarzucił ją na ramię i wstał. Cztery zwrotki, dwa refreny i przejście z d-moll na F. Dlaczego ja?

Bo tylko ciebie mają, odparł cichy głos w jego głowie.

Evan wziął twarz Rebeki w dłoń i spojrzał jej głęboko w oczy.

– Powierzam ci me serce, Pani. Dbaj o nie.

Rebecca westchnęła, przygryzła dolną wargę, żeby powstrzymać drzenie, i dotknęła jego dłoni.

– Ja też cię kocham, Evanie.

Roland czekał na uścisk, lecz zamiast niego ujrzał jedynie delikatny pocałunek i rozstanie. Łzy stanęły mu w oczach. Zamrugał szybko powiekami, żeby je otrzeć. Kiedy odzyskał zdolność widzenia, Adept stał przed nim. Wszystko, co chciał powiedzieć – powodzenia, uważaj na siebie, dołóż mu – wydawało się banalne, więc tylko skinął głową i miał nadzieję, że Evan go rozumie.

Evan również pokiwał głową.

– Wyszedłeś na spotkanie swej zagładzie. Jakie to... szlachetne.

Mrok odziany był w szatę z czarnego aksamitu, która pochłaniała resztki światła. Za

jego plecami rosła brama.

Kiedy Evan odwrócił się do Adepta Mroku, wyraz jego twarzy zmienił się. Przez krótką chwilę wyglądał rozpaczliwie smutno. W ciągu tych kilku sekund, jakie Rolandowi zajęło zrozumienie, Evan odszedł zbyt daleko, by mógł go zatrzymać.

– On sądzi, że tam zginie! – wykrzyknął Roland do Rebeki, która spoglądała na Evana z pełną tęsknoty rozpaczą.

– Wiem – chlipnęła dziewczyna.

– Nie możemy mu pozwolić tak...

– Musimy mu pozwolić.

– Ale musi być coś, co moglibyśmy zrobić!

– Jest. – Wytarła nos w rękaw, ani na chwilę nie spuszczać oczu z Evana. – Śpiewaj.

Brama była wyższa od obu Adeptów stojących przed nią, szeroka na dziesięć albo dwanaście stóp i wciąż rosła.

Z sercem na ramieniu Roland zagrał pierwszy akord, wiedząc, że tym samym skazuje Evana na śmierć. Adept Mroku nie musiał walczyć, jeżeli muzyka nie dawała mu po temu powodu. Kiedy Roland na jednej szali postawił Evana, a na drugiej świat, mało brakowało, by świat przegrał. Mimo to zmusił swe palce do dalszego grania. Czuł, jak stojąca za nim Rebecca słucha z absolutnym skupieniem, jakie cechowało wszystko, co robiła.

Wtedy Adept Mroku ominął wzrokiem Evana, popatrzył Rolandowi w oczy i uśmiechnął się. Jesteś mój, mówił ten uśmiech. Wiesz o tym i ja o tym wiem. Kiedy to się skończy, przyjdę po ciebie.

Rolandowi zdrząły palce. Akordy wyleciały mu z pamięci. Zapomniał o muzyce. Zapomniał o wszystkim, z wyjątkiem Ciemności. Nie mógł opanować drżenia.

– Rolandzie. – Rebecca chwyciła go za ramię. Jej palce wpijały się mocno w ciało i odrywały jego uwagę od Adepta Mroku, choć wciąż słyszał jej słowa dochodzące z głębi tunelu. – Evan nie pozwoli mu cię skrzywdzić.

Evan.

Jeśli on gotów jest umrzeć za mój świat, do licha, ja mogę dla niego zaśpiewać.

Odszukał palcami struny. Rozpoczął się refren.

Po pierwszych słowach z ust Adepta Mroku znikł zarozumiały uśmiech.

Po następnych Adept warknął i rzucił się do ataku.

Światłość stanęła mu na przeszkodzie.

– Doniesienie o fajerwerkach w okolicy ronda Kings College. 5234, możecie tym się zająć?



Posterunkowy Patton spojrzęła z niechęcią na radio.

– Ludzie na ulicach powariowali, a oni chcą, żebyśmy sprawdzali jakieś fajerwerki. – Przez ostatnią godzinę rozpędzali zamieszki na Yonge i Bloor.

Posterunkowy Brooks wzruszył ramionami i sięgnął po mikrofon.

– Pamiętaj, co się stało ostatnim razem, kiedy zameldowano o fajerwerkach na rondzie. – Wcisnął przycisk. – Tu 5234. Czy jedziemy sami?

– Wszystkie pozostałe jednostki obecnie zajęte, ale w razie potrzeby możemy udzielić wam wsparcia.

– Dobra. Jedziemy sami. – Posterunkowy Patton wzięła ostry zakręt, aż zaprotestował mechanizm sterujący samochodem, i wcisnęła gaz do oporu. – Pierwsi dorwiemy się do tego skurwysyna, jeśli wrócił.

– I potraktujemy go według przepisów, Mary Margaret – powiedział łagodnie Brooks.

Kobieta obnażyła zęby w uśmiechu.

– Wepchnę mu te przepisy do gardła.

Evan zatoczył się od brutalnego ciosu, lecz odparował go, nim Roland został trafiony. Roland zrobił jedyną rzecz, jaką mógł – zaufał sile Evana i nie przestawał śpiewać. Nie wiedział, czy bogini słucha, lecz czuł, jak moc narasta i jeżą się włosy na jego ciele. Kiedy Evan zatrzymał kolejny łuk czarnej energii, od którego prawa ręka zwisała mu bezwładnie, Roland zaczął śpiewać pierwszą zwrotkę.

Czysty wietrze, wiej ze wschodu, Niech się skończy me cierpienie, Oczyszczyć moją pamięć z lodu, Oczyszczyć z brudu me sumienie.

Chociaż był przygotowany, że coś się stanie, omal nie zapomniał o zmianie akordów, gdy wiatr musnął jego lewy policzek. Odwrócił się lekko w tę stronę, by widzieć, co przyniosą ostatnie słowa zwrotki. Kątem oka patrzył na skrzywione oblicze Adepta Mroku, lecz ani jego twarz, ani atak, który nastąpił, nie mogły go rozproszyć, gdy wschodni wiatr wymiół wątpliwości z jego umysłu. Nadal był przerażony, lecz strach wydawał się nie mieć już znaczenia.

Panno, chlubo swego rodu, Przyślij zdrowie mi ze wschodu.

Adept Mroku zawył.

Roland nie zwracał na niego uwagi, bo wschodni wiatr przyszedł z odpowiedzią. Tuż przed Rolandem, nieco na prawo, stanęła Daru w krótkiej, białej tunice. Stanęła naprzeciw Ciemności, zaciskając dłonie w pięści. Nawet od tyłu nie przypominała zbyt Daru, którą znał, gdyż siła pieśni była bladym odbiciem jej siły.

Silny wietrze, wiej z południa, Roznieć płomień mej dzielności, Nie ma dna twej mocy studnia, Dodaj duszy mej śmiałości.

Wola twa niech się z mą splata, Wojowniczo wichru lata.

Wiatr, który nadleciał z południa, niosąc zapach stali i krwi, odział Daru w złotą zbroję i zawiesił u jej boku potężny miecz.

Evan padł na kolano, lecz zasłonił się zdrową ręką w samą porę i zdołał zaplątać czarny bat w swych bransoletach. Jego okrzyk bólu ledwo przebił się przez muzykę.

Srogi wietrze, wiej z zachodu, Myśl ma stałą niech się stanie.

Wzywam cię nie bez powodu Matko, usłysz me wołanie, Zmieć przeszkody na mej drodze, Dmij, zachodni wietrze, srodze.

Wiatr teraz uderzał go w prawy policzek. Rebecca zdjęła dłoń z jego ramienia. Kiedy podeszła, by stanąć przy Daru, umysł Rolanda pracował na przyspieszonych obrotach, lecz żadna spójna myśl nie przebija się przez przerażenie.

Rebecca?

Najdziwniejsze było, że Daru najwyraźniej przybrała cechy bogini, a Rebecca wyglądała tak jak zawsze. Zmierzwione kędziory, piegi, wielki, pomarańczowy sweter.

Może rzeczywiście bogini była przy niej cały czas, podszepnął cichy głos w jego głowie.

Roland nie chciał się nad tym zastanawiać.

Evan szybko podniósł głowę i dyszał ciężko przez otwarte usta, lecz jakimś cudem nie pozwalał Ciemności ruszyć się z miejsca. Broczył światłem z tuzina ran.

Zanim Roland rozpoczął ostatnią zwrotkę, poczuł, jak zimny dreszcz przebiega mu po plecach. Nie wiedział, czy był to wewnętrzny, czy zewnętrzny chłód. Stał zwrócony plecami do północy.

Zimny wietrze, wiej z północy, Spowij serce moje lodem, Zbroję daj mi do pomocy.

Starko, która władasz chłodem, Wrogów poraż śmierci tchnieniem!

Bądź mi, wicherze, ukojeniem.

Niespodziewanie obok Rebeki stanęła pani Ruth w czarnych szatach, które łopotały na lodowatym wietrze. Nie wyglądała jak gruba, starsza pani, choć nadal nią była. Nie wyglądała już nieszkodliwie.

Impet uderzenia rzucił Evana w powietrze, gdzie wił się przez chwilę, aż wreszcie spadł na ziemię.

Mrok w swej żądzy zniszczenia resztek Światłości przestał zważać na większą bitwę.

Roland uniósł głowę i oczy mu rozbłysły. Włożył w ostatni refren wszystkie siły i zasłonił Evana pieśnią jak tarczą.

Cztery wiatry, powietrze, płomienie, Ziemi i wodo, spełń me życzenie.

Prośby samotnego niechaj wysłucha – Dziewica-wojownik, Matka i Starucha.

Kiedy ostatnia nuta rozplynęła się w ciszy, bogini przemówiła trojgiem ust, lecz

jednym głosem:

– Stało się.

Adept Mroku z ręką wzniesioną do zadania ostatniego ciosu Światłości zaśmiał się, bo zegary zaczęły wybijać północ.

– Za późno – rzekł.

Brama rozwarła się.

– Święta Maryjo, Matko Boska, błogosławiony Jezusie i wszyscy święci, a to co takiego? – Posterunkowy Patton nacisnęła z całych sił na pedał gazu i samochód patrolowy z piskiem obrócił się w poprzek ronda Kings College aż opony od strony pasażera dotknęły krawężnika.

Wyłączyła silnik i siedziała, wyglądając przez okno. Ścisnęła kierownicę tak mocno, że kostki jej pobielały.

Syrena wyła jeszcze przez chwilę po wyłączeniu silnika. Posterunkowy Brooks nachylił się i wyłączył ją. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, aby usłyszał ją ktokolwiek w parku.

Pośrodku zieleńca wznosiła się płyta Mroku wielkości dwudziestu stóp kwadratowych. Płyta tak nieprzenikniona, że umysł upierał się przy twierdzeniu, iż była lita, nawet mając dowód świadczący przeciwko temu. Z jej wnętrza wyłoniła się stworzona z Ciemności i obdarzona przez nią kształtem istota z koszmaru narkomana. Kiedy jej pokryte łuskami, błyszczące matową czernią cielsko przestąpiło próg, podźwignęła się na potężne, tylne nogi i zamachała w powietrzu kosmatymi, przednimi łapami. Wielkie, zakrzywione pazury rozdarły noc, każda z jej siedmiu głów otworzyła zębatą paszczę i ryknęła.

– Kręcą tu dziś film, prawda?

– Nie sądzę, Mary Margaret.

Obok potwora stał mężczyzna w czerni; u jego stóp ktoś leżał bezwładnie.

– To on! Ten facet z rysunku! Ten łajdak, który zarzynał ludzi w mieście!

– Jesteś pewna?

– Oczywiście, że jestem pewna!

Naprzeciwko monstrum stały trzy kobiety: jedna w złotej zbroi, druga w długich, czarnych szatach, a trzecia w dużym, pomarańczowym swetrze. Wyglądały znajomo, choć oko nie chciało ich widzieć jako pojedynczych jednostek. Sprawiały wrażenie co najmniej równie groźnych jak potwór, któremu stawiały czoło. Za nimi był mężczyzna z gitarą.

Przerażona jak nigdy jeszcze w życiu, posterunkowy Patton wyszła z samochodu i obesła go dookoła, by stanąć przy drzwiach od strony pasażera. Brooks wysiadł powoli

i stanął przy niej.

– Wzywamy posiłki? – spytał, odpinając kaburę.

– Nie.

– Więc co robimy?

Popatrzyła najpierw na bestię, potem na mężczyznę i kobiety i zmarszczyła czoło. Szykowało się coś dużego, coś... Znów spojrzała na kobiety i przygryzła wargę.

– Zaczekamy – powiedziała wreszcie.

– O cholera! – Roland zrobił mimowolnie krok do tyłu, gdy siedem głów wrzasnęło.

Pani Ruth mruknęła w zamyśleniu, Rebecca westchnęła, a Daru poluzowała miecz w pochwie.

Adept Mroku potrząsnął głową, głaszcząc lekko obsydianowy bok bestii.

– Zabij ją – drażnił Dziewicę. – Zgładź ją. Ciemność i tak nie przestanie nadchodzić i wcześniej czy później upadniesz, a ciało, które zamieszkujesz, zginie. Bez ciebie reszta trójcy jest niczym. – Jego uśmiech wyrażał sytość. Adept ocierał się o zad potwora. – A bramy nie możesz zamknąć, bo przelano krew, by ją otworzyć.

– Co? – Roland tak bardzo się zapomniał, że znów wy sunął się do przodu. – Co on miał na myśli, mówiąc, że nie możesz zamknąć bramy? Po to przecież jesteś tutaj! Trzy postaci bogini odwróciły się i znów trzy przemówiły jak jedna:

– Trzeba krwi, by zmazać krew.

Starucha mówiła dalej sama:

– Tę bramę otworzyła niedobrowolna ofiara, bardziej. Potrzeba będzie dobrowolnej ofiary, by ją zamknąć.

Siedem łbów bestii znów ryknęło.

Roland zrozumiał.

Mieli tylko jego.

Nie chcę umierać.

Zwilżył wargi i bardzo ostrożnie położył Cierpliwość na trawie.

Nie chcę umierać.

Pierwszy krok był najtrudniejszą rzeczą w jego życiu. Drugi i trzeci nie były łatwiejsze.

Zapewne nigdy się o tym nie dowiesz, wujku Tony, ale właśnie kończę zaczęta robotę.

Stanął pomiędzy Rebeccą i panią Ruth. Pomiedzy Matką i Staruchą.

Proszę, niech nie boli za bardzo.

Raptem coś małego i ciężkiego przemknęło mu między nogami. Zachwiał się, odzyskał równowagę i zobaczył Toma, który z sykiem i parskaniem skakał w górę.

Olbrzymie łapy bestii zdjęły Toma z łba, w którym łypało wściekle jedno oko, i bez wysiłku jednym ruchem rozdarły kota na dwoje.

Kiedy krew chlusnęła na ziemię, bogini krzyknęła:

– Stało się!

Brama mroku zniknęła.

– Nie! – wrzasnął Adept Mroku. – To był tylko kot! Bogini uśmiechnęła się i Adept zadrżał przed jej obliczem.

– Nie ma czegoś takiego – rzekła – jak tylko kot.

Płynnym ruchem Daru obnażyła miecz i ruszyła do natarcia. Wielka, złota klinga świszcziała nad jej głową, zataczając łśniący krąg.

Bitwa została stoczona zbyt szybko, by do Rolanda coś dotarło. Świadomość, że wciąż żyje, nie dopuściła do niego wrzawy i zamętu spowodowanego ciosami obu stron. Roland podniósł Cierpliwość i ścisnął ją mocno, jakby znajomy dotyk gitary mógł go przekonać, że nadal istnieje.

Bestia miała tylko dwie głowy, kiedy wreszcie padła. Raz zadygotała i rozplynęła się w powietrzu, zostawiając plamę na murawie i smród, który rozwiął wschodni wiatr. Dziewica stała pośrodku plamy, wspierając się na mieczu, jej złota zbroja ociekała ciemną ciecżą. Zęby miała obnażone i oczy jej płonęły. Odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się.

Adept Mroku zaczął się cofać, drżąc z przerażenia. Nie spuszczać bogini z oczu, nie patrzył pod nogi i kiedy zahaczył piętą o Evana, przewrócił się. Przez chwilę leżeli twarzą w twarz – Adept Mroku i Adept Światłości – wreszcie Evan, który oszczędzał resztki sił, wbił mały sztylet ze światła w serce Ciemności.

Adept Mroku zawył i skonał.

Roland nie widział, żeby Rebecca się poruszyła. W jednej chwili stała obok Staruchy, w następnej już klęczała przy Evanie, biorąc na ręce jego poranione ciało. Opierał bezwładnie głowę na jej ramieniu i choć próbował, nie mógł podnieść ręki, by dotknąć jej policzka.

– Wybacz mi, Pani. – Jego aksamitny głos był również poraniony. – Byłem ślepy.

– Nie ma niczego do wybaczenia. – Poglądziła go po włosach.

Westchnął, tocząc walkę z cierpieniem o ostatnie kilka sekund życia.

– Cieszę się – popatrzył jej w oczy – że jesteś ze mną do końca.

– Jaki koniec? – Nachyliła się i pocałunkiem starła bruzdę bólu z jego czoła. – Koniec nie istnieje, jest tylko początek. Krąg zawsze wraca do punktu wyjścia.

Uśmiechał się lekko.

– Banały z ciasteczek z wróżbą – wyszeptał.

Matka uśmiechnęła się i w odpowiedzi zaśpiewał cały świat.

– Być może – rzekła.

Roland nie zwracał uwagi na łzy, które spływały mu po twarzy, i poczuł, że serce znów zaczyna mu bić. Powinienem był wiedzieć, że nie pozwoli mi umrzeć. Kiedy chwilę później Evan stał przed nim z rozpostartymi ramionami, Roland podszedł do niego i uściskał z wszystkich sił, jakie mu jeszcze zostały.

– Już myślałem, że nie żyjesz. – Płakał na ciepłym ramieniu Evana.

– Ja też tak myślałem – wyszeptał mu we włosy Evan. – A potem sądziłem, że już po tobie.

– On mnie nawet nie lubił.

Evan zrozumiał.

– Kto tam zna koty. Będziemy czcić jego pamięć, bo był potężnym wojownikiem zmagającym się z Ciemnością. To już jednak koniec. Zwyciężyliśmy.

– Koniec? – Roland odsunął się trochę, by spojrzeć Evanowi w oczy. – Koniec? – Adept pokiwał głową.

– Koniec – jeszcze raz powtórzył Roland. Wtedy ogarnął go szok i nogi się pod nim ugięły.

Evan podtrzymawał Rolanda, dopóki ten nie odzyskał równowagi.

– Zwyciężyliśmy.

Evan z uśmiechem pokiwał głową.

– Więc świat jest znów w równowadze?

– Nie. – Przed nimi stanęła Starucha. – Świat nie odzyska równowagi tak długo, jak długo Światłość nie wróci na swoje miejsce.

Evan po raz ostatni uściskał Rolanda, puścił go i podszedł do Rebeki, przed którą przykląkł na jedno kolano i spuścił głowę.

– Nie ośmieliłbym się prosić cię o to, Pani, gdybym nie obiecał tego komu innemu. Czy zechcesz pójść ze mną, kiedy odejdę?

Roland poczuł się równie zakłopotany jak Evan, gdy bogini odpowiedziała, poruszając jednocześnie ustami wszystkich trzech kobiet:

– Tak. Będzie to bowiem zadośćuczynieniem za wielką krzywdę.

Starucha roześmiała się na widok ich min i kiedy Rebecca postawiła Evana na nogi, rzekła:

– Pewno chcielibyście wyjaśnienia.

Wyglądało na to, że Evan stracił mowę, więc Roland wykrztusił jedno słowo:

– Proszę. – Zadygotał i miał nadzieję, że nie zwróci na siebie uwagi bogiń.

Ku jego uldze zaczęła mówić wyłącznie Starucha. Samo to było okropne, lecz części

nie przytłaczały tak potwornie jak całość.

– Tylko bogini jest wieczna. Ciało, jakie nosimy, są równie śmiertelne jak wszystkie zrodzone z kobiety. Kiedy umierają, aspekt w nich zawarty idzie dalej. Kiedy umiera ciało Matki, aspekt natychmiast przenosi się do ciała, które właśnie zaczęło miesiączkować. Ostatnim razem, zbiegło się to z wypadkiem, który zabił rodziców Rebeki. Szok wywołał u Rebeki krwawienie, a Matka potrzebowała naczynia! W chwili zamieszkania aspekt nabiera mocy i Matka staje się uzdrowicielką, więc uzdrowiła się. Gdyby wypadek wydarzył się tydzień wcześniej, Rebecca umarłaby, nigdy nie poznałaby dotyku bogini. Gdyby wypadek wydarzył się tydzień później, Rebecca umarłaby i aspekt przeniósłby się do następnego naczynia. Ponieważ jednak wypadek nastąpił dokładnie w chwili, w której nastąpił – Starucha rozłożyła ramiona i rękawy jej szaty załopotwały w nagłym podmuchu zimnego wiatru niczym skrzydła wielkiej, czarnej wrony – Rebecca przeżyła i Matka została uwięziona w niedoskonałym naczyniu, które ani nie mogło jej odpowiednio pomieścić, ani uwolnić.

– Przyciągnęła nas ku sobie – odezwała się po raz pierwszy Dziewica – byśmy ją chroniły.

Znów wszystkie trzy przemówiły jednym głosem:

– Ja jestem podstawą, na której wspierają się szale.

Roland złożył dłonie w trójkąt, a potem zlikwidował jeden kąt.

– Tak właśnie – przyznała Starucha. Zwróciła się do Evana: – Jeśli zabierzesz naczynie ze sobą, Matka będzie mogła swobodnie przenieść się dalej i po raz drugi nie będzie już tak łatwo naruszyć równowagi świata.

A jeśli Matka odejdzie, pomyślał Roland, ile zostanie z Rebeki?

Evan zdawał się nie mieć żadnych wątpliwości.

– Pójdiesz, Pani? – znów spytał, tym razem z własnej woli, nie z powodu obietnicy.

Rebecca skinęła głową i oczy jej lśniły.

– Tak.

– Stało się! – rzekła bogini i w powietrzu pojawiła się migotliwa zasłona. – Wracajcie do Światłości z naszym błogosławieństwem.

– Zaczekajcie! – Rebecca wyrwała się z uścisku Evana i rozłożyła ręce. Zmasakrowane strzępy Toma zespoliły się i na trawie leżał bladoszary, przegowany kot z połyskującym dumnie białym czubkiem ogona. Uklękła przy zwierzaku i przesunęła dłonią po całym jego ciele. – Zegnaj, drogi przyjacielu, nigdy cię nie zapomnę. – Srebrna łza skapnęła na miękkie futro. Następnie Rebecca wyciągnęła ręce i kot zapadł się pod ziemię. – Wędruj bezpiecznie, dopóki nie znajdziesz tłustych myszy, gęstej śmietanki i kochającej dłoni zawsze gotowej podrapać cię za uszami.

Roland wytarł oczy i pociągnął nosem. Przecież nie lubisz kotów, przypomniał sobie, lecz stary argument stracił na sile.

Rebecca ujęła jego twarz w dłonie i przyciągnęła do siebie, by ucałować go w czoło.

– Daję ci swój znak – powiedziała – swą opiekę i miłość.

To jest bogini, oznajmił cichy głos w głowie Rolanda.

To jest Rebecca, odparł Roland.

Uściskał ją mocno.

– Bądź szczęśliwa, dziecino.

– Ty też, Rolandzie. Myślę, że znalazłeś już swą muzykę.

– Też tak myślę, dziecino.

Wyciągnęła z przedniej kieszeni dzinsów klucz do swego mieszkania i podała mu go.

– Zaopiekujesz się moimi roślinami?

– Jasne.

– I dopilnujesz, żeby mały ludek dostawał mleko?

– Miseczkę co noc – obiecał.

Uśmiechnęła się do niego i nagle okazało się, że warto było zapłacić cierpieniem i grozą za cały ten przeklęty tydzień.

Odeszła i jej miejsce zajął Evan, delikatnie dający swoje błogosławieństwo.

Roland przyjrzał mu się dobrze – będzie musiał się tym zadowolić – i rzekł:

– Szkoda, że nie zdążyliśmy...

W narastającej ciszy Adept też mu się przyglądał. Potem puścił do niego oko.

– Może następnym razem.

Następnym razem! – wrzasnął cichy głosik w głowie Rolanda. Następnym razem!

Zamknij się, rozkazał mu Roland.

Objęci ramionami, Evan i Rebecca przestąpili próg bramy i przez chwilę Rolandowi wydawało się, że widzi wojownika w błękicie i srebrze z wysadzonym klejnotami mieczem u pasa, jaśniejącą istotę, której olbrzymie, białe skrzydła ocierały się o szczyt bramy i Evana, którego znał, połączonych w jedno. Świetliste kręgi otoczyły również Rebecę, choć zamiast miecza trzymała w rękach snopek zboża.

Potem – tylko na chwilę – zasłona przestała migotać i zajrzał w głąb Światłości. Zrobił krok naprzód, jeszcze jeden i wtedy brama zniknęła, a pani Ruth położyła mu dłoń na piersi i zatrzymała go.

– Bardowie Widzą, lecz nigdy nie mogą przejść na drugą stronę – wyjaśniła, nie bez współczucia. – To jeden z powodów, który czyni ich bardami.

– Ale...

– Zapomnij o tym, koleś.



Popatrzył na nią, naprawdę popatrzył na nią i ujrzał jedynie grubą, starą, bezdomną kobietę, opiętą starą, czarną suknią. Daru była ubrana w białe szorty i podkoszulek, a jedynym śladem Dziewicy-wojownika był znak na jej czole.

– To rzeczywiście koniec – westchnął.

Pani Ruth parsknęła.

– Czy ty w ogóle słuchasz, koleś? Nic się nie kończy. Krąg zawsze wraca do punktu wyjścia. – Wyciągnęła rękę i poklepała go lekko po policzku pulchną dłonią. – Wracaj do domu. Prześpij się trochę. Naucz się grać na tej fikuśnej harfie, którą zdobyłeś. Nie bądź obcym człowiekiem. A ty – machnęła ręką do Daru – jedz więcej. Jesteś za chuda.

Odwróciła się i poczłapała przed siebie. Roland przyklęknął, by schować Cierpliwość do futerału. Uniósł głowę i zobaczył, że Daru mu się przygląda.

– Co teraz zrobisz? – spytała.

Roland wzruszył ramionami i wstał.

– Chyba to, co mi kazała.

– Tak jest zawsze najmądrzej. – Daru przytaknęła.

– A ty...

– Jestem tylko sobą. Jutro nie będę już nawet pamiętać, że byłam kimkolwiek więcej.

– Ale ona? – Roland skinął głową w kierunku, w jakim poszła pani Ruth.

– Starucha Pamięta. To część jej zadania. – Daru westchnęła i przeciągnęła się. – Nie wiem jak ty, aleja napiłabym się kawy.

Roland pomyślał nad tym przez chwilę.

– Tak – odrzekł – ja też.

Poszli przez zieleniec w stronę świateł na College Street i normalnego rodzaju niezwykłości, jaką można znaleźć w otwartych całą dobę barach z pączkami.

– No więc, ehm, w sprawie tej Dziewicy, ty nie...

– Nie.

– Och.

Po drugiej stronie parku posterunkowi Patton i Brooks otrząsnęli się z odrętwienia, jakie ich ogarnęło, i wrócili do samochodu. Osoba – albo istota, tego już nie byli pewni – odpowiedzialna za śmierć co najmniej dwóch osób nigdy nie stanie przed sądem, niemniej jednak swoista sprawiedliwość została wymierzona i byli zadowoleni.

– I co, złożymy o tym raport? – spytał posterunkowy Brooks, stukając palcami o deskę rozdzielczą. Jego towarzyszka uniosła sarkastycznie brew i policjant zaczerwienił się.

Posterunkowy Patton nacisnęła guzik mikrofonu.

– Słucham, 5234.

- Właśnie opuszczamy rondo.
- A fajerwerki?
- Problem sam się rozwiązał. 5234, bez odbioru.

Wrzuciła bieg i samochód zanurzył się w ciemność, która nie była niczym innym, jak ciemnością letniej nocy.

Nad ich głowami stworzenie, które nie było zwykłą wiewiórką, biegło po przewodach elektrycznych, żeby roznieść wieści.